



Nancy Kilpatrick

# NA GRANICY ŚMIERCI



Nancy Kilpatrick

# NA GRANICY ŚMIERCI

Przekład  
Marcin Sieduszewski



# SPIS TREŚCI

## Część pierwsza

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

## Część druga

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

## Część trzecia

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

## [Część czwarta](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

## [Przypisy](#)

# CZĘŚĆ PIERWSZA

Wariat, kochanek, poeta – to trzy  
Różne wcielenia mocy wyobraźni<sup>1</sup>.

– William Shakespeare

# Rozdział 1

Wynajęty vauxhall nova przeleciał przez zardzewiałą bramę z kutego żelaza, a następnie pomknął ciągnącą się przez pół kilometra drogą jednopasmową w kierunku kolistego podjazdu, gdzie skręcił w prawo – tak, jak się tego w Anglii nie robi.

Roztrzęsiona blondynka siedząca za jego kierownicą strzeliła balonem z gumy do żucia, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w okazałą rezydencję. Znajdowała się wystarczająco daleko od Manchesteru, żeby snop światła wytwarzany przez reflektory jej niewielkiego samochodu był wyraźnie widoczny na tle gasnącego nieba. Budynek był ogromny – dwie wzniesione z kamienia kondygnacje otoczone rozległym, zapuszczonym trawnikiem. Za czterema białymi kolumnami widoczne były imponujące drzwi dwuskrzydłowe. Po ich obu stronach znajdowały się okna, a w każdym z nich naliczyła szesnaście małych szybek. To była jej pierwsza wizyta po tej stronie Atlantyku i dopiero trzeci w życiu wyjazd z Nowego Jorku, tak więc – jeśli nie liczyć posiadłości gubernatora, obok której przejeżdżali, gdy wraz z czterdziestoma innymi dziewczętami została zwerbowana na prywatne przyjęcie w Albany – Zero nigdy wcześniej nie widziała niczego podobnego. Wyłączyła silnik i rozpięła suwak skórzanej kurtki. Spod przedniego fotela wyciągnęła czarny plecak z cielejcej skóry. Wewnątrz znalazła męską chustkę do nosa, kłębek waty, łyżeczkę, zapalniczkę oraz przezroczystą plastikową strzykawkę z zainstalowaną igłą. W bocznej przegródce znajdował się wypełniony jasnobrązowym proszkiem plastikowy woreczek na kanapki zwinięty ciasno jak cygaro.

Po umieszczeniu kilku szczypt proszku na łyżeczce i dodaniu coca-coli, którą popijała z puszki, Zero odpaliła zapalniczkę. W ciągu paru sekund proszek rozpuścił się pod wpływem ciepła i napoju. Używając wacika w roli filtra, zanurzyła koniec igły w powstałym płynie, po czym szybko pociągnęła za tłoczek, żeby wciągnąć heroinę do strzykawki.

Po obwiązaniu górnej części ramienia chustką zaczęła badać wewnętrzną stronę łokcia. Początkowo nie mogła znaleźć żyły, ale

chwilę później błękitna linia objawiła się na skórze. Wyćwiczonym ruchem umieściła w niej igłę. Jej ciało wypełnił płynny ogień. Żar jak zwykle najpierw wypalił jej serce, a potem głowę. Wzdychając, osunęła się na oparcie fotela i czekała, aż płomień sięgną kończyn.

Wraz z upływem czasu mile widziane odrętwienie znieczuliło w końcu i jej duszę.

W pogrążonej w mroku piwnicy otworzyły się oczy mężczyzny. Usłyszał opony chrzęszczące na żwirze. Potem silnik zamilkł. Tylko jedna osoba, przynajmniej w zasięgu jego zmysłów. Co dziwne, drzwi samochodu otworzyły się i zamknęły dopiero po prawie trzydziestu minutach.

Po zgromadzeniu wystarczającej ilości energii, aby zacząć działać, Zero zdjęła chustkę z ramienia. Wsunęła plastikowy woreczek pod czarną skórzaną bluzkę z odkrytymi plecami, którą miała na sobie, wrzuciła portfel do plecaka, a strzykawkę wraz z resztą oprzyrządowania włożyła do schowka. Była gotowa.

Wysiadła z samochodu i poprawiła opinający jej biodra szeroki skórzany pas, którego kłamrę stanowiła srebrna jaszczurka z diamentowymi oczami pozerająca własny ogon. Wyciągając plecak przez otwarte okno, spojrzała na swój zegarek nawiązujący do serialu *Wiercipięta* – krótsza wskazówka mierzyła w serce chłopaka, a dłuższa spoczywała między jego jajkami. Pięć godzin różnicy, jak twierdziła stewardesa. Czyli co? Siódma trzydzieści w Manchesterze? Nie zawracała sobie głowy przestawianiem zegarka – nie miała zamiaru długo tu zabawić.

Zero zajrzała przez jedno z brudnych okien w przedniej ścianie domu. W środku panowała zbyt duża ciemność, żeby dało się cokolwiek dostrzec. Na wszelki wypadek zapukała do drzwi przy użyciu zardzewiałej kołatki w kształcie róży o pokrytej kolcami łodydze. Nie oczekiwała, że ktoś na to odpowie, i miała rację. Udała się na tyły budynku i weszła do środka przez składzik, którego drzwi miały zepsuty zamek.

W kuchni po omacku przesuwała dłońmi po ścianie, aż jej palce natrafiły na włącznik światła. Nacisnęła go, ale nic się nie stało.

– Super... – wymamrotała, grzebiąc w plecaku, w którym w końcu znalazła latarkę oraz kartkę papieru. Przyświecając sobie, raz jeszcze przeczytała notkę. Instrukcja numer 7 brzmiała:

„Przeszukaj cały dom, każdy jego pokój bez względu na

*rozmiar, począwszy od piwnicy, a na strychu skończywszy. Każde zamknięte drzwi, włącznie z szafami, otwórz przy użyciu kluczy uniwersalnych. Jeśli nie będą działać, użyj łomu. Pamiętaj o tym, aby przybyć na miejsce PO ZMROKU”.*

Była zbyt naćpana, żeby czuć coś więcej niż lekkie podenerwowanie. Mimo wszystko jednak, gdyby nie była do tego zmuszona, to raczej nie byłoby jej w tej chwili w tym cholernym miejscu! Znalazła drzwi do piwnicy. Słońce już właściwie zaszło, ale tak naprawdę nie było jeszcze ciemno, ona jednak nie miała zamiaru czekać.

Pojedynczy intruz, kobieta o ostrym zapachu: słodko-metaliczna woń krwi, skóra ociekająca kwaskowatym strachem. A to co takiego? Gorzkawy odór, którego nie był w stanie rozpoznać.

Nie bał się, rzecz jasna, był jedynie ciekaw. To nie miało sensu. Z pewnością musi ich tu być więcej. Zawsze przychodzili grupami.

Ale gdy skoncentrował zmysły, nie wykrył nikogo oprócz wolno zmierzającej w jego kierunku kobiety. Do jego ciekawości dołączyła niecierpliwość, a to, jak dobrze wiedział, mogło być groźne. Dla niej.

Stare schody prowadzące do piwnicy zaskrzypiały i stopa Zero przeszła na wylot przez przegniłe drewno trzeciego stopnia.

– Jasna cholera! – krzyknęła, a gdy straciła równowagę, promień latarki zatańczył po przepastnych ścianach pomieszczenia.

Przesunęła snopem światła po warstwach pajęczyn, kurzu i brudu. Powietrze było wilgotne, zapleśniałe. Nagle jej ręka zastygła w powietrzu, a serce zaczęło tłuc się w piersi jak oszalałe. Na środku podłogi stał duży kamienny sarkofag.

– Muszę sobie wałnąć! – wyszeptała, automatycznie sięgając po heroinę.

Przeraziła ją jednak wizja tego, że mogłaby przedawkować w miejscu, gdzie nikt nie byłby w stanie jej pomóc. Poza tym wcale nie była na głodzie. Gdy już skończy zajmować się tym, po co tu przyszła, nagrodzi się kolejną działką.

„Wciąganie porządnych prochów przez nos to czyste marnotrawstwo” – pomyślała, wysypując odrobinę narkotyku na zaciśniętą pięść.

Gdy wdychała proszek, latarka wysunęła się jej z dłoni i spadła na dół, odbijając się od schodów.

W krwiobiegu Zero krążyła teraz tak duża ilość heroiny, że dziewczyna nawet nie drgnęła i w ciągu kilku sekund przekonała samą



siebie, że się uspokaja. Po zejściu ze schodów podniosła latarkę i ostrożnie zbliżyła się do prostokątnego grobowca. Przesunęła światłem po jednym z jego boków i odczytała inskrypcję:

DAVID LYLE HARDWICK

1863–1893

## NIECH BÓG MA W OPIECE DUSZE POETÓW

Zero zmusiła się do podejścia do sarkofagu i położyła na jego wierzchu wszystko, co ze sobą przyniosła, przez co pomieszczenie wypełniło się upiornym światłem. Wbiła stopy w posadzkę i naparła na wieko z całych sił, próbując je poruszyć. Przesuwało się bardzo powoli i wkrótce zaczęła się pocić.

Gdy wieko przesunęło się wystarczająco, wzięła latarkę i zajrzała do środka.

– O Boże! To jest chore! – wyszeptała.

Na zapleśniałej satynie spoczywało ciało mężczyzny odzianego w staromodne ubrania. Faliste jasne włosy sięgające mu poniżej ramion okalały bladą, posągową twarz. Delikatne białe dłonie złożone były na piersi w klasycznej pozie nieboszczyka. Nie wyglądało na to, aby oddychał, ale notka ostrzegała, że to nie ma znaczenia.

Zero włożyła drżące dłonie do wnętrza plecaka, z którego wyciągnęła drewniany młotek oraz zaostzony kołek.

– Jezu, nie mogę tego zrobić! – zawołała.

Strach, który usłyszała we własnym głosie, prawie przedarł się przez heroinowe zamroczenie, zbytnio się do niej zbliżając. Zdecydowała, że nie zaszkodzi raz jeszcze podładować swoje morale, po czym szybko wciągnęła nosem dwie porcje narkotyku, które stłumiły przerażenie, zanim było ono w stanie jeszcze bardziej ją osaczyć.

W końcu drżącymi rękoma umieściła zaostzony koniec kołka w miejscu, w którym powinno znajdować się serce mężczyzny, uniosła młotek i wykonała zamach.

Z trumny wystrzeliła lodowato zimna dłoń i złapała ją za gardło.

Narzędzia uderzyły o podłogę, a ona, walcząc o oddech, została przesunięta do tyłu. Zaraz za dłonią z sarkofagu wynurzyła się reszta ciała. W nikłym świetle promienia latarki dojrzała przypominające budzący się do życia koszmar lśniące oczy oraz wykrzywioną w furii twarz.

„Śnię. To musi być sen – pomyślał. – Ona wróciła”.

Ale po kilku sekundach rzeczywistość nabrała konkretnych kształtów. To nie była Ariel. Ta dziewczyna była jednak równie piękna.

„Niczym współczesna Afrodyta, nawet pomimo mocnego makijażu”.  
– Przyszło do głowy Davidowi.

Drobna i delikatna tak jak Ariel, a pod skórzanym ubraniem skrywała się prawdopodobnie wspaniała figura. Kukurydziana barwa włosów oraz lazurowe oczy z pewnością były inne. Nadawały jej miękkości i kobiecości.

Otaczała ją jednak również niezbyt słodka aura, coś nieprzyjemnego, czego nie był w stanie zidentyfikować, co nie było jednak związane z tym, że przed chwilą próbowała przebić mu serce grubym kawałkiem głogowego drewna. Na myśl przyszły mu ironiczne słowa lorda Byrona:

*„Ach! doskonała... lecz że doskonałi  
Ciężarem nudnym są nędznego świata”<sup>2</sup>.*

Popchnął ją na drugi koniec pomieszczenia.

Uderzyła przodem ciała o kamienną ścianę, po czym błyskawicznie obróciła się niczym przyparty do muru szczur, żeby stawić mu czoła.

– Ty bydlaku!

Gdy ruszył w jej kierunku, sprawiała wrażenie kompletnie przerażonej, chociaż nie byłotego słycać w jej głosie.

– Stary, lepiej trzymaj ręce przy sobie! Hej, posłuchaj, tylko spokojnie, okej? Mam prochy. Możemy poimprezować, trochę się zabawić, co ty na to? Mogę sprawić, że poczujesz się jak w niebie.

Właśnie to wyczuł wcześniej. Była harda, ale krucha. To czyniło ją nieprzewidywalną, chociaż dla niego nie stanowiła żadnego zagrożenia. Złapał ją za ramię. Jego głos nawet w jego własnych uszach brzmiał chrapliwie. Dużo czasu minęło, od kiedy miał ostatnio okazję z niego korzystać.

– Kim jesteś?

Wpatrywała się w niego, jakby był potworem z horroru.

Potrząsnął nią lekko, żeby przywołać ją do rzeczywistości.

– Mam na imię Zero. Hej, popatrz na to! – Spomiędzy piersi wyciągnęła plastikowy woreczek i pomachała mu nim przed nosem.

– Hera. Prawie czysta. – Posłała mu uwodzicielski uśmiech, który

był do tego stopnia nieuczyny, że aż żalony. Prawie zaczął jej współczuć.

– Jesteś całkiem niezły – powiedziała. – Tak jest, mogę sprawić, że poczujesz się naprawdę super.

David wyrwał jej torebkę z dłoni i cisnął ją w ciemny kąt.

– Ej! – wrzasnęła. – Oszalałeś? Tam są całe trzy gramy warte tysiąc pięćset dolców! Wiesz, jak długo musiałam na nie pracować?

Zamachnęła się na jego twarz, a jej ostre jak brzytwa paznokcie rozorały skórę, z której pewnie pociekłaby krew, gdyby ta się pod nią znajdowała.

Przycisnął ją do kamiennej ściany, zmagając się z żądzą przemocy.

– Dlaczego chciałaś mnie zabić?

Posłała mu wściekłe spojrzenie, kręcąc głową. Nagle jej noga wyprostowała się niczym składany scyzoryk, a kolano o mały włos nie trafiło w jego krocze.

David, który w przeszłości dopuszczał się potwornych czynów, ale nigdy wcześniej nie uderzył człowieka, zaskoczył sam siebie. Gdy jego uszu dobiegł rozbrzmiewający w piwnicy dźwięk dwóch zderzających się ciał, zdał sobie sprawę z tego, że wewnątrz jego dłoni weszło w kontakt z jej policzkiem. Ona nie wyglądała na wystraszoną, ale nim wstrząsnęło to, co zrobił.

– Masz ładną buzię – syknął, z trudem odzyskując kontrolę nad emocjami. – Rób tak dalej, a może się to zmienić.

Miał nadzieję, że tyle wystarczy, żeby ją zastraszyć. Ale jednocześnie myślał:

„To masochistka, która chce mnie skłonić do aktów sadyzmu. A ja wyrażam na to zgodę. Czy Ariel aż tak bardzo mnie odmieniła?”

– Wybacz – powiedział.

Jej oczy wypełniły się pogardą, co znowu go rozsierdziło.

– Wszyscy jesteście tacy sami, złamasy. Zniosę wszystko, czym mnie uraczysz, tak że możesz się dymać! – Tym razem wymierzyła mu mocny cios w splot słoneczny.

Wykręcił jej dłonie za plecy i pociągnął ją tyłem przez pokój, martwiąc się, że dziewczynie może podobać się bycie maltretowaną. A wystarczająco dobrze znał własną naturę, by wiedzieć, jak łatwo jest w stanie dać się ponieść tego typu mrocznym fantazjom. Wiele rzeczy można było o nim powiedzieć, ale David nie był brutalem i nie miał zamiaru się nim stać. Znajdzie na nią inny sposób.

Zmierzając ku wyjściu z piwnicy, podniósł jej plecak.

Ciągnięta do tyłu Zero zauważyła, że wewnątrz budynku wypełnione było kurzem, jakby nikt w nim nie mieszkał. Miejsce przyprawiało ją o gęsią skórę jak jakiś nawiedzony dom.

Zdawała sobie sprawę, że powinna się bać, ale strach nie był w stanie przebić się przez stworzoną przez narkotyk zaporę. I była za to wdzięczna. Przeszkoda ta jednak długo nie wytrzyma. I gdy w końcu rozpadnie się na kawałki, ona znajdzie się w wielkich tarapatach.

Pokój na pierwszym piętrze, do którego ją zaciągnął, wyglądał, jakby nikt do niego nie zajrzał od pół wieku. Na podłodze zostały ślady ich stóp.

Pchnął ją na okazałe łożo z baldachimem. Brudna kołdra buchnęła obłokiem kurzu. Obserwując, jak mężczyzna zasuwa rygiel w drzwiach i zapala pół tuzina świec, Zero dotknęła policzka i pomyślała, że niezły z niego drań. Jednak owa myśl uciekła jej z głowy, gdy zaczęła się rozglądać po pomieszczeniu.

Przy kamiennym kominku stały stare fotele, których oparcia i podłokietniki okryte były szerniałymi serwetami. Oprócz nich w pokoju znajdowały się drewniane stoły we wszystkich rozmiarach i kształtach, a nogi niektórych z nich owinięte były pozółkłymi koronkami. Na ścianach oklejonych brudną tapetą w kwiatki wisiały fotografie w owalnych ramkach.

Większą część drewnianej podłogi zakrywał spory tkany dywan, którego wełna była zbyt brudna, by dało się rozpoznać jego kolor.

„Co za chlew” – pomyślała.

Zero przyglądała się mężczyźnie badającemu zawartość jej plecaka. Jego strój był wymięty, ale w rysach miał coś szlachetnego – niczym osoba z innej epoki, która wpadła w zakrzywienie czasoprzestrzeni.

„Niezły z niego psychol – pomyślała. – Wydaje mu się, że jest Drakulą”.

Skórę miał białą jak papier, a ubrania wisiały na nim jak na anorektyku. Jego twarz miała poważny wyraz osoby z tendencjami do zamartwiania się. Mogła się założyć, że identycznie wyglądał już jako dziecko.

Gdy skończył przeglądać jej rzeczy, wbił w nią swoje przerażające piwne oczy.

– Zgodnie z twoim dokumentem identyfikacyjnym nazywasz się Kathleen Stevens.

– Wszyscy mówią na mnie Zero – odparła nieprzyjaźnie.

– Pochodzisz z Nowego Jorku – czytał z jej prawa jazdy, ale ton jego głosu był zaskakująco łagodny. – Masz dwadzieścia pięć lat. Jesteś niezamężna. – Upuścił portfel do plecaka. – I jesteś zabójczynią.

Zero się zaśmiała.

– Swój zawsze pozna swego, co? Chyba że jesteś wampirem wegetarianinem?

– Ta notatka z instrukcjami. Od kogo ją otrzymałaś?

Zrobiła głęboki oddech i zatrzymała powietrze w płucach. Nigdy mu tego nie zdradzi, bez względu na to, co będzie chciał jej zrobić. Gdy mężczyzna ruszył w stronę łóżka, zaczęła żałować, że nie ma przy sobie heroiny. Cała się napięła w oczekiwaniu na kolejny cios.

– Zero, jesteś w poważnych tarapatach. – Miało to zabrzmieć złośliwie, ale nie do końca mu to wyszło. – Czy jesteś do tego stopnia odurzona, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, gdzie trafiłaś? Wdałaś się w coś, co cię przerasta. Osoba, którą starasz się ochraniać, nie jest warta tego, co może się z tobą stać.

Wysunęła podbródek, próbując wyglądać zadziornie. Wiedziała, że mężczyźni robią się jeszcze bardziej brutalni, gdy okaże się im strach.

– Kto cię przysłał? – David czuł, że znalazł się w kropce.

Wiedział, że mówi niczym gangster ze starego filmu. Nie był jednak przygotowany na aż taki opór ze strony zwykłej śmiertelniczki. Ariel sprawiła, że na nic już nie był gotowy.

Dziewczyna była zbyt otumaniona, żeby dało się ją zahipnotyzować. Jedynym pomysłem na rozszyfrowanie, o co w tym wszystkim chodzi i kto ją przysłał, było spuszczenie jej manta, a nie miał najmniejszego zamiaru się do tego uciekać. Wyrzucił już wystarczająco dużo krzywd.

Pomyślał, że jest ładniutka. Przypomina trochę małe, płochliwe leśne zwierzątko. Zaśmiał się gwałtownie z własnego romantyzmu. Mała i płochliwa! Raczej jadowita niczym pająk, poprawił się.

Starał się ignorować zapach jej krwi, ale ten coraz bardziej go obezwładniał. Upłynął już tydzień od ostatniego posiłku.

Nie będąc w stanie się powstrzymać, postawił ją na nogi. Na szyi nosiła czarny wisiołek ze srebrną główką lisa. Zwierzę miało w oczach te same klejnoty co jaszczurka u jej pasa. Zerwał z niej naszyjnik i przyłożył zęby do żyły na jej szyi, zanim była w stanie zareagować.

Och, jak bardzo pragnął przebić tę skórę! Przyzywał go słodki zapach płynącego pod nią rozgrzanego płynu. Ciepło powlekłoby mu wnętrze ust i spłynęło przetykiem, wypełniając energią i rozniecając

w nim iskiereki życia. Było to niezapomniane uczucie i za każdym razem pragnął, by trwało wiecznie. Krew była obietnicą, która dodawała mu sił.

Przez głowę przemknęła mu myśl, że skoro jest aż tak odurzona, to nie będzie pamiętać, co z nią robił. Ale ta krew została splugawiona narkotykami – rozpoznawał już ich odór. Tłumaczyło to jej dziwaczne zachowanie. Jego ciało było w stanie skutecznie oddzielić składniki odżywcze i wydalić truciznę, ale heroina wywołałaby w nim tymczasową dezorientację, a w tej chwili nie mógł sobie pozwolić na utratę kontroli. Jej krew nie przyniosłaby mu satysfakcji, a co więcej, nie miał zamiaru zdradzić wartości, w które wierzył. Poddawanie się własnej obsesji było wystarczającym poniżeniem. Skoro już musiał żywić się krwią, a dobrze wiedział, że tak właśnie jest, to sam będzie decydował, kiedy i jak to robi, oraz do kogo będzie ona należała.

Drżąc, zrobił krok do tyłu. Bolały go korzenie zębów, a szczękę ogarnęły spazmy. Gdy dostrzegła jego kły, na jej twarzy pojawił się wyraz niedowierzania, który widział już wcześniej u tak wielu innych osób.

– Kto cię przysłał? – spytał groźnie, pozwalając jej dobrze mu się przyjrzeć w nadziei, że szok wydobędzie z niej prawdę.

Przyłożyła dłoń do szyi, a chwilę później ją odsunęła. Brak wilgoci na palcach wcale jej nie uspokoił. Wpatrywała się w niego z przerażeniem.

– Zdradź mi to, Kathleen. Po co miałabyś cierpieć?

Dokonany wybór nappełnił go siłą. Mięśnie jego twarzy zaczęły się rozluźniać, a głód rozrywający mu trzewia nieznacznie zelżał.

„Jest śliczna – pomyślał – a jej barwy są równie delikatne i eteryczne jak te na obrazach Reynoldsa. Hipnotyzująca. Niczym kobra” – upomniał sam siebie.

Nagle wyraz jej twarzy raz jeszcze uległ zmianie, jak gdyby to, czego przed chwilą była świadkiem, zostało wymazane z pamięci. Uśmiechnęła się do niego ponętnie. Czuł, że za uwodzicielskością kryje się coś więcej, ale nie miał pojęcia, co to może być.

Zacząła bawić się guzikami jego koszuli, przysunęła się do niego, kołysząc biodrami, i spojrzała mu prosto w oczy. Miała szklisty wzrok. Zanim zdążył zareagować, rozwarła jego wargi swoimi ciepłymi ustami, a potem zszokowała go, wsuwając między nie język. Zaczął się zastanawiać, czy dziewczyna nie jest przypadkiem szalona.

Zdjęła kurtkę i rozsunęła kamizelkę. Jej piersi były pełne i krągłe,

a nabrzmiące sutki przypominały mięsiste koraliki. Gdy położyła na nich jego dłonie, ciepło i faktura jej skóry w połączeniu z wyczuwalnym pod nią pulsowaniem pobudziły w nim kilka rodzajów apetytu. Poczuł, jak zasycha mu w ustach, a jego krocze pęcznieje.

„Być może jeśli okażę jej sympatię i zachęcę do zaufania mi, odzyska zdrowy rozsądek” – rozmyślał, częściowo tylko świadomy tego, że próbuje racjonalizować jej kompletnie niestosowne zachowanie.

Zsunęła z siebie skórzane spodnie i botki, a następnie położyła się na łóżku, szerokokorzystając nogi. Sprawiała jednocześnie wrażenie bezbronnej i niemożliwej do zranienia. Zdał sobie sprawę, że taka sytuacja najwyraźniej nie była dla niej nowością. Upomniał się szorstko, że przecież to zabójczyni i narkomanka, która ma zamiar go zniszczyć.

Ale wtedy ona zaczęła przyciągać go do siebie, przesuwać dłońmi pod jego koszulę i rozpinąć mu spodnie.

– Lepiej powiedz mi to, co chcę wiedzieć – powiedział chrapliwym, kompletnie nieprzekonującym głosem.

– Może tak właśnie zrobię – roześmiała się.

Obserwował jej twarz, mając nadzieję dostrzec na niej jakąś słabość. Nagle przyszło mu na myśl porównanie jej do gąbki, bo uświadomił sobie, że chociaż dziewczyna wchłania w siebie pobudzające bodźce, w rzeczywistości wcale nie doświadcza tego, co się dzieje. Wydawała się jednak bezgłośnie prosić go o więcej. Z zawstydzeniem wyobraził sobie, jak strofuje go w myśli za brak asertywności.

David odsunął się, a następnie położył na łóżku obok niej i cały oszołomiony zaczął się jej badawczo przyglądać, mając wrażenie, że jest obiektem manipulacji. Wyglądała jak osoba, która przed chwilą skosztowała czegoś, co przypadło jej do smaku, ale co z pewnością nie zaspokoi jej apetytu.

– Chodźmy do piwnicy po towar – zaproponowała radosnym głosem i zaczęła się podnosić. – No, chodź! Koszmarnie tu nudno. Nie masz nawet pojęcia, jak się dobrze zabawić. Jeśli tak sobie wyobrażasz seks, to potrzebujesz prochów jeszcze bardziej niż ja.

Przycisnął jej ramiona do łóżka, kompletnie zdezorientowany tym brakiem emocji z jej strony.

– Kurczę, przyćpałabym. – Zadrżała, ale podejrzewał, że nie ze strachu przed nim.

– Kto cię tu przysłał? – Ton jego głosu stał się chłodny.

Zachichotała mu prosto w twarz.

– Kotku, ale z ciebie nudziarz. Nie ma mowy, żebyś otrzymał ode mnie jakiegokolwiek odpowiedzi. Chodźmy do piwnicy i spróbujmy się trochę rozluźnić. Masz tu gdzieś jakieś igły?

Possał górną wargę, przyglądając się jej. Była niczym postać z powieści Burroughsa. W końcu jednak powiedział:

– Powiesz mi, jeśli dam ci narkotyki?

– Jasne – odparła z udawaną nieśmiałością.

Sięgnęła ku jego kroczu, ale odepchnął jej dłoń.

– Stary, czy wszystkie wampiry są takie spięte? Hej, jak to właściwie jest, gdy się nie żyje? Pewnie super, co? Zero problemów. Załatwisz mi to?

– Idziemy. – Postawił ją na nogi i wyprowadził przez drzwi.

Po odnalezieniu niewielkiej torebki z proszkiem patrzył, jak dziewczyna wysypuje go na zwiniętą w pięść drżącą dłoń, a potem wciąga przez nos. Jej źrenice, które i tak wyglądały na zbyt wąskie w bladym świetle latarki, teraz stały się jeszcze mniejsze, osiągając rozmiar główki od szpilki.

– Chcesz trochę? – spytała.

– Kto cię przysłał? I gdzie są pozostali?

Wyciągnęła dłoń ociężałym ruchem.

– No chodź tu, kotku, to trochę dostaniesz.

Wyrwał jej woreczek i umieścił poza jej zasięgiem, chociaż i tak była zbyt otępieła, żeby go zdobyć.

– Nic innego cię nie przeraża, więc może to zadziała. Przyjmę na siebie rolę strażnika tego narkotyku i zobaczymy, jak długo będziesz w stanie się bez niego obyć.

Wyglądała na wystraszoną. W końcu trafił na ślad właściwych emocji i miał zamiar dopilnować, by się nasilały.



## Rozdział 2

**T**y sukinsynu, draniu, złamasie!

Gdy tylko David wszedł do sypialni, z łóżka, na którym leżała Kathleen z nadgarstkami przywiązanymi do słupków baldachimu, popłynął w jego kierunku potok najczarniejszych epitetów.

– Frajer! – warknęła jeszcze na koniec.

Jej ciało lśniło od potu. Od momentu, gdy kilka godzin temu zaszło słońce, obserwował jej rosnącą z minuty na minutę żądzę heroiny. Jej głód przypominał mu jego własny. Gdy nie mógł już dłużej patrzeć na jej cierpienia, pojechał do Manchesteru sprawdzić, czy jest w stanie się czegoś dowiedzieć. No i trochę się posilić.

Miał fart. Natknął się na dziewczynę siedzącą po turecku na cmentarnym nagrobku. Była sama. Miała na sobie obcisłą czarną sukienkę z wysokim koronkowym kołnierzem oraz ciężkie czarne buty podobne do tych noszonych przez robotników budowlanych. Wiedział, że styl gotycki jest teraz w modzie. Młodzi ludzie rozpaczliwie starali się wskrzesić romantyczne ideały w zimnym, pozbawionym pasji świecie.

Niestety, wielu z tych neoromantyków cechowała również fascynacja śmiercią. Nie była to pierwsza dziewczyna, jaką zastał na cmentarzu. Ta wyglądała na przygnębioną.

– Mogę się przysiąść? – spytał.

– Jak chcesz, koleś. – Jej głos był nieciekawym, a wyraźny akcent wskazywał na klasę średnią. Podejrzywał, że pochodzi gdzieś ze środkowej części Anglii. Prawdopodobnie pracowała jako niania.

Obróciła się do niego i zobaczyła, że się w nią wpatruje. Oczy obrysowane miała ciemną kredką, co nadawało jej upiorny wygląd. Prawie nie okazywała mu zainteresowania, ale on i tak momentalnie wykorzystał jej szczątkową uwagę. Był wygłodniały.

W ciągu kilku chwil dziewczyna padła ofiarą hipnozy. Ułożył ją na kamiennym nagrobku, a potem rozpiął czarne perłowe guziki biegnące wzdłuż syntetycznej koronki, która osłaniała jej szyję. Odchylił jej głowę do tyłu pod kątem, który wypchnął żyłę na długiej, smukłej szyi. Pochylił się nad zgrabnym ciałem dziewczyny i wciągnął w nozdrza jej

słodki zapach.

Jego własne żyły sprawiały wrażenie zasuszonych, a kości przypominały lodowy szkielet podtrzymujący formę z masy papierowej. Nie był w stanie zapanować nad niecierpliwym drżeniem swojego wygłodniałego ciała. Wszystko dookoła, z dziewczyną włącznie, zniknęło. Cała jego uwaga skupiła się na pulsującym błękitnie. Przysunął się bliżej, jakby wciągał go potężny wir, z którym nie można było wygrać. I gdy w końcu przebił zębami skórę, a język zalała mu gorąca rzeka życia, wszystkie jego myśli umarły i stały się ciałem. Skurczone żyły zaczęły nabrzmiwać życiodajnym płynem. Jego kości ogarnęło ciepło, a mięśnie przeniknął promieniujący żar, który przemienił skórę w żywą tkankę.

Gdy poczuł się odświeżony, zapiął na powrót guziki jej sukienki i pozostawił ją w towarzystwie snów. Wiedział, że tak właśnie go zapamięta. Jako tajemniczego nieznajomego – och, gdyby tylko mógł okazać się prawdziwy! – który zabrał ją na krawędź ekstazy, ofiarując chwilę wytchnienia od tej boleśnie nudnej egzystencji.

Dotarłszy do miasta, dowiedział się, że vauxhall nova został telefonicznie wypożyczony na jedną dobę dwa wieczory wcześniej przez kobietę przedstawiającą się jako pani Stevens z Nowego Jorku. Samochód został odebrany z lotniska. Wczoraj przysłała pocztą koperta zawierająca wystarczającą ilość gotówki na pokrycie kosztów wynajmu oraz paliwa. Do pieniędzy dołączona była notka składająca się z pojedynczego zdania: „Dodatkowy dzieńwynajmu dla Kathleen Stevens”. Bez podpisu. Pracownik filii firmy Hertz mieszczącej się na lotnisku w Manchesterze, który miał dyżur, gdy odbierane były klucze, pamiętał Kathleen. Nie miało miejsca nic niezwykłego. Komputer linii lotniczych American Airlines mógł tylko potwierdzić, że Kathleen Stevens wylądowała zeszłego popołudnia na lotnisku w Manchesterze na pokładzie samolotu o numerze 503, a jej bilet powrotny musiał być wykorzystany w ciągu siedmiu dni.

Albo zaplanowała to wszystko sama – co wydawało się mało prawdopodobne – albo wydająca jej polecenia osoba znajdowała się w Manchesterze lub miała pomocnika w Anglii. Najwyraźniej byli to ludzie dobrze zorganizowani.

– Jesteś gotowa wyznać, kto cię przysłał? – spytał, siadając na skraju łóżka.

– Pieprz się! – Jej oczy były dzikie, wypełnione histerią i łzami, choć wcale nie wydawała się płakać.

– Niedługo zaczniesz czuć się raczej kiepsko, Kathleen. Mogę zakończyć twoją mękę. Wystarczy, że powiesz mi to, co chcę wiedzieć.  
– Ty dupku! Nie powiedziałałabym ci nawet, która jest godzina!  
– W końcu mi powiesz. A ja mogę sobie pozwolić na czekanie. Jestem niezwykle cierpliwą osobą i mam do dyspozycji więcej czasu, niż możesz sobie wyobrazić.

W lewym kącie jej ust zebrała się odrobina białej piany. Gdy wyciągnął dłoń, żeby ją zetrzeć, próbowała ugryźć go w palec.

– Diablica z ciebie, co?

– Za to ty jesteś zwykłą ciotą!

Zaśmiał się i wstał, żeby przenieść się na stojący przy kominku fotel.

Po drodze zdjął z półki tom wierszy Byrona i zdmuchnął kurz z grzbietu książki.

– Masz ochotę na odrobinę poezji?

– Niech cię diabli!

Od dwudziestu lat nie czytał niczego poza nagłówkami przypadkowych gazet. Ten konkretny tom dzieł Byrona był kiedyś jego ulubionym, ale on nawet na niego nie spojrział od powrotu do Anglii. Miękką skórą rubinowej barwy była miejscami wytarta, a układ tych punktów pasował do kształtu jego dłoni.

Otworzył książkę w miejscu założonym doczepioną do niej wstążką i zaczął czytać cichym głosem:

*„Twój własny duch zapuścił grot w siły stargane:  
On dopomógł jej zadać ci morderczą ranę!...  
Jak orzeł pchnięty strzałą gdzieś na polnej glebie,  
Skąd już się nigdy w modre nie wzbije podniebie,  
Na zabójczym pocisku własne pióro zoczy,  
A sam – uskrzydlił pocisk, co pierś mu krwią broczy”<sup>3</sup>.*

– Błagam, dasz mi trochę? Odrobinę? Bądź kolegą.

David wziął do ręki list, który niedawno przyszedł, i spojrział na adres zwrotny, zapisując go w pamięci. Popatrzył na Kathleen i zastukał krawędzią koperty o stół. Jej spojrzenie było miękkie i pełne bólu niczym wzrok ранnego jelonka. Jej wargi za to ułożyły się w szyderczy uśmiech. Wrócił do czytania:

„Czym ból najgorszy, który starość czeka?

Najgłębsze zmarszczki cóż wyłobić może?

Z kart życia stracić drogiego człowieka!

Jak ja samotnym zostać w tym przestworze!”<sup>4</sup>.

Z nadejściem świtu spokorniała.

– Błagam. Zrobię dla ciebie wszystko. Co tylko będziesz chciał. Dobrze robię loda. Doprowadzę cię do szaleństwa. Zrobię wszystko, tylko daj mi działkę.

Odłożył książkę.

– Powiedz, kto cię przysłał.

Jej twarz i wargi pozbawione były koloru. Sprawiała wrażenie coraz bardziej kruchej i bezbronnej. Jej głos odmłodził, stając się głosem małej dziewczynki.

– Proszę. Nie pytaj. Nie mogę ci tego zdradzić. Gdybym mogła, tobym to zrobiła.

– A ja dałbym ci heroinę, gdybym tylko mógł.

– Błagam! – Znowu zaczęła zanosić się bezdźwięcznym płaczem.

W pierwszej chwili ten cichy szloch prawie złamał jego opór. Ale po łzach, tak jak zawsze, przyszła pora na obelgi i przekleństwa. Czekał więc dalej.

– Daj mi tylko troszkę i powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Nawet nie muszę ładować w żyłę. Wciągnę nosem.

Dwie duże łzy stoczyły się z jej skroni na nasączoną potem i wymiocinami poduszkę.

– Najpierw odpowiedz.

Kathleen zacisnęła szczęki i zaczęła się miotać na łóżku. Z jej ust wydobył się dźwięk przypominający warczenie, a potem wrzasnęła:

– Ty śmieciu! Nienawidzę cię, ty pozbawiony jaj mięczaku!

David odstawił książkę na półkę i ruszył w kierunku drzwi.

– Możesz hałasować, ile dusza zapagnie. Znajdujemy się na odludziu, a mnie i tak nie zbudzisz. Dołączę do ciebie jutro wieczorem, za jakieś dwanaście godzin.

– Nie zostawiaj mnie! – zawołała rozpaczliwie, gdy otwierał drzwi. – Proszę. Potrzebuję jej. Powiem wszystko!

Zatrzymał się. Jej brzuch zapadał się i unosił, stając się to wklęsłym, to wypukłym z bólu, co wywołało w nim litość.

– No i?

– To inny wampir.

– Mężczyzna czy kobieta?

– Mężczyzna. Kobieta. Oboje! Jest ich dwójka!

– Po co cię tu przysłali?

– Pewnie doszli do wniosku, że mam większe szanse na zabicie

ciebie niż oni sami.

– A to niby czemu? Przecież mój gatunek jest o wiele potężniejszy od ludzi.

– Dlaczego? Skąd miałabym wiedzieć? Tego mi nie powiedzieli.

– Ale kazali ci przyjechać tu dobrze po zmroku, prawda? A mimo to ty pojawiłaś się, zanim na niebie całkowicie się ściemniło...

– Tak. Przyjechałam za wcześnie. Mogę teraz dostać prochy? Powiedziałam ci wszystko, co chciałeś wiedzieć. Konam.

– Dlaczego miałiby ci kazać przyjechać tu po zmroku, skoro wszyscy, a zwłaszcza tacy jak ja, wiedzą, że wampiry, jak na nas wołacie, budzą się w nocy, a śpiją w dzień?

– Co? – Wyglądała na zdezorientowaną, pogrążoną w histerii, jej pierś unosiła się spazmatycznie, a całe ciało dygotało.

– Cóż za nonsens! – Zaśmiał się. – Nie polecam ci kariery poetki. Masz bardzo słabą wyobraźnię.

Wpatrywała się w niego, jakby zaczął nagle używać greki.

Gdy o zachodzie słońca wszedł do sypialni, jego twarz była blada i zmęczona, ale Zero miała to gdzieś.

Bóg jeden wiedział, jak długo już leżała w pozycji embrionalnej, starając się ograniczyć dyskomfort do minimum. Była w stanie brać jedynie płytkie oddechy. Ciało niewiarygodnie mocno ją swędziało i zaczynała mieć halucynacje – z tapety wyłaniały się ohydne, nieludzkie kształty, które nie mogły istnieć naprawdę. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Ten dzień był czystą agonią, a mimo to ból promieniujący z żołądka, panika rozsadzająca jej mózg oraz uczucie powolnego rozdrapywania jej układu nerwowego ciągle się nasilały.

Mężczyzna coś powiedział, ale w pierwszej chwili nie była w stanie go zrozumieć.

W końcu udało jej się złożyć jego słowa do kupy:

– ...w przeciwnym razie będziesz miała przed sobą kolejną długą dobę.

– Mogę... dostać wody?

Wszedł z pokoju i wrócił ze szklanką pełną wody. Delikatnie uniósł jej głowę, żeby mogła się napić. Jego dłoń była zimna niczym lód. Z trudem przetykała. Miała wrażenie, że język jej napuchł, i większość płynu wyciekała jej z ust.

– Jesteś gotowa udzielić odpowiedzi na moje pytania, Kathleen?

Zero wiedziała, że długo tak nie pociągnie. Ledwo mogła mówić.

Skinęła głową, dając mu znak, że się poddaje.

Usiadł przy łóżku i czekał.

– Jakiś koleś. Zaczepił mnie w barze.

– Gdzie?

– W Alphabet City.

– Czyli gdzie?

– Na Lower East Side. W pobliżu East Houston.

– Jak się nazywał?

– Dennis. Słyszałam, jak ktoś mówił do niego Dennis.

Przeszył ją kolejny atak nieznośnego bólu. Zero przyciągnęła kolana jeszcze bliżej do piersi, bezgłośnie popłakując, jęcząc i trzęsąc się dopóty, dopóki chłodny paluch śmierci nie przestał przesuwac się po jej kręgosłupie.

– Proszę, daj mi najpierw zażyć – błagała pozbawionym sił głosem.

– Najpierw dokończymy rozmowę.

Stęknęła, czując, jak drżą jej wargi. Ale w końcu powiedziała:

– Kazał mi tu przylecieć. Dał mi bilet na samolot, pieniądze i instrukcje oraz powiedział, że samochód będzie na mnie czekał na miejscu. Plecak był już w środku.

– Po co to wszystko zrobił, Kathleen?

– Nie wiem.

Zaczął się podnosić.

– Proszę! Nie kłamie! – Nie była w stanie stwierdzić, czy jej wierzy, czy nie.

– Co było potem?

– Przyjechałam tutaj. Resztę już znasz.

– Co jeszcze ci dał?

Nagle całym jej ciałem szarpnęły drgawki. Dostała rozwolnienia. Gdy leżała zasapana po przelotnym spazmie, stwierdziła, że mężczyzna wygląda dziwacznie i przerażająco, jak coś nie z tego świata. A ta myśl tylko podsyciła panikę. Zaczęła się gwałtownie trząść.

– Co jeszcze ci dał, Kathleen?

– Co jeszcze? Nic więcej.

– Czyż to nie on podarował ci heroinę?

– No, tak. Jeszcze to.

– Kim właściwie jest ten Dennis?

– Widziałam go już wcześniej, ale nigdy z nim nie rozmawiałam.

Sam do mnie podszedł.

Wiedział, jak mam na imię.

Patrząc na Davida, uświadomiła sobie, jak bardzo był blady i wygłodniały, i po raz pierwszy myśli, że może naprawdę był tym, za kogo się podawał, wystraszyła ją bardziej niż halucynacje.

– Mogę prosić jeszcze trochę wody?

Napoił ją, a potem powiedział:

– Wyjawiaś mi wszystko oprócz powodów, dla których chce mnie zgładzić.

– Słuchaj, nie wiem, o co mu chodzi. Nie powiedział.

– Ale wiesz, dlaczego zrobiłaś to, co ci kazał.

Zero modliła się, żeby zawalił się sufit i zmiażdżył ją na śmierć. Ale już kilka razy tego długiego dnia pragnęła umrzeć, a z doświadczenia wiedziała, że ma raczej nikłe szanse stać się beneficjentką cudu.

– Proszę. Jedną działkę. Tylko jedną. Nie mogę już tego znieść.

Z jej oczu polały się łzy bezradności. Nie była zaskoczona, gdy w ogóle go to nie wzruszyło.

– Musi chodzić o coś więcej niż narkotyki. Mogłaś je po prostu zabrać. W jaki sposób przekonał cię, żebyś tu przyjechała? I to z zamiarem morderstwa.

– Twardziel z ciebie – przyznała z goryczą. – Wyglądasz jak ciepłe kluchy, ale jaja masz jak kierowca rajdowy.

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Cóż za oryginalne porównanie. Może jednak masz w sobie coś z poetki.

Jej ciało znowu zaczęło się trząść, a on czekał. Gdy tylko konwulsje osłabły, spytał:

– Czym cię szantażuje?

– O, Boże! – zaczęła zawodzić. Z jej oczu wytrysły strumienie łez. – Proszę! Powiedział, że go zabije, jeśli się wygamam. Nie każ mi tego mówić!

Ale w końcu Zero ogarnął dziwny spokój wywołany przez instynkt samozachowawczy i zrozumiała ponad wszelką wątpliwość, że powie mu wszystko. Kolejnej godziny by nie zniosła.

„Może to już zresztą nieważne” – pomyślała, próbując usprawiedliwić przed samą sobą zdradę, jakiej się dopuszczała.

– Porwał mojego młodszego brata. Powiedział, że jeśli tu nie przyjadę, żeby przebić cię kołkiem, Bobby umrze. To wszystko. Nie wiem nic więcej. Proszę! Daj mi herę.

David widział po jej oczach, że dziewczyna mówi prawdę, a przynajmniej taką jej wersję, jakiej można było oczekiwać od

skręcającej się z narkotycznego głodu ćpunka.

Zaczął przemierzać pokój w tę i we w tę. To nie miało sensu. Kto mógłby mieć ochotę go zabić? Przedstawiciele jego gatunku wiedzieli, że to niemożliwe, a już na pewno nie w sposób, w jaki została zaaranżowana ta operacja. I po co wysyłać śmiertelniczkę? Narkomankę, której nie można było ufać? No i te instrukcje dotyczące przybycia po zmroku. Osoby, które wiedziały o położeniu jego domu, zwykł uważać za przyjaciół. Nie był skłonny wierzyć, że ktokolwiek z nich chciałby go skrzywdzić. Kim był ten cały Dennis, który pomimo wiedzy na temat tożsamości i miejsca zamieszkania Davida okazał się tak nieporadny?

– Gdzie moje prochy? Obiecałeś! – zaskomlała.

Doszedł do wniosku, że dziewczyna jest zdecydowanie zbyt ładna, aby skończyć jako ćpunka.

– Zamierzam wyświadczyć ci ogromną przysługę. Jestem gotów pomóc ci zerwać z nałogiem, o ile pamięć mnie nie myli co do poprawności tego wyrażenia.

Jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe niczym spodki. Naczynia krwionośne jej twarzy wypełniły się krwią, doprowadzając do zaczerwienienia skóry na chwilę przed tym, gdy zaczęła wrzeszczeć. Słowa mieszały się ze sobą w niezrozumiałym bełkocie. Szarpała nogami, a spomiędzy jej zębów wydobywała się biała piana.

Podszedł do łóżka i uspokajającym gestem położył jedną dłoń na skręconym, wijącym się ciele dziewczyny, a drugą na jej czole. W trakcie trwających dziesięć minut konwulsji jej brzuch i klatka piersiowa pokryły się różową wysypką. Gdy uspokoiła się na tyle, żeby być w stanie mówić, zaskrzeczała:

– Ty gnoju! Kłamliwy, pojebany gnoju! Obiecałeś!

– Nie, Kathleen, nigdy nie obiecywałem, że podam ci narkotyki. Przysięgłem za to, że zakończę twoje męki, a osiągnąć to mogę tylko na dwa sposoby. Mogłbym wyssać z siebie całą krew, co skończyłoby się twoją śmiercią, albo przeczekać to razem z tobą. Pomogę ci, bo chcę, żebyś udała się ze mną do Nowego Jorku w celu odszukania Dennisa, a do tego niezbędna ci będzie jasność myślenia. A także dlatego, że wierzę w humanitaryzm. Tak przynajmniej było do momentu, gdy zmuszony byłem stać się drapieźnikiem.

Do czoła przykleiły się jej wilgotne, zmatowiałe włosy. Z jej szklistego wzroku biło szaleństwo. Pot na jej skórze był jednocześnie lśniący i pełen grudek. Była blada, osłabiona, bezbronna – jednym



słowem żałosna. Zawieszona pomiędzy życiem a śmiercią. Przymiślały mu się przepelnione bólem słowa Byrona:

*„A gdy się śmieję z życia krotofili,  
To – że nie mogę płakać”<sup>5</sup>.*

Ale pomimo całej tej kruchości i tak zdobyła się na to, żeby głośno krzyknąć:

– Nie łudź się, że masz w sobie coś z człowieka, stary! Jesteś niczym więcej, tylko przeklętym bękartem jakiejś puszczańskiej bogini!

## Rozdział 3

Po dwóch nocach wypełnionych przerażającymi wizjami rodem z najgorszych koszmarów, majakami, histerią i cierpieniem tak wielkim, że z trudem mogła uwierzyć, iż była w stanie je znieść, David pozwolił jej podnieść się z łóżka, gdy tylko wyczerpane słońce osunęło się za horyzont. Pościel pokryta była zaschniętą warstwą wszystkiego, co w ostatnim czasie przeszło przez jej ciało.

– W toalecie postawiłem dwa wiadra z wodą ze studni – usłyszała od niego Zero. – Jeśli masz ochotę, możesz rozpalić ogień i ją ogrzać. Instalacja hydrauliczna nie działa już od dekady.

Kręciło jej się w głowie. Przeszła przez pokój chwiejnym krokiem, ale upadła na podłogę, zanim dotarła do drzwi łazienki. Chwycił ją w talii i uniósł, jakby ważyła tyle co wata cukrowa, po czym usadził ją na krawędzi wanny. Jej skóra nosiła na sobie ślady zaschniętych wymiocin, moczu i odchodów. Zastanawiała się, jakim cudem on znosi ten odór, skoro sama Kathleen ledwo była w stanie go wytrzymać.

W jedną z jej dłoni wsunął ścierkę, która zawisała bezwładnie u jej boku. Jej barki zsunęły się ku sobie, a głowa pochyliła się nisko. Czuła się pozbawiona kości niczym szmaciana lalka, którą – nawiasem mówiąc – musiała też przypominać wyglądem.

Po kilku minutach westchnęła i pochyliła się do przodu, wykrzesawszy z siebie wystarczającą ilość energii, żeby zanurzyć ścierkę w zimnej wodzie. Jej lodowatość sprawiła, że Kathleen gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca. Przycisnęła szmatkę do twarzy i szyi, a następnie zaczęła powtarzać ten zabieg, dopóki nie osiągnęła takiego poziomu czystości, na jaki pozwalały okoliczności. Po wypłukaniu ust i wyżęciu mokrej ścierki nad głową odniosła wrażenie, że powoli wraca do życia, ale nie znaczyło to, że czuła się lepiej. Podniosła wzrok. Mężczyzna stał w drzwiach bez ruchu. Zadrzała.

– Ubierz się, proszę. – Podał jej ręcznik.

Gdy była już sucha, włożyła ubrania i pozwoliła mu po części zaprowadzić, a po części zanieść się do samochodu. Zapiął wokół niej pas, jakby była małym dzieckiem, a ona przez całą drogę do

Manchesteru siedziała otumaniona. W oczach Zero mrok nocy wydawał się pozbawiony głębi, a niebo przypominało ciemne malowidło na kartonie upstrzone białymi kropkami, na którym domalowano okrąg o nieidealnym kształcie. Tuż przed granicami miasta David skręcił w dobrze ukrytą nieutwardzoną drogę, gdzie zamknął ją w bagażniku samochodu, uprzednio ją związawszy i zakneblowawszy.

Zero niczego nie czuła. Leżała otępiała w ciemności, pogrążona w bezmyślnym, oderwanym od czasu stanie. Jej myśli stanowiły pozbawione znaczenia strzępki wspomnień. Były to nakładające się na siebie twarze Bobby'ego, jej ojca, anonimowego faceta, którego gdzieś poderwała, Davida. Każda z tych wizji przybierała formę snu, a ona nie umiała odnaleźć żadnych powiązań pomiędzy tymi obrazami.

Nie miała pojęcia, jak długo go nie było – minutę czy dzień – ale gdy wrócił, jego twarz okrywał rumieniec i wydawał się mniej mizerny. To ją uspokoiło. Odwrotny efekt wywarły jednak czerwone plamki na jego koszuli. Robiła, co mogła, żeby wytłumaczyć sobie jakoś obecność krwi, bo nie potrafiła zaakceptować myśli, że David miałby być wampirem.

– Zachowuj się przyzwoicie. Nie mam zamiaru cię skrzywdzić – oznajmił jej dziesięć minut później, gdy wchodzili do biura wypożyczalni samochodów.

Była zbyt przybita i wyczerpana, żeby sprawiać kłopoty. Usiadła bez słowa, a on zwrócił kluczyki od auta i zapłacił za dodatkowe dni. Zachodziła w głowę się, co się stanie, gdy dotrą do Nowego Jorku, i czy w ogóle uda im się znaleźć Dennisa. Pomyślała o Bobbym i zrobiło jej siębardzo smutno. A potem zaczęła się zastanawiać, skąd mogłaby skołować trochę hery. I to szybko.

W biurze podróży położonym przy tej samej ulicy David kupił dla siebie bilet w jedną stronę na lot do Nowego Jorku oraz potwierdził jej rezerwację.

– Samolot odlatuje za dwie godziny. Mamy czas na zakupy, a ty możesz coś zjeść – powiedział.

– Nie jestem głodna.

– Ale i tak coś zjesz. Przez ostatnie cztery dni, a może i dłużej, żywiłaś się tylko wodą.

Zatrzymali się w McDonalddie, gdzie David kupił jej Big Maca, sałatkę oraz dwa napoje. Była odwodniona, więc momentalnie wyssała całą zawartość jednego z kubków, ale nawet nie rozwinęła burgera ani

nie otworzyła pojemnika z sałatką.

Skinął głową w kierunku jedzenia.

– Nie mam ochoty.

– No to chodź – powiedział takim tonem, jakby namawiał na coś uparte dziecko. – Po drugiej stronie drogi znajduje się cmentarz, na którym jest zawsze pusto, przynajmniej jeśli chodzi o ludzi. Nakarmię cię tam własnoręcznie, chociaż może okazać się, że uznasz jedzenie pośród zmarłych za mało apetyczne. A i tak nikt nie usłyszy tam twoich protestów.

Wstał.

– Nie, czekaj! Zjem. Daj mi trochę czasu.

Usiadł.

Zero obserwowała go, z trudem przełykając kęs hamburgera, który jej żołądek łaskawie zgodził się przyjąć. Rozglądał się po restauracji, jakby nigdy wcześniej nie widział wnętrza McDonalda. Miał na sobie tę samą przypominającą bluzkę koszulę z wysokim kołnierzem co wcześniej, niezbyt czystą – zwłaszcza z dodatkiem karmazynowych plamek – a do tego zwężane spodnie z błękitnej wełny, kamizelkę oraz staromodne buty ze sprzączkami. Dwurzędowa marynarka z aksamitnym kołnierzem szalowym to byłaby już przesada, więc cieszyła się, że nie wziął jej ze sobą. Jego jasne włosy zostały umyte i schludnie zaczesane za uszy, ale i tak sięgały poniżej szerokich ramion. W dalszym ciągu wyglądał jak ktoś żywcem wyjęty ze starej fotografii. Nudy.

– Dlaczego wydaje ci się, że jesteś wampirem?

Spojrzał jej prosto w oczy wzrokiem tak pełnym emocji, że poczuła się niezręcznie. Zazwyczaj to ona rzucała ludziom tego typu spojrzenia.

– U wielu osób wizja rzeczywistości utrwała się już w pierwszej dekadzie życia. Zaakceptowanie czegokolwiek, co wykracza poza przyjęte z góry wyobrażenia, okazuje się trudne, a czasem wręcz niemożliwe.

– Co to ma znaczyć?

– Mam przez to na myśli, że jestem tym, kim jestem, i tak właśnie wygląda moja egzystencja. – Przerwał, jakby szukając właściwych słów, które pozwolą jej go zrozumieć. – Jak widać wyraźnie, nie jestem martwy w powszechnie przyjętym znaczeniu tego słowa. Krzyże ani czosnek nie wzbudzają mojej odrazy. Widzę swoje odbicie w lustrze. Ale moja skóra i oczy stały się nadwrażliwe na światło,

a ponadto do życia potrzebna mi jest krew. Historie o Drakuli i innych wampirach to w większości bujdy. Granica pomiędzy fantastyką a prawdą okazuje się często niezwykle cienka. Najrozsądniej byłoby postrzegać mnie jako członka gatunku zbliżonego do homo sapiens.

– Żyjesz od lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku? – spytała, sącząc drugi napój, częściowo próbując wydobyć jakiś sens z tej informacji, a po części starając się go udobruchać, żeby potem mogła go wystawić i prysnąć.

Obserwowała go jednak bardzo uważnie. Spotkała już w życiu niejednego wariata.

Wyraz jego złotobrazowych oczu złagodniał jeszcze bardziej. Z odrobinę mniej masywną szczęką mógłby uchodzić za dziewczynę. Ogólnie rzecz biorąc, robił wrażenie wrażliwego. Ale czuła, że bez względu na to, kim jest – czy kim mu się wydaje, że jest – potrafi być twardy.

– Przeszedłem na świat w roku 1863. Pierwsze trzydzieści lat mojego życia przebiegło w sposób typowy dla przedstawiciela mojej klasy. Był to okres całkowicie przewidywalny. Ukończyłem Cambridge z najlepszym tytułem naukowym. Rodzice wydawali się relatywnie zadowoleni ze swego jedyne go potomka. Aspirowałem do bycia poetą i od czasu do czasu publikowałem jakiś sonet, choć podejrzewam, że w kwestii kariery moim przeznaczeniem było raczej dołączenie do kadry uniwersyteckiej jakiejś znamienitej uczelni. Na przeszkodzie stanął mi jednak okrutny los.

– W jaki sposób stałeś się, no wiesz, taki, jak jesteś?

Drgnął nieznacznie, a ona to zauważyła.

– Pewnego wieczoru podczas pobytu w Londynie wracałem do hotelu z pijackich hulanek ze starym kumplem ze szkoły i wtoczyłem się w niewłaściwą uliczkę w niewłaściwym momencie. Stałem się ofiarą napaści. Obdarzone kłami, szkaradne, nieludzko silne stworzenie przycisnęło mnie do bruku, a następnie wyssało ze mnie mnóstwo krwi. Nie byłem w stanie zacząć wołać o pomoc. Jego twarz skryta była w cieniu, ale i tak nigdy go nie zapomnę. Tej brutalności. Tych naznaczonych szaleństwem rysów. Mógł mnie zabić, a właściwie powinien był, ale jakaś perwersja jego natury kazała mu zmusić mnie do skosztowania jego krwi. Cel tego miałem zrozumieć dopiero później. Rzecz jasna, oładnęły mną strach i gniew bezsilności. Mogłem jedynie podporządkować się jego woli. Gdy przebudziłem się następnego nocy, byłem sam i szarpał mną piekielny ból.

Pomyślała, że on zdecydowanie ma nie po kolei w głowie, ale spytała:

– Poznałeś tego faceta?

– Nie widziałem go nigdy wcześniej ani też później. Jestem taki, jak jestem, od roku 1893.

– Ten strój też pochodzi z tamtych czasów?

Spojrzał na swoją koszulę i uśmiechnął się. Wydawało się, że z ulgą przywitał zmianę tematu.

– W ubiór tego typu na początku dziewiętnastego wieku z chęcią przyodziałyby się sam lord Byron. Ale kupiłem go dwadzieścia lat temu na wyprzedaży rzeczy używanych. Był to kostium teatralny, ale pasował do mody lat sześćdziesiątych i dobrze na mnie leżał.

– Dlaczego ciągle to nosisz? Byłeś hipisem czy co?

Udało jej się przełknąć trzy kęsy hamburgera, ale nie tknęła sałatki. Odłożyła resztę kanapki na stół i odsunęła ją od siebie.

– Zjedz co najmniej połowę albo pójdziemy wieszkać na grobie dziewiętnastowiecznego malarza.

Podniosła hamburgera i uważnie mu się przyjrzała. Na samą myśl o kontynuowaniu posiłku robiło jej się niedobrze, ale strach przed jedzeniem na cmentarzu pomógł jej przewyciężyć mdłości. Westchnęła, po czym ugryzła niewielki kęs i zaczęła przeżuwać go na papkę.

– To czemu się tak ubierasz?

– Niezbyt często wypuszczam się poza dom – odparł. – Nie robiłem tego od dziesięcioleci. Bawi mnie spanie w trumnie i odgrywanie roli Nosferatu. Mam skłonności do romantyzmu.

– Brzmi to raczej jak zboczenie – skomentowała, odgryzając kolejny niewielki kęs.

Zaśmiał się.

– Pewnie tak.

Przed oczami mignęły jej dwa ostre zęby i zamrugała z niedowierzania. Pomyślała, że pewnie ciągle cierpi na halucynacje.

Gdy zadowolił się ilością tego, co zjadła, wyszli i złapali taksówkę.

– Potrzebna mi twoja pomoc – powiedział. – Jak wspomniałem, w dużym stopniu oderwałem się od spraw tego świata. Mój wygląd musi być na czasie. Czy zechciałabyś poinstruować mnie co do ubiorów, które są aktualnie w modzie?

Weszli do kilku sklepów, gdzie Kathleen pomogła mu wybrać dwie pary czarnych skórzanych spodni, kilka czarnych T-shirtów, czarne

wysokie buty oraz czarną skórzaną kurtkę. Patrzył na to wszystko, jakby nigdy zbyt często nie miał okazji robić zakupów.

– Masz na to wszystko pieniądze? – spytała.

– Mam ich mnóstwo.

– Tak? A ile?

– Przy sobie mam pięćdziesiąt tysięcy funtów.

– Chyba nie w gotówce?

– Tak.

– Nie słyszałeś o bankomatach? Człowieku, ktoś mógłby cię obrabować.

Zaśmiał się i poprawił na sobie krótką kurtkę.

„Bez dwóch zdań jest dziwny – stwierdziła. – Bardzo dziwny”.

Nigdy wcześniej nie spotkała kogoś takiego jak on. Ale z drugiej strony nigdy wcześniej nie natknęła się na wampira. Oczywiście nie wierzyła w to, że on naprawdę może być wampirem – spotkała w życiu wielu facetów, którzy twierdzili, że są kimś, kim wcale nie byli. Raz poznała pewnego kolesia w Greenwich Village, który utrzymywał, że gdy nastaje pełnia, zmienia się w wilkołaka. No cóż, faktycznie był na to wystarczająco owłosiony. Poza tym David oddychał, musiał więc żyć – był tylko trochę blady i staromodny. Ale nowe ubrania poprawiły sytuację. Zdała sobie sprawę, że już się go nie boi. Prawdę mówiąc, była podekscytowana. Ta cała sytuacja coraz bardziej przypominała przygodę. A on zaczynał wyglądać normalnie, a nawet dosyć przystojnie.

– Nośłeś kiedyś coś ze skóry? – spytała, przesuwając palcem po daszku skórzanego czapki, której krawędź okalał srebrny łańcuszek. – Łap! – Rzuciła mu nakrycie głowy.

Złapał ją i ostrożnie wsadził na głowę. Następnie spojrzął w lustro. Nie miała problemu z dostrzeżeniem jego odbicia.

– To przypomina mój strój w latach sześćdziesiątych, gdy przemierzałem Amerykę Północną na posiadanym przez siebie motocyklu marki Harley-Davidson.

– Miałeś tego typu maszynę? Nie wierzę.

Ułożył wargi w firmowy uśmiešek Elvisa Presleya, a ona zachichotała.

– Czy wszyscy w Nowym Jorku ubierają się teraz w czarne skóry?

– Wszyscy, których znam. Powinieneś ogolić głowę albo nastroszyć włosy. Jeśli chcesz znaleźć Dennisa, powinieneś wyglądać, jakbyś należał do konkretnej grupy. I musisz wyglądać na twardziela. W

końcu chcesz się wmieszać w tłum, no nie? Ale nie martw się. Zajmę się tobą. Nałóż jeszcze to.

Podawała mu okulary przeciwsłoneczne z lustrzanymi soczewkami, po czym wybrała drugą parę dla siebie.

Namówiła go na strzyżenie, a fryzjer na lotnisku skrócił mu włosy po bokach i nadał bokobrodom zaostrzony kształt. Tył został skrócony tak, aby sięgał mniej więcej do połowy szyi, podobnie jak przód, który można było teraz lekko postawić na żel. Stwierdziła, że David zaczynają przypominać faceta. Twardziela.

Gdy czekali w hali odlotów na swój całonocny lot, spytała:

– Co zrobisz Dennisowi?

– To zależy od tego, w jakim stopniu będzie skłonny do współpracy. Jak również od powodów, dla których chce mnie zniszczyć.

Kathleen opuściła wzrok na dłonie.

– I tego, gdzie trzyma mojego brata. Powinieneś zobaczyć Bobby'ego. Czeka! Mam przecież zdjęcia.

Wyjęła z portfela dwie wymięte czarno-białe fotografie, z których jedna przedstawiała rozmazaną postać małego chłopca, a druga młodszą Kathy obejmującą dziecko. David obrócił tę drugą. Z tyłu znajdował się napis „Bobby i ja” oraz data sprzed paru lat.

– Tu tego nie widać – powiedziała wesoło – ale Bobby ma jasnobrązowe włosy i oczy takie jak ja. Uwielbia wodę. Bez przerwy muszę zabierać go na spacerki nad rzekę. I jest strasznie mądry! Ma dopiero osiem lat, ale jest już w piątej klasie – pozwolili mu jedną przeskoczyć.

David przesunął tylną stroną palca wskazującego po ciepłej, gładkiej skórze jej policzka. Czuł, jak tętni pod nią gorąca krew, ale starał się to ignorować. Pomyślał, że zważywszy na to, przez co przeszła, dziewczyna całkiem nieźle się trzyma. A przeszła przez piekło. Były takie chwile – całe ich tuziny – kiedy był już prawie gotów oddać jej narkotyk, do tego stopnia bolesne było obserwowanie jej mąk. Ale zdawał sobie sprawę z tego, że na dłuższą metę lepiej dla niej będzie, jeśli przestanie ćpać. Poza tym potrzebna mu była jej pomoc w znalezieniu Dennisa.

Wraz z ustępowaniem symptomów odstawienia nie tylko zaczęła lepiej się prezentować, ale też wydała mu się interesująca. Przestała być zrzędliva i krucha, jakby wzięła się w końcu w garść.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi błękitnymi oczami wyrażającymi niewinność, która głęboko go poruszała.



– Ten facet: Dennis. Nie znam go, ale widywałam go już wcześniej – powiedziała. – Jest twardy. Będzie chciał cię skrzywdzić.

– Nie kłopotz się tym. Jestem w stanie zapewnić nam ochronę.

– To potężny koleś. Napakowany.

– Struktura mojego ciała nieco różni się od ciał zwykłych śmiertelników. Jestem o wiele silniejszy, niż mogłoby się wydawać. I całkiem inteligentny.

– Wyglądasz na bystrego. Szkoda, że ja nie – wyznała, a jej wzrok posmutniał. – Próbowałam ukończyć szkołę, ale miałam problemy. Nie dałam rady. Przez jakiś czas pracowałam jako kelnerka, sprzedawczyni w Bloomingdale's, jeździłam taryfą. Ale teraz mam nałóg na utrzymaniu. Większość czasu spędzam pod latarnią.

Jej wzrok zdradzał, że była przyzwyczajona do bycia odrzucaną, i tego właśnie spodziewała się z jego strony.

– Miałaś nałóg na utrzymaniu – poprawił.

– Tak, jasne. – Odwróciła wzrok.

Rozległ się komunikat i weszli na pokład.

– Nie każ mi siedzieć przy oknie – poprosiła.

Mimo to wskazał jej to właśnie miejsce.

– Błagam! Boję się latać.

Wyciągnął rękę i zasunął roletę, żeby nie mogła wyglądać na zewnątrz.

– To nie pomoże. Pozwól mi się od korytarza. Albo chociaż w środku. Nie będę nic kombinować, słowo.

– Obróć się do mnie – powiedział. – Spójrz mi w oczy.

– Po co? Chcesz mnie zahipnotyzować czy coś w tym stylu? To nic nie da. Kiedyś jeden facet próbował tego na mnie podczas swojego występu. Chciał mnie zmusić do szczekania jak pies, ale nie był w stanie.

Stwierdził, że doświadczyła wystarczająco dużej traumy. Po co miałyby wymagać od niej, by stawiała czoło kolejnemu lękowi? Przy użyciu mocy sugestii ustnie zaczął podsuwać jej kojące myśli, które miały pomóc jej w zniesieniu startu i lądowania. Po upływie pół minuty zauważył, że jej ramiona rozluźniają się, a oddech zwalnia.

Podano posiłek oraz wino, których David nie przyjął. Kathleen chciała także spasować, ale on wymógł na niej, aby wzięła tacę.

Gdy dziewczyna jadła, David rozmyślał na temat zmian, które zostały wprowadzone w życie od momentu, gdy ostatnio miał okazję latać. Samoloty były większe, szybsze i wygodniejsze. Posiłki

wyglądały na smaczne, chociaż on i tak nigdy ich nie próbował. Zastanawiał się, jak będzie wyglądał Nowy Jork. Gdy ostatnim razem go opuszczał, był rok 1963.

David wyraźnie pamiętał lata spędzone z André i Karlem. Przyjaciele pomogli mu nawiązać więź ze współczesnym światem i skłonili go do zaakceptowania kondycji dwudziestego wieku. Oraz jego własnego stanu.

Ich trójka była sobie niezwykle bliska. To, że pochodzili z różnych epok i kultur oraz poddani zostali tej samej przemianie, powinno ich raczej dzielić niż łączyć. Jednak każdego z nich cechowało zamiłowanie do piękna i sztuki i to właśnie okazało się wystarczająco silne, by ich połączyć. Jak i oddanie się prawdzie. Mieli te same gusta w kwestii wielu istotnych spraw. A przez pewien okres dzielili się również Ariel.

André najbardziej z nich kochał cielesność. Lubił sport i ruch. Wiedział też, w jaki sposób wyciągnąć jak największą przyjemność z krwi. Oraz z kobiet. To David nadał mu przydomek La Corps<sup>6</sup>. Z kolei Karla określał jako Der Verstand<sup>7</sup>, gdyż myślał on w sposób jasny i cechowała go pasja do precyzyjnego rozumowania. Ta skłonność do logiki częściowo udzieliła się też Davidowi, którego myśli poruszały się uprzednio po bardziej intuicyjnych torach.

Towarzysze nazywali go czule Duszą ze względu na to, że David tworzył i czytał poezję, i jak sam dobrze wiedział, emanował silnymi uczuciami, które często bywały dość ponure. Ale jego wrażliwa natura nie wywoływała niechęci. Wprost przeciwnie – kochali go, a on kochał ich. Było to słowo pozbawione piętna seksualności, co byli w stanie zrozumieć jedynie mężczyźni rodem z przeszłych epok.

Ale z czasem każdy z nich się zmienił, i to niekoniecznie na lepsze. Ich silne strony przemieniły się w największe słabości.

Cierpienia André wywołane samotnością doskwierały mu w sposób wręcz fizyczny, doprowadzając go do alienacji i bestialstwa. Intelktualna natura Karla popchnęła go do powrotu do Niemiec w poszukiwaniu swoich korzeni. Podobnie jak André tęskno mu było do innego rodzaju intymności, którą wykorzystać by można chociażby do obrony przed umysłem tak lotnym, że dławił wszystko inne w jego wnętrzu.

„A ja?” – zastanawiał się David.

Jak to zazwyczaj bywało, jego uczucia najlepiej wyraziły słowa Byrona:

*„Nie żyję w sobie, lecz się cząstką staję  
Tego, co widzę naokół!... Te góry –  
To me uczucie, za to ludzkie zgraje  
Moją katuszą...”<sup>8</sup>.*

*„Świat mnie nie kochał, jam nie kochał świata;  
Tchów jego marnych nie byłem pochlebcą;  
Bożyszczy jego cześć mnie nie przygniata,  
Do ich ołtarzy nogi me nie drepcą  
I w uśmiech wargi ściągnięte nie szepcą  
Im hołdów echem... Pośród tłumów stoję,  
Lecz tłumy dla mnie drogi nie wydepcą  
I nie z ich myśli idą myśli moje...”<sup>9</sup>.*

Kathleen wyrwała go z posepnych rozmyślań. Podniosła znajdujący się między nimi podłokietnik, po czym zwinęła się w kłębek z głową na jego podołku. Przeniósł się na fotel obok przejścia, żeby dać jej więcej miejsca na wyciągnięcie się. Stewardesa dała jej wcześniej koc, którym dziewczyna przykryła teraz klatkę piersiową i głowę. Po kilku sekundach poczuł, jak ciepłe palce rozsuwają mu rozporek i sięgają do wnętrza spodni. David rozejrzał się dookoła. Starsza para po drugiej stronie przejścia mówiąca z akcentem z Blackpool drzemała, podobnie jak ludzie siedzący przed oraz za nimi.

Objęły go jej wilgotne wargi i chwilę później cała jego uwaga skupiła się na tym, co działo się pod kocem. Używała ust w sposób, który wskazywał na pewną wprawę.

W ciągu minuty pobudziła go do tego stopnia, że zmuszony był działać. Sięgnął pod koc, odepchnął ją i zapiął spodnie. Spojrzała na niego pytająco swoimi wielkimi oczami.

– Chodź ze mną – powiedział wyraźnie głębszym głosem, stawiając ją na nogi.

Wziął ją za rękę i poprowadził przejściem, mijając rzędy drzemiących podróżnych. Nikt nie czekał w kolejce do łazienki, więc zaprosił ją gestem do środka, a następnie zamknął za nimi drzwi.

Rozpięła mu spodnie z uśmiechem od ucha do ucha, po czym zsunęła mu je z bioder.

– Zdejmij ubranie – powiedział.

– Tu jest za mało miejsca.

Zamiast powtórzyć, rozpiął zatrzask i suwak jej spodni, które następnie pociągnął do dołu. Gdy zsuwała z siebie ubrania i buty, pisnęła:

– Myślałam, że wampiry nie mogą uprawiać seksu! Dołączymy do Mile High Club<sup>10</sup>!

David zaparł się stopami, przeciwstawiając się kołysaniu samolotu, po czym wsunął przedramiona pod jej pośladki i uniósł Kathleen, jednak zdezorientowany, a nawet wystraszony wyraz jej twarzy kazał mu postawić ją na podłodze.

– Pocałuj mnie – powiedział.

Pocałowała go niczym posłuszne dziecko, ale jej ciepłe, śliskie usta pozbawione były pasji.

Zaczął lizać jej sutki i delikatnie pieścić ją opuszkami palców, żeby ją pobudzić, ale w dalszym ciągu była niemożliwie ciasna i sucha.

Nic, co robił, nie było w stanie jej podniecić. Zachodził w głowę, po co właściwie to rozpoczęła. Jednak jej dłonie nie przestawały się uwijać i po jakimś czasie nie przejmował się już znaczeniem tych sprzecznych komunikatów. Szeptła mu wprost do ucha nieprzyzwoitości mające go zdopingować.

Mocno ją obejmował, wykonując pchnięcia biodrami skierowane w jej podbrzusze i koncentrując się na potężnym elektrycznym prądzie przenikającym mu genitalia. I wtedy poczuł, że traci kontrolę.

Zalała go fala rozluźnienia, a po niej przyszło znajome uczucie straty. Pustki. Desperacji. Niepohamowanej żądzы krwi.

Kathleen padła mu w ramiona, chwytając się go niczym dziecko i płacząc bezgłośnie. Wystraszony przytulił ją, nie rozumiejąc, o co właściwie chodzi. Wydawało się, że nic nie jest w stanie jej pocieszyć, a to go przerażało. Intuicja podpowiadała mu jednak, że przed chwilą miałokazję dowiedzieć się czegoś ważnego na jej temat. Żałował tylko, że nie potrafi tego zrozumieć.

## Rozdział 4

Jesteście w podróży poślubnej, dzieciaki? – spytał taksówkarz.

Przednia szyba na moment skryła się za obłokiem dymu z papierosa, który chwilę potem rozpląnął się w powietrzu. Mimo że przednie siedzenia oddzielała od tylnych gruba szyba z pleksiglasu, gryzący zapach palonego tytoniu i tak przez nią przenikał. David zachodził w głowę, jak to możliwe, że ich odziana w złowieszczo czarne skórzane stroje dwójka została wzięta za nowożeńców.

– Coś w tym rodzaju – rzuciła Kathleen do taksówkarza.

Przysunęła się do Davida, uśmiechając się w szarym świetle, a jej okrągłe, wypełnione szczerością, błękitne oczy przywiodły mu na myśl opis Wenecji:

*„Majestatycznie ta Cybela morza,*

*[...]*

*Królowa fali, pani morskiej toni...”<sup>11</sup>.*

– Niech nas pan najpierw przewiezie przez Times Square, dobrze? – poprosiła Kathleen. – Chcę go pokazać mężusiowi.

David patrzył z niedowierzaniem na metropolię, którą kiedyś przez czas jakiś nazywał swoim domem. Nowy Jork tryskał wówczas zdrowiem, więc z trudem był w stanie uwierzyć, jak nadpobudliwe, wysokie, gęste i przepełnione gorączkowym tempem życia stało się to miasto. Niespotykanie chłodny jak na lato wieczór wywabił na ulice dwie skrajnie różne kategorie osób, których liczba wprawiała go w oszołomienie – majątni mężczyźni i kobiety przechadzali się w modnych strojach pośród niezliczonych istot ludzkich owiniętych w łachmany i brudne koce rozłożone na legendarnych chodnikach ze złota.

„Zaiste dickensowska scena, i to w takim miejscu” – ponuro pomyślał David.

Times Square się zmienił, a jednocześnie pozostał taki sam jak kiedyś. Zatrzęsienie sklepów nadal oferowało seks w każdym z możliwych smaków, jednak teraz dominowały tu uczciwie zarobione

pieniądze. Drogie restauracje niechętnie dzieliły chodnik ze zwykłymi garkuchniami. Hotele mieszczące się w wieżowcach ze szkła i stali sąsiadowały z przygnębiającą architekturą ruder, w których tymczasowo zatrzymywali się niezamożni turyści i miejscowi nieudacznicy. David odnosił nieprzyjemne wrażenie, że bóg czasu Chronos połknął swe dziecię – Manhattan – a następnie wypluł je na wpół przeżute. Dzielnica nadal wyglądała mniej więcej tak jak wcześniej, ale ewidentnie coś się w niej zmieniło, być może nieodwracalnie.

Taksówka zatrzymała się w końcu przed Alexandrem, obskurnym hotelem na Lower East Side położonym przy Delancey Street.

– To tutaj mieszkasz? – spytał David.

– Tymczasowo.

Kathleen upewniła się wcześniej, że David wymienił wystarczająco dużo pieniędzy, i teraz pomogła mu wyliczyć należność za jazdę, którą on umieścił na tacce.

– Za dużo! – Przechwyciła dwudziestodolarowy napiwek.

Taksówkarz spojrział na nią wilkiem we wstecznym lusterku.

– Wyrobisz sobie niewłaściwą reputację. – Wymieniła banknot na dziesięciodolarowy.

Na chodniku przed wejściem do hotelu stała różnorodna rasowo grupka złożona z kilku nastolatków. Ogromny, oprawiony w futro magnetofon dudnił graną staccato, opatrzoną agresywnymi tekstami muzyką, rozbijając poprzedzającą świt ciszę na kawałki.

– Hej, Zero, kotku. Jak życie? Dalej głównie na kolanach? – zawołał pucułowaty chłopak z rudymi włosami.

Na głowie miał czapkę drużyny Yankees założoną daszkiem do tyłu. Reszta grupy parsknęła śmiechem.

Kathleen ujęła Davida za ramię i poprowadziła go przez niewielki tłumek, który on – na podstawie ciasno skręconych, czerwono-niebieskich chustek owiniętych wokół głów w wystylizowany sposób – zidentyfikował jako członków miejscowego gangu. Pod tym względem nic nie zmieniło się od czasu, gdy mieszkał jeszcze w tym mieście – pozbawione perspektyw na przyszłość dzieciaki z biednych domów miały zbyt wiele czasu do stracenia, który poświęcały pieniądзом, seksowi, a często i przemocy. No i narkotynom.

– Zero ma nową zabawkę. Co to za piękniś? – spytał potężnej budowy młodzieniec w wieku około osiemnastu lat o mocno skręconych brązowych włosach i oliwkowej cerze.

Na jego szerokiej twarzy widniał uśmiezek samozadowolenia.

Gdy lekko się obrócił, David dostrzegł, że włosy z tyłu głowy zostały wygolone w kształt litery „F”. Wzrok chłopaka pozbawiony był wyrazu.

– Klient, a co myślałeś? – odpowiedziała mu Kathleen chłodnym tonem, po czym próbowała go wyminąć, ale zastąpił jej drogę.

– Wygląda na bogacza. Z dwudziestoczekaratowym fiutem. – Pstryknął palcem w kołnierz kurtki Davida. – Niezłe ciuchy. Nowe. Ceny idą w górę, stara, czas na małą pożyczkę.

– Odwal się, Frankie. Przepuść nas. Muszę jakoś zarabiać na chleb – odparowała Kathleen.

– Chodź tu, kotku – zawołał grubawy rudzielec. – Masz tu dwadzieścia pięć centów. Przejdziemy się.

Reszta chłopaków zaczęła rechotać.

– Rudy, twojej parszywej spermy nie chciałabym nawet za tysiąka. – Kathleen oparła pięści o biodra, a David spojrzał na nią ze zdumieniem.

Znowu stała się twarda, tak jak wtedy, gdy była naćpana. Twarda i niebezpieczna.

– Dobra, Frankie, odpieprz się już – rozkazała chłopakowi, który bez dwóch zdań wyglądał na przywódcę. – Muszę się brać do roboty.

– Z tą ciotą? – zawołał Rudy.

Reszta chłopaków znowu zaczęła się śmiać.

– Wcale nie jest pedziem. – Weszła pomiędzy Davida a Frankiego, starając się odsunąć tego drugiego z drogi. – Mógłby wam gardła porozrywać, bo jest...

David chwycił Kathleen za rękę, aby powstrzymać ją przed wydaniem go. Ona jednak dokończyła zdanie przy użyciu słowa „poeta”, jakby ono wszystko wyjaśniało.

Ale to tylko sprawiło, że ryknęli śmiechem.

Jedna z dziewczyn krzyknęła:

– Uważaj na siebie, Frankie, bo ci przyłoży paroma dosadnymi słowami.

Fascynacja Davida tym wycinkiem z życia ulicy zaczęła ustępować miejsca irytacji. Odsunął Kathleen na bok.

– Bądź tak dobry i zejdź nam z drogi.

– Ożeż ty! – Frankie pokręcił biodrami, zgiął rękę w nadgarstku i przedrzeźniając go, powtórzył: – Bądź tak doły i zejdź nam z długi!

– Hej, Frankie, lepiej zacznij się bać. – Rudowłosy chłopak

zarechotał.

– Zadzwońcie po homogliny – dorzuciła od siebie czarnoskóra dziewczyna z pasemkami barwy fuksji we włosach.

David położył dłoń na piersi Frankiego.

– Zabieraj łapę, ty jebany japiszonie.

David popchnął go wystarczająco mocno, aby chłopak zleciał z chodnika. Przedupadkiem do rynsztoka powstrzymał go jedynie słup latarni.

– Co jest, do jasnej cholery? – wrzasnęła Kathleen. – Nie można już nawet przyprowadzić sobie klienta na dzielnię, bo musicie zachowywać się, jakbyście byli pozbawieni mózgow, durne szczyły?

Złapała Davida za ramię i pociągnęła go w kierunku drzwi. Gdy się za nimi zamykały, usłyszał groźbę rzucaną przez Frankiego:

– Jak stamtąd wyjdiesz, sukinsynu, będę na ciebie czekał. Już jesteś martwy. Masz na to moje słowo!

– Hej, Zero, kopę lat – powiedział recepcjonista.

– Taa. Co słyhać, Louie?

Mężczyzna zaśmiał się.

– To co zwykle. Żona mówi jedno, kochanka drugie.

– Masz jakiś pokój dla mnie i znajomego?

– Na pół godzinki? – Louie zdjął klucz z jednego z wiszących za nim haczyków.

– Na całą noc.

– To będzie pięćdziesiąt dolców – oznajmił Davidowi.

David zaczął wyciągać banknoty, ale Kathleen powstrzymała go przed przekazaniem ich mężczyźnie.

– Dwadzieścia – powiedziała.

– Jak dla ciebie, Zero, niech będzie czterdzieści.

– Jak dla ciebie, Louie, niech będzie dwadzieścia pięć.

– Muszę zarobić na chleb.

– Kochanie, nawet po nakarmieniu pcheł coś ci z tego zostanie.

– Trzydzieści pięć. Ostatnie słowo.

Kathleen wzięła od Davida trzy banknoty dziesięciodolarowe i plaskając dłonią, umieściła je na kontuarze. Zanim Louie zdążył zaprotestować, wyrwała mu klucz z ręki.

Ich pokój znajdował się na pierwszym piętrze od frontu. W obskurnym, wyklejonym poźółkłą tapetą pomieszczeniu stały obdrapane meble z forniru oraz rozklekotane łóżko, a na ścianie przycupnął karaluch.



– Jak barwnie – podsumował David.

Zbadał szafę, aby upewnić się, że jest wystarczająco wysoka – do snu potrzebny mu był całkowity mrok.

Kathleen położyła klucz na komodzie. Sprawiała wrażenie pozbawionej energii, jakby potyczki takie jak ta przed chwilą odbierały jej siły vitalne. David zdał sobie również sprawę, że ciągle musi być osłabiona.

– Jesteś głodna? – spytał.

Skrzywiła się.

– Mam dosyć żarcia! Zjadłam tyle, że wystarczy mi na cały rok.

– Jesteś zdecydowanie za chuda. – Zmierzył ją wzrokiem.

Wyglądała niczym bezdomne dziecko. Dziewczynka z zapałkami, która sama je przypomina.

– Chciałbyś, żebyśmy się spała?

– Może nie spała, ale trochę nabrała kształtów.

– Zrobić babie brzuch, niech siedzi w domu, zgadza się? Wy, faceci, wszyscy jesteście tacy sami.

David wszedł do łazienki. Krawędź wanny okalał brud, który wyglądał na wrośnięty w nią na stałe. Kranu umywalki z ciepłą wodą nie dało się dokręcić. Emalia ustąpiła pod działaniem nieprzerwanego strumyczka wody, a na jej miejscu pojawiła się rdza. Zwilżył twarz i otarł ją ręcznikiem, który o mało co nie rozpadł mu się w rękach.

Był zszokowany tym, co miał okazję zaobserwować od momentu ich przyjazdu. To zdecydowanie nie był już ten sam powojenny Nowy Jork, którym dzielili się z André i Karlem, ani miasto, które porzucił w latach sześćdziesiątych na rzecz wędrówki po Ameryce Północnej. A Kathleen, pomimo wypisanej na jej twarzy bezbronności, przypominała lwie szczenię – ładniutki, milusi wygląd skrywał w rzeczywistości groźne, nieprzewidywalne zwierzę, które nosiło prawdopodobnie blizny pod głębokich ranach zadanych mu w dżungli, którą nazywało domem.

Grubiaństwo zawsze wytrącało go z równowagi. Jedną z rzeczy, które najbardziej poruszyły Davida po przemianie, było to, że stał się jeszcze bardziej wrażliwy na bezdusność ludzi wobec siebie nawzajem oraz tortury, jakie zadają samym sobie.

„Ale ja też siebie dręcę – pomyślał. – Oni krwawią, a ja przeżywam ich ból”.

– Czy o tej porze są jeszcze otwarte jakieś sklepy? – spytał po powrocie z łazienki.

Kathleen leżała na brzuchu w poprzek łóżka z nogami zgiętymi w kolanach i stopami w powietrzu niczym nastolatka, obskubując lakier z paznokci.

– Mnóstwo. A co chcesz kupić, gumowce? – Zaśmiała się lekko, a potem, gdy dostrzegła jego konsternację, wyjaśniła:

– No wiesz, gumki. Kondomy.

– Chcę dokonać zakupu kilku różnych rzeczy. A tak przy okazji – dodał, zamykając za nimi drzwi – to mam bardzo dużo pieniędzy. Nie ma sensu się o wszystko targować.

– To z przyzwyczajenia. – Złapała go za ramię i pociągnęła w prawo zamiast w lewo. – Zejdziemy schodami przeciwpożarowymi. W ten sposób nie będziemy zmuszeni oglądać Frankiego i całej reszty.

– Ty naprawdę nie wierzysz, że potrafię sam się obronić, prawda?

– No wiesz, wyglądasz trochę, no nie wiem...

– Mizernie? – podpowiedział.

– Nie. Raczej delikatnie. Tutaj wszyscy są twardzi. To konieczne, żeby móc przetrwać. Wyglądasz jak koleś, który się poryczy, gdy ktoś spojrzy na niego wilkiem.

Pokręcił głową, śmiejąc się.

– Rzeczywiście jestem wrażliwy, Kathleen. Może nawet przesadnie. Ale nie jestem słabeuszem. Nie boję się walki, nawet z przedstawicielami mojego gatunku, którzy dorównują mi siłą. Uważam jednak, że istnieją lepsze metody rozstrzygnięcia sporów niż przemoc. Lękasz się zatem o mnie czy o siebie samą?

Posłała mu wściekłe spojrzenie błyszczących lazurem oczu.

– O siebie potrafię zadbać. Do tej pory nie miałam z tym problemu.

Otwarty sklep drogerijno-spożywczy znaleźli w ruchliwej części Delancey Street, a David kupił w nim między innymi maszynkę do golenia, mydło, grzebień, szczotkę do włosów, suszarkę oraz dwie szczoteczki do zębów – co zdumiało Zero do tego stopnia, że niewiele myśląc, spytała:

– To wampiry myją zęby?!

A do tego kilka zamków i śrubokręt, sznurek do suszenia bielizny oraz przykurzony tomik poezji, który musiał leżeć na półce od jakichś dwudziestu lat. Rachunek wyniósł prawie osiemdziesiąt dolarów.

– Człowieku, jeżeli dalej będziesz wydawał pieniądze w takim tempie, to do końca tygodnia będziesz spłukany – zapewniła go Zero.

Podniosła jedną z białych reklamówek, a David wziął dwie pozostałe.

Gdy zbliżali się do hotelu, Kathleen zobaczyła, jak Frankie opiera się o auto, całując dziewczynę o włosach barwy fuksji.

– Pospiesz się – powiedziała do Davida – chce mi się siku.

Spojrzał na nią.

– Nie boję się go, Kathleen.

– A powinieneś. Nosi ze sobą nóż.

David zaśmiał się i pokręcił głową. Pomyślała, że świr z niego. Jest zbyt tępy, żeby zrozumieć, jak bardzo jest głupi, ale z drugiej strony, czego można oczekiwać od kolesia, któremu się wydaje, że jest Garym Oldmanem.

Bez problemu weszli do hotelu i podążyli do swojego pokoju. Gdy David wypakowywał zakupy, Kathleen ściągnęła z łóżka koc. Męka związana z rzucaniem nałogu, zamartwianie się o Bobby'ego, lot – zaczynała czuć to wszystko w kościach. Potrzebowała heroiny bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Wiedziała jednak, że on jej na to nie pozwoli, a tej nocy nie będzie w stanie się od niego uwolnić – może dopiero, gdy David zaśnie.

Uświadomiła sobie, że sen to jedyna pozytywna rzecz, jakiej mogła w tej chwili oczekiwać.

Patrzyła, jak David instaluje dwa nowe zamki w drzwiach do pokoju i jeden w drzwiach od szafy. Gdy skończył, przypiął pinezkami zasłony do framugi okna.

– Po co to robisz? – spytała. – Żeby zasłonić neon?

– Żeby zasłonić słońce, które wychynie znad horyzontu za niecałą godzinę.

Podszedł do łóżka i spojrzał na nią. Coś w jego wzroku ją zaniepokoiło. Może był chory psychicznie? Bywała z facetami, którzy przekroczyli granicę szaleństwa, a nawet zostawili ją daleko za sobą. Ale nie odnosiła wrażenia, że David może być brutalny, tylko taki cholernie bezpośredni, przenikający człowieka na wskroś. Nie chciała, żeby się w nią wpatrywał ani żeby sama musiała na niego patrzeć.

Usiadł obok niej, a ją zaczęła ogarniać panika. Stwierdziła, że musi coś zrobić, zanim on zacznie się do niej przystawiać.

Popchnęła go na plecy, a następnie usiadła mu okrakiem na biodrach. Obdarzył ją tym swoim lekkim uśmiechem faceta, któremu doskwiera niekończący się ból. Zdjęła z niego spodnie, a następnie zabrała się do pracy przy użyciu ust, jak robiła to już wcześniej z wieloma innymi mężczyznami. Jego ciało było prawie całkowicie pozbawione owłosienia, a skóra chłodna i lekko woskowata. Jednak

ona już dawno temu nauczyła się, jak podczas roboty myśleć o czymś innym.

David także chciał ją rozebrać, ale się opierała. Okazał się do tego stopnia zdeterminowany, że w końcu musiała zrobić nagłą przerwę.

– Ej, posłuchaj, pozwól mi załatwić ciebie. Nie jestem w nastroju, okej? Zbliżyła mi się okres i łapię mnie skurcze.

Miała nadzieję, że aluzja do krwi nie przypomni mu o wampiryzmie.

– Nie musimy się kochać – powiedział.

Nie wiedziała dlaczego, ale czasami ta jego delikatność ją drażniła. To była jedna z tych okazji.

Ułożył się na plecach i pozwolił jej kontynuować. Jednak tuż przed wytryskiem odepchnął ją od siebie tak mocno, że upadła na podłogę.

– O co ci chodzi?

Wdrapała się z powrotem na łóżko. Jego brzuch był splamiony czerwonym płynem. Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Wybacz. Nie chciałem cię popchnąć aż tak mocno.

– To nic.

Klapnęła na łóżko obok niego zbita z pantałyku. To, co się z niego wydobyło, nie było normalne. Może był na coś chory.

– Nie cierpisz chyba na jakąś śmiertelną chorobę, co? Nie złapię tego, co ci dolega?

– Gdybyś spożyła którykolwiek z płynów mojego ciała, stałabyś się taka jak ja. Chciałem cię przed tym ochronić.

Zbyt wiele elementów pozbawionych było sensu. Krew na koszuli. Jego zęby. Nadnaturalna siła. A teraz to. Może naprawdę był Drakulą.

Jednak zanim ta myśl miała czas przerodzić się w strach, który by nią zawładnął, David przyciągnął ją do siebie. Gdy wpatrywała się w jego twarz, wyglądał jak normalny facet, oprócz tego, że jego skóra była chłodna. Był zmysłowy i lubił się z nim całować, mimo że nie pozwalała sobie na podniecenie. Nie była przyzwyczajona do czułych kochanków, a David był dla niej zbyt delikatny, nawet jeśli przed chwilą popchnął ją na drugi koniec pokoju. Nie wiedziała, jak na niego reagować.

Rozebrała się, gdy David był w łazience. Wkładając biżuterię do torebki, dostrzegła zdjęcia Bobby'ego i wyjęła je. Umieściła je w świetle stojącej na nocnym stoliku lampki, po czym przysunęła do nich twarz, jak gdyby wnikliwie obserwacje wyblakłych fotografii były w stanie ujawnić sekret miejsca, w którym znajdował się jej brat. Zabawne, że za każdym razem, gdy wspominała Bobby'ego, na myśl

przychodziło jej to właśnie zdjęcie. Oraz jakieś ciepłe uczucie. A zaraz po nim ból.

Podeszła do komody, aby skierować myśli na inne tory, i zaczęła przeglądać kupione przez Davida rzeczy, aż w końcu w jej dłoni znalazła się książka zatytułowana *Wielcy poeci, tom II – od Byrona do Eliota*. Ziewnęła.

Gdy David wrócił z łazienki, powiedziała:

– Ej, możesz mi poczytać, jeśli chcesz.

Pocierała powiekę złożoną w pięść dłonią niczym dziecko. Davidowi wydało się to rozczulające.

– Całą książkę?

– Fragment.

– Chodź tu zatem.

Usiadł na łóżku, opierając się o wezgłowie, a ona ułożyła się pomiędzy jego nogami. Przesunął ją tak, aby objąć ją tak, jak tuli się dziecko.

„Jest miękka i urocza niczym małe kociątko” – pomyślał, przytulając ją.

– Który wiersz masz ochotę usłyszeć?

Zerknęła na spis treści i wskazała palcem.

– Ten. Nie potrafię go wymówić, więc pewnie jest głęboki, co?

Zaśmiał się i pocałował ją w czoło.

– Moja Eliza Doolittle.

– Nie! Ten ma być o miłości. Potrafię czytać.

– Eliza Doolittle to tylko nawiązanie do postaci w pewnej sztuce.

– Wiem.

Gdy ułożyła się w ramionach Davida z głową opartą o jego pierś, otworzył książkę na stronie z wierszem Eliota zatytułowanym *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*. Ostatnim razem czytał ten wiersz w Nowym Jorku właśnie, w roku 1957. Pamiętał to jak dziś. Była zima, rozpętała się śnieżycyca. Ariel wyjechała zeszłej jesieni, a kolejnej wiosny miał odejść Karl.

Oddech Kathleen zwolnił i stał się rytmiczny. Zapadała w sen. Ale i tak zaczął dla niej czytać, przypominając sobie słowa:

„Pójdźmy więc, ty i ja,

Gdy wieczór na niebie rozpostarty trwa

Jak pacjent uspijony eterem na stole...”<sup>12</sup>.

## Rozdział 5

*„Słyszałem jak syreny śpiewem zwołują się wśród fal.  
Nie sądzę, aby kiedyś zaśpiewały dla mnie.  
Widziałem jak syreny na falach mknęły w dal  
Czesły białe włosy gnanych od lądu fal  
Gdy wiatr wzdymał i dzielił wody na biel i czerni.  
Myśmy w morza komnatach zwlekali  
W brąz i rubin wodorostów przez wodnice uwieńczeni  
Aż nas zbudziły ludzkie głosy, i toniemy”<sup>13</sup>.*

David zamknął książkę. Panująca w pokoju cisza była równie gęsta co pusta. André leżał na podłodze przed kominkiem z dłońmi splecionymi za głową, skrzyżowawszy długie nogi na wysokości kostek. Przymknął swoje szare oczy. Jego ciało trzydziestosiedmioletniego mężczyzny było w szczytowej formie, która kamuflowała ponadstuletnią już egzystencję. Urodzony w 1820 roku Karl był najstarszy z całej trójki, ale wyglądał na najmłodszego – nikt nie dałby mu więcej niż dwadzieścia pięć lat. Siedział bez ruchu w fotelu dokładnie naprzeciwko Davida, a jego ostre germańskie rysy ścięte były cierpieniem. W wewnętrznych kącikach brązowych oczu dało się dostrzec wilgoć.

„Taki to już nas los – pomyślał David. – Ból prowadzi nas tylko ku jeszcze większej ilości bólu”.

André nagle się poruszył. Spojrzał najpierw na Karla, a potem na Davida.

– Tłumaczenie zawodzi.

– Jakie znowu tłumaczenie? – spytał David.

– Z języka śmiertelników na język istot nieśmiertelnych.

– Nie zgadzam się. – Karl wyciągnął białą chusteczkę. – Jeśli o mnie chodzi, to tonę.

– Chodzi o Ariel, prawda? – spytał David odrobinę za ostro, momentalnie żałując tego tonu.

– Nie bądź śmieszny! – odparował André.

– Nie, on ma rację. Po części. – Karl wepchnął chusteczkę do

kieszzeni i założył nogę na nogę. – Chodzi nie tyle o Ariel, ile o rzeczy, które symbolizowała.

– Czyli co? Bycie zaborczą cipą? – André usiadł gwałtownie. – Obaj macie szczęście, że przeżyliście, nie tracąc przy tym jaj.

David poczuł, jak napina mu się kręgosłup. André rzucił mu wyzywające spojrzenie.

„Wie, jakie mam względem niej uczucia – pomyślał David – ale i tak każdą wzmiankę o niej musi opatrzyć zjadliwą uwagą”.

– Była kimś więcej – powiedział łagodnym głosem Karl. – Przynajmniej dla mnie. Ale mnie potrzebne są kobiety.

– *Merde!* – zaśmiał się gorzko André. – Otrząśnij się w końcu. Ty zresztą też, Davidzie!

Jego cynizm wypełniał pogrążone w półmroku pomieszczenie negatywną energią.

– Obaj jesteście marzycielami uwięzionymi w świecie idei i fantazji. – Wstał. – Pogódźcie się z tym, że istniejemy sami dla siebie i tak właśnie wygląda nasz los. *Moi je le sais!*

Otworzył osłonę paleniska i dorzucił do ognia kolejne polano. Wiatr na dworze zawył w proteście. Wilgotna kora syczała w kontakcie z płomieniami. Pojawiło się zbyt dużo dymu.

David przeszedł do defensywy.

– Może i jesteśmy marzycielami, ale w przeciwieństwie do ciebie ani Karl, ani ja nie prosiliśmy się o takie życie. Nie potrafimy się pogodzić z takim losem.

– To przykujcie się łańcuchem na dworze w promieniach słońca, skoro tak ciężko wam to znieść. Chyba że wasza siła pozwala wam tylko na rozczulanie się nad sobą?

Głos André załamał się, gdy to mówił, co nie umknęło uwadze Davida. Był świadomy poniesionych przez niego w przeszłości porażek oraz lęku przed słabością, którą w swoim odczuciu otrzymał w schedzie. Wiedza ta wywoływała w nim potrzebne André współczucie, które ten jednak z trudem był w stanie znieść. David wiedział jednak, że przyjaciel ma rację.

– Jestem słaby – przyznał cicho. – Taka jest moja natura. To przez nią Ariel udało się mnie zniewolić.

Jednak nawet wypowiadając te słowa, nie odczuwał goryczy, lecz jedynie intensywną tęsknotę, która wprawiała go w przerażenie.

– Ta pogoda mnie przygnębia. – André przecesał dłońmi włosy na skroniach w miejscu, gdzie czerń poznaczona była siwizną, a następnie

znowu usiadł na podłodze.

Pokój wypełnił się dźwiękiem przypominającym wzdychanie wiatru.  
– Chodzi o to, że pragnienie czegoś, co jest nieosiągalne, to czysty masochizm. Jaki może być tego sens – no, chyba że ból sprawia wam przyjemność?

– Nie czerpię przyjemności z cierpienia – powiedział David. – Ale nie potrafię tak po prostu wymazać jej z pamięci.

André spojrział na niego oczami tej samej barwy co dym w kominku. Jego wzrok zmiękł pod wpływem empatii.

– Od jakiegoś czasu rozważam odejście – ogłosił nagle Karl. – Wkrótce. Tutaj nic już dla mnie nie zostało. Wrócę do Niemiec. Nie spodziewam się niczego ani nikogo tam znaleźć, ale nie mogę tu pozostać. Chcę być sam.

André nic na to nie odrzekł, a David nie wiedział, co mógłby powiedzieć.

Zdawał sobie sprawę z tego, jak czuje się Karl, i jego decyzja wcale go nie zaskoczyła. Wiedział też, że André również to rozumie, nawet jeśli nie był w stanie tego przyznać. Mieli szczęście, że się odnaleźli, ale nic nie trwa wiecznie w niezmienionym stanie. Ich relacja zaczynała zdradzać objawy toksyczności.

„Zmieniłem się – pomyślał David. – Moje wnętrze rozpadło się na kawałki. Czy kiedykolwiek ułożą się one jeszcze w jedną całość? A jeśli tak, to kim wtedy będę? Bo na razie jestem zaledwie pustą skorupą. Wszyscy trzej jesteśmy pustymi skorupami”.

Karl, który widział w Eliocie bratnią duszę, poprosił:

– Przeczytaj raz jeszcze.

Obrócił się do okna, by obserwować nadejście mroźnego, białego świtu. Jego wyprostowana sylwetka, ściągnięte do tyłu barki i lekko uniesiona głowa były częścią portretu milczącej, niedostępnej dla reszty świata samotności. Przyglądając się to Karlowi, to nieprzystępnemu i zdystansowanemu André urzeczonemu blaskiem płomieni, David zacytował Eliota z pamięci:

„My jesteśmy wydrażeni ludzie  
My jesteśmy wydrażeni ludzie  
Wspólnie się wahające  
Głowy napchane słomą. Ach źle!  
Nasze wyschnięte głosy  
Kiedy wspólnie szepczemy  
Są ciche i bez znaczenia



Jak wiatr wśród suchych traw  
Jak łapki szczurów na rozbitym szkle  
W naszej suchej piwnicy”<sup>14</sup>.

# Rozdział 6

Zero była do tego stopnia wyczerpana wydarzeniami ubiegłego tygodnia, że spała aż do późnego popołudnia. Gdy się zbudziła, była w łóżku sama – w ustach miała knebel i została mocno przywiązana do wezglowia. Próbowwała wszystkiego, ale nie dała rady się uwolnić.

Duża ilość czasu wolnego oraz trzeźwiejszy umysł sprawiły, że zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle uda się jej odnaleźć Bobby'ego i czy nic mu się nie stało. Opadło ją złowrózbnе przeczucie, którego nie była w stanie się pozbyć. No i David. Nie miała pojęcia, co o nim myśleć. Starła się, jak mogła, odpychać od siebie nieuchronny wniosek, że może faktycznie był on tym, za kogo się podawał. Przerazały ją te uczucia. Desperacko pożądała substancji, która przyćmiłaby rosnące w niej przerażenie.

David wynurzył się z szafy niecałą minutę po tym, jak zaszło słońce.

Był wychudzony, blady i głodny. Kości wydawały się napierać mu na skórę. Gdy odetkał jej usta, powitała go wściekłym:

– Hej! O co chodzi z tym wiązaniem mnie?

– Chciałem mieć pewność, że nigdzie się stąd nie ruszysz.

Słuchała, jak bierze prysznic. Rozwiązał ją po powrocie z łazienki.

Również wzięła prysznic, wysuszyła włosy, umyła zęby, a następnie nałożyła makijaż i świeże ubrania. Zaskoczyło ją, jak dobrze się poczuła. Zwłaszcza w kontraście do cierpień, jakich ostatnio doświadczyła.

Gdy była gotowa do wyjścia, David oświadczył:

– Najpierw coś zjesz, a potem zaczniemy szukać Dennisa.

– Nie jestem głodna. – Prawda była taka, że jedzenie znajdowało się na samym końcu jej listy priorytetów. Wyprzedzał je wynędzniały wygląd Davida, który z kolei pozostawał w tyle za Bobbym. Na samym czelu znajdowały się jednak prochy.

Wyprowadził ją na zewnątrz głównymi drzwiami. Poczowała ulgę, gdy okazało się, że nie czeka tam na nich ani Frankie, ani nikt inny z bandy.

– Czy w pobliżu znajduje się jakaś restauracja, którą lubisz? – spytał.

– Pyszności u Mae. Mae to właścicielkatej knajpki. Przyjaźnimy się.

Gdy weszli do wnętrza niewielkiego lokalu, przytruchtała do nich starsza kobieta o ciemnych włosach przyprószonych siwizną.

– Kathy! Gdzie się podziewałaś? Bałam się, że znowu cię aresztowali.

Zero uścisnęła kobietę, której pulchne ramiona tego dnia jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej były w stanie podnieść ją na duchu – dzięki nim poczuła, że odzyskuje człowieczeństwo.

– Nie było mnie w mieście, ale już jestem z powrotem. Mae, to David.

Mae zmierzyła go wzrokiem.

– Miło mi cię poznać – powiedziała, ale Zero widziała, że kobieta poddaje go ocenie.

– Jest z Anglii.

– Skąd się znacie? – spytała Mae głosem podszytym podejrzliwością.

Odpowiedział jej David:

– Poznaliśmy się z Kathleen podczas jej niedawnego pobytu w Manchesterze.

– Byłaś w Anglii? – spytała Mae ze zdumionym wyrazem twarzy.

– Miałam tam sprawy do załatwienia – odparła Zero od niechcienia.

Ruszyła w kierunku jednego ze znajdujących się na końcu pomieszczenia boksów tylko po to, żeby uciec od pytań Mae. Kochała ją z całego serca i wiedziała, że kobieta także kocha ją jak własną córkę, ale Mae potrafiła być wścibska jak mało kto.

Gdy usiedli z Davidem, Mae oparła się o krawędź ich stołu, a Zero wyciągnęła menu z uchwytu.

Mae błyskawicznie wyrwała je z jej dłoni i wsunęła z powrotem pomiędzy zaciśnięte metalowe skrzydełka.

– Przychodzi tu, od kiedy skończyła pięć lat – poinformowała Davida Mae, kręcąc głową, a następnie dodała, mówiąc do Zero: – Jeśli do tej pory nie wiesz jeszcze, co tu podaję, to się już nigdy nie dowiesz.

– Ej, Mae! Dolej mi, co? – zawołał któryś z klientów.

– Poczekaj chwilę, Al. – Mae odwróciła się do Zero i Davida. – To jak w końcu znalazłaś się w Anglii?

Zero opuściła wzrok na pokryty laminatem blat stołu. Przyciągnęła do siebie cukierniczkę, a potem zaczęła szybko przesuwać ją w tę i w tę to jedną, to drugą dłonią.

– Znajomy nie mógł skorzystać ze swojego biletu, więc przekazał go

mnie. Byłam tam tylko parę dni. Było bardzo miło.

– Tak? Co to był za znajomy?

Zero podniosła wzrok.

– Mae, umieram z głodu! Mogę dostać chili? I tost bez skórki?

Mae posłała jej wymowne spojrzenie.

– Umierasz z głodu? Ty? Chciałabym to zobaczyć! – Chwilę później dodała jednak: – Już podaję.

Mae odwróciła się do Davida.

– A ty masz na coś ochotę?

Pokręcił głową.

– Wyglądasz, jakbyś od miesiąca nie miał nic w żołądku. Może burgera?

– Nie, dziękuję.

– Kawy?

– Poproszę – zgodził się.

– Można by was oboje używać jako podpórki na książki. Chudzi jak szkielety! – gderała Mae w drodze do kuchni.

Gdy zniknęła, Zero spostrzegła, że David się w nią wpatruje.

– Kłamstwa przychodzą ci z dużą łatwością – stwierdził.

Wkurzyło ją to. Nie było wątpliwości, że miał życie usłane różami.

– Myślisz, że jesteś nie wiadomo kim, co? Masz kasę, wykształcenie i zero prawdziwych problemów. Wyglądasz, jakbyś w całym swoim stuletnim życiu nie przepracował ani jednego dnia.

– Studwudziestotrzyletnim. Nie próbuję cię obrazić, Kathleen. To tylko spostrzeżenie.

– Jasne! Kłamiesz jak najęta, ale nie bierz tego do siebie.

Spojrzała przez okno. Padała mżawka i wychodzący ze sklepu spożywczego ludzie odrywali się od drzwi w pośpiechu, a niektórzy z nich przykrywali głowy gazetą lub reklamówką. Po drugiej stronie ulicy na stojącej w drzwiach skrzynce drzemał jakiś starszy facet. Nie zwracał uwagi na otaczające go zabite deskami budynki i śmieci, a na jego podołku leżało poobijane ukulele.

Zero pomyślała, że nic się tu nigdy nie zmieni. Przez całe jej życie. Ten facet umrze w tych drzwiach i wszyscy będą to mieli gdzieś.

David położył dłoń na jej dłoni. Przez chwilę zapomniała o jego obecności. Jego oczy były takie jasne. Zbyt jasne. W dalszym ciągu przerażał ją jego wychudły, wygłodniały wygląd.

Zadrzała i poczuła ulgę, gdy Mae postawiła przed nią talerz z jedzeniem, mimo że Zero wcale nie miała na nie ochoty. Jednak

uszczeńęła go trochę, żeby zadowolić ich oboje.

Po wyjściu z lokalu Mae Zero zabrała Davida do baru o nazwie Crack, gdzie kiedyś odnalazł ją, a następnie wpakował w tarapaty Dennis. Ruszyli na północ ulicą Delancey, a potem przez East Houston. Mżawka tymczasowo ustała, ale ulice były dalej mokre.

– Jest tutaj? – spytał David, gdy tylko przeszli przez próg.

W barze znajdował się zaledwie jakiś tuzin klientów, głównie Portorykańczyków. Zero rozpoznała kilka twarzy, machnęła do kogoś, ale Dennisa nie dostrzegła.

– Nie. Jest za wcześnie. Może pojawić się za jakiś czas.

Przez godzinę siedzieli przy barze. Ona piła colę, a przed Davidem stał nietknięty budweiser, podobnie jak wcześniej kawa. Zero gawędziła z barmanem – szczupłym mężczyzną z czarnym wąsem o hiszpańskim akcencie. David się nie odzywał. Ale widziała, że obserwuje otoczenie niczym kot, notując wszystko, co się wokół niego dzieje. Około północy podeszła do nich blondynka w krótkiej sukience w panterce na jedno ramię z włosami przyprószonymi czerwonym brokatem.

– Cześć, koleżanko! Co słyhać? Przedstawisz mnie znajomemu?

– Siema, Laser. To David.

– Miło cię poznać. – Laser obdarzyła Davida uwodzicielskim uśmiechem, a potem obróciła się i puściła oczko do Zero. – Bardzo miło.

– Słuchaj, szukam pewnego faceta – powiedziała Zero.

– A temu czego brakuje?

– Niczego. Ale muszę znaleźć kogoś innego. Na imię ma Dennis. Koleś jest czarny, ma rastafariańskie warkoczyki gdzieś dotąd, masę kolczyków, kurtkę z frędzlami i pierścienie w sutkach. Znasz go?

– Tak. To pośrednik, handluje głównie crackiem. Czasami ma też herę. Sprzedaje małolatom.

– Dzieciom? – spytał David ze zszokowanym wyrazem twarzy.

– No przecież mówię. Praktycznie rządzi podstawówką numer 91. Twierdzi, że jak dopadnie kogoś w takim wieku, to będzie miał klienta na całe życie. Niezły świr, co? Po co ci on? Potrzebujesz działki?

– Widziałas go dziś wieczorem? – spytał David.

Laser strzeliła balonem z gumy do żucia, a następnie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Zero zauważyła, że potarła przy tym kolaniem o jego udo.

– Może. Ile dajesz?

– Kto tu komu jest dłużny? – przypomniała jej Zero. – Pamiętasz nalot glin w zeszłe święta i kto cię wtedy ostrzegł?

Laser westchnęła.

– Taa. No dobra, faktycznie jestem ci to winna. Dennis był tutaj. Słyszałam, jak mówi, że musi jechać do Jersey, bo przylatują dziewczynki, które trzeba zawieźć do szpitala. Wróci jutro, bo zawsze pojawia się tu przed dwunastą. Wtedy przyłożą do niego ćpuny.

David wyglądał na zdezorientowanego, więc Zero przetłumaczyła:

– Dziewczynki to koka, chłopcy – hera. Przewozi je w bezpieczne miejsce. – Wzięła go za ramię i oboje wstali. – Dzięki, Laser. Tylko nikomu nie mów, że o niego pytałam, okej?

– Nie ma sprawy. Hej! To prywatna randka czy macie ochotę na trójkącik?

– Wystarczy nam duet – powiedziała Zero, wyciągając Davida za drzwi.

W drodze powrotnej do hotelu zastanawiała się, czy pociągała go Laser.

– Ładna jest, co?

– Dziewczyna, na którą mówiłaś Laser?

– No?

– Tak, bardzo ładna.

Zero przygryzła dolną wargę. Wiedziała, że nie powinno to mieć żadnego znaczenia, ale i tak zrobiło się jej przykro.

– I miła.

– Takie sprawiała wrażenie.

– Chcesz, żeby do nas przyszła? Możemy po nią wrócić.

David spojrzał na nią z uśmiechem. Puścił jej dłoń i zamiast tego objął ją ramieniem. Chłód jego ciała przeniknął przez jej skórzaną kurtkę.

– Wolę nie.

Z jakiegoś niezrozumiałego dla niej powodu ulżyło jej. Objęła go w pasie i ruszyli jednym krokiem w kierunku Alexandra.

Przed budynkiem kręciło się kilkoro dzieciaków, ale nie było wśród nich Frankiego. Gdy tylko weszli do pokoju, David polecił jej położyć się na łóżku.

Zero znowu poczuła zdenerwowanie, chociaż nie wiedziała właściwie dlaczego. Seks zazwyczaj ją nudził, mimo że miała w nim duże doświadczenie, w większości związane z pracą zarobkową. Niektórzy z jej klientów potrafili być mało przyjemni, więc zachodziła

w głowę, dlaczego bała się takiej ciepłej kluchy jak David. Może to dlatego, że jej organizm już prawie całkowicie pozbył się heroiny i zaczynała docierać do niej rzeczywistość. Nie była już dłużej w stanie zaprzeczać, że coś z nim było nie tak. Ani nie wyglądał normalnie, ani nie przypominał wampirów z filmów. Sama już nie wiedziała, w co wierzyć. Nie chciała jednak zbyt dużo na ten temat rozmyślać, bo raz, że ją to przerażało, a dwa – miała ważniejsze rzeczy do roboty. Powinna się skupić na Bobbym.

Położyła się na łóżku, ale zanim zdołała cokolwiek zrobić czy powiedzieć, David spętał jej nadgarstki i przywiązał je do wezglowia.

– Po co mnie teraz wiążesz? Kręć cię takie zabawy?

– Muszę na chwilę wyjść – oznajmił, zawiązując sznurek do bielizny w węzeł, którego w życiu nie udałoby się jej rozsuptać. – Wrócę za jakąś godzinę.

– Dobrej zabawy! – rzuciła z goryczą tuż przed tym, jak zatkał jej usta kneblem.

„I pamiętaj o mnie, gdyby wpadły ci w ręce jakieś prochy” – dodała w myśli.

David podążył na zachód ulicą Delancey, która następnie przechodziła w Kenmare, a potem udał się na południe przez Chinatown, Chatham Square, minął Bowery Savings Bank, aż w końcu doszedł do ratusza. Tam skręcił w Broadway, przeszedł obok cmentarza przy kościele św. Trójcy, gdzie wąskie ulice przemieniały się w kaniony, a szczyty budynków zaważały o niebo i roztrącały wiatry, tworząc wiry powietrzne. Po drodze minął zaledwie kilka osób – dziwaczne typki w różnych stadiach upojenia alkoholowego, depresji czy lunatyzmu, jakie spotykało się o tej porze nocy. Starał się im zbyt mało przyglądać, bo serce mu się krajało na widok jednocześnie zbolalej i zadającej ból twarzy ludzkości. W końcu dotarł do Battery Park.

Miejsce przypominało cmentarz, ale on był wyczulony na najśłabszy nawet dźwięk czy zapach. Cuchnące zgnilizną powietrze kłuło go w nozdrza. Była to mieszanina wielu woni, wśród których obecny był trącający żelazem zapach dławiący mu zmysły. Wyczuwał bijące mocno serce. Dawca leżał na ławce przykryty zielonymi workami na śmieci. Był brudny, poobijany i spał jak zabity.

David uklęknął. W gardle mu zaschło, a jego członki zastygły w bezruchu. Pod niemytą od dawna skórą na szyi mężczyzny słabo pulsowała żyła. Puls. Puls. Ten dźwięk wbijał się w mózg Davida

niczym uderzenia młota. Jak przyciągany magnesem przyłożył zęby do ciała, poczym przebił nimi suchą, cuchnącą skórę. Musujący ogień. Przesunął językiem po karminowym płynie. Smak soli. Wspomnienie krwistego mięsa. Przełknął łapczywie. Jęknął w ekstazie, a mężczyzna odpowiedział mu tym samym, gdy razem kołysali się na boki. David zapomniał o całym świecie.

Gdy skończył czerpać krew, spojrzał na leżący przed nim żaloszny kształt. Mężczyzna nie był martwy, ale nie dawał też wyraźnych oznak życia. Zarówno ta, jak i inne żyły w jego ciele zapadły się w siebie. David nie wysał z niego więcej, niż było konieczne, ale wyczuwał, że zabiedzone ciało miało problemy z podźwignięciem się po takim ataku. Obiecał sobie, że następnym razem wyszuka kogoś zdrowego, kto będzie mógł pozwolić sobie na tego rodzaju stratę.

Jak zwykle uzdrowicielskie działanie krwi sprawiło, że wypełniła go energia. Noc trzeszczała od dźwięków. Wiatr znad Atlantyku szeleścił liśćmi, przemieniając je w naturalne dzwonki wietrzne. Gdzieś ziewnął kot, jazgotliwie zaszczekał szczeniak. Metalowe elementy posągu wybijały synkopowany rytm. Brzęczenie wszechobecnej aktywności wibrujące pośród świeżej trawy pod jego stopami dołączyło do szumu w jego ciele. Od strony rzeki dotarł do niego pociągający w swej intensywności ulotny zapach ryb, który następnie połączył się z mocnym i słodkim aromatem świeżo upieczonego chleba. Pomyślał, że na granicy życia i śmierci, gdzie wszystko się ze sobą łączy – niebo, piekło i co tylko można sobie wyobrazić – wszystko jest możliwe.

W drodze powrotnej dostrzegł mężczyznę i kobietę całujących się w samochodzie i pomyślał o Kathleen. O jej pełnych ognia oczach. Ruchliwych ustach przypominających scenę, na której odgrywane były emocje. Urzekał go dziewczęcy sposób, w jaki przechylała głowę w zapraszającym geście, podczas gdy włosy barwy promieni słońca pieściły jej ramię. Jednak pociągało go w niej coś więcej niż samo fizyczne piękno. Jej bezpośrednie komentarze i naiwne pytania zbiły go z tropu przy więcej niż jednej okazji. Całkowicie się od siebie różnili – kulturą, pochodzeniem, a nawet gatunkiem – a mimo wszystko różnice te wydawały się nieistotne. A najbardziej niesamowite było to, że świadomość tego, kim on naprawdę jest, nie działała na nią odpychająco. Bijąca od niej wola życia i determinacja sprawiały, że David na nowo odkrył w sobie chęć istnienia. Był zafascynowany – nigdy przedtem nie spotkał nikogo, kto choćby trochę ją przypominał, a przynajmniej nie wśród śmiertelników.



Gdy dotarł do Alexandra, Frankie, czarnoskóra dziewczyna i jeszcze jeden chłopak zbili się w grupkę. Wpatrywali się w niego, ale nic nie mówili, co uznał za dziwne. Podśmiewali się tylko i szeptali między sobą w pełnym kodów języku, który przypominał brzmieniem słowny gulasz złożony ze strzępków slangu hiszpańsko-angielskiego, ale David nie był zainteresowany jego odszyfrowywaniem. Po wejściu na pierwsze piętro zaczął nasłuchiwać. Kathleen z kimś rozmawiała.

- No dawaj, Rudy. On zaraz wróci.
- Zaraz wystrzeżę.
- Najpierw daj mi w żyłę. Konam.
- Dostaniesz działkę, jak cię przelecę.
- No to się pospiesz. Niech już będzie po sprawie.

Drzwi zostały wyważone łomem i gdy David bez wysiłku pchnął je do wewnątrz, z framugi posypały się drzazgi.

Grubawy chłopak o przydomku Rudy zajmował właśnie pozycję między nogami Kathleen. Uniósł głowę. Wystający z jego spodni nabrzmiały członek opadł niczym przekłuty balon. Na jego twarzy zagościł wyraz zaskoczenia i zażenowania. Na stoliku obok łóżka znajdowały się łyżka, szklanka wody, zapałki oraz strzykawka z nałożoną na nią igłą.

David chwycił chłopaka i cisnął nim o komodę.

Rudy wrzasnął, a następnie krzyknął:

- Człowieku, złamałeś mi nadgarstek!

Wyciągnął przed siebie zranioną rękę niczym chłopiec proszący mamę o plaster. Jedyna różnica tkwiła w przerażeniu wypisanym na jego twarzy.

– W tej chwili zawołaj tu Frankiego albo na tym się nie skończy – zagroził David.

Rudy niezdarnym szarpnięciem zdrowej ręki zapiął suwak spodni i wybiegł za drzwi, zerkając trwożnie na Davida, jakby bał się, że lada moment może zostać rozkwaszony na miazgę.

- To nie tak, jak myślisz – powiedziała pospiesznie Kathleen.

Dalej była przywiązana do łóżka, z tym że teraz była naga – bez spodni, z T-shirtem podciągniętym ponad głowę i zwałkowanym wokół łokci. Sprawiała wrażenie wystraszonej.

Frankie musiał od razu ruszyć na górę, bo po kilku sekundach pojawił się w pokoju. Spojrzał na zniszczoną framugę drzwi, a potem na łóżko i parsknął śmiechem.

- Zboczek z ciebie! – Chłopak obrócił się do Davida z pogardliwą

miną. – Słyszałem, że chcesz się ze mną widzieć?

– Wprost przeciwnie, nie chcę cię widywać. Ani ciebie, ani twoich przyjaciół. Jeśli przyłapię kogokolwiek z was w tym pokoju albo na podawaniu Kathleen narkotyków, ty osobiście odpowiesz za błędy waszego zachowania. Czy wyrażam się jasno?

– Jasne, ziomku. Połamiesz mi kości, tak? – zaśmiał się Frankie.

Wyciągnął coś z kieszeni. Rozległo się ostre kliknięcie, po czym w powietrzu mignęło srebrne ostrze.

David chwycił Frankiego za przedramię i wyrwał mu sprężynowiec, zanim chłopak zdążył zareagować. Frankie uniósł otwarte dłonie i cofnął się o krok.

– Hej, stary, wyluzuj!

David popchnął go jeszcze dalej do tyłu. Zgiął nóż, doprowadzając do zetknięcia się ze sobą obu jego końców oraz pęknięcia mechanizmu sprężynowego.

Frankie wytrzeszczył oczy na swoją broń.

– Jak to zrobiłeś?

– Mniejsza o technikę. Wystarczy, że wiesz już, iż ani ty, ani nikt z twojego gangu nie jest dla mnie godnym przeciwnikiem. Jesteś przywódcą, więc reszta cię posłucha. Jeśli chcesz dalej sprawować rządu i ocalić skórę, musisz zacząć trzymać ich w ryzach. A teraz wynocha!

Frankie opuścił pokój ze zszokowaną miną. David szedł tuż za nim, spokojnie, metodycznie prostując ostrze noża. Zaryglował drzwi w popękanej futrynie, świadomy coraz bardziej szaleńczego tempa bicia swojego serca, aż w końcu poczuł, jak w jego piersi ma miejsce zmiana przypominająca zmuszanie silnika do pracy w szybkim biegu. Wyzwoliło to w nim coś szpetnego i groźnego. Wiedział, że nie potrafi powstrzymać tego, co nadchodzi.

Usiadł na niej okrakiem z nożem wzniesionym ponad jej piersią.

– Co załatwi sprawę, Kathleen? Co wypełni tę wielką egzystencjalną pustkę, która ci doskwiera? Pragniesz igły, ale ja ci jej nie dam. A na jedzenie nie masz ochoty. Co jeszcze pozostaje? Nóż? Mogę przebić cię nim aż po serce, tak jak chciałaś to zrobić mnie. Chyba że wolisz, abym przebił zębami twą szyję? To może odrobinę przypominać ukłucie igły, nie sądzisz? Pobranie substancji zamiast jej wstrzyknięcia. A może to mego członka pożądasz tak rozpaczliwie? Wybierz sama! Czym wypełnimy tę ziejącą w tobie pustkę?

– Proszę! To nie tak, jak myślisz!

– Wybierasz nóż? Wystarczy, że to powiesz.

– Nie! Błagam!

Wbił nóż w bok stolika nocnego.

– W takim razie zęby. Mam wgrzyźć się w twoje ciało? Wielu śmiertelnikom sprawia to przyjemność. Czy okażesz się jedną z nich?

– David, przepraszam.

– Zatem chodzi o mój członek. Desperacko pragnęłaś, abym to nim cię wypełnił.

– Nie. Tak. Jeśli tego właśnie chcesz.

– Nie, to ty tego chcesz, Kathleen. To w tobie tkwi ta luka.

– Tak. Tak. Wsadź mi go.

– Tylko gdzie? W usta?

– Nie. Nie tam. Albo niech będzie.

– Odbyt?

– Jasne, może być.

– A może w cipkę?

Zamilkła.

– Co wybierasz, Kathleen? Pospiesz się. Nie mam do dyspozycji całej nocy. Niedługo wszędzie słońce i przez cały kolejny dzień będziesz musiała zmagać się z tą pustką.

– Wszystko jedno. Zrób, co chcesz.

– Nie! Czego ty chcesz?

Wyglądała na wystraszoną, ale powiedziała:

– Normalnie. Ale od tyłu.

Niedelikatnie obrócił ją na brzuch. Doprowadził się do stanu wystarczającej twardości, po czym wszedł w nią, nawet nie próbując jej uprzednio podniecić.

– O, Boże! – zakwiliła.

Obserwował sam siebie z bardzo daleka i nie mógł nic zrobić. Czuł się zdystansowany i pozbawiony wszelkich emocji, które pomogłyby mu zakończyć to szaleństwo.

„Jestem obłąkany” – pomyślał.

Miał ochotę ją zranić, rozerwać na strzępy i słuchać jej wrzasków. Jej dłonie zacisnęły się na sznurze, a plecy pokryły się potem. Złapał ją za włosy i pociągnął jej głowę do tyłu, jakby była koniem, a nie istotą ludzką.

– To tego chciałaś przez cały czas, zgadza się? – wyszeptał z goryczą.

– Mocniej! – jęknęła.

Przemoc wzięła nad nim górę. Dopiero gdy poczuł smak jej krwi, zdał sobie sprawę z tego, co robi.

Gdy było po wszystkim, usiadł obok niej na łóżku, podpierając głowę wspartą o kolano ręką. Kathleen bezgłośnie płakała.

Gardził sobą. Nie był w stanie na nią spojrzeć. Upłynęło dużo czasu, zanim zmusił się do pogłaskania drżącą dłonią jej głowy i pleców, próbując ukoić cierpienie, które wywołał.

– Wybacz – powiedział, ale to sprawiło, że poczuł się jeszcze większym nikczemnikiem.

Była do tego stopnia nawykła do przemocy, że już nawet nie potrafiła jej rozpoznać, a to sprawiło go w rozpacz tak głęboką, że z trudem mógł oddychać.

– Zawsze płaczę po seksie. Czuję się winna i brudna. Wiem, że to głupie, ale tak właśnie mam.

Popatrzyła na niego, ale on nie mógł spojrzeć jej w oczy.

„To ja jestem winny” – pomyślał, nie wiedząc nawet, jak jej to wytłumaczyć. Zamiast tego głaskał dalej jej włosy drżącą spazmatycznie dłonią.

– Mój stary zaczął mnie posuwać, gdy miałam jedenaście lat – oznajmiła znienacka spokojnym, wypranym z emocji głosem, odwracając jednocześnie wzrok. – Pewnie nie powinnam mu na to pozwolić, ale byłam taka młoda. Nie byłam do końca pewna, co się dzieje, rozumiesz? Rok wcześniej umarła mama. A on pił, od kiedy sięgam pamięcią. Bił i mnie, i ją. Robił się coraz gorszy. Wracał do domu w środku nocy, budził mnie i wrzeszczał, że byłam podła i musi mnie ukarać dla mojego własnego dobra, żebym nie zrobiła się tak zepsuta jak matka. Mogło chodzić o coś, co faktycznie robiłam, jak zabicie szklanki, albo o coś, co nie miało miejsca. W każdym razie zdejmował z siebie szeroki skórzany pas, który zawsze nosił, i kazał mi położyć się na brzuchu, żeby mógł mnie okładać po tyłku i udach – czasami tak długo, aż robiły mi się tam wielkie siniaki. Jeśli płakałam, bił mnie jeszcze mocniej, więc nauczyłam się znosić to w milczeniu. A on potrafił dać tęgie lanie. Nieraz przez parę dni nie byłam w stanie usiedzieć w szkole. A po tym, jak mnie zlał, kładł się ze mną do łóżka i był dla mnie na swój sposób miły, i... no wiesz...

Davidowi zebrało się na mdłości. Sama myśl o tym, że zachował się tak jak jej ojciec – najpierw ją ukarał, a potem zabrał się do jej pocieszania – napełniła go wstrętem. Nigdy wcześniej nie przekroczył tej granicy. Zawsze postrzegał się jako ofiarę, a od czasu do czasu jako

zbawcę.

„Teraz stałem się również ciemieżcą” – skonstatował David ponuro.

– Posuwał mnie, dopóki nie skończyłam czternastu lat i zmusiłam go, żeby przestał. Kobieta z opieki społecznej poradziła mi, żebym zamknęła się w sobie. Powiedziała, że muszę to wyprzeć, i to dlatego nic w środku nie czuję. Zawsze płaczę, gdy jest już po wszystkim, i nie wiem o orgazmów.

Miał ochotę ją utulić, ale jednocześnie czuł się niegodziwy i brutalny – był tchórzliwym drapieżką zerującym na słabszej, bezbronnej istocie.

„Ja też jestem słaby – stwierdził. – Pozwoliłem jej wciągnąć się do rynsztoka, który ona uważa za dom”.

Od momentu gdy Kathleen pojawiła się w Manchesterze z misją zabicia go, David czuł, że coraz bardziej traci kontrolę i zsuwa się coraz niżej z czubka mrocznej i niebezpiecznej góry lodowej, o wysokości której bał się nawet myśleć.

– Porzucił nas, gdy miałam piętnaście lat. Urodził się Bobby i wychowywałam go sama, a to było niełatwe. Wtedy właśnie wyrzucili mnie ze szkoły. Miasto wysyłało mnie do psychologów i pracowników opieki społecznej, psychiatrzy zadawali mi pytania i notowali wszystko, co mówiłam, ale nic nie pomogło. Chyba jestem beznadziejnym przypadkiem. W każdym razie parę lat temu zaczęłam brać herę i się wciągnęłam, a teraz... teraz chcę tylko być z Bobbym.

– Jak to możliwe, że Bobby jest twoim bratem?

– Co?

– Skoro twój ojciec odszedł, a mama umarła, to w jaki sposób Bobby może być twoim bratem?

Kathleen nerwowo zmieniła pozycję ciała, następnie obróciła się do niego ze łzami w oczach.

– Mój stary zmajstrował dziecko jakiejś dziwce. Ona nie chciała Bobby’ego, więc ja go przygarnełam. Jest dla mnie wszystkim. – Spojrzała mu w oczy. – Mogę z tobą spać?

Odsunął dłoń. Nie mógł znieść myśli o tym, że byłaby tak blisko niego.

– Nie dziś. Potrzebuję być sam.

Spuścił heroinę i igłę w toalecie, przykrył Kathy kocem i zgasił światło.

– Kathleen – odezwał się w ciemności. – Jest mi bardzo przykro, że cię skrzywdziłem. To było z mojej strony bardzo niewłaściwe.

Zrozumiem, jeśli nigdy mi nie wybaczysz.

– Nie przejmuj się. To nic takiego. Gorzej mnie krzywdzono. Przeżyję – odparła, ale jej głos wydawał mu się niepewny.

Położył się na leżącym w szafie dywanie i zamknął drzwi, odcinając się od świata. Serce waliło mu w piersi boleśnie, oskarżycielsko, a z oczu popłynęły gorące łzy. Prześladowały go słowa Byrona:

*„I niechaj sprawi, że twe myśli zgnie,  
Tobie i światu staną się niemiłe”<sup>15</sup>.*

Dopiero w całkowitym odosobnieniu i mroku z przerażeniem zdał sobie sprawę z tego, że wcale nie jest lepszy od Ariel.

## Rozdział 7

Cześć! – powiedziała Zero.

David spał do późna i według niej wyglądał kiepsko. Jak z krzyża zdjęty.

Poszedł prosto do łazienki, nawet nie patrząc w jej kierunku. Gdy odkręcił wodę, dobiegł ją terkot dochodzący z rur. Do pokoju wrócił nagi, z wyjątkiem białego ręcznika, którym owinał się w pasie. Podeszedł do łóżka i rozwiązał ją.

– Szykuj się. – Jego głos pozbawiony był wyrazu. – Wracamy do tamtego pubu, żeby odnaleźć Dennisa.

Pobiegła do łazienki i w pierwszej kolejności skorzystała z ubikacji. Następnie odkręciła prysznic i wróciła do pokoju. Wzięła kilka rzeczy z komody, po czym podeszła do stojącego przy oknie krzesła, na którym siedział David. Odpiął wcześniej zasłony i migoczący blask czerwonego neonu odbijał się od jego bladego ciała. Jego skóra przypominała jej, że się od siebie różnią, ale Zero się go nie bała. Nawet po tym, co zdarzyło się zeszłej nocy. Zachował się jak prawdziwy dupek, a mimo to w większości przypadków okazywał się miłszy niż jakikolwiek inny znany jej facet. Przyklękła obok Davida i dotknęła jego ramienia. Było chłodne, a on nawet na nią nie spojrział.

– Słuchaj, trochę o tym myślałam i cieszę się, że jesteśmy razem – wiesz, o co mi chodzi? Lubię cię.

Zrobiła pauzę.

– Nie jesteś taki jak cała reszta. Zazwyczaj jesteś delikatny. Nie chcę przez to powiedzieć, że mięczak z ciebie czy coś, tylko że, wiesz, jesteś życzliwy. Tak sobie myślałam, że jak odnajdziemy już Bobby'ego i tego kogoś, kto się na ciebie wziął, moglibyśmy dalej być razem i...

– Jedynym powodem tego, że jesteśmy razem, jest chęć znalezienia twojego brata oraz wytropienia człowieka, który nasłał cię na mnie. Gdy osiągnę oba z tych celów, powrócę do Anglii – samotnie.

Gwałtownie odsunęła dłoń, jak gdyby dotknęła rozgrzanego pieca, po czym wstała.

– Pewnie. Nie ma sprawy. Nie zwracaj na mnie uwagi. Czasami gadam jak nakrecona. Mae ciągle mi to mówi.

Wolnym krokiem ruszyła w kierunku łazienki, czując się jak ofiara wypadku – ogluszona i lekko zszokowana. Położyła przyniesione przez siebie rzeczy na pokrywie muszli klozetowej, a potem odsunęła zasłonę prysznica i nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robi, weszła pod silny strumień i odruchowo zasunęła kotarke. Woda była gorąca, ale Zero tego nie zauważyła. Podniosła niewielką kostkę mydła Ivory i zaczęła namydlać dłonie. Czuła się jak upalona, tyle że w nieprzyjemny sposób – doświadczała tej samej pustki w głowie oraz obniżonej wrażliwości na ból. Wokół niej kłębiła się para, przelewając się ponad zasłonką i wypełniając pomieszczenie. Słuchała dźwięku wody uderzającej o glazurę. Mydło wyslizgnęło jej się z palców, ale nie zadała sobie trudu, żeby je podnieść.

Uczucie wywoływane przez wodę chłuszczącą jej plecy osłabło, a jej ciało popadło w odrętwienie podobne temu, jakie ogarnęło jej duszę. W pewnym momencie Zero poczuła się wyczerpana. Rękoma oparła się o chłodne płytki, a głowę ukryła w ramionach. Potem zaczęła bezgłośnie płakać, jak wtedy, gdy bił ją ojciec, i ugięły się pod nią kolana.

Zasłona została gwałtownie rozsunęta i David chwycił ją, wyjął z wanny i mocno przytulił, obsypując jej mokrą twarz pocałunkami. Powietrze przeszył przeciągły jęk przypominający głos schwytanego w śmiertelną pułapkę zwierzęcia, a ona ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że wydobył się z jej gardła.

Zaniósł ją na łóżko, szepcząc:

– Och, Kathleen. Moja Kathy. Tak bardzo mi na tobie zależy.

Poczuła ukłucie bólu, po którym zaniósł ją głośnym szlochem; bólu gorszego od doświadczonych wcześniej symptomów odstawienia czy jakiegokolwiek lania, jakie dane jej było znosić. Im mocniej płakała, tym bardziej gorączkowo całował ją David, a większej liczbie pocałunków towarzyszyło z kolei jeszcze więcej łez.

– Kochaj się ze mną! Proszę!

Zaczął pieścić jej włosy, twarz, piersi, poświęcając jej więcej czasu, niż mogłaby oczekiwać. Chwilę później wypełniło ją uczucie ciepła oraz pragnienie, aby znalazł się bliżej, i przyciągnęła go do siebie. Gdy w nią wchodził, otworzyła się w sposób równie naturalny jak kielich kwiatu w reakcji na promienie słońca.

– Tak, tak – krzyczała, nie mogąc pojąć, jak to możliwe, że czuje się tak wspaniale.

Kochał się z nią niespiesznie, lecz namiętnie. Nie mogła się nim



nasycić – jednocześnie śmiała się i płakała uwieczona w otchłani dzielącej rozkosz i ból.

– Zostań we mnie. Na zawsze – wyszeptała.

David poruszał się w niej coraz szybciej i głębiej, a dla Zero ta chwila zaprawiona była goryczą. Jej kończyny owinięły się wokół jego ciała, aby nie pozwolić mu wycofać się w ostatnim momencie.

I w końcu opadli na łóżko bez tchu. On nadal lekko ją przytulał, a ich ciała splecione były ze sobą.

– Czuję cię – powiedziała. – W środku.

W jej głosie słyszał zdumienie i podziw i sam z trudem był w stanie uwierzyć w potęgę tego, czego właśnie doświadczyła.

– Nie miałam pojęcia, jakie to może być uczucie.

Gdy przekraczali próg Cracku, z wiszącego nad drzwiami olbrzymiego głośnika ryczała muzyka rockowa. David nie znosił tych zgrzytliwych, nowoczesnych dźwięków. Były niczym papier ścierny dla jego duszy i przysparzały bólu nadmiernie wyczulonym błonom bębenkowym w jego uszach.

Kathleen chciała ruszyć w głąb pomieszczenia, ale on powstrzymał ją, wołając, aby nie rzucali się w oczy. Przekreślił jej głowę ku sobie, a ona uniosła usta do pocałunku.

– Bądź bardzo ostrożna. W razie najmniejszych nawet problemów daj mi znak, a pojawię się przy tobie.

Usiadł na stołku w zacienionej części baru, skąd mógł obserwować wnętrze całego lokalu, a Kathleen poszła na drugi koniec pomieszczenia.

Stworzyli plan podczas posiłku w restauracji Mae. Kathleen samodzielnie nawiąże kontakt z Dennisem i odbierze Bobby'ego, a dopiero wtedy David wkroczy do akcji.

Obserwował ruchy odzianej w obcisłe skórzane spodnie Kathleen, której kołyszące się w sposób całkowicie naturalny biodra przyciągały wzrok mężczyzny niczym syreni śpiew wabiący urzeczonych marynarzy.

Zatrzymała się, żeby zamienić słowo z Laser, a ta musiała najwyraźniej spytać o Davida, bo Zero skinęła głową w kierunku baru. Następnie ruszyła dalej i zaczęła iść po obwodzie pomieszczenia, skupiając uwagę na stoliku w rogu, przy którym siedział w otoczeniu rówieśników młody mężczyzna o brązowej skórze i muskulaturze osiągniętej poprzez regularne podnoszenie ciężarów. Długie włosy związane na rastafariańską modłę w cienkie warkoczyki zwisały mu do

ramion. Miał na sobie niezapiętą, błękitną koszulę roboczą z odciętymi rękawami – podobną do tych, które były popularne w latach sześćdziesiątych – a do tego modne dżinsy, jasnobrązowe buty robotnika budowlanego oraz ciemnobrązową skórzaną kamizelkę z półmetrowymi frędzlami. Mówił i gestykulował w niezwykle ożywiony sposób i nieustannie bawił się półtuzinem kolczyków i klipsów zdobiących zewnętrzne krawędzie obu uszu. Siedząc z boku, David był w stanie dostrzec sporych rozmiarów złoty pierścień zwisający mu z brodawki na piersi.

David patrzył, jak mężczyzna zwilża opuszki palców, bierze szczyptę jakiejś substancji z kieszeni kamizelki, a następnie wciera proszek w dziąsła.

– Dotrzymać ci towarzystwa? – Laser usiadła na stołku obok Davida.

Była atrakcyjna, ale w inny sposób niż Kathleen. Jej uroda była bardziej surowa, czym przypominała Atenę. Kathleen wierzyła, że sama świetnie sobie radzi w tej miejskiej dżungli, ale on wiedział, że Laser miała nad nią przewagę.

– Postawisz dziewczynie drinka?

– Na co masz ochotę?

– Whisky. Podwójną.

Gdy przed Laser pojawił się zamówiony alkohol, powiedziała:

– Zero nieźle się prezentuje. Zdrowo. Nie widziałam jej tak szczęśliwej od... Jezuu, nawet nie wiem, jak długo. Musi być z ciebie istny dynamit w łóżku.

David nerwowo zmienił pozycję na stołku.

– Długo się znacie z Kathleen?

Dziewczyna przyłożyła szklanekę do ust i miała właśnie upić łyk whisky.

– Kathleen? Jesteś jedyną osobą oprócz Mae, która tak na nią mówi. Tak, kumplujemy się od paru lat.

Laser pociągnęła długi łyk i odstawiła szklanekę na papierową podkładkę.

– Spotykała się z wieloma chłopakami?

– Kto, Zero? Chyba żartujesz? Jesteś pierwszym facetem, z którym widziałam ją w dwa wieczory z rzędu, nawet wliczając w to klientów. Nigdy nie miała alfonsa. Myślałam, że nie gustuje w facetach.

David spojrział w drugi kraniec pomieszczenia. Kathy stała przy stole, a Dennis zerwał się na równe nogi z wystraszoną twarzą.

– A ty co, przykleiłeś się do niej czy coś?

– Czy coś – odparł David.

– Ja to mam szczęście.

Głównie odzywała się Kathleen. Dennis wziął ją za ramię i skierowali się ku drzwiom. Nie patrzyła na Davida, gdy mijali bar.

Podniósł się szybko i położył na kontuarze kilka banknotów, żeby zapłacić za drinki.

– Ej, gdzie się wybierasz? – spytała Laser.

– Muszę już iść. Wybacz.

– Dopiero zaczęliśmy się zaprzyjaźniać.

Złapała go za ramię i przyciągnęła blisko siebie, jakby chciała polizać mu ucho, ale zamiast tego szepnęła:

– To śmieć. Prawdziwy skurwiel. Niejednego gościa już pociął. Chowa kosę w lewym bucie.

– Dziękuję, Laser. Doceniam twoją pomoc.

Uniosła szklanę.

– Jak weźmiecie z Zero rozwód, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Obróciła się.

Na dworze David wyczuł zapach Kathleen. Po tym jak skosztował jej krwi, jej woń już nazawsze miała pozostać w jego pamięci niczym magnetyczna siła, której mógł dać się przyciągać wedle życzenia. Umiał oddzielić ten zapach od innych i podążać jego tropem jak pies szukający zagrzebanej gdzieś kości. Na rozsądne dystanse, rzecz jasna.

Skręcił w ciągnącą się za lokalem alejkę. Jego kroki stały się ruchami drapieżcy tropiącego zwierzynę. Na końcu uliczki nikłe światło żarówki oświetlało kolejny zakręt, a on przystanął. Wyczuwał parę ciepłokrwistych istot.

Skręcił za róg, wtapiając się w cień.

Alejka kończyła się ślepym zaułkiem. Kathy siedziała na zamkniętym kontenerze na śmieci pod lampą oświetlającą tylne wejście do baru. Opierała się plecami o ceglana ścianę, a górną część ramienia miała ciasno obwiązaną kawałkiem postrzępionego materiału. Jej uwaga skupiona była na Dennisie, który stał plecami do Davida.

David dostrzegł w jego dłoni łyżkę. Widział, jak mężczyzna spluwa do niej, pstryka plastikową zapalniczką, a potem przesuwając płomieniem pod jej zbiorniczkiem.

– David! – krzyknęła Kathy na jego widok.

Dennis się obrócił. Zmarszczył czoło, a na jego twarzy pojawił się

wyraz zaskoczenia zmieszany z wściekłością.

– Kto to jest, do kurwy nędzy?

– Znajomy.

– Ta-a? – spytał Dennis, jakby jej nie dowierzał, ale chwilę później powrócił do przyrządzania narkotyku. – Potrzebujesz działki, stary? Wymieniam zielone na brązowe. Prochy czyste jak łąka. Dam w żyłę tej suczce, a potem zajmę się tobą.

David wszedł w zasięg światła. Uderzył Dennisa w rękę. Łyżka poleciała na drugi kraniec alejki i zabrzęczała o beton. W oczach Dennisa jednocześnie rozbłysły wściekłość i strach. Pociągnął za płatek lewego ucha i powiedział:

– To ty jesteś tym gościem? Słuchaj, zapłaciłem Fergusonowi. Nie próbuj mnie wydoić, bo rozwalę ci łeb.

David przesunął się do przodu, naruszając przestrzeń osobistą Dennisa.

– Dlaczego wysłałeś Kathleen do Anglii, żeby mnie zabiła?

– Kurwa, to ty? Mówiła, że cię zaciukała. – Obrócił się do Kathleen.

– Kłamliwa suka!

– Dlaczego próbujesz mnie zabić? – zażądał odpowiedzi David.

– Hej, bracie, to nie ja. – Dennis uniósł dłonie w geście protestu.

Wyglądał na zbitego z tropu, jakby nie był pewny, z kim ma do czynienia.

– Byłem dłużny jednemu kołesowi, a ten powiedział, żebym zwerbował Zero. Dał mi paszport, kasę, bilet na samolot. Nic więcej nie wiem, stary.

– Wiesz, komu wyświadczyłeś tę przysługę.

Dennis nie odpowiedział.

David spojrzał mu w oczy. Preferował użycie hipnozy, ale narkotyki miały niszczyielski wpływ na świadomość. Nie było z czym pracować. Dennis coś jednak dostrzegł i stał się bardzo ostrożny niczym zwierzę, któremu coś grozi.

Próbował objąć Davida ramieniem.

– Stary, usiądźmy i przedyskutujmy tę sytuację. Wejdźmy do środka. Wypijemy po browarku i...

– Nawet nie próbuj go wyrolować – ostrzegła Dennisa Kathleen. – Może nie wygląda groźnie, ale sama widziałam, jak w pojedynkę załatwił sześciu facetów.

Dennis chwilę nad tym rozmyślał. David odniósł wrażenie, że diler nie traktuje Kathy poważnie, więc zaskoczyło go, gdy mężczyzna

powiedział:

– Cholera, człowieku, marnujesz mój czas. To z Wężowym Kapłanem powinieneś o tymgadać. Zarządza dziewczynkami na czterdziestym drugim równoleżniku.

– To spora planeta. Gdzie dokładnie?

– Chodzi mu o Czterdziestą Drugą Ulicę w śródmieściu – wyjaśniła Kathleen.

Zeskoczyła z kontenera na śmieci i odwiązała szmatę z ramienia.

– Wszyscy znają Wężowego Kapłana. Znajdziemy go. Ale co z Bobbym?

– Ty szalona cipo. – Dennis potrząsnął głową. – Nie wiem nic o żadnym, kurwa, Bobbym, mówię przecież wyraźnie. Jestem tylko pośrednikiem i zaczynam dochodzić do wniosku, że to nie było warte zachodu. Wężowy Kapłan mówił, żebym nie spodziewał się twojego powrotu.

– Dlaczego tak powiedział? – spytał David.

– Skąd mam to wiedzieć, do jasnej cholery? Wężowy Kapłan nie opowiada mi o swoich interesach, tak jak ja nie mówię mu o swoich. Wyświadczyłem mu przysługę, żebyśmy byli kwita, czaisz?

– On nie wie nic więcej – stwierdziła Kathy. – Chodźmy stąd.

David puścił Dennisa i wziął ją za ramię. Gdy tylko się obrócili, wyczuł ruch i okręcił się wokół własnej osi w samą porę, żeby dostrzec, jak Dennis wyciąga z lewego buta składany nóż.

David odruchowo przyjął pozycję do walki na pięści, której nauczył się w Cambridge ponad wiek temu. Dennis odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Rozłożył nóż ze zrelaksowaną miną.

– Będzie z ciebie karma dla dzikich kotów, biały złamasie.

Błysnęło ostrze.

Zanim Dennis zdążył wyrzucić z siebie kolejną pyską uwagę, David uderzył go pięścią w skroń i diler wpadł z łoskotem pomiędzy metalowe kosze na śmieci. Dennis podniósł się na nogi z żadną krwią miną. Ostrze noża śmigało w powietrzu na wysokości jego brzucha. David wbił podeszwę buta w lewe kolano Dennisa i usłyszał, jak pęka staw. Dennis upadł na plecy i wrzasnął. Nóż zagrzechotał o ziemię, a Zero wykopała go poza zasięg dilerka.

David uniósł męczycznę za długie warkoczyki. Raz za razem uderzał Dennisa w twarz, nie mogąc się powstrzymać, uwięziony w powtarzalności tego ruchu: zamach ręką, uderzenie pięścią, dźwięk kaleczącego ciała. Nozdrza zalała mu woń krwi. Jego ciało wypełniło

się mocą. Czerwona mgiełka przed oczami sprawiała, że w tej chwili istniała dla niego tylko krew Dennisa. David nie przestawał go bić jeszcze długo po tym, jak opór ze strony dileru ustał. Pachnąca metalem jucha splamiła mu dłonie i twarz. Przesunął po niej językiem. Miał ochotę nurzać się w płynnym szkarłacie.

Kathleen złapała go za rękę. Jej głos przeniknął do jego wersji rzeczywistości i kazał mu przestać:

– David! Zabijesz go!

Jego pięść zawisła w powietrzu. Twarzy młodego mężczyzny nie dało się już rozpoznać. David rozluźnił uścisk i wilgotne od krwi ciało opadło na chodnik. Obrócił się do Kathleen. Na jego widok oczy dziewczyny wypełniły się strachem i wydała z siebie krzyk.

– Zapomnij o tym – powiedziała Zero. Wrócili już do Alexandra, a ona siedziała z jego głową na kolanach. – Musiałeś to zrobić.

Uniosła jego prawą dłoń. Została poważnie poraniona w trakcie bójki, ale już zaczynała się goić. David prawie już doszedł do siebie, ale ona nigdy nie zapomni wyglądającego wyrazu jego twarzy. Oczu wściekle lśniących czerwonym, demonicznym blaskiem. Kłów przypominających szpikulce do lodu. Zero zadrżała i zmusiła się do odsunięcia od siebie tych myśli.

– Posłuchaj, ten facet to pijawka. Sprzedaje ten syf dzieciom w wieku Bobby’ego.

– Ale Kathy, on jest tylko człowiekiem, a ja nie jestem Bogiem, chociaż przedstawiciele mojego gatunku próbują czasami sprawiać takie wrażenie. – Jego słowa pobrzmiwały goryczą. – To nie była sprawiedliwa walka. Prawie go zabiłem.

David przekreślił się na bok. Rysy jego twarzy wykrzywiło cierpienie.

– Jezu, o co ci właściwie chodzi? Chciał nas oboje załatwić: ciebie nożem, a mnie prochami. Dajże spokój! Nie jesteś Matką Teresą, tylko zabójcą, pamiętasz?

– Otóż to, Kathy. Nigdy jeszcze nikogo nie zabiłem. Odbieram im tylko to, co jest mi potrzebne, żeby utrzymać się przy życiu. Wystarczy, że śmiertelnicy unicestwiają się nawzajem. Ja odmawiam udziału w tym obłędzie. Tak długo chlubiłem się faktem, że udawało mi się powstrzymać od zbędnej przemocy, a przed chwilą o mały włos nie zamordowałem człowieka, nawet nie zasłaniając się wymówką, że potrzebna mi jego krew. Tego nie da się usprawiedliwić. Ulegam procesowi degeneracji, którego nie potrafię zahamować.

– Słuchaj, gdybyś zabił tę łajzę, powinni by ci dać nagrodę za spełnienie obywatelskiego obowiązku. Jak myślisz, ile dzieciaków jeszcze przez niego umrze? – Pogłaskała go po włosach. – David, tylko się broniłeś. Siebie i mnie. Lata wciągania koki już dawno wypaliły Dennisowi mózg. Zabiłby cię bez mrugnięcia okiem. Wyświadczyłeś dużą przysługę i światu, i jemu samemu, posyłając go na jakiś czas na urlop.

Nie potrafiła stwierdzić, czy jej słowa odnosiły jakikolwiek skutek, ale zdawała sobie sprawę z tego, że robi się coraz bardziej wściekła.

– Wiesz co, wkurzasz mnie.

Spojrzał na nią wystraszonym wzrokiem.

– Zastanów się przez chwilę. Zachowujesz się jak jakiś świętoszek, a życie wcale nie jest takie proste, możesz mi wierzyć. Niektórzy ludzie nie potrafią być mili. Czasami trzeba być podłym. Wydaje ci się chyba, że nic cię nie łączy z tym całym zepsuciem, jakbyś pochodził z jakiejś nieskażonej złem planety. Tylko wiesz co? To nieprawda. Nie mam pojęcia, czy naprawdę jesteś tym, za kogo się uważasz, ale kimkolwiek byś był, wcale tak bardzo się od siebie nie różnimy. Robisz, co musisz, żeby przetrwać. Tak jak my wszyscy. A czasami sprowadza się to do wyboru: albo ty, albo ten drugi facet. I jeśli okażesz się cieniem, to skończysz na chodniku, a on pójdzie w swoją stronę.

– Ale, Kathy, wcale nie chciałem go aż tak zranić.

– David, ja tam byłem, pamiętasz? Widziałam, jak walisz w Dennisa niczym w worek treningowy. Nie chciałeś go zranić, ty chciałeś go zabić. Tylko nie chcesz tego przed sobą przyznać.

# Rozdział 8

Ej, bracie, chodzą słuchy, że wsadziłeś Dennisa w gips. Ten koleś to chodząca katastrofa. Gang rządzący terytorium na północ od Houston doszedł do wniosku, że jesteś jednym z nas. Mówią, że rozwalą łeb każdemu, kto maczał w tym palce.

David przyjrzał się Frankiemu. Kathleen mówiła, że jego matka jest Portorykanką, a przylatujący tu raz na rok na święto Jamim Noraim z Miami ojciec – Żydem. To wyjaśniało jego nietypową, ziemistą karnację. Wysoki chłopak przyjął pewną siebie pozę, od niechcenia przeżuwając gumę. Widać było jednak, że ma się na baczności, jakby obawiał się najgorszego.

– Plotki szybko się rozchodzą w waszych kręgach – stwierdził David.

– Taa, jak ciepłe bułeczki. Nie ma się co domyślać, wiemy, co wiemy, nie musimy zmyślać.

– No i? Co chcesz mi w związku z tym powiedzieć?

Frankie przechylił głowę na bok. Wypluł gumę do rynsztoka.

– Dennis to skurwiel. Moja siostra zaczęła przez niego palić crack. Sam bym go dopadł, ale mnie uprzedziłeś.

David skwitował to uśmiechem.

– Nie ma za co. – Objął Kathleen ramieniem. – A co z tym drugim gangiem?

– Są niczym. Nikt się tu z nimi nie liczy. Możesz postawić na Frankiego, stary. Odeślę ich z płaczem do mamy.

Frankie pstryknął palcami i chwilę później u jego boku pojawiła się ładna czarnoskóra dziewczyna z pasemkami koloru fuksji we włosach przeciśniętych na czubku głowy przez srebrny stożek i opadających na bok. Objął ją, imitując tym samym Davida, który z trudem powstrzymał się od wybuchnięcia śmiechem.

– Jak będziesz czegoś potrzebował, to wal prosto do Frankiego. – Chłopak wsunął do ust świeży kawałek gumy Juicy Fruit i wyciągnął paczkę w jego kierunku.

David pokręcił głową w zdumieniu.

– Tak się składa, że potrzebna mi pomoc. Poszukuję człowieka zwanego Wężowym Kapłanem. To alfons ze śródmieścia, nic więcej nie



jest mi znane.

Kathleen spojrzała na niego z taką miną, jakby zaczął zdradzać oznaki niepoczytalności.

Frankiemu opadła szczeka, a chwilę później na jego twarzy pojawił się uśmiech od ucha do ucha.

– O to chodzi! Gdzie się nauczyłeś rymować?

– To stara sztuka. Starsza, niż mógłbyś się spodziewać.

– No co ty!

– To prawda. Kiedyś ci o tym opowiem. Słyszałeś zatem o Wężowym Kapłanie?

– A kto nie słyszał?

– Wiesz, gdzie można go znaleźć?

– Jego trzódka przechadza się po Czterdziestej Drugiej Ulicy. Mogę rozpuścić wici i sprawdzić, gdzie się stołuje i gdzie leżakuje z dziewczynkami.

– Dzięki. Będę ci za to wdzięczny – odparł David.

– Nic mnie tak nie zachęci jak własne dobre chęci. – Frankie kilkakrotnie przybił z Davidem piątkę, wykonując serię złożonych ruchów, jakby od dawna łączyło ich braterstwo krwi. – Na razie, łobuzie.

Gdy ruszyli dalej, Kathy obdarzyła Davida zdumionym spojrzeniem.

– Ależ z ciebie czaruś. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Frankie zachowywał się takprzyzwoicie.

David się zaśmiał.

– *Mano a mano*.

– Co to znaczy?

– Ręka przeciw ręce. Człowiek kontra człowiek. On i tak już mówi dwuwierszem. Niedługo sprawię, że będzie czytał dzieła wieszczów.

Teraz z kolei Kathleen parsknęła śmiechem.

– Chciałabym doczekać tego dnia. Najpierw musiałbyś nauczyć go czytać.

Poszli do Mae, gdzie David zostawił ją samą w boksie. W drodze do wyjścia gestem zaprosił właścicielkę lokalu na stronę.

– Niebawem wrócę. Tak szybko, jak będę w stanie. Czy mogłaby pani zaopiekować się nią do tego czasu?

Mae zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, jakby uciekł z wariatkowa.

– To dorosła dziewczyna. W jaki sposób mam się nią zająć?

– Proszę ją tu zatrzymać. Może to pani dla mnie zrobić?

Mae podrapała się po prawie całkiem już siwych włosach.

– No dobra. Tylko się pospiesz. Nie przykuję jej przecież łańcuchem do stołu.

Gdy David wyszedł, Mae usiadła z Zero, patrząc, jak ta opycha się opiekaną kanapką klubową.

– Kochanie, nigdy jeszcze nie widziałam, żebyś tyle jadła. Ten facet musi mieć na ciebie dobry wpływ.

Zero spojrzała na nią z szerokim uśmiechem.

– To prawda, Mae. Nie jest taki jak cała reszta. Lubi mnie. Jest miły.

Mae odpowiedziała jej uśmiechem i poklepała Kathy po dłoni.

– Cieszę się, kochanie. Zasługujesz w życiu na coś dobrego, bo dotychczas nieczęsto ci się to zdarzało.

Jedząc, Zero rozmyślała o wydarzeniach zeszłego wieczoru. David był inny, ale już jej nie przerażał. Jeśli do życia potrzebował krwi, to tak właśnie musiało być i była w stanie to zaakceptować. Słowo „wampir” najlepiej go opisywało – chociaż nie do końca pasowało – ale nie miało to w tej chwili znaczenia.

Odłożyła ostatnią część trzywarstwowej kanapki i z powagą spojrzała ponad stołem.

– Mae, on czyta mi wiersze, a jego głos jest tak piękny, że mam wrażenie, że jestem w niebie i anioły grają dla mnie na harfach. Potrafi mądrze mówić i zna się na rzeczach, o których nigdy nawet nie słyszałam. I uważa, że jestem bystra. Mówi, że posiadam wiedzę życiową, której nie ma w książkach. Według niego życie nie dało mi szansy.

Zamyśliła się na chwilę.

– Jak można stwierdzić, czy się kogoś kocha?

– A co ja jestem, ciocia dobra rada?

Głos Mae tak naprawdę pozbawiony był jednak sarkazmu, a wyraz jej twarzy złagodniał.

– Pamiętam, jak spotykałam się z Williem. Strasznie przystojny był z niego chłopak. Co niedzielę po mszy przynosił mi kwiaty, punktualnie jak w zegarku. Oczywiście to było w latach czterdziestych, kiedy ludzie jeszcze chadzali do kościoła. Toczyła się wojna i Willie miał niedługo płynąć do Europy, a ja siedziałam w oknie, czekając na niego. Matka wrzeszczała, że jestem największą ladacznicą w Nowym Jorku, bo daję chłopakowi do zrozumienia, że mi się podoba. W tamtych czasach się tego nie robiło. Ale ja nigdy jej nie słuchałam.

– Miałaś ochotę spędzać z nim cały swój czas?

– Właśnie tak się czułam. Willie przyjeżdżał z drugiej strony rzeki z Fort Dix, gdzie stacjonował jego oddział. Prawie co weekend udawało mu się dostać przepustkę, żeby się ze mną zobaczyć. Bardzo elegancko wyglądał w mundurze galowym. Mówię ci, nie byłam jedyną dziewczyną, której wpadł w oko.

– Czy gdy z nim byłaś, czułaś się jakoś tak dziwnie? Jakbyś miała loda, który roztapia się szybciej, niż jesteś w stanie go jeść?

Mae się roześmiała.

– Coś w tym stylu.

Nagle twarz starszej kobiety zmarszczyła się ze smutku, a Zero zdała sobie sprawę, co musiały dla niej znaczyć wszystkie te lata spędzone bez Williego.

– Ojej, Mae! Tak mi przykro. Nie powinnam w ogóle poruszać tego tematu.

W oczach Mae zalśniły łzy, ale kobieta raz jeszcze poklepała Zero po dłoni.

– Daj spokój. Nie było nam dane spędzić ze sobą zbyt dużo czasu, zanim go zestrzelili, ale i tak były to najlepsze momenty w moim życiu. Odbyłam żałobę. Pozostały mi tylko wspomnienia, a one są dla mnie niezwykle cenne.

Wyjęła serwetkę ze stojaka i otarła nią oczy.

– Cześć, Mae. Dla mnie opiekana kanapka i kawa! – zawołał klient, który właśnie przekroczył próg lokalu.

– Zaraz podam. Nie umrzesz z głodu.

Spojrzała na Zero.

– Wszyscy to powtarzają, dlatego że to prawda. Miłość to najcenniejsza rzecz w życiu, Kathy. Gdy udaje ci się znaleźć kogoś, kogo kochasz i kto darzy cię tym samym uczuciem, to wszystko inne przestaje być ważne.

Mae wstała. Zero patrzyła na nią przez ułamek sekundy, po czym zerwała się na nogi. Drobna blondynka i starsza, zwalista kobieta o włosach w większej części pokrytych siwizną przyłgnęły do siebie, a czas przestał dla nich istnieć.

– Mae! Obsłużysz mnie w końcu czy mam zacząć jadać gdzie indziej?

– Jezu Chryste, Al, jesteś gorszy niż dziecko! – zawołała Mae, obróciwszy się w kierunku roszczeniowo nastawionego klienta. Następnie spojrzała na Zero i pokręciła głową. – Mężczyźni. Trudno ich znieść, ale pokaż mi taką, która chciałaby żyć bez nich.

Po powrocie do lokalu Mae David zastał Kathleen siedzącą z filiżanką kawy nad pustym talerzem. Nie widziała, jak wchodził, miał więc szansę przez kilka sekund niepostrzeżenie się jej przyglądać. Przechyliła głowę na bok i jej ładne żółte włosy wiły się na jednym z barków. Cerę miała równie gładką i piękną co dobrej jakości kość słoniowa, policzki pokryte były lekkim rumieńcem, błękitne oczy duże i zamyślane, wargi pełne i soczyste.

– Niczym kamea z krwi i kości – wyszeptał.

Wyglądała na pogrążoną w myślach. Jednak gdy tylko go dostrzegła, opuściła filiżankę, a wyraz jej oczu stał się miękki i płynny niczym u łani. Rozchyliła wargi, które ułożyły się następnie w uśmiech przeznaczony wyłącznie dla niego. Przywiodło mu to na myśl najpiękniejsze ze słów Byrona:

*„Idzie w piękności, jak noc, która kroczy  
W cichym gwiazd gronie przez bezchmurne kraje;  
Co cień i światło w sobie kras jednoczy,  
To w jej obliczu i w jej oczach taje”<sup>16</sup>.*

– Cześć – powiedziała, nie odrywając od niego wzroku.

Pomimo kulturowanej przez siebie od ponad wieku typowej dla Brytyjczyków powściągliwości David nie mógł powstrzymać się od pochylenia się i pocałowania jej w miejscu publicznym. Oplotła mu szyję ramionami, a on zaciągnął się jej zapachem – słodkim w jakiśniemalże dziewiczy sposób. Chwilę później znajdowała się już w jego objęciach. Przeczesał palcami włosy Kathleen i pocałował ją namiętnie.

– Zaczęłaś wynajmować pokoje na godziny? – spytał marudnym tonem mężczyzna siedzący przy końcowej części kontuaru.

– Kiepsko z tobą, Al, jeśli już nawet nie pamiętasz, na czym polega miłość – rzuciła w odpowiedzi Mae.

Gdy wyszli z lokalu, David wrócił pamięcią do wydarzeń zeszłej nocy. Czuł się zaskakująco dobrze. Wiedział, że bez wsparcia ze strony Kathy wpadłby w depresję wywołaną przez to, co zrobił Dennisowi. Ona jednak umiała zahamować ekspansję drzemającego w nim mroku. Jego posępna natura nie wzbudzała w niej strachu, tak jak miało to miejsce w przypadku wielu innych kobiet. Różnice w przynależności gatunkowej miały dla nich coraz mniejsze znaczenie.

– Długo cię nie było – odezwała się, przerywając jego zadumę. –

Miałeś problemy ze znalezieniem krwi? Mówiłam ci, że możesz napić się mojej. Mam jej mnóstwo.

Przesunął opuszkami palców po jej gardle, na którym widniały jeszcze ślady nakłuć.

– Nie było żadnych problemów i nigdy więcej nie pozwolę sobie pić twojej krwi. Nie było mnie tak długo, bo spotkałem się z Frankiem. Udało mu się dowiedzieć, że Wężowy Kapłan uczęszcza do klubu SM<sup>17</sup> w Chelsea.

Spojrzała na niego, a on się roześmiał.

– Musiałem poprosić Frankiego o wyjaśnienie mi znaczenia tego skrótu. Nie mógł uwierzyć, że go nie znam. W każdym razie powiedział, że do jutra dowie się, o który dokładnie klub chodzi. Wynająłem auto i pojechałem tam, żeby rozeznać się w terenie.

– Beze mnie? – Wyglądała na zszokowaną. – Myślałam, że zajmujemy się tym wspólnie.

– Zgadza się. Ale po zeszłej nocy nie jestem pewien, czy chcę, żeby twój wkład był tak duży jak do tej pory. Coś mogłoby ci się stać.

– Tobie też.

– Śmiertelnicy nie wiedzieliby, jak mnie zranić. W każdym razie rozpytałem tu i tam, żeby potwierdzić, że Czterdziesta Druga Ulica to jego terytorium. Dowiedziałem się również, że jest chroniony równie dobrze co szwajcarski bank. Zaskoczenie go w samotności może okazać się niemożliwe.

Kathleen się zatrzymała, a w jej oczach błyszczała determinacja.

– Davidzie, nie chcę, żebyś zajmował się tym beze mnie. Po pierwsze: to głupie. O wiele lepiej od ciebie orientuję się w okolicy. Po drugie: Wężowy Kapłan i tak wie o moim istnieniu, więc nawet jeśli nie pójdę tam z tobą, to może mnie łatwo znaleźć, a wniosek z tego taki, że przy tobie jestem bezpieczniejsza. No i chcę odzyskać Bobby'ego, więc idę i już. Zresztą mam pomysł na to, jak możemy się do niego dostać.

– No cóż, dziś wieczorem i tak nic nie osiągniemy. Nie chce mi się wierzyć, że chodząc od klubu do klubu, w końcu na niego wpadniemy. Wolę poczekać, aż Frankie potwierdzi miejsce, w którym on na pewno bywa. – Zrobił pauzę. – Zgadzasz się na to?

Minęło kilka sekund, zanim błękitny ogień w jej oczach przygasł, ale w końcu się uśmiechnęła.

– Okej. Poczekamy. Masz rację, jeśli chodzi o Wężowego Kapłana. Różne rzeczy obily mi się o uszy. Powinniśmy dowiedzieć się na jego

temat, ile tylko się da. To co robimy dziś wieczorem?

Znajdowali się niedaleko Alexandra. David zdjął dłoń z jej talii i ujął ją za ramię. Zatrzymał się przy jasnobrązowym aucie i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Najpierw się przejedziemy. Kiedy ostatni raz miałaś okazję jechać nocą wzdłuż rzeki?

Wzruszyła ramionami.

– A nocny rejs po Hudsonie?

– Nigdy tego nie robiłam.

– A przejazdówka powozem po Central Parku?

Jej kryształowo-błękitne oczy wypełniły się blaskiem.

– Nigdy wcześniej nie robiłam żadnej z tych rzeczy, a mieszkam tu całe życie.

– Najdroższa, pozwól mi zatem przedstawić ci to bardziej urokliwe oblicze Nowego Jorku.

David pojechał wzdłuż East River szosą im. Franklina D. Roosevelta. Wieczór był przyjemny, więc otworzyli okna, a Kathy zwinęła się w kłębek na siedzeniu obok niego.

Minęły dziesięciolecia, od kiedy ostatnio prowadził samochód w Nowym Jorku. Jedną z ostatnich okazji miała miejsce, gdy w roku 1960 odwoził na lotnisko André, który podjął decyzję o powrocie do Francji.

Gdy zaczęli mijać ulice o numerach przekraczających liczbę dziewięćdziesiąt, David zawrócił i pojechał w kierunku Battery Park. Tam weszli na pokład jachtu płynącego wokół Manhattanu. Kathleen oparła się o barierkę. Nocna bryza rozwiewała jej włosy w sposób, który Davidowi przywiódł na myśl wizerunek Wenus autorstwa Botticellego. Objął ją od tyłu, a jego ramiona zdawały się idealnie pasować do kształtu jej ciała. Nie był w stanie stwierdzić, w którym konkretnie momencie na nowo rozgorzały w nim przez długi czas uśpione romantyczne uczucia.

– Kurczę, ależ to piękne – westchnęła Kathleen.

– Nie tak piękne jak ty – szepnął jej do ucha.

Około pierwszej w nocy leżeli wtuleni w siebie na tylnym siedzeniu imitacji wiktoriańskiego powozu, okryci kocem skrywającym ich splecione kończyny. Ostry zapach koni, stukot podków o cement, wszechobecny szum ruchu ulicznego – który choć niewidoczny, zawsze znajdował się gdzieś nieopodal – oraz blade światło latarni w Central Parku zdawały się rzucać na nich swój czar. Kathy wsunęła dłonie pod

T-shirt Davida i przesunęła nimi po jego nagich plecach. Jego skóra była wystarczająco wrażliwa, aby odróżnić kształt linii papilarnych każdego z palców. Reakcja jego ciała przypominała wchłanianie wilgoci przez wysuszoną glebę.

– Zarecytuj mi jakiś wiersz – poprosiła.

*„Krew południową mam w żyłach; inaczej  
Nie byłbym kraju opuścił bynajmniej,  
By znowu zostać, wbrew mękom rozpaczy,  
Sługą miłości – lub twoim przynajmniej”<sup>18</sup>.*

Wydawała się oczarowana słowami Byrona, a jej duże oczy zachęcały Davida do przysunięcia się do niej jeszcze bliżej.

A on wiedział ponad wszelką wątpliwość, że słowa te były zgodne z prawdą – pomimo lęków i obaw zakochiwał się w niej coraz bardziej.

Wrócili do hotelu około czwartej nad ranem. Zanim weszli do środka, David rzucił kluczyki Frankiemu.

– Bak jest pełen, a dokumenty znajdują się w schowku. Musisz odstawić go tu najpóźniej do szóstej jutro wieczorem.

Chłopak przez chwilę był kompletnie zaskoczony, ale szybko się otrząsnął. Złapał swoją dziewczynę, a na tylnym siedzeniu usiadła jeszcze jedna para i cała czwórka z piskiem opon ruszyła w noc.

Gdy byli już w pokoju, Kathleen spytała:

– Dziś też masz ochotę być sam?

W odpowiedzi poprowadził ją do miejsca, gdzie sypiał. Staromodna szafa byławystarczająco przestronna, żeby oboje mogli wygodnie ułożyć się na jej podłodze, kryjąc się jednocześnie przed promieniami słońca. David rozłożył koc na znajdującym się w środku dywanie.

Eksplorował jej ciało w ciemności. Miejscami było gorące i wilgotne, czasem chłodne, a do tego miękkie. Wyczuł pokrywającą je gęsią skórę.

– Boisz się? – spytał.

– Tylko troszkę.

– Ale czego? Mam nadzieję, że nie mnie.

– Boję się seksu. Bardzo go pragnę, ale jestem też wystraszona.

Pocałował ją w wargi, a następnie przesunął usta ku sutkom. Jej ciało zadrżało.

– Mamy mnóstwo czasu – zapewnił.

Zero nie była pewna, czy drugi raz okaże się równie przyjemny co pierwszy. Poprzednio mogli mieć fuksa. Tak bardzo pragnęła mu się oddać, ale im bardziej się starała, tym mniej była do tego zdolna.

– Rozluźnij się – powiedział David, przyciskając usta do jej warg, podczas gdy jego czułe palce zgłębiały sekrety jej ciała.

Lata spędzone na zaspokajaniu potrzeb mężczyzn wpoili jej wizję seksu, zgodnie z którą to ona musiała grać pierwsze skrzypce, by nie zostać posądzona o brak starań. Ale jego pocałunki i dotyk sprawiały jej przyjemność, bo dzięki nim wiedziała, że jest świadomy istnienia czegoś więcej niż tylko jej skóry. W końcu ułożyła się po prostu wygodnie i pozwoliła mu się sobą zajmować. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego: dostrzegła go w ciemności.

Pomimo panującego w szafie mroku oraz zamkniętych powiek mogła obserwować, jak David porusza się niczym cień wycięty z otaczającej ją czerni.

Wiedziała, kiedy unosi ramię lub obraca głowę, kiedy jego ciało unosi się, a kiedy opada. Stał się zawieszoną w nieskończonej przestrzeni istotą, która przylgnęła do niej, wzięła ją sobie za cel i zbliżała się coraz bardziej. Czuła, jak jego energia skupia się na niej, aż w końcu usłyszała własny jęk, gdy jego mrok po raz pierwszy wniknął w wypełniające ją światło.



## Rozdział 9

Kolejnego wieczoru Frankie znał już nazwę klubu – Ostrze Awangardy. David zostawił Kathleen u Mae wraz z pieniędzmi na zakupy, o które poprosiła. Następnie udał się na poszukiwania preferowanego przez siebie rodzaju pożywienia.

Ulice buzowały energią kinetyczną, sprawiając wrażenie, jakby coś miało się wydarzyć. Pod jej wpływem sam zaczął robić sobie pewne nadzieje, nie był jednak przygotowany na szok, jaki zgotował mu powrót do ich pokoju w Alexandrze.

– No i jak? – spytała Kathy.

Zmierzył ją wzrokiem. Pomarańczowo-fioletowe włosy postawione na baczność, zielone oczy, dziesięciocentymetrowe szpilki, bardzo krótka biała spódniczka ze skóry, głęboko wycięty top bez ramiączek, z którego niemalże wylewały się jej piersi oraz liczne warstwy biżuterii w postaci łańcuchów i kłódek zwisających jej z nadgarstków, talii oraz szyi.

– Jak udało ci się zmienić kolor oczu?

Zaśmiała się.

– To proste. Można teraz dostać takie bardzo miękkie soczewki kontaktowe – da się je nawet złożyć na pół i są w różnych kolorach. Przefarbowałam też włosy. Kolor za jakiś czas się zmyje.

– A po co to wszystko?

– No cóż, domyśliłam się, że Wężowy Kapłan wie, jak wyglądam, więc skoro powiedział, że już tu nie wrócę, to byłoby podejrzane, gdybym nagle pojawiła się w jego klubie. A tobie nie uda się zbliżyć do niego na kilometr. On ma wielkich ochroniarzy o wyglądzie bokserów. Wiem, że jesteś silny, ale chyba nawet ty nie poradziłbyś sobie z tyloma facetami naraz.

David usiadł. Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

– Co ci chodzi po głowie, Kathleen? Wydaje ci się, że możesz tam wejść i wywabić go na zewnątrz?

– No. Namówię go, żeby zabrał mnie do siebie, a ty pojedziesz za nami. Dopadniemy go na osobności i będziesz mógł go spytać, o co

tylko będziesz chciał.

– W jaki sposób zamierzasz go przekonać, żeby zabrał cię do domu?

– Kolesia kręca klimaty sado-maso. Wszyscy wiedzą, że to on jest w tych zabawach „sado”, więc ja będę jego „maso”. O to chodzi w tym stroju. Jego ochroniarze będą stali na zewnątrz, a przynajmniej nie będzie ich w pobliżu Wężowego Kapłana. Pewnie mógłbyś ich wtedy załatwić jednego po drugim. Zostawię otwarte drzwi.

– Co dokładnie ci wiadomo na temat sadystycznych praktyk, jakim oddaje się Wężowy Kapłan?

Poruszyła się niespokojnie, po czym spojrzała na podłogę, a potem na Davida.

– To cienias, głównie poniżej przy użyciu słów. Nic zbytnio fizycznego.

David chciał coś powiedzieć, ale ona go uprzedziła:

– To tylko takie udawanie. Nikomu nie dzieje się krzywda. Mówi się im, jak daleko chcesz się posunąć, a oni szanują tę granicę. Robiłam to z wieloma facetami. To jedyny sposób, o ile uda mi się wejść do środka.

– Wykluczone! Naprawdę sądzisz, że pozwolę ci się zbliżyć do kogoś takiego?

Wyciągnęła dłoń z jego uścisku.

– Davidzie, nie ma innego sposobu.

– Będzie musiał się znaleźć, bo nie pozwolę ci tego zrobić.

Kathleen sprawiała wrażenie lekko przybitej. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju.

– Wszystko będzie okej. Będziesz w pobliżu. Nic mi się nie stanie.

Znowu usiadła obok niego.

– Wiem, że to zadziała, bo miałam kiedyś przyjaciółkę o imieniu Kelly, którą zabrał do domu. Opowiadała mi o tym. Mówiła, że był to jedyny raz, kiedy widziała go bez ochrony. No chodź, pojedźmy tam i miejmy to już za sobą.

Pocałowała go w usta, a mimo obcego wyglądu jej twarzą pocałunek był mu dobrze znany.

– Proszę, to najszybszy sposób na odnalezienie Bobby'ego i tego kogoś, kto się na ciebie wziął.

Nie dawała mu spokoju, stopniowo redukując jego opór. Pomimo poważnych wątpliwości David dał się namówić na akceptację jej planu. Jednak podczas jazdy przez miasto czuł się nieswojo i nie mógł pozbyć się przeczucia, że nadchodzi jakaś katastrofa.

Do wnętrza Ostrza Awangardy prowadziły bezpretensjonalnie oznaczone drzwi otoczonego fabrykami budynku przy Dwudziestej Pierwszej Ulicy. Podczas gdy David czekał w samochodzie zaparkowanym kawałek dalej, Zero zapukała do drzwi sutereny. Ktoś musiał wyjrzeć przez wizjer, bo drzwi się otworzyły.

Odźwierny omiół ją wzrokiem, gdy przeciskała się obok niego.

Pomieszczenie było słabo oświetlone i do tego stopnia zadymione, że z początku miała problemy ze znalezieniem baru. W końcu jednak jej oczy przywykły do panujących tu warunków i przesunęła się w kierunku konstrukcji przypominającej celę więzienną, gdzie drinki wydawano spomiędzy krat. Na lewo od Zero stała egzotycznie prezentująca się kobieta o cerze koloru cappuccino ubrana w ciasne srebrne spodnie, z których tylnej kieszeni wystawała krótka szpicruta. Kobieta zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów, ale Zero odwróciła się w drugą stronę, nie chcąc niczego prowokować. Na prawo od niej stała kobieta w czarnej skórzanej spódnicy i szpilkach. Miała skórę niemal tak bladą jak David, gdy był na głodzie. Przed nią na pokrytej płytkami podłodze klęczał łysawy mężczyzna. Na szyi miał psią obrozę, a kobieta trzymała go na krótkiej fluorescencyjnej smyczy. Lizął jej łydki, ale ona go ignorowała.

Zero przyszło do głowy, że być może trafiła do niewłaściwego miejsca. Zastanawiała się, czy to możliwe, że kluby wyspecjalizowały się do tego stopnia, iż kobiety odgrywały tu wyłącznie rolę „sado”, a mężczyźni „maso”. Wtedy jednak dostrzegła kilka innych obrazków, takich jak mężczyzna prowadzący kobietę z rękami skutymi za plecami kajdankami, które potwierdziły, że klub zezwalał na obie odmiany perwersji.

Barman podał jej whisky z piwem imbirowym, za które zapłaciła pięć dolarów. Upiła łyk, mimo że zazwyczaj nie tykała alkoholu. Była jednak podenerwowana. Nie zdradziła Davidowi wszystkiego, co wiedziała na temat Wężowego Kapłana, bo była pewna, że w przeciwnym razie nie pozwoliliby jej tego zrobić. Nie wiedział więc, że Wężowy Kapłan był znanym dilerem zarówno kokainy, jak i heroiny. Ani tego, że drugi człon jego przydomka był skrótem od frazy „Kapłan Bólu”, a pierwszy nawiązywał do przedmiotu posiadanej przez niego kolekcji. Krążyły plotki, że kilka dziewczyn zatłukł na śmierć – wśród nich była Kelly, a Zero podejrzewała, że dziewczyna zginęła podczas próby opuszczenia jego trzódki. Dlatego teraz się bała. Nie przychodził jej jednak do głowy żaden inny sposób na zbliżenie się

do niego. Desperacko pragnęła odnaleźć Bobby'ego.

Nagle go dostrzegła i nie miała wątpliwości, że to musi być on. Był potężnym mężczyzną, ale w inny sposób niż Dennis – na jego zwalistość składały się nie tyle mięśnie, ile wzrost i masa ciała. W ogóle nie przypominał kapłana. Jak większość klientów tego przybytku ubrany był w skórę, ale w jego przypadku była to czarna skóra węża, z której zrobione były zarówno spodnie, jak i rozpięta do pasa koszula. Miał niezwykle kwadratową szczękę, małe, świdrujące oczka, a jego twarz była barwy, która – nawet z drugiego końca pomieszczenia – sugerowała, że albo był naćpany, albo cierpiał na nadciśnienie. Zero stwierdziła, że wygląda elegancko – w garniturze mógłby ująć za prezesa jakiejś korporacji. Niektóre kobiety mogłyby go uznać za atrakcyjnego w jakiś szorstki sposób. Jego szczurze oczka omiatały salę głodnym wzrokiem, jakby szukały pożywienia. Poczwała, jak serce wali jej w piersi ze strachu, i pomyślała, że może to wcale nie był taki dobry pomysł. Przypomniała sobie jednak, iż David czeka na zewnątrz.

Wężowy Kapłan otoczony był przez groźnie wyglądających mężczyzn i Zero domyśliła się, że muszą to być jego ochroniarze. Dobrze go pilnowali. Była też z nim jakaś kobieta.

Zero stwierdziła, że to nie będzie łatwe, ale i tak postanowiła spróbować. Najwyżej będzie musiała umówić się z nim na inny wieczór.

Pociągnęła zdrowy łyk drinka, a następnie ruszyła swobodnym krokiem przez salę, idąc zakosami i zbierając po drodze ciekawskie spojrzenia.

Stolik Wężowego Kapłana znajdował się obok kolorowej szafy grającej z lat pięćdziesiątych. Gdy była już blisko, ruszyła prosto w jego kierunku. Podniósł wzrok. W ostatniej chwili skrzyła w prawo i zatrzymała się przed urządzeniem. Lekko obróciła głowę, żeby widzieć, czy na nią patrzy. Przełożyła ciężar ciała na lewą nogę, wysuwając ku niemu biodro, a następnie zaczęła przeglądać listę z tytułami piosenek.

– Hej, waniliowa laseczko – zza pleców dobiegł ją delikatny głos, którego ton przypomniał jej dawne wizyty w konfesjonalach.

Nieznacznie obróciła głowę. Czwała oddech Wężowego Kapłana na karku. Obdarzyła go profesjonalnym uśmiechem.

– Lubisz koks?

– Pewnie – odparła.

Wyciągnął z kieszeni dwie brązowe buteleczki i wcisnął jej jedną

w dłoń. Na palcach obu dłoni nosił masywne pierścienie pokryte symbolami religijnymi i wizerunkami węży.

– Jedna teraz, a druga później, skarbie – powiedział, a kojące działanie jego głosu było dokładnym przeciwieństwem tego, co wyrażała jego twarz.

Hojnym gestem wysypał zawartość drugiej buteleczki na szklaną powierzchnię szafy grającej i użył platynowej karty American Express do podzielenia proszku na schludne kreski, a następnie wyciągnął banknot studolarowy, który zwinął w rurkę i podał Zero. Chciała go od niego wziąć, ale trzymał go mocno. Jego wzrok błędził po jej ciele w sposób, który wywoływał w niej mdłości.

– Szukasz wrażeń, maleńka?

– Może – odpowiedziała wstydliwie.

Upuściła torebkę, po czym schyliła się, by ją podnieść, upewniając się, że nie umknie mu widok jej pośladków.

Przesunął dłonią po wewnętrznej stronie jej uda – poczuła chłód pierścieni na skórze. Gdy się podniosła, podał jej zrolowany banknot i uśmiechnął się szeroko. Na jego twarzy zafalowała w groteskowy sposób ciągnąca się od środka górnej wargi aż do prawego ucha biała blizna przypominająca węża. Jego zęby były tak gładkie, że przyszło jej do głowy, iż muszą być sztuczne – w górną lewą jedynekę wstawiono rubin. Na białej, bezwłosej piersi spoczywał wiszący na łańcuchu złoty dysk, w którego wnętrzu znajdował się hologram. Przedstawiał ukrzyżowanie, a wijące się na krzyżu ciało należało do kobiety.

Gdy wciągnęli kokainę, Wężowy Kapłan poprowadził ją do swojego stolika. Ochroniarze zrobili dla niej miejsce, ale siedząca tam kobieta rzuciła jej nienawistne spojrzenie. Zero wyobraziła sobie, że brunetka musiała mieć w dzieciństwie zwyczaj gniewnego wydymania usteczek. Teraz jednak, gdy dobiegała trzydziestki, jej wysunięta dolna warga drżała, przygotowując się na zgubne w skutkach przejście od uroczej krnąbrności do wyrazu niepohamowanej goryczy.

Wężowy Kapłan postawił Zero drinka, a potem wciągnęli razem jeszcze więcej koki. Usiadł, owijając ramię wokół jej szyi, po czym wsunął dłoń pod jej bluzkę i mocno ścisnął sutek, szepcząc jej do ucha słowa, które ją przeraziły; obietnice bólu, który miał przynieść ze sobą wiele przyjemności. Była w życiu z wieloma mężczyznami, ale żaden z nich nie był aż tak bezduszny.

W którymś momencie dostrzegł ślady na jej ramieniu.

– Dajesz w żyłę?

– Biorę herę – odparła.

Kokaina krążyła w jej organizmie niczym tornado pustoszące senne miasteczko, paralizując jej nos i większą część twarzy. Miała wrażenie, że jej mózg płonie, a jednocześnie pozbawiony jest myśli. Z trudem przychodziło jej utrzymać w pamięci, po co tu przyszła oraz to, że czekał na nią David.

– Mam jej trochę u siebie. I inne rzeczy, które lubią niegrzeczne dziewczynki.

Postawił ją na równe nogi. Sześciu mężczyzn momentalnie wstało. Podobnie zrobiła siedząca z nimi kobieta, którą Wężowy Kapłan wepchnął w ręce jednego z ochroniarzy – potężnego czarnego mężczyzny o tlenionych włosach – jakby była kanapką, której nie miał ochoty dokończyć.

Odczekawszy, aż jeden z mężczyzn przyprowadzi samochód – żurawinowej barwy limuzynę – wszyscy wsypali się do środka. Zero zerknęła na ulicę, ale nie dostrzegła Davida. To jej jednak nie zmartwiło, bo dzięki kokainie czuła się nieustraszona.

Pojechali na północ w kierunku wschodniej części Central Parku i zatrzymali się przed wysokim apartamentowcem ze szkła i stali. Wężowy Kapłan wysiadł, ciągnąc za sobą Zero, a reszta pasażerów podążyła w najwyraźniej ustalonej uprzednio kolejności: kierowca zaparkował kawałek dalej i pozostał w limuzynie, jeden z mężczyzn zatrzymał się w lobby przy pracowniku ochrony, kolejny został na klatce schodowej, a dwóch następnych odprowadziło czteroosobową grupę do windy jadącej do apartamentu na ostatnim piętrze. Na górze jeden z ochroniarzy ustawił się na schodach, a drugi najpierw sprawdził wnętrze mieszkania, a potem wyszedł i stanął w korytarzu.

Wężowy Kapłan przeprowadził Zero i pozostałych dwóch mężczyzn przez drzwi, które następnie zaryglował przy użyciu łańcuchów i zamków wpuszczanych. Nie było mowy, żeby potrafiła je otworzyć. Może gdyby udało jej się odwrócić jego uwagę. Czarnoskóry mężczyzna poszedł z ciemnowłosą kobietą w lewo, a Wężowy Kapłan poprowadził Zero w przeciwnym kierunku.

Włączył światło i pokój, do którego weszli, zalał karmazynowy blask. Ściany i drzwi zostały wyciszone, z wyjątkiem tych prowadzących na balkon, które zasłonięto. Czuła, że cokolwiek się tu wydarzy, nie będzie słyszane przez resztę świata.

Pomieszczenie wypełniały różnego rodzaju przyrządy do tortur – na

ścianach wisały schludne rzędy biczów, pasów, bambusowych różg oraz drewnianych pacek we wszystkich dostępnych rozmiarach i kształtach. Skóra wyglądała na dobrze naoliwioną, a gładkie drewno zostało starannie pokryte politurą. Z sufitu zwisały srebrne i czarne pasy oraz łańcuchy, a w kącie pomieszczenia stał długi stół, do którego przymocowane były kajdany i pęta, ale to wielkie, przypominające ołtarz łoże znajdowało się w centrum uwagi. Obok niego stało olbrzymie terrarium z węzami, nad którym wisiał srebrny krucyfik.

Zero opadły złe przecucia. Postanowiła wynieść się stamtąd, póki jeszcze mogła.

– Słuchaj, zostawiłam coś w barze. Muszę po to wrócić.

– Rozbieraj się, szmato!

Zaczęła się obracać gotowa powiedzieć mu, że się rozmyśliła, ale zanim zdążyła ukończyć ten ruch, uderzył ją pięścią w twarz. Poleciała do tyłu i wyrznęła plecami o zbiornik z węzami. Zamroczyło ją i poczuła na wargach smak własnej krwi, ale głośny syk kazał się jej natychmiast odsunąć i popełznąć z powrotem w kierunku Wężowego Kapłana.

– Wygląda na to, że potrzebna ci porządna pokuta, dziewczyno. Gdy z tobą skończę, będziesz błagać Wężowego Kapłana o odpuszczenie grzechów. Kazałem ci zdjąć ubranie. Już!

Zaczęła dygotać, ale próbowała się pokrzepić myślą, że on nie może być gorszy niż jej ojciec. Gdy się rozebrała, spętał jej nadgarstki skórzanymi pasami, do których przytroczone były połączone ze sobą metalowe haki.

– Mogę przynajmniej dostać trochę hery? – spytała i jeszcze bardziej wystraszyła się przerażonym brzmieniem swojego głosu.

Na twarzy Wężowego Kapłana pojawiła się podła mina, która wykrzywiła mu twarz w taki sposób, że widoczna na niej blizna zdawała się wić. Ale ton jego głosu był delikatny, jedwabisty i niemalże uspokajający.

– Dostaniesz tyle hery, ile tylko będziesz chciała. Jak tylko popłynie krew.

Przypiął jej pęta do zwisającego z sufitu łańcucha, a następnie podciągnął ją do góry. Wykręcała ciało to w jedną, to w drugą stronę, patrząc, jak mężczyzna wybiera bicz ze swojej kolekcji – długi kawałek niewyprawionej skóry cynamonowej barwy połączony z rączką oprawioną w skórę węża. Wężowy Kapłan włączył odtwarzacz CD i z głośników ryknęła muzyka kościelna. Gdy zbliżył się do Zero, jego

oczy lśniły żywym ogniem i sprawiał wrażenie opętanego.

Potał jej sutki gruzłowatą rączką pejcza.

– Dobrze ci radzę, bądź grzeczną dziewczynką i szczerze błagaj mnie o odpuszczenie grzechów. Nikt inny cię nie usłyszy, więc postaraj się mnie zadowolić. Jak będzie wystarczająco głośno, Wężowy Kapłan da ci działkę, żebyś się trochę rozluźniła.

Złapał Zero za włosy i pociągnął jej głowę do tyłu, aż spojrzała prosto w lustrzany sufit. Ich oczy spotkały się w odbiciu.

– Bo jak nie będę zadowolony, nie zostawię na tobie ani skrawka skóry. Rozumiesz, co do ciebie mówię, zdziro?

– Tak – szepnęła.

Rozległ się trzask bicia uderzającego o ciało i Zero musiała wyrzucić z pamięci wszystko, czego sama się nauczyła na temat tłumienia w sobie okrzyków bólu. David miał jednak rację, była cwana. Niedługo potem jej gardło było już zdarte do żywego.

David patrzył, jak ochroniarz stojący w lobby wychodzi na dwór. Mężczyzna ruszył ulicą i zatrzymał się przy limuzynie, gdzie oparłszy się o drzwi, zaczął rozmawiać z kierowcą. David wykonał swój ruch.

Pracownik ochrony w podeszłym wieku otworzył drzwi, ale nie zaprosił go do środka.

– Dobry wieczór – powiedział uprzejmie David.

– Dobry wieczór panu. – Mężczyzna w mundurze ochroniarza ukłonił mu się lekko. – Co mogę dla pana zrobić?

– Jestem tu w interesach.

Staruszek przyjrzał mu się uważnie z podejrzliwością godną przedstawiciela swojej profesji.

– Jaki numer mieszkania? – spytał.

Gdy David się zawahał, ochroniarz zaczął zamykać drzwi. Starszy mężczyzna cierpiał na zaćmę. Ledwo widział i nie był w stanie spojrzeć Davidowi prosto w oczy.

– Należę do towarzystwa, które właśnie przyjechało. Trochę się spóźniłem. Oczywiście spodziewają się mnie.

– Będę musiał zadzwonić na górę.

– Nie mam na to czasu. Proszę im powiedzieć, że będą musieli przełożyć spotkanie, a ja w najbliższym czasie nie będę miał okazji pojawić się w Stanach. Niewątpliwie będą rozsierdzeni, zważywszy na wartość kontraktu, jaki ich ominie, ale niestety jestem zbyt zajęty, żeby czekać.

David obrócił się do niego plecami.



Wizja gniewu Wężowego Kapłana sprawiła, że ochroniarz stał się bardziej łagodny.

– Może jednak powinien pan po prostu pojechać na górę, żeby nie marnować czasu.

– Doskonały pomysł.

Windy znajdowały się naprzeciwko siebie. Podświetlane panele kontrolne informowały, że jedna czeka na parterze, a druga zatrzymała się na poziomie Północnego Apartamentu, gdzie Wężowy Kapłan musiał zawieźć Kathy. David przycisnął guzik tej właśnie windy. Gdy przybyła, pojechał nią na trzydzieste dziewiąte piętro, czyli kondygnację znajdującą się tuż pod apartamentem na szczycie budynku. Podszedł do drzwi z napisem „Schody” i otworzył je ostrożnie. Masywny Azjata, którego David rozpoznał jako jednego z ludzi Wężowego Kapłana, natychmiast zaczął schodzić z piętra powyżej. David ruszył po schodach na górę. Spotkali się na półpiętrze.

– Przepraszam – odezwał się David z grzecznym uśmiechem, dodając do swojego arystokratycznego akcentu nutkę protekcyjnego tonu i starając się spojrzeć mężczyźnie prosto w oczy. – Troszkę się pogubiłem. Szukam Apartamentu Południowego.

– Nie ta winda, kolego. Wracaj do lobby i pojedź tą drugą.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział David.

Tego typu ludzi o rozbieganych oczach ciężko było przygwoździć spojrzeniem. Ale David nie ruszył się z miejsca, zmuszając mężczyznę do stawienia mu czoła. Mięśniak zareagował niczym zwierzę broniące swojego terytorium. Próbował spiorunować Davida wzrokiem.

– Na dole, powiedziałem!

Ton głosu mężczyzny był groźny, ale do tego czasu David zdążył już skupić się na oczodołach barwy błota i znajdujących się w samym ich środku czarnych plamkach źrenic. Na zmianę rozszerzały się one i zwężały w wyniku bitwy na siłę woli, jaka się wywiązała. David skoncentrował się na przeniknięciu do wnętrza umysłu swojego przeciwnika – wyczuwał w tym śmiertelniku zdeprawowanie i destrukcyjne zapędy. Esencja jego jaźni była do tego stopnia zepsuta i odstręczająca, że niemalże cuchnęła. David od razu ją rozpoznał – zabójca.

„Muszę skupić tkwiące we mnie światło” – pomyślał.

Czuł, jak w jego wnętrzu wibruje snop jasności stanowiącej esencję wszystkiego, co żywe, a następnie kanalizuje się w jego wzroku. Światło zrodziło energię, która wystrzeliła z niego prosto w istotę

jestestwa tego śmiertelnika.

Ochroniarz wyglądał na oszołomionego. Jego źrenice rozszerzyły się i takie pozostały, jakby rzucono na niego urok. Zamrugał powiekami, a potem osunął się po znajdującej się za nim ścianie. David złapał go i powoli opuścił do pozycji siedzącej. Gdzieś niżej wyczuwał obecność kolejnego strażnika – prawdopodobnie bliżej parteru. Zajmie się nim jedynie w razie, gdyby okazało się to konieczne. Odzyskanie wykorzystanej do hipnozy energii wymagało czasu.

Wszedł po schodach na poziom apartamentu i ukradkiem wyjrzał na korytarz. Obok drzwi znajdujących się naprzeciwko windy stał kolejny strażnik i czytał w gazecie wyniki gonitw konnych.

David poruszał się cicho i mężczyzna ożywił się dopiero, gdy stanął koło niego.

– Co jest, kur...

Mocne uderzenie w kark pozbawiło mężczyznę przytomności. David zaciągnął go na klatkę schodową i położył obok kolegi.

Wrócił do drzwi i spróbował je otworzyć. Nawet przy całej jego sile nie mógł nic wskórać. Szybko skonstatował, że musi to być specjalny rodzaj drzwi przeciwpożarowych pokrytych dodatkową warstwą metalu, a do tego mocno zaryglowanych od środka.

Na końcu korytarza dostrzegł okno. Miało podwójne, hermetycznie zespolone szyby, których praktycznie nie dało się zbić. David zaparł się stopami, a następnie strategicznie rozłożył dłonie na szkle i pchnął. Cała szyba wyleciała z framugi, stoczyła po ścianie i wylądowała pośrodku znajdującej się poniżej ulicy.

Przesunął wzrokiem po zewnętrznej ścianie budynku. W obu kierunkach biegł, a następnie zniknął za rogiem półmetrowej szerokości gzyms. Znajdowały się tam również balkony otoczone balustradami z kutego żelaza zaprojektowanymi tak, aby przypominały ogrodzenie ogrodów. Na każdy z nich prowadziły przeszklone drzwi.

Balkon po jego lewej stronie znajdował się w odległości jakichś dwóch i pół metra. Spojrzał na znajdującą się czterdzieści pięter niżej ulicę. Front budynku wychodził na Central Park. Z tej wysokości widok przypominał zdjęcie lotnicze ukazujące skłębioną masę zieleni poznaczoną falistymi liniami i punkcikami światła. Dźwięki samochodów były przyciszone. Wiatr był tu bardzo silny. David nieraz słyszał makabryczne opowieści o odniesionych przez podobne sobie istoty obrażeniach, których skutkiem nie była śmierć, tylko potworne oszpecenie. Co by się z nim stało, gdyby spadł z takiej wysokości? W

najlepszym wypadku pękłyby wszystkie kości w jego ciele. Mogłyby przebić mu serce lub mózg albo przerwać rdzeń kręgowy, co prawdopodobnie skończyłoby się natychmiastową śmiercią. W przeciwnym wypadku, gdyby zabrano go do szpitala... Po raz pierwszy w życiu żałował, że nie potrafi przemienić się w nietoperza.

Wiedział, że musi działać szybko. Kathy była w niebezpieczeństwie, wyczuwał to.

Wrócił na klatkę schodową i zdjął strażnikom paski. Potem zaczął schodzić po schodach tak cicho, jak tylko potrafił.

Ochroniarz na trzecim piętrze okazał się odrobinę szybszy niż pozostali dwaj. Udało mu się dobyć broni, jednak David pozbawił go przytomności, zanim zdążył jej użyć.

Popędził na górę, przeskakując po trzy stopnie naraz i szczepiając paski ze sobą. Połączył z nimi własny pasek tak, aby powstała pętla. Wrócił do okna na czterdziestym piętrze, wyszedł na gzyms i spojrzał w dół. Zakręciło mu się w głowie. Przyłgnął do ściany budynku, ale mógł złapać się jedynie framugi okna. Po jakimś czasie przejaśniło mu się w głowie, a prędkość tętna wróciła do w miarę rozsądnych rejestrów.

Rzucił stworzonym z pasków łańcuchem niczym lassem, celując pętlą w jeden z prętów balustrady. Udało mu się po kilkunastu próbach. Drugim końcem skózanego łańcucha oplótł zaciśniętą w pięść dłoń. Niepewnie przesunął po gzymsie najpierw prawą, a potem lewą stopę. Dobięął go dźwięk ruchu ulicznego, który podkreślił tylko szuranie jego podeszew.

Gzyms był śliski i raz prawie ześlizgnęła mu się stopa. Kurczowo zacisnął dłoń, ale okazało się to niewielką pomocą, a do tego tak naprawdę nie wierzył, że skórzany łańcuch by go utrzymał, gdyby spadł.

Jego ruchy stały się boleśnie ostrożne. Dotarł w końcu do pierwszego z balkonów i wspiał się na balustradę, chwytając się jej lepkimi od potu dłońmi. Zajrzał przez szklane drzwi, ale się rozczarował. W środku na kanapie siedział czarnoskóry ochroniarz w towarzystwie dziewczyny. Oboje wpatrywali się w próżnię, a ich ciała były bezwładne. Pomiedzy nimi leżała igła oraz ilość heroiny wystarczająca, by zająć ich przez jakiś czas.

Gdy skręcił za róg budynku, jego oczom ukazało się kolejne pięć balkonów znajdujących się od siebie w odległości jakichś dwóch i pół metra. Wyczuwał, że w apartamencie znajdują się jeszcze tylko dwie

osoby. Jedną z nich była Kathy, a docierające do niego wibracje nie wróżyły nic dobrego.

Na drugi balkon dotarł w ten sam boleśnie powolny sposób co na pierwszy, irytując się opóźnieniem i niepokojąc niebezpieczeństwem, w którym znalazła się dziewczyna. Za drugimi drzwiami dostrzegł kuchnię, a za trzecimi salon. Potem była sypialnia – pusta. Gdy dotarł na piąty balkon, jego ciało pokrywał zimny, lepki pot. Oddychał ciężko, mięśnie mu dygotały i był cały w nerwach. Ostatnie drzwi były zasłonięte. Wyczuł w środku obecność Kathleen i wiedział, że coś jest nie tak. Pod wpływem impulsu kopniakiem rozbił szkło, którego kawałki posypały się do wnętrza pomieszczenia.

Leżała na brzuchu z rozłożonymi rękoma i nogami. Jęczała, a jej plecy spływały czerwienią. Wężowy Kapłan klęczał tuż za nią, szykując się do włożenia jej do pochwy wijącego się węża.

Alfons obrócił się na dźwięk tłukącego się szkła, ale zanim zdążył zareagować, David przemknął przez pokój z nadludzką prędkością i uderzył go w twarz grzbietem dłoni. Wężowy Kapłan rozciągnął się jak długi na podłodze w drugim końcu pokoju.

Czuły słuch Davida mógł wychwycić najcichszy nawet dźwięk dobiegający z za dźwiękoszczelnych ścian. Pozostałe osoby w mieszkaniu niczego nie usłyszały, nie były w stanie zareagować \_\_\_\_\_ albo – jak się obawiał – dźwięki te nie różniły się zbytnio od dobiegających ich do tej pory hałasów.

W pokoju cuchnęło krwią i potem. Wziął Kathy w ramiona i obrócił jej głowę ku sobie. Twarz miała tak mocno poobijaną, że skóra wokół oczu już puchła i zmieniała kolor.

– Kathy, nie!

W jego głosie słychać było ból i poczucie winy. Gdyby tylko pojawił się tu wcześniej. Nie powinien był pozwolić, żeby tu przyszła. Przyciągnął ją do siebie, a ona wydała z siebie jęk.

Obok łóżka zauważył białe proszek oraz igłę. Zbadał wewnętrzną stronę jej ramienia i gdy dostrzegł tam strużkę krwi, z wdzięcznością pomyślał, że przynajmniej była znieczulona.

Z trudem udało mu się ją zrozumieć, gdy przez opuchnięte wargi wymamrotała:

– Davidzie, spieprzyłam to.

– Ciii. Nic nie mów. Wszystko będzie dobrze. Zajmę się tobą. Głupiec ze mnie, Kathy. Nie powinienem był ci pozwolić tu przyjść.

– Głupiec to mało powiedziane – z za pleców dobiegł go łagodny

głos.

David był tak zaabsorbowany Kathy, że nie wyczuł, gdy Wężowy Kapłan podnosił się na nogi. Alfons przeszedł przez pokój i stanął w bezpiecznej odległości od niego, tuż obok wyjścia na balkon. W dłoni trzymał krótki pistolet maszynowy.

– A więc, głupcze, możesz zacząć od wyjaśnienia mi, kto cię przysłał, zanim rozwalę twój mózg, a potem mózg tej głupiej cipy, jeśli coś z niego jeszcze zostało.

David wstał i zasłonił Kathy własnym ciałem. Próbowwała usiąść, bełkocząc coś niezrozumiale.

W przeciwieństwie do swoich ochroniarzy Wężowy Kapłan nie miał trudności ze spojrzeniem Davidowi prosto w oczy. Mroczne zło emanujące z tego człowieka wypełniło pokój niczym trujący gaz, niszcząc wszystko na swej drodze.

– Nikt mnie nie przysłał – odparł David. – Przybyłem tu, żeby dowiedzieć się, dlaczego próbowałeś mnie zabić. I gdzie przetrzymujesz jej brata.

– Co ty chrzanisz... – Wężowy Kapłan najpierw sprawiał wrażenie zakłopotanego, ale w końcu zrozumiał i kiwnął głową. – A, tak. Ta dziwka. I pojebany Anglik, któremu się wydaje, że jest wampirem.

Uśmiechnął się szeroko, a strużka świeżej krwi spłynęła mu z rozbitej wargi na podbródek.

Jego krew podziałała na Davida jak magnes. Potrzebował jej. Całe jego ciało krzyczało, żeby uzupełnić jej nadwątlone zasoby. Starał się, jak mógł, zapanować nad swoją obsesją. Kathy na nim polegała.

– Dlaczego wysłałeś ją, żeby mnie zabiła?

– To ja tu zadaję pytania, gnoju. Przyślij mi tu tę sukę!

Kathleen chwiejnie stanęła na nogi i złapała się Davida, żeby nie stracić równowagi. Ruszyła w kierunku Wężowego Kapłana, mamrocząc:

– Proszę, nie rób mi nic złego...

David usadził ją na podłodze za swoimi plecami.

Rozległy się strzały. Jedna z kul wbiła mu się w ramię, a druga wgrzyła się w żołądek, szarpiąc nim do tyłu. David zgął się w pół i jednocześnie wyrzucił ciało do przodu. Wężowy Kapłan wystrzelił ponownie. Kule rozorały udo Davida. Jednak gdy nawet to go nie zmoгло, na twarzy alfonsa odmalował się wyraz zdziwienia, a chwilę później David powalił go na podłogę.

David dał upust gotującej się w nim wściekłości. Uderzył głową

Wężowego Kapłana o podłogę. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Rany po kulach go osłabiły, ale jednocześnie sprawiły, że stracił nad sobą panowanie. Rozchłastał zębami arterię. Zanim sam uzmysłowił sobie, co robi, krew trysnęła do góry, a potem karmazynowy gejzer spłynął Davidowi do gardła. Ilość przemocy, jakiej się dopuścił, zaczęła górować nad jej jakością i aby wziąć się w garść, zatamował krwotok. Ten człowiek potrzebny mu był żywy.

– Po co ją wysłałeś? I gdzie jest jej brat? Strażnicy ci nie pomogą. Mów albo umrzesz.

Wężowy Kapłan splunął Davidowi w twarz krwią, ale w jego oczach dostrzec można było szok.

– Kim ty jesteś, do kurwy nędzy? – Szczerzył zęby jak obłąkany. Dwa z jego zębów zostały wybite. – Chcesz odnaleźć jej braciszka? To przejdź się do banku.

Chciał się zaśmiać, ale jedynym efektem był bezdźwięczny, trupi grymas wykrzywiający rysy jego pokancerowanej twarzy.

– Co to ma znaczyć?

Wskazał w kierunku terrarium z węzami.

– Klucze – powiedział, a oczy zaczęły mu uciekać do wnętrza głowy.

David podszedł do szklanego zbiornika i zajrzał do środka. W środku kłębiły się co najmniej dwa tuziny gadów. Poczował, jak kurczy mu się żołądek, a włoski na karku stają dęba. Jego oddech przeszedł w sapanie.

„Panuj nad sobą!” – rozkazał sam sobie.

Nie był ekspertem, ale umiał rozpoznać grzechotniki po ogonach, a nie był w stanie zapomnieć czerwono-żółto-czarnych pasków na skórze koralówki arlekina. Zdjął ze ściany bambusową trzcinkę i zaczął roztrącać nią węże na boki.

W końcu dostrzegł klucze. Zostały nałożone na brelok przymocowany do dna zbiornika. Szybko rozejrzał się po pokoju, ale nigdzie nie było widać specjalnych rękawic czy innego przydatnego sprzętu. Jeśli sięgnąłby ręką po klucze, zostałby ukąszony. I zatruty jadem. Jako dziecko został kiedyś ukąszony przez węża w lesie na terenie rodzinnej posiadłości. Drugi raz miał miejsce w Teksasie, a winowajcą była zabójcza koralówka. Ostatnim razem utrzymał się przy życiu tylko dzięki swojej nieśmiertelności. Wrócił do niego strach wywołany przez tamte przeżycia. Jego ciało wciąż pamiętało nieokiełznane śmiertelne spazmy oraz mrozące krew w żyłach halucynacje.

„Nie ma mowy, do licha!” – pomyślał.

Chwycił za ścianki terrarium, a potem uniósł je z podłogi. Gdy dotarł na środek pokoju, przewrócił je dnem do góry, wysypując węże. Niektóre błyskawicznie rozpełzły się na boki, inne prawie się nie ruszały, ale gdy zbiornik był już pusty, David wyciągnął z niego klucze.

Wężowy Kapłan leżał z rozrzuconymi kończynami na podłodze nieopodal drzwi na balkon w pozie przypominającej ukrzyżowanie. Jedna z koralówek popęzła w jego stronę.

David owinął Kathleen satynowym prześcieradłem. Gdy brał ją na ręce, jęknęła.

Nagle dobiegł go niski, gulgoczący dźwięk, a po nim nieludzki rechot.

Obrócił się i osłupiał na widok Wężowego Kapłana, który niczym trup odmawiający przyjęcia swej roli wstał, chwiejąc się na nogach. Jego zmasakrowana twarz wykrzywiła się w grymasie przypominającym makabryczną maskę. Znowu trzymał w ręku pistolet, unosił go, a David wiedział, że tym razem się nie zawaha.

– Najpierw ta suka. – Wymierzył w Kathy.

David nie miał czasu na zastanowienie się, jak mógłby ich ochronić – na reakcję miał tylko chwilę. Skoczył do przodu i staranował Wężowego Kapłana z całą swą nadludzką siłą.

Mężczyzna przeleciał przez drzwi na balkon i wypadł przez niską balustradę.

David poczuł przyptyw adrenaliny wywołany zderzeniem ich ciał i ogłuszającym hukem strzałów.

Pokój wypełniła cisza przerywana jedynie nikłymi dźwiękami dobiegającymi z ulicy i nieustającym grzechotaniem węży.

David nie mógł się poruszyć i z trudem oddychał. Potworna cisza wytrącała go z równowagi. Jego wrażliwy słuch wyłapał dźwięk ciała Wężowego Kapłana uderzającego o chodnik. Mężczyzna umarł bez słowa i David wiedział, że na wieki będzie go to prześladować.

Przeszedł przez apartament z Kathy na rękach, kierując się ku windzie. Gdy zjechali na parter, dalej tkwił tam samotny pracownik ochrony. Staruszek obrócił się do nich zaskoczony i pełen podejrzeń, ale David przysunął do niego twarz, spojrział głęboko w jego zamglone oczy, kazał mu usiąść na krześle, a następnie wymazał z jego pamięci to wspomnienie.

Kierowca limuzyny w dalszym ciągu gawędził z ostatnim

z ochroniarzy na hałaśliwej ulicy. David wsadził Kathleen do samochodu i odjechał niezauważony.

Gdy dojechali do Alexandra, David rzucił Frankiemu klucze. Stracił wiele krwi i energii. Czuł się rozchwiany fizycznie i umysłowo.

– Możesz pozbyć się tego samochodu?

– Na dobre? Sprzedać silnik, oddać karoserię na złom?

– Tak.

– Jasne.

– Zrób więc to, proszę. Możesz zatrzymać pieniądze. – David wziął Kathy na rękę.

– Wszystko z nią w porządku? – spytał Frankie, a chwilę później musiał dostrzec dziury po kulach, którymi usiane było ciało Davida, bo dodał:

– Stary, a z tobą wszystko okej?

– Odpowiedź na oba pytania jest przecząca.



# Rozdział 10

David posłał Frankiego do apteki po leki i bandaże dla Kathy. Poleganie na śmiertelniku w jego stanie było ryzykowne, ale nie miał wyboru. Jego ciało zaczęło już wydalać z siebie kule, a proces ten wywoływał koszmarny ból.

Umył Kathy, opatrzył jej rany i zaaplikował aspirynę. Później, gdy efekty działania heroiny zaczęły zanikać, podał jej środki nasenne. Zasypywał ją kojącymi słowami, mimo że nie był pewny, czy ona je słyszy.

Leżała otępiała, po części od narkotyku, a po części w wyniku szoku. Nad ranem zaczęła dochodzić do siebie, ale za to jego siły się wyczerpały i jedyne, co był zdolny zrobić, to skryć się przed słońcem.

Przywiązał ją do łóżka, żeby mieć pewność, że żądza narkotyków nie weźmie góry nad pragnieniem rekonwalescencji.

David potrzebował odpocząć. Podobnie jak ma to miejsce w przypadku każdej rannej istoty, jego ciało błagało o spokój, mrok i czas potrzebne do odzyskania zdrowia. Nie był jednak pewny, czy jego dusza kiedykolwiek się zagoi. Na poziomie moralnym wchłonęło go miejsce, które William Blake określał mianem Ulro, w którym jego podświadomość tonęła w poczuciu winy oraz żądzy zemsty, nie potrafiąc podźwignąć się z tego stanu. Miał wrażenie, że każda noc uszczupla z przerażającą prędkością jego zdolność do panowania nad sobą, w wyniku czego staje się on ofiarą mrocznych impulsów, które przez całe swe nieśmiertelne życie starał się trzymać w ryzach. Musiał stawić czoło myśli, że bez zastanowienia odebrał komuś życie. To, że Wężowy Kapłan zasłużył na to, by umrzeć więcej niż raz, niczego nie zmieniało. David mógł jedynie rozmyślać nad tym, kim się stawał.

Leżał w ciemności, starając się oddychać miarowo, i czuł, jak rany zasklepiają się od wewnątrz, a metal jest wypychany przez mięśnie i tkankę łączną w kierunku skóry. Klucze, które udało mu się odzyskać tak wielkim kosztem, nosiły logo Citibanku. Najprawdopodobniej otwierały skrytkę depozytową znajdującą się w oddziale tego banku gdzieś w okolicy. Zatonął w domysłach dotyczących jej zawartości oraz tego, czy okaże się ona warta zachodu.

Do zachodu słońca naboje zostały wypchnięte z jego ciała i David znalazł je obok siebie na podłodze. Czuł się obolały, ale prawie całkowicie uzdrowiony. Gdy tylko uda mu się zdobyć pożywienie, ból fizyczny zniknie, jednak Kathy wydawała z siebie jęki i płakała, i wiedział, że cierpienie psychiczne dopiero się rozpoczyna.

– David, to moja wina. Wszystko spieprzyłam – powiedziała, gdy wynurzył się z szafy.

– Na litość boską, Kathy, przestań. Wina leży po mojej stronie. Nigdy nie powinienem był pozwolić ci z nim pójść. Nie wiem, co jest ze mną nie tak.

– Nie, to przeze mnie. Nie powiedziałam ci wszystkiego na temat Wężowego Kapłana. Wiedziałałam, że jest brutalny. Myślałam, że sobie z nim poradzę. Musimy stąd uciekać, zanim zaczną nas ścigać. Na pewno nas znajdzie.

– Nie będzie w stanie.

Spojrzała na niego.

– Wypadł przez balkon. Popchnąłem go.

– I dobrze.

Przestała płakać, ale chwilę później znowu zalała się łzami.

– Wszystko tak strasznie mnie boli. I znowu jestem na głodzie. Już to czuję.

Pogłaskał ją po włosach i pocałował w czoło – jedyne miejsce niepokryte siniakami. Wyglądała, jakby wpadła pod metro.

– Będę przy tobie. Wyzdrowiejesz. A gdy poczujesz się lepiej, zabiorę cię z tej dziury.

– Ale co z Bobbym? I osobą, która cię ściga?

– W skrytce bankowej znajdują się jakieś informacje. Poproszę Frankiego, aby niedługo je odebrał. Być może uda nam się czegoś dowiedzieć.

„A przynajmniej taką mam nadzieję” – pomyślał.

Załkała.

– Niedobrze mi.

Rozwiązał ją i pomógł przejść do łazienki. Przez całą noc zmagala się z atakami wymiotów i rozwolnienia podobnymi do tych, których był świadkiem w Manchesterze. Tylko tym razem ona była dla niego kimś rzeczywistym, na kim mu zależało, kogo być może nawet kochał, i wraz z nią przeżywał jej cierpienie.

Wyszedł na chwilę, żeby kupić jedzenie dla niej oraz magnetofon.

Nie chciała jeść zupy, ale zdołała przełknąć trochę soku z owoców.

David siedział przy niej, pieszcząc ją i nakreślając ich wspólną przyszłość. Nagrał na kasetę wiersz miłosny, który Elizabeth Barrett Browning napisała dla swojego męża, żeby Kathy mogła go słuchać za dnia. Gdy nadszedł poranek, a ona w dalszym ciągu zlewała się potem i cierpiała na skurcze, nie miał wyboru i musiał ponownie przywiązać ją do łóżka. Magnetofon umieścił w zasięgu jej palców.

– Nie prosiłaś o heroinę – zauważył.

– Wiedziałam, że jej od ciebie nie dostanę.

Tydzień później David pomógł jej wstać, umyć się, a następnie udali się do Mae. Siedzieli obok siebie w boksie, podczas gdy Mae dopytywała zza stołu:

– Co ci się stało, Kathy?

– Mae, proszę – odezwała się Zero.

Na twarzy miała duże okulary przeciwsłoneczne, które skrywały większość obrażeń widocznych w okolicy oczu. Jej policzki były jednak wciąż posiniaczone, a rozcięta dolna warga krwawiła przy próbach jedzenia. David karmił ją zupą. Siorbnęła ją kilka razy, ale czuła się zbyt osłabiona, żeby jeść. Środki przeciwbólowe, którymi była nafaszerowana, wprawiały ją w senność i otepienie.

Mae była wściekła.

– To twoja sprawka? – Spojrzała na Davida.

– Pośrednio.

– Co to ma znaczyć, do jasnej cholery?

– On tego nie zrobił, Mae – powiedziała Zero. – To moja wina. Znalazłam się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Nie pytaj, dobrze?

Westchnęła i pozwoliła głowie opaść Davidowi na ramię. Czuła się kompletnie wyczerpana. David był dla niej taki dobry – lepszy niż ktokolwiek inny, nawet Mae. Wiedziała, że dojdzie do siebie. Miała już za sobą najgorszy etap odstawienia. Ale pomimo to Zero była wystraszona jak nigdy wcześniej, a dodatkowo przerażała ją myśl, że może już nigdy nie zobaczyć Bobby’ego. Każdego ranka, gdy David zostawiał ją samą, nie wierzyła, że doczeka końca dnia. Tylko jego głos utrzymywał ją przy zdrowych zmysłach. Powstrzymywał od rzucenia się prosto w ramiona przyzywającego ją szaleństwa. Wiedziała, że zacisnęłyby się wokół niej i już nie puściły, ciągnąc ją ku śmierci.

– Przytul mnie – powiedziała.

Przycisnął ją do piersi i pocałował w czubek głowy. Drżała ze strachu. Gdy zamykała oczy, ciągle widziała przed nimi tamten pokój,

czerwień, zawieszona przed swoją twarzą bicze, z których jeden darł jej ciało na strzępy. W godzinach codziennej samotności wyraźnie przypominał jej się trzask, ostry ból i widok zbliżającej się do niej pięści Wężowego Kapłana.

W tych wizjach pojawiała się dodatkowo twarz jej ojca.

Jej ciało zaczęło się spazmatycznie trząść.

– Chcę wrócić do naszego pokoju.

David powiedział jej:

– Wszystko w porządku. Jestem przy tobie. Jesteś bezpieczna. Mae też tu jest. Nie obawiaj się, Kathy. Już wychodzimy.

Gdy wrócili do Alexandra, na zewnątrz czekał na nich Frankie:

– Hej, Zero, nieźle wyglądasz.

Przyłgnęła do Davida, który przycisnął ją do siebie.

– Miałeś okazję zająć się dziś bankiem? – spytał David młodzieńca.

– Położenie się zgadzało, ale nie pozwolili mi zobaczyć skrzynki. Wcale nie wynajął jej pan Kapłan, co było sporym zaskoczeniem. Ale dziewczyna, która pracuje w tym banku, sprawdziła dla mnie dokumenty w zamian za całusa i parę słodkich słów. Skrzynka zarejestrowana jest na kogoś, kto nazywa się Audrey Hariman.

Podał Davidowi klucze.

– Ci kolesie czasami korzystają z nazwisk kobiet, żeby nie dało się ich namierzyć, wiesz, o czym mówię?

– Dzięki, Frankie. Ogromnie mi pomogłeś.

David sięgnął do kieszeni po banknot, ale chłopak tylko machnął ręką i odszedł.

– Nie, stary. Po to są koledzy. Jesteśmy kwita. Dostałem kupę smalcu za tego chevroleta.

Gdy byli już w pokoju, Zero powiedziała:

– Pójdę tam jutro.

David pokręcił głową.

– Poproszę kogoś innego. Jedną z dziewczyn Frankiego. Albo Mae. Ty nigdzie nie pójdziesz.

– Mae nie jest w to zamieszana. A tych dziewczyn nawet nie wpuszczą do środka. Są zbyt młode i zbyt głupie. Kierownik banku zadzwoni po gliny. I tak dobrze, że nie potraktował w ten sposób Frankiego.

David usiadł na łóżku.

– Nie, Kathy. Jesteś w dalszym ciągu osłabiona. A poza tym wydaje mi się, że zbyt się boisz, żeby stawić w tej chwili czoło światu.

– Myślisz, że skombinuję skądś działkę, co?  
– Jest taka możliwość.  
– Szkoda, że nie potrafię cię przekonać, że tego nie zrobię, ale sama jestem tego pewna. Jeśli jeszcze raz musiałabym rzucać prochy, serce by mi eksplodowało.

Usiadła obok niego. Objął ją, a ona była mu wdzięczna za to, że nieustannie podnosi ją na duchu.

– Kocham cię – powiedziała nagle. – Nigdy jeszcze nie powiedziałam tego nikomu oprócz Bobby’ego. Ale tak właśnie jest, Davidzie.

Delikatnie pocałował ją w usta.

– Gdy będzie po wszystkim, będziesz mogła spędzić ze mną wieczność, jeśli taka jest twoja wola.

– Nigdy nie pragnęłam niczego równie mocno.

– Kathleen, powinnaś poznać prawdę na temat natury mojej egzystencji. Nie spiesz się z decyzją. Istnieją wady tej sytuacji, które nie są bez znaczenia. Nie będę mógł dać ci dzieci. I mimo tego, co dyktuje ludzka wyobraźnia, mój gatunek wcale nie jest nieśmiertelny w ścisłym znaczeniu tego słowa. Ogień, dekapitacja, poważna rana serca, przerwany rdzeń kręgowy czydziałanie promieni słonecznych będą mogły cię zniszczyć. Za dnia będziesz unieruchomiona i bezbronna. Często doskwierać ci będzie samotność.

– A co tam, i tak najlepiej funkcjonuję po zmroku. – Zaśmiała się, mimo że nie wiedzieć czemu zaczynała się czuć nieswojo.

– To nie wszystko. Nasze zwyczaje wprawiają zwykłych śmiertelników w niepokój, a poza tym to oni przecież są naszymi ofiarami. Z tego i innych powodów często musimy przenosić się z miejsca na miejsce. Będziesz obserwować, jak ludzie, na których ci zależy, starzeją się, cierpią, umierają, podczas gdy ty się nie zmieniasz. To niezwykle bolesne. Oderwiesz się od ludzkości i zaczniesz postrzegać ludzi jako inny gatunek, a oni w zamian będą nazywać cię potworem, gdy tylko odkryją, kim naprawdę jesteś. Ich knowania staną się dla ciebie łatwe do przejrzania, a ich cierpienia nazbyt rzeczywiste.

– Przecież istnieją jeszcze inne wampiry, prawda?

– Tak, ale nasze relacje nie przypominają związków międzyludzkich. Stanowimy zagrożenie dla siebie nawzajem, a to każe nam trzymać się na dystans. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale jeśli przejdziesz tę transformację, od razu zrozumiesz, o co mi chodzi.

Zero robiła się podenerwowana – być może wywołane to było

poważnym tonem głosu Davida. Wcale nie chciała wiedzieć o tych wszystkich rzeczach, ale on wydawał się zdeterminowany ją o nich poinformować.

– A co najważniejsze, będziesz zmuszona czerpać krew z żywych ludzkich istot, aby przetrwać. Jesteś w stanie się z tym pogodzić?

Zdawała sobie sprawę, że David pija krew. Jej krwi też próbował. Jednak wiedza o tym nie miała na nią aż takiego wpływu jak usłyszenie o tym w sposób równie bezpośredni. Na samą myśl o picciu krwi skręcał jej się żołądek. Nie mogła nic na to odpowiedzieć.

– Jeśli przez dłuższy czas nie dostarczysz organizmowi krwi, będzie to dla ciebie o wiele bardziej przykre niż odstawienie narkotyków. Będziesz mieć wrażenie, że konasz z głodu, że każda komórka twojego ciała kurczy się, obumiera – i tak właśnie będzie. Cierpienie przekroczy jakiegokolwiek znane ci granice. Wielu z nas ten stan potrafi popchnąć do morderstwa.

– Przecież mówiłeś, że nigdy nie zabiłeś nikogo dla krwi. Nie może być aż tak źle.

– Jestem jedynym przedstawicielem swojego gatunku, o jakim wiem, którego żądza krwi nie zmusiła do zabójstwa.

Czuła na skórze dotyk jego nienaturalnie chłodnego ciała – ciała niewydzielającego żadnego zapachu, który byłaby w stanie zarejestrować – a jego źrenice zwały się momentami tak bardzo, że przypominał istotę nie z tego świata...

Zero zaczęła dygotać. Bała się na niego spojrzeć, żeby nie dostrzec czegoś, czego nie miała ochoty widzieć. Przeraziła ją myśl, że David mógłby domyślić się, jak się czuje, a następnie ją zabić. W okamgnieniu. Zmiażdżyć ją przy użyciu swojej nadludzkiej siły. Wyssać ostatnią kroplę krwi z jej ciała. W jakiej to dziwnej krainie ostatnio pomieszkiwała? Od pewnego czasu targały nią tak skrajne emocje, że dopiero teraz zaczęła składać sobie wszystko do kupy.

Serce zaczęło ostrzegawczo łomotać jej w piersi i nie była w stanie uspokoić oddechu.

Już miała rzucić się do ucieczki, gdy David odezwał się, jakby czytając jej w myślach:

– Kathy, nigdy zrobiłbym niczego wbrew twojej woli. Znacysz dla mnie więcej niż krew. Jeśli odrzucisz moją ofertę, nie porzucę cię ani nie zmuszę do podporządkowania się mej woli.

Demon, przed którym jeszcze chwilę wcześniej miała ochotę uciekać, na jej oczach przemienił się w mężczyznę kochającego ją

bardziej niż ktokolwiek inny – teraz, a prawdopodobnie i na wieki. Jej wątpliwości i lęki rozwiały się, gdy poczuła, jak bardzo go potrzebuje.

– Chcę być z tobą, Davidzie. I z Bobbym. Chcę stać się taka jak ty. Chcę być w stanie się obronić, gdy ktoś próbuje mnie zranić. Całe życie byłam krzywdzona. Chcę, żeby to się już skończyło.

Kontynuowali rozmowę na temat rzeczy, których musiałyby się wyrzec, i konsekwencji tego typu poświęceń. Wrócili też do kwestii skrytki bankowej. W końcu Kathy udało się przekonać Davida, że nikt inny nie mógł się po nią wybrać, chociaż widziała, iż ten pomysł w dalszym ciągu mu się nie podoba. Sama nie była nim zachwycona, ale chciała, żeby ta sprawa dobiegła już końca, i żeby ich trójka mogła w końcu być razem.

David kazał jej obiecać, że uda się do banku tak późno po południu, jak tylko się da, w obie strony pojedzie taksówką, a jeśli ogarnie ją strach, zadzwoni po Mae.

Gdy David przebudził się następnego wieczoru, pokój był pusty. Wybiegł na dwór i spytał stojące tam dzieciaki, czy nie widziały Kathy.

– Nie, od kiedy wyszła – odpowiedziała dziewczyna Frankiego.

Natychmiast udał się do banku, ale rzecz jasna, był już zamknięty, a ona już stamtąd poszła. Być może jednak miało to miejsce na tyle niedawno, że mógłby ją wytropić. David skrył się w alejce gwarantującej samotność.

Skupił się i zanurzył sam w sobie w poszukiwaniu grup komórek, na które wpływ wywarła krew jej oraz innych osób, które kiedykolwiek stały się dla niego źródłem energii życiowej. Skoncentrował się na zapachu jej krwi, jej esencji. Dostrojenie się do jej źródła pozwoliło mu podążać tropem właściwej woni.

Odnalazł ją siedzącą na zbutwiałym pomoście obok papierowej torby na zakupy. Miała zgarbione plecy i pochyloną głowę. Po jej posiniaczonych policzkach spływały czarne od tuszu do rzęs łzy. W pięści ścisnęła zmięty kawałek papieru.

# Rozdział 11

Latem przyprowadzałam tu Bobby'ego. Uwielbiał patrzeć na przyplływające i odpływające łodzie. Chciał popłynąć jedną z nich. Mówiłam mu, że kiedyś zabiorę go w taki rejs.

Głos Kathleen pozbawiony był wyrazu.

Po twarzy ciekły jej łzy niczym strugi deszczu spływające nieubłaganie po przedniej szybie samochodu.

David wyjął jej z dłoni wymiętą kartkę papieru, którą następnie rozłożył. Była to kserokopia ziarnistego, niezbyt wyraźnego zdjęcia przedstawiającego dziecko leżące w ciemnej kałuży.

Obok siedzącej na molo Kathleen leżała duża torba na zakupy. W jej wnętrzu znalazł białą kopertę listową wypchaną pieniędzmi. Na środku wypisane było jedno nazwisko, a w lewym górnym rogu – drugie.

– Kathy, nie wiadomo, czy to Bobby.

– To on. – Spojrzała na brudną wodę z nieobecnym wyrazem twarzy. Na skraju pomostu wylądowała mewa, zaskrzeczała żałośnie, a potem szybko wzbiła się w powietrze, jakby bała się zostać. – Był tak samo ubrany, gdy widziałam go po raz ostatni.

David raz jeszcze przyjrzał się uważnie fotografii. Nie mógł wyraźnie dojrzeć ani twarzy, ani ubrań dziecka i zastanawiał się, skąd Kathy brała tę pewność. Tło było ciemne, a na zdjęciu widoczne było jedynie ciało. Oraz ciemna plama okalająca tułów.

Wsunął jej dłoń pod ramię.

– Wracajmy.

Zaprowadził ją do hotelu i położył do łóżka. Leżała, wpatrując się w sufit. Raz na jakiś czas jej oczy wypemniały się łzami, które bezdźwięcznie staczały się po policzkach. Siedział przy niej, trzymając ją za rękę, odgarniając włosy z czoła, wycierając oczy. Nie miał jednak do zaoferowania wielu kojących słów. David był świadkiem zgonu wielu śmiertelników. Ich śmierć była czymś nieuniknionym i choć nauczył się ją tolerować, to nigdy nie był w stanie się z nią pogodzić.

Idealista w nim myślał:

„Gdybym tylko umiał pomóc wszystkim śmiertelnikom przejść tę



przemianę...”.

Pragnął oswobodzić ich skazane na zagładę dusze, tak jak on sam został uwolniony od lęku przed nieubłaganym końcem oraz cierpieniem wywołanym utratą bliskich. Uczucia owe były mu dobrze znane, chociaż – jak się okazało – śmierć stała się dla niego portalem prowadzącym do egzystencji przekraczającej najśmielsze wyobrażenia. Często myślał sobie, że być może śmierć wszelkich żywych istot jest podobna, tyle że otwarta przez nią drogą prowadzi gdzie indziej. Jednak nawet on sam nie był do tego stopnia pogrążony w domysłach, żeby nie widzieć rażącej słabości tego systemu. Gdyby zabrakło ludzi, wraz z nimi zniknęłaby ludzka krew, a przetrwanie jego gatunku stanęłoby pod znakiem zapytania. Krew zwierząt mogła utrzymać go przy życiu, ale nie wystarczała. Mroczna rzeczywistość wyglądała tak, że chociaż był w stanie współczuć kruchym istotom ludzkim – a pamiętając czasy, gdy był jeszcze jednym z nich, nietrudno mu było pojąć ich cierpienie – zdawał sobie sprawę z tego, że wielu ludzi miało nikiemną naturę. Czy chętnie przemierzałby świat, w którym ludzie pokroju Dennisa czy Wężowego Kapłana byłiby mu równi? Skoro siali zniszczenie jako śmiertelnicy, ciekawe, do czego byłiby zdolni, mając do dyspozycji moce, którymi obdarzony był jego gatunek. Stwierdził ponuro, że nawet oni sami często nie potrafią sobie z nimi radzić.

Tak więc jedyne, co mógł jej zaoferować, to puste banały takie jak: „każde cierpienie kiedyś się kończy” lub „czas leczy rany”.

Gdy Kathleen pogrążyła się w półśnie, wziął torbę na zakupy i usiadł na krześle pod oknem. Wartość wszystkich dwudziestodolarowych banknotów wynosiła w sumie cztery tysiące dolarów. Pośrodku koperty wypisane było nazwisko Wężowego Kapłana. Imię i nazwisko w lewym górnym rogu brzmiały: Donald Reesone.

– Frankie, potrzebuję, aby ktoś posiedział z Kathleen. Czy jedna z dziewcząt mogłaby się tym zająć?

– Spoko. Linette! – Podeszła do nich jego dziewczyna, ładna nastolatka o gładkiej kasztanowej skórze i zmysłowych rysach twarzy, której różowe pasemka we włosach tak bardzo fascynowały Davida. – Mój ziomek Dave szuka kogoś, kto poniańczy Zero. Skocz na górę.

– Nie słyszałeś, że znieśli niewolnictwo? – Ton jej głosu był gniewny, ale dziewczyna obróciła się w kierunku drzwi.

Davidowi przyszło do głowy, że w głębi duszy musiała czuć się wyróżniona tym zadaniem.

– Nie pozwól jej wyjść i w żadnym wypadku nie podawaj jej

narkotyków – ostrzegł David, podając jej klucz do pokoju. – Rozumiesz?

Dziewczyna wzięła od niego klucz i kiwnąwszy głową, odeszła.

– Wróć tak szybko, jak to możliwe. Frankie, brakuje mi słów, żeby wyrazić wdzięczność za okazaną przez ciebie pomoc – powiedział David. – Nie wiem, co bym bez ciebie począł.

– Nie ma sprawy, stary. To, że tu mieszkasz, jest naprawdę super. Dzięki tobie okolica przestała być trupem. Normalnie odchodzą tu tylko czcze gadki. Twój przyjazd kazał nudzie spakować manatki.

– Wiesz, Frankie, naprawdę nieźle radzisz sobie ze słowami. Być może twój talent się tu marnuje.

– Ziomek, nie będziesz mi chyba teraz prawić kazań na temat powrotu do szkoły, co?

– Bynajmniej. Podejrzewam, że organa pedagogiczne mają dla ciebie równie mało cierpliwości co ty dla nich. Zastanawiam się tylko, czy lubisz robić coś jeszcze oprócz wystawiania pod Alexandrem.

– Lubię robić masę różnych rzeczy, ziom. Palić zielone, słuchać muzy, posuwać panienki.

– Prawdziwy człowiek renesansu – zaśmiał się David. – Coś jeszcze? Frankie przez chwilę się zastanawiał.

– Tak. Lubiałem pracować przy samochodzie, zanim ktoś mi go splądrował.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Ale takie rzeczy są w Nowym Jorku na porządku dziennym, no nie?

– Myślałeś o pracy mechanika? Z tego, co wiem, to popłatna profesja.

– Przyszło mi to do głowy, ale mam spore zaległości. Musiałbym mieć lepsze stopnie.

– Warto się nad tym zastanowić.

Frankie przestąpił z nogi na nogę z niewyraźną miną.

– Przy okazji – powiedział David, czując, że konieczna jest zmiana tematu – obito ci się o uszy nazwisko Donald Reesone?

– Nie, ale popytam na mieście.

David wyruszył na poszukiwania pożywienia w kierunku północno-zachodnim. Odniesione rany osłabiły go, a w zeszłym tygodniu posilał się trzykrotnie każdej nocy. Po posiłku zatrzymał się przed sklepem w Greenwich Village, którego witryna zastawiona była pluszowymi zwierzętami. Jego uwagę przykuł mały biały miś z imieniem Kathy

wydrukowanym na sercu. Następnie udał się do Mae, aby kupić Kathleen coś do jedzenia.

– Ciągle kiepsko się czuje? – spytała Mae.

David rozejrzał się dookoła. Lokal był prawie pusty.

– Przeżyła szok. Chodzi o jej brata.

– Bobby’ego?

– Tak, obawiam się, że mam złe wieści – on nie żyje.

Mae spojrzała na niego dziwnym wzrokiem, a potem powiedziała:

– No, tak, przecież wiem.

– Jak się pani o tym dowiedziała?

– Jak to jak? – Zdezorientowana Mae zmarszczyła brwi. – Wszyscy przecież wiedzą. Zginął tuż przed moim oknem. Pisali o tym w gazecie. Poczekaj! Chyba jeszcze ją mam.

Mae wyciągnęła spod lady metalowe pudło i zaczęła grzebać w jego zawartości.

Teraz to David miał zaskoczony wyraz twarzy.

– Mae, nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem. Kiedy to się stało?

– Dwa lata temu. Prawie co do dnia.

Kobieta podała mu wycinek z gazety, który wyglądał prawie dokładnie tak jak tamta kserokopia, tyle że zawierał jeszcze podpis.

– Bobby zginął dwa lata temu – powtórzył David.

Mae musiała się zorientować, jak bardzo był zszokowany, bo ujęła go za ramię i poprowadziła do boksu na tyłach restauracji.

– No dalej. Siadaj. Musimy porozmawiać. Chcesz kawę?

David pokręcił głową.

– Mae, czy Kathy ma jeszcze jakichś braci?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Miała tylko Bobby’ego. Miły chłopczyk, zawsze pogodny. Pewnego wieczoru potrącił go samochód. Na szczęście zginął od razu i nie cierpiał.

– Ile miał lat?

– Osiem. Urodził się w tym samym tygodniu, w którym rozpoczęła się rozbiórka kina.

Davidowi nagle przypomniała się data widniejąca na odwrocie jednego ze zdjęć, które Kathy pokazała mu na lotnisku w Manchesterze. Uświadomił sobie teraz, że data odnosiła się do dnia, który miał miejsce dziesięć lat wcześniej, co razem dawało osiem lat życia i dwa lata, które upłynęły od śmierci dziecka.

Mae przerwała mu rozmyślenia.

– Pozwól, że cię o coś spytam. Czy Kathy mówi o nim tak, jakby

dalej żył?

– Tak. Teraz jednak wydaje jej się, że został niedawno zamordowany.

Mae zacisnęła wargi i ze smutkiem potrząsnęła głową.

– Nigdy nie była w stanie się z tym pogodzić. Od paru lat opowiada o nim, jakby Bobby ciągle żył. Mówi, że musi wracać do domu, żeby ugotować Bobby’emu obiad, albo pyta, czy go widziałam. Większość ludzi patrzy na nią jak na wariatkę. Na początku próbowałam pomóc jej stawić czoło prawdzie, ale nic z tego nie wyszło. Po jakimś czasie przestałam zwracać na to uwagę albo odpowiadać jej tak, jakby Bobby ciągle był wśród nas. Myślę, że narkotyki pomieszały jej w głowie.

David był oszołomiony.

„Biedna Kathleen – pomyślał. – Miała tylko Bobby’ego. To pewnie dlatego zaczęła brać heroinę”.

Sprawa z minuty na minutę robiła się coraz dziwniejsza. Ktoś wiedział nie tylko o tym, że jej brat nie żyje, lecz również był świadomy faktu, że Kathy nie potrafi się z tym pogodzić. Korzystając z tej wiedzy, zmuszono ją do wyjazdu do Anglii. Chyba że od początku była zamieszana w realizację tego planu. Z jednej strony nie mógł w to uwierzyć, z drugiej jednak myśl ta przemknęła mu wcześniej przez głowę i nie mógł wykluczyć takiej możliwości.

– Powinieneś wiedzieć coś jeszcze – odezwała się Mae. – Mówię ci to tylko dlatego, że oboje najwyraźniej kochamy tę dziewczynę. Przychodziła tu prawie od chwili, gdy nauczyła się chodzić. Zawsze uważałam ją za swoją córkę. Nigdy nie miałam dzieci, a ona nie miała matki z prawdziwego zdarzenia. Jej własna matka umarła, a i wcześniej mały był z niej pożytek. Do tego ojciec był niezłym bydlakiem. Opowiadała ci o nich?

– Niewiele.

– To, co ci powiem, przeznaczone jest wyłącznie dla twoich uszu. – Spojrzała na niego z powagą. – I żebyś nie ważył się wykorzystać tego przeciw niej.

– Nigdy bym tego nie zrobił, Mae.

– Gdybym się tego obawiała, nic bym ci nie powiedziała.

Mae obróciła pokrytą zmarszczkami twarz w stronę okna, a David wyczuwał, jak wielką dawkę miłości i troski darzyła Kathleen przez te wszystkie lata.

– Mnie też zależy na jej dobru i wątpię, że cokolwiek, co mi pani powie, mogłoby to zmienić – powiedział.

Spojrzała na Davida.

– Bobby nie jest jej bratem.

David czekał. Nie od razu dotarł do niego sens jej słów.

W końcu Mae zrobiła wydech tak długi, jakby całe życie zabrało jej wciągnięcie tego powietrza w płuca.

– Zgwałcił ją ojciec.

Gdy David w końcu zrozumiał, o co chodzi, wydusił z siebie:

– Bobby był jej synem!

– Ojciec zaczął się z nią zabawiać, gdy była jeszcze mała. W tamtych czasach nie mówiło się jeszcze tyle o kazirodztwie co teraz. Nikt niczego nie wiedział ani nie chciał wiedzieć. Ja podejrzewałam. Miałam przeczucie, że coś takiego ma miejsce. W każdym razie, gdy miała jakieś trzynaście czy czternaście lat, zrobiła się bardzo pulchna. Wszyscy jej z tego powodu dokuczali, bo była przy tym taka drobna. Potem zniknęła gdzieś na kilka miesięcy, a wróciła już z Bobbym.

– Ale przecież pani wiedziała?

– Pewnie. Tak jak większość sąsiadów. Ale mówiła, że to jej braciszek, że jej stary miał w Brooklynie dziewczynę, która nie chciała dziecka, więc go przygarnęła. Rok później ojciec odszedł. Myślę, że po urodzeniu Bobby’ego zrozumiała, jaki był z niego drań. Miała zaledwie czternaście lat, ale charakteru jej nie brakowało – powiedziała, że jeśli wróci, to go zabije, i tak by pewnie zrobiła. Musiał jej uwierzyć, bo od tamtej pory się tu nie pokazał. Wychowywała Bobby’ego, jakby był jej bratem, a my wszyscy udawaliśmy, że tak właśnie jest, i...

Wyglądała na roztrzęsioną i David przykrył jej dłonie swoimi.

Teraz, gdy słowa te zostały w końcu wypowiedziane, musiał przyznać, że od początku coś takiego podejrzewał, ale bał się stawić czoło prawdzie.

– Już dobrze, Mae. Cieszę się, że mi pani o tym powiedziała. Kathleen potrzebna jest pomoc.

– Pomagali jej. Opieka społeczna zajmowała się nimi do momentu, gdy Bobby był wystarczająco duży, żeby Kathy mogła pójść do pracy. Posyłali ją do różnych lekarzy. Dziewczyna nie jest wariatką, po prostu nie potrafi poradzić sobie z rzeczywistością. Nie chce pogodzić się z jego śmiercią.

– Być może właśnie zaczyna to robić – stwierdził David. – Wydaje jej się, że Bobby został zamordowany. Teraz przynajmniej wierzy w jego śmierć. To sposób na stawienie czoła faktom.

Mae spojrzała na niego z błyskiem w oku, jakby intuicja

podpowiadała jej, że część prawdy na temat Davida wykracza poza jej zdolność pojmowania, i w związku z tym lepiej powstrzymać się od oceny. Wysunęła ręce spod jego dłoni.

– Gdybym znała tylko ciebie, a nie Kathy, radziłabym ci uciekać od niej, jak najdalej się da. Jednak to ją znam, a nie ciebie. Potrzebna jej miłość. Do tej pory tylko ja ją kochałam. No i Bobby. Proszę cię o jedno – nie skrzywdź jej. Doznała w życiu zbyt wielu cierpień.

Po powrocie do Alexandra David zastał Kathleen na łóżku z kocem podciągniętym pod brodę. Miała szeroko otwarte, wystraszone oczy.

– Cześć! – powitała go.

Podszedł do łóżka i ją pocałował.

Linette wstała i gdy szła w kierunku drzwi, David wręczył jej dwadzieścia dolarów. Dziewczyna spojrzała z zaskoczoną miną na pieniądze, a następnie na niego.

– Ojej, dzięki! – powiedziała, po czym złożyła banknot i schowała go do kieszeni, wychodząc.

Kathy podskoczyła i zarzuciła mu ramiona na szyję targana głębokim płaczem.

– Bałam się – zawodziła. – Zawsze się boję, gdy wychodzisz.

Utulił ją niczym laleczkę z chińskiej porcelany, która w każdej chwili może rozpaść się na kawałki. Nie miał odwagi wspominać o tym, czego się dowiedział. Jej popękana dusza sama się zagoi, gdy upłynie wystarczająco dużo czasu.

Pocieszając ją, przytknął oczy. W głowie pojawiła mu się Ariel. Kusząca wizja podszyta przenikliwym bólem oraz ślepym gniewem. Czyżby niczego się nie nauczył? Czyżby w dalszym ciągu był wystarczająco naiwny, aby związać się z kobietą zdolną do zdrady? Nie, to nie było możliwe. Kathleen nie była taka jak Ariel. A mimo to słowa Mae nie dawały mu spokoju: „...uciekać od niej, jak najdalej się da”.

Łkająca istota spoczywająca bezwładnie w jego ramionach napawała go jednocześnie czułością i posępnym lękiem. Napięcie wywołane przez skrajność tych emocji obróciło jego ciało w kamień. Czuł się niczym posąg, który nie był władny ani przyciągnąć Kathy bliżej, ani jej od siebie odepchnąć. Bezgłośnie modlił się o to, aby w kluczowym momencie podjął właściwą decyzję. Dla odmiany.

# Rozdział 12

Ej, stary, obczaj to. Ten koleś to nie byle kto.

Frankie podsunął Davidowi pod nos stronę osiemnastą „New York Daily News”.

David wskazał dłonią jedyne dostępne w ich pokoju hotelowym krzesło, a Frankie na nim usiadł.

Zero zajrzała Davidowi przez ramię i powoli odczytała na głos podpis pod zdjęciem, na którym wysoki, siwowłosy mężczyzna w garniturze gawędził z młodszym i niższym mężczyzną ubranym w luźne spodnie i koszulkę polo firmy Lacoste.

„Włoski reżyser Mario Farmacotti oraz gwiazda filmu *Pocałunek śmierci* Donald Reesone uświetnili swą obecnością Nowojorski Festiwal Filmowy”.

Artykuł był krótkim tekstem poświęconym reżyserowi. Kilkakrotnie cytowano w nim Reesone’a, który pod koniec wspominał, że będzie obecny na przyjęciu wydawanym w sobotni wieczór przez włoski konsulát w hołdzie dla Farmacottiego i jego dorobku.

– Jak, do licha, mam się dostać na to przyjęcie? – odezwał się David, nie kierując tego pytania do nikogo konkretnego.

– Łatwizna – powiedział Frankie. – Załatwię ci zaproszenie, ale to będzie sporo kosztować. Pięćdziesiąt, może siedemdziesiąt pięć dolców z hakiem na zakup koksu.

David podał mu banknot studolarowy. Zero widziała, że płaci za narkotyki z poczuciem winy.

– Ziom, drukujesz te pieniądze czy co?

– Upewnij się, żeby było podwójne – powiedziała Kathy.

David obrócił się do niej.

– Nigdzie nie idziesz.

– Davidzie, to nie jest jakiś bar. Przecież...

– Nie!

Jego stanowczość lekko ją wystraszyła, więc zamilkła.

Frankie wstał i się przeciągnął.

– Widzę, że macie sprawy do przedyskutowania. Załatwię to zaproszenie. Może na ostatnią chwilę, ale nie musisz się martwić.

Frankie się tym zajmie. Może kolega na mnie polegać.

Podszedł do drzwi przesadnie pysznym krokiem, po czym wyszedł.

– David...

– Nigdzie nie pójdziesz, Kathy. Nie chcę na ten temat dyskutować.

Wstał i zaczął kroczyć w tę i we w tę. Widziała, że jest zdenerwowany, więc postanowiła na razie dać mu spokój. Nie miała jednak zamiaru pozwolić mu iść na przyjęcie w pojedynkę ani nie uśmiechało jej się być z dala od niego przez tak długi czas. Na urobienie go pozostała jej reszta nocy.

Wyciągnęła nogi przed siebie i westchnęła.

Jakimś cudem w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin udało jej się pogodzić ze śmiercią Bobby'ego. Pozwoliło jej to spojrzeć trzeźwym okiem na całe swoje życie, ale też napełniło smutkiem. A nawet czymś więcej. Zero ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że w dalszym ciągu nosi w sobie ten ból. Wcześniej wyplakiwała oczy – do momentu, gdy robiła się skrajnie wyczerpana i wszystko zaczynało wydawać się nierzeczywiste. Miała wrażenie, że przez cały czas znała prawdę na temat Bobby'ego, ale dopiero teraz była w stanie to przyznać. Chciała skupić się na tym, co będzie, a o przeszłości zapomnieć. Pragnęła, by przyszłość okazała się zgodna z jej nadziejami.

Frankie przyniósł zaproszenie w piątek, zaraz po zachodzie słońca.

David obrócił w palcach karteczkę koloru kości słoniowej pokrytą złotymi zdobieniami.

– Jest prawdziwe, ziomek, jak z diamentem pierścionek – oznajmił Frankie.

– Skąd je masz? – spytała Kathleen.

Na ustach Frankiego pojawił się cwany uśmieszek.

– Ma się te chody. Szwagierka pracuje u nich w kuchni. Pożyczyła je dla mnie.

Gdy chłopak wyszedł, Kathy powiedziała:

– Davidzie, proszę, pozwól mi iść z tobą. Nie chcę zostać tu sama. Tobie też pójdzie łatwiej, bo będziesz wiedział, gdzie jestem, a ludzie będą zwracać na ciebie mniejszą uwagę, jeśli będziesz w towarzystwie dziewczyny. Podczas takiej akcji nic nie ma prawa się wydarzyć. Proszę, czuję się już lepiej. Nie zostawiaj mnie samej.

David zaczął się nad tym zastanawiać. Prawdę mówiąc, bił się z myślami od zeszłego wieczoru. Brał ten pomysł pod uwagę tylko z tego względu, że nie chciał zostawiać jej samej na tak wiele godzin, a oprócz tego czuł, iż spędzenie trochę czasu na zewnątrz dobrze jej



zrobi. Tym razem i ludzie, i sytuacja będą inni. A skoro będą razem, ona nie wpakuje się w tarapaty.

– No dobrze – oznajmił, zastanawiając się, czy popełnia błąd.

Kathleen szeroko otworzyła oczy.

– Chodźmy. Są nam potrzebne stosowne stroje, będę też musiał wynająć samochód.

W drodze ku bogatszej części miasta David podzielił się z Kathy historią, jaka zrodziła mu się w głowie – będzie podawać się za Davida Newby'ego, dziennikarza z Londynu, a ona za jego żonę Beverly.

– Zaznałomiłem się z pismami kolorowymi, zapoznałem się z filmami. Przyleciałem do Nowego Jorku, żeby przeprowadzić wywiad z Farmacottim, i gdy natknę się na Reesone'a, zasugeruję napisanie tekstu na jego temat, dzięki czemu będę mógł spotkać się z nim na osobności.

Kathleen go przytuliła.

– Podoba mi się ta część dotycząca małżeństwa.

„Jakaż ona urocza – pomyślał. – Naiwna, prawie że niewinna, pomimo doświadczeń, które większość ludzi napełniłyby nieznośną goryczą”.

Zrobili szybkie zakupy w luksusowym domu towarowym Bergdorf-Goodman, który otwarty był do późna. Potrzebne im było mnóstwo rzeczy. David kupił sobie smoking od Armaniego, a Kathy elegancką, długą suknię ze złotej lamy z bufiastymi rękawami i wysokim kołnierzem, który pozwalał na ukrycie jej ran. Kreacja ta przypominała mu modę obowiązującą w czasach jego młodości, gdy był jeszcze śmiertelny. Wyglądała w niej, jakby przed chwilą zeszła ze ekranu, na którym wyświetlano film historyczny. Kupili jej także buty i małą torebkę, a wychodząc, zaopatrzyli się jeszcze w dwie złote obrączki marki Van Cleef & Arpels.

W sobotę po południu Kathy poszła zrobić sobie nową fryzurę i makijaż. Po zachodzie słońca David odebrał wynajętego przez siebie bentleya i pojechał po nią do Bergdorf-Goodman.

Jej widok zaparł mu dech w piersi. W różnych odcieniach złota wyglądała zjawiskowo, a wijące się wokół jej głowy loki koloru ochry przypominały mu wizerunki kobiet uwiecznione w sztuce starożytnej Grecji. Subtelny makijaż idealnie pokrywał przebarwienia twarzy i sprawiał, że promieniowała pięknem niczym księżniczka z baśni, dziewczyna panna młoda. Czuł, że robi z siebie głupca, cytując poezję na ulicy, ale słowa Byrona same się z niego wylały:

*„Boskość, która chwileczkę błyska i wnet kona.  
A nasza wyobraźnia żywa, rozogniona,  
Stroi ją w młodość, wdzięki i na zawsze traci [...]”<sup>19</sup>”.*

Nie mógł oderwać od niej rąk, na co Kathleen zareagowała beztróskim śmiechem, a jej błękitne oczy rozbłysły niczym gwiazdy, gdy na chwilę udało jej się zapomnieć o smutku i okrucieństwie, których ofiarą stała się niedawno.

Przy wejściu do otoczonego murem budynku z szarego kamienia, w którym mieścił się włoski konsul, David podał odźwiernemu zaproszenie. Mężczyzna tylko na nie zerknął, a następnie z szacunkiem zaprosił ich do środka i poprowadził obok prezentujących się przeciętnie, niemalże ascetycznie, biur, a w każdym można było dostrzec czerwono-biało-zieloną flagę. Ruszyli po mocno wypolerowanych schodach do znajdującej się na pierwszym piętrze sali. Wkroczyli do eleganckiego, magicznego świata rodem z bajki. Powitał ich pokryty kwiatowym wzorem wazon z mieczykami stojący na niskiej kolumnie z marmuru. Powietrze było gęste od upajającej woni setek ściętych kwiatów.

David patrzył, jak Kathy szeroko otwiera oczy i rozchyła wargi. Najpierw spojrzała na czarno-białe płytki pod stopami, potem na brzoskwińowej barwy ściany ozdobione białą boazerią, aż w końcu zadarła głowę oczarowana widokiem lśniącego ponad ich głowami kryształowego żyrandola. Ścisnęła w dłoniach torebkę jak mała dziewczynka. Nie ulegało wątpliwości, że równie okazałe wnętrza miała do tej pory okazję podziwiać jedynie w filmach.

Ujął ją za ramię i poprowadził w kierunku komitetu powitalnego.

– David Newby, sir. – Wyciągnął dłoń w kierunku mężczyzny, którego rozpoznał jako konsula generalnego Włoch w Nowym Jorku. – Piszę dla londyńskiego magazynu „Sławni i Bogaci”. Pan pozwoli, że przedstawię swoją żonę Beverly.

– A, tak. Czytam to pismo regularnie – oznajmił uprzejmie konsul generalny, ścisnąc dłoń Davida, a następnie całując Kathy w rękę.

Przedstawił im swoją żonę, która wyznała, że uwielbia artykuły Davida. Ten podziękował jej za komplement. Kathy nic nie powiedziała. Była zbyt wystraszona, by się odezwać.

Konsul generalny przedstawił Davida i Kathleen Farmacottiemu, którego David poprosił o wywiad. Kościsty mężczyzna po

sześciesiątce najpierw pociągnął się za nos, a potem wskazał zamasyżycie na salę, mówiąc:

– Proszę pomówić z moim agentem prasowym. To ten brodaty facet w niebieskiej marynarce.

Gdy zostali już wszystkim przedstawieni, David zaprowadził Kathy do stołu z przystawkami.

– Zjedz coś – powiedział.

– Nie mogę – szepnęła, a jej oczy lśniły niczym błękitne klejnoty. – Jestem zbyt podekscytowana.

Pocałował ją więc w zastępstwie posiłku.

Przez jakieś pół godziny kręcili się w tłumie, a potem David pokierował ich w kierunku grupki, w której składzie znajdowali się Farmacotti, Reesone i jakaś kobieta.

– A, pan dziennikarz – powiedział Farmacotti. – Zna pan Dona?

– Nie mieliśmy okazji się poznać, ale od lat jestem pana fanem i z chęcią przeprowadziłbym z panem wywiad – odpowiedział David, zwracając się bezpośrednio do Reesone’a. – Może uda nam się umówić na spotkanie podczas mojego pobytu w Nowym Jorku?

– To moja żona. – Reesone wystudiowanym tonem głosu przedstawił boleśnie chudą brunetkę ubraną w szykowny kostium z wатовanymi ramionami, których nie powstydziliby się zawodnik futbolu amerykańskiego.

Kobieta wykrzywiła usta w coś na kształt uśmiechu i powiedziała:

– Proszę mówić mi Ellen. – Wyciągnęła do Davida kościstą dłoń pokrytą złotymi pierścieniami wysadzanymi drogimi kamieniami. – Bez przerwy pana czytam. Strasznie panzabawny.

– Dziękuję – odparł David.

Reesone był muskularny, miał jakieś metr siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, gęste włosy koloru palonej kawy oraz osadzone blisko siebie brązowe oczy, które unikały wzroku Davida. Palił czarnego, wydzielającego gorzką woń papierosa. Mimo że ubrany był w smoking, przypominał mafiosa, co zgodnie z tym, co wyczytał David, pokrywało się z profilem grywanych przez niego ról. A gadkę miał równie gładką co noszony przez siebie jedwabny krawat.

– Proszę w takim razie zadzwonić do mojego agenta. Czytamy każdy pana artykuł – powiedział obojętnym głosem, a następnie obrócił się do Kathleen i spytał: – A kim jest ta olśniewająca istota?

– To moja żona Beverly.

Kathy wyciągnęła dłoń, a Reesone przysunął ją sobie do ust.

– Witam – powiedziała cicho i było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziała tu do kogoś innego niż David, którego z kolei zdumiał całkowity brak śladów jej nowojorskiego akcentu.

– Szczęściarz z pana. – Reesone wpatrywał się Kathy prosto w oczy, nie puszczając jej dłoni.

– To prawda. – David ujął ją za ramię, tym samym przerywając ich kontakt.

Przez jakieś dziesięć minut grupka oddawała się przyjaznej pogawędce dotyczącej głównie plotek ze świata filmu, aż w końcu ktoś odciągnął Farmacottiego na bok, a Ellen przeprosiła i odeszła, zostawiając Reesone’a, Davida i Kathleen samych.

– Przypominasz mi kogoś, Beverly. Gdzie mogłem mieć okazję cię oglądać? W gazetach? Telewizji? Pracowałeś jako modelka? – Reesone robił się coraz bardziej szarmancki i gładki w obyciu i Davida zaczęła irytować ta poza. Dostrzegał w nim drapieżnika podobnego sobie.

Kathy nie od razu odpowiedziała. Ale gdy się odezwała, jej delikatny głos raz jeszcze pozbawiony był akcentu.

– Studiuję poezję.

– Założę się, że pociąga panią romantyzm.

Davidowi nie przypadł do gustu rekini uśmiech Reesone’a. Wtrącił się do rozmowy, żeby przenieść na siebie uwagę.

– Bev ma literacki umysł i zachęcam ją do pisania. Być może kiedyś coś wyda. Z tego, co rozumiem, *Pocątnek śmierci* jest już prawie gotowy?

W oczach Reesone’a pojawił się chłód, ale w dalszym ciągu udawało mu się unikać wzroku Davida przy jednoczesnym zachowaniu pozorów przyjacielskości.

– Jutro rano lecimy do Kanady. Będziemy kręcić na wyspie Vancouver w małej miejscowości o nazwie Revelstoke. Ubiegłej zimy na miasteczko zesłała lawina skalna i obecnie przypomina ono krajobraz księżycowy. Ten film to thriller science fiction luźno oparty na opowiadaniu Bradbury’ego. Gram futurystycznego gangstera.

– To ciekawe – skomentował David – i dobrze się przy tym składa. Mamy z Bev zamiar odwiedzić Vancouver, a potem Victorię na wyspie Vancouver. Podobno mieszka tam spora liczba ludności pochodzenia brytyjskiego. Widzi pan, pobraliśmy się już prawie pół roku temu, ale dopiero teraz mamy okazję gdzieś razem wyjechać. To taka namiastka miesiąca miodowego.

– Cudownie – powiedziała Ellen, ponownie dołączając do grupy.

Była już lekko podpita i gdy za bardzo przechyliła trzymany w ręku kieliszek, spieniony szampan polał się na płytki podłogi. Zdawała się tego nie zauważać.

– Nowożeńcy. Jakie to romantyczne!

David się uśmiechnął. Zerknął na Kathy, ale jej uwaga skupiona była na grupce zgromadzonej wokół osłoniętego palmami doniczkowymi stolika po drugiej stronie sali. Osoby te pochylały się nad lustrzanym blatem, ukradkiem wciągając biały proszek przy użyciu krótkich złotych rurek. Kathleen zadrżała, a jej twarz pobrała.

– Nic pani nie jest? – spytała Ellen.

Kathleen obróciła się do swojej grupy. Jej zaleźnione spojrzenie przypominało Davidowi wzrok zwierzęcia oślepionego przednimi reflektorami samochodu. Przez makijaż na jej czole zaczęły przeciskać się perełki potu.

– Przepraszamy na chwilę – powiedział David. – Żona nie czuje się najlepiej.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego – powiedział Reesone przymilnie.

– Nie. Spodziewamy się pierwszego dziecka. Musi odetchnąć świeżym powietrzem.

– Bosko! – zawołała Ellen. – Kiedy poród?

– Dopiero za jakiś czas – odparł David za Kathy, kierując ją ku drzwiom.

– Miło było państwa poznać – powiedziała Ellen.

– Być może spotkamy się w Kanadzie – zawołał Reesone za Kathy i prowadzącym ją Davidem.

Gdy tylko znaleźli się na zewnątrz, Kathleen powiedziała:

– Przepraszam, Davidzie. Nie wiem, co się stało. Patrzyłam, jak tamci ludzie wciągają kokę, i miałam ochotę do nich dołączyć.

Doszli do samochodu i David otworzył tylne drzwi.

– Wsiadaj.

– Dlaczego z tyłu?

– Usiądź na podłodze – powiedział, zdejmując z szyi muchę.

Zgiął kolana Kathy i wsunął pod nie jej ręce, które następnie skrzyżował i związał w nadgarstkach. Użył chustki do nosa, żeby przytroczyć je do metalowej ramy przedniego siedzenia.

– Po co to robisz?

– Muszę zdobyć jego kanadyjski numer. Chcę też zadać kilka pytań i przyjrzeć mu się. Muszę go wyczuć. To cwaniak i jest z nim coś nie

tak.

– Ale po co mnie wiążesz?

Zdjął pas do smokingu i obwiązał nim jej usta.

– Przykro mi, Kathy, ale o mało co nie uległaś głodowi narkotycznemu. Nie chcę zostawiać cię samej, ale nie powinnaś tam wracać. Prawie straciłaś nad sobą kontrolę.

Pocałował ją w czoło, po czym wstał i zapiął marynarkę.

– Niedługo wrócę.

W jej oczach błysnęła złość.

David wrócił na przyjęcie i przez następne dwadzieścia minut ukradkiem obserwował Reesone'a. Mężczyzna był cwany, a interakcje z maską, za którą się chował, przypominały stąpanie po tafli lodu. Pod nią znajdowało się jednak coś o wiele mroczniejszego i niebezpieczniejszego, co czaiło się niczym skorpion kryjący się pod kamieniem.

Gdy zaczęli rozmawiać, napięcie między nimi było namacalne. David zastanawiał się, czy Reesone zna jego tożsamość, czy zawsze zachowuje się w sposób tak czujny i ostrożny, kryjąc się za fasadą uprzejmości. W którymś momencie David spróbował użyć hipnozy, ale Reesone odwrócił wzrok.

– A może udzielię panu wywiadu w Kanadzie? – zaproponował aktor, zapisując numer telefonu na serwetce. – Na czas zdjęć na wyspie wynająłem zaciszny domek, głównie na weekendy. Proszę do mnie zadzwonić, gdy będzie pan w Vancouver.

– Tak – powiedziała Ellen. – Zapraszamy na kolację. Urządzimy sobie cudownywieczorek.

– I proszę przywieźć ze sobą Beverly – dodał Reesone.

Po powrocie do samochodu David rozwiązał Kathy. Bez słowa zajęła miejsce na przednim siedzeniu, a potem w ciszy pojechali do Alexandra.

– Niech mnie cholera, stary! – Frankie i reszta nie kryli podziwu, gdy najpierw ukazało im się auto, a potem wysiadająca z niego para.

Kathy wyminęła ich bez słowa, po czym weszła do hotelu niczym królowa, która nie chce zaszczycić swych poddanych spojrzeniem.

– Zwrócisz go dla mnie? – poprosił David. – Musi wrócić do wypożyczalni najpóźniej o dziewiątej jutro wieczorem.

Sięgnął do kieszeni.

– Będziesz musiał zatankować.

– Nie ma sprawy! – Frankie wziął od niego kluczyki i pieniądze,

a oczy błyszczały mu jak kule bilardowe.

David dogonił Kathleen przed drzwiami do ich pokoju. Chwycił ją za ramię i obrócił do siebie.

– Co się stało? – spytał.

Księżniczka zmieniała się w jędzę.

– Nic się nie stało. Jestem wściekła, że mnie związałeś.

– Zrobiłem to dla twojego dobra. Stawałaś się ofiarą swego głodu i bałem się zostawić cię samą. Wydawało mi się prawdopodobne, że pójdziesz szukać narkotyków.

– Wielkie dzięki. Całe życie mężczyźni robią ze mną różne rzeczy dla mojego dobra. Najpierw mój ojciec, potem Wężowy Kapłan, a teraz ty.

Weszli do środka. David trzasnął drzwiami.

– Jesteś niesprawiedliwa. Ta sytuacja była inna. Zaczynałaś się trząść i pocić. Żona Reesone'a zauważyła, że coś jest nie tak.

Zdjęła z siebie złotą suknię i buty i porzuciła je na podłodze. Następnie przebrała się w czarną miniówkę, wysokie buty i T-shirt. Gdy wkładała czarną skórzaną kurtkę, rzuciła cierpko:

– Przeszłoby mi. Wystarczyłoby, żebyś zabrał mnie na kilka minut na dwór.

– Skąd możesz być pewna, że by ci przeszło? Wcale nie jestem o tym przekonany. Za lepszy pomysł uznałem wyłganie się z tamtej sytuacji.

– I związanie mnie! – Jej głos stał się piskliwy.

– Kathy, posłuchaj, bez wątpienia jesteś ciągle roztrzęsiona z powodu śmierci Bobby'ego i wszystkiego, przez co ostatnio przeszłaś. To naturalne i jestem w stanie to zrozumieć. Na otrząśnięcie się z traumatycznych doświadczeń potrzeba czasu.

Posłała mu wściekłe spojrzenie, a następnie chwyciła za szczotkę i zaczęła rozczesywać nią włosy szybkimi, posuwistymi ruchami.

– Przestań mnie wiązać!

– Przestane, gdy będę pewny, że mogę ci zaufać.

Jej pełne nienawiści oczy miały ten sam wyraz co w Manchesterze. Wystraszyło to Davida, który od razu nastawił się defensywnie.

– Chrzań się! – krzyknęła. – Za kogo się, kurwa, uważasz, żeby decydować o tym, czy można mi ufać, czy nie? Pomijając kwestię prochów, a to sprawa czysto fizyczna, mogłeś na mnie polegać.

– Jak cholera!

– Co to ma znaczyć? – Rzuciła szczotkę na komodę.

– Można na tobie polegać tak jak na koralówce – na zewnątrz jesteś

śliczna, ale w środku jadowita.

Od razu pożałował tych słów. Nagle wszystko znowu wyrwało się spod kontroli.

– Przepraszam, Kath. Wcale tak nie myślę. – Wyciągnął ku niej rękę, ale się odsunęła.

– Gdyby nie ty, Bobby ciągle by żył. Gdybyś nie był pieprzonym wampirem, gdybyś nie istniał, gdyby ktoś nie nienawidził cię aż tak bardzo, żeby chcieć się zabić...

– To niedorzeczne...

– Mam to gdzieś! Nigdy cię nie obchodziło, czy uda mi się znaleźć Bobby'ego. Zależy ci tylko na odszukaniu tego kogoś, kto chce cię zniszczyć.

– Bobby umarł dwa lata temu – powiedział, uświadamiając sobie, co robi, dopiero po fakcie.

Wiedział, że przemawiała przez niego nie tyle troska, ile złość.

Cofnęła się od niego o krok.

– To kłamstwo. – Jej głos był spokojny, opanowany.

– Nie, Kathy, taka właśnie jest prawda. – Nie miał zamiaru być bezwzględny, ale tak właśnie się stało. – Bobby zginął w wypadku samochodowym przed restauracją Mae. Skserowane zdjęcie pochodzi z gazety. Ten, kto się na mnie wziął, postanowił wykorzystać ciebie i twoją niechęć do pogodzenia się ze śmiercią Bobby'ego.

Jej twarz zaczęła zmieniać się na jego oczach do tego stopnia, że zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek wcześniej widział tę kobietę.

– Może faktycznie wcześniej nie wiedziałam, co się dzieje, ale już tak nie jest. – Ton jej głosu był zbyt spokojny, zbyt opanowany.

Podniosła torebkę i podeszła do drzwi, nie patrząc na niego. Gdy położyła dłoń na klamce, David zawołał:

– Kathy, nie odchodź. Proszę!

Obróciła się i zmroził go chłód jej błękitnych oczu przypominających w tej chwili skutą lodem ocean.

– Jeśli mnie teraz opuścisz, to po powrocie już mnie tu nie zastaniesz. I lepiej nie próbuj mnie odnaleźć.

Wiszące w powietrzu napięcie popchnęło go do wyrzucenia z siebie słów, których wcale nie miał zamiaru powiedzieć.

Jednak zanim zdołał to odkręcić, Kathleen otworzyła już drzwi.

– Nie rób sobie nadziei. Widzisz mnie po raz ostatni!

Ściągnęła z palca złotą obrączkę i cisnęła nią w niego, a następnie wyszła, trzaskając za sobą drzwiami.



David wpatrywał się w kłamkę w oczekiwaniu, że lada moment się poruszy, i nie był w stanie uwierzyć, iż Kathy go zostawiła.

– Hej, Zero, co słyhać? – spytał ktoś na dole, nie uzyskał jednak odpowiedzi.

David zmusił się, żeby podejść do okna i wyjrzeć na zewnątrz. Przechodziła właśnie przez ulicę, wściekle stukając obcasami o asfalt.

Opadł ciężko na krzesło i patrzył, jak Kathy oddala się szybkim krokiem, a potem znika za zakrętem. W powietrzu unosił się jeszcze zapach jej perfum, który miał drwić z niego przez resztę nocy. Ból w piersi, którego nie spodziewał się już nigdy doświadczyć, stawał się coraz intensywniejszy, jakby ktoś wolno rozrywał starą bliznę. Gdy uczucie to stało się nie do zniesienia, w ciszy nocy załkał słowami lamentu lorda Byrona:

*„Niech już me serce bić przestanie,  
Kogóż bo jeszcze nim poruszę?  
Lecz choć omija mnie kochanie,  
Ja kochać muszę”<sup>20</sup>.*

# Rozdział 13

Zero szybkim krokiem ruszyła Delancey w kierunku Allen Street, gdzie złapała taksówkę.

– Jedziemy do West Village – powiedziała kierowcy.

Przeliczyła posiadaną przez siebie gotówkę – z pieniędzy, które otrzymała przed wyjazdem do Anglii, zostało jej 855 dolarów. Na jakiś czas wystarczy.

Siedziała wściekła w samochodzie wiozącym ją przez miasto.

„Nieżył z niego palant – myślała. – Wydaje mu się, że może mną pomiatać, ale jeśli o mnie chodzi, może spadać na bambus”.

Ale nawet gdy malowała jego obraz przy użyciu najciemniejszych barw, jakiś głos skrzeczał w jej głowie: „Niebezpieczeństwo!”.

Gdy zbliżali się do Jedenastej Ulicy, zauważyła kawałek dalej znajomą sylwetkę i krzyknęła:

– Stop!

Kierowca zatrzymał się przy krawężniku, a Zero wepchnęła mu w dłoń kilka banknotów i wysiadła, wołając:

– Hej, Laser!

– Zero! Co ty tu robisz? Słyszałaś o Wężowym Kapłanie? Jaka szkoda, co? – Dziewczyna od niechcienia zerknęła na paznokcie.

– Gdzie lecisz, Las?

– Kręcę się po rewirze. A ty? Gdzie twój facet?

– A co, nie mogę już sama wyjść na miasto? – Wzmianka o Davidzie wprowadziła ją w zakłopotanie.

– Rozstaliście się, mam rację?

– Musiałam trochę odetchnąć, okej?

– Skoro tak twierdzisz. Ej, kotku, jesteś przy forsie? Wybieram się do siostry. Jej nowy chłopak handluje crackiem, a ona ma też herę nie z tej ziemi. Prawie czyściuteńka. Masz ochotę?

Zero zastanawiała się przez chwilę.

– Czemu nie?

Przeszły kawałek pierwszą ulicą, a potem skręciły na wschód w kierunku Alphabet City.

Zero weszła za Laser po kilku schodkach prowadzących do wnętrza

schludnej, ale nierzucającej się w oczy kamienicy. Do budynku wpuścił ich uzbrojony w pistolet ochroniarz o wyglądzie twardziela. Drzwi do znajdującej się na parterze kawalerki otworzył mężczyzna niepróbujący nawet ukrywać trzymanej w ręku broni automatycznej.

W mieszkaniu panował nieład, ale Zero widziała w życiu gorsze miejsca. Każda dostępna powierzchnia była nie tylko zagracona sprzętem potrzebnym do przekształcania kokainy w tani i potężny crack, ale też zaśmiecona opakowaniami po jedzeniu na wynos, bibułkami do papierosów, niedopałkami oraz innego rodzaju śmieciami. W powietrzu unosiła się metaliczna woń eteru powstała w wyniku palenia wolnej zasady kokainy. Siostra Laser, Connie, którą Zero spotkała wcześniej tylko raz, była trzydziestolatką o myszatyh włosach, potwornie szarych zębach i wyglądzie czterdziestki. Zamiast powitania kobieta wyciągnęła słoik na ciasteczka w kształcie różowego hipopotama z niebieskim krawatem na szyi i lśniącym białym zębem. Zepchnęła na bok to, co znajdowało się na stole, i postawiła pojemnik na blacie. W środku znajdowały się kwadratowe torebeczki o wymiarach pięć na pięć centymetrów pełne bladobrazowego proszku.

– Jaka cena? – spytała Zero.

– Pięćdziesiąt za paczkę. Trzy za sto czterdzieści. Potrzebny ci sprzęt?

– Nie. Wezmę trzy. Ile kasy chcesz pożyczyć, Las?

– Masz pięćdziesiątkę?

Zero podała jej dwa banknoty dwudziesto-i jeden dziesięciodolarowy, a potem zapłaciła za trzy opakowania. Connie wzięła na siebie rolę gospodyni i przygotowała mieszanek kokainy z heroiną, którą wstrzyknęła następnie swojej siostrze w żyłę po wewnętrznej stronie kolana. Zero patrzyła, jak twarz Laser czerwienieje, zwiększa się tempo jej oddechu, a oczy na chwilę uciekają do wnętrza czaszki. Potem po twarzy jej przyjaciółki rozlał się szeroki uśmiech.

– To dopiero zdrowy kop! – zawołała.

Connie wyciągnęła igłę w kierunku Zero.

– Nie, jestem już spóźniona – powiedziała, zaskakując samą siebie, bo po raz pierwszy w życiu odmówiła przyjęcia działki jakiegokolwiek narkotyku.

Czuła się jednak tak bardzo wzburzona i wściekła, że miała ochotę wyjść stąd i pobyć w samotności.

Udała się do znajdującego się na rogu baru z nadzieją, że może znajdzie tam klienta.

„Nie potrzebuję tego gówna – pomyślała o heroinie. – Nie potrzebuję też Davida. Dobrze sobie radziłam, zanim go poznałam, i teraz też tak będzie. Poza tym on nawet nie jest człowiekiem”.

Myśli te jednak nie do końca ją przekonały.

Zajęła miejsce w lokalnym barze hetero. W ciągu pięciu minut zaczął się do niej przystawiać kościsty mężczyzna po czterdziestce z piwnym brzuszkiem i czyrakami na szyi.

– Pracujesz? – Lekko plątał mu się język.

– Żadnego sado-maso ani wiązania. Za stówkę mogę zrobić ci dobrze ręką albo możesz mnie przelecieć. Za pokój musisz dopłacić czterdzieści.

Zmierzyła go wzrokiem. Sprzedawca ze Środkowego Zachodu. Zwykły ćwok. Pewnie będzie próbował się targować.

– Szybka jesteś – powiedział. Widać było, że jest stremowany. – Sto dolarów to kupa pieniędzy.

– Nie marnuj mojego czasu.

– No dobrze. Niech będzie.

Zabrała go do hotelu przy Bowery. Gdy znaleźli się w pokoju, role się odwróciły i to Zero zaczęła się robić nerwowa.

„A co, jeśli ten facet okaże się jakimś dziwakiem? – pomyślała. – To niemożliwe. To zwykły mięczak. Obsługiwałaś setki takich jak on. Tracisz ikrę, dziewczyno”.

Sprzedawca zdecydował się na laskę. Zero wzięła od niego pieniądze, usadziła go na krawędzi łóżka, po czym ukłękła tuż przed nim. Pół minuty później było już po wszystkim. Lekko ją zemdliło.

„Co ja tu, do jasnej cholery, robię z tym burakiem?” – spytała samą siebie.

Wygoniła go z pokoju i przekręciła zamek w drzwiach. Usiadła na łóżku i zaczęła rozmyślać na temat Davida oraz heroiny w swojej torebce.

Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego się na niego wściekła. Związał ją, ale to nie było takie złe. Zrobił to tylko dlatego, że się o nią martwił. Skoro zdawała sobie z tego sprawę, to dlaczego na niego naskoczyła? Otworzyła torebkę i spojrzała na biały proszek.

„Chodziło o Bobby’ego – przemknęło jej przez głowę. – Powiedział, że on nie żył już wcześniej”.

Nie chciała o tym myśleć.

Otworzyła jedną z torebek i wciągnęła odrobinę proszku przez nos. Najpierw poczułakopa. Potem całe jej ciało ogarnął płynący od palców u stóp spokój. Gdy dotarł do piersi, poczuła, jak serce jej zwalnia, i miała wrażenie, że przestaje bić. Chwilę później nie czuła już nic.

W końcu podniosła się na nogi i wyszła z hotelu.

– Koka? – szepnął do niej ktoś, kogo mijala.

Snuła się bez celu, przyglądając się tłumowi. Na ulicach było wielu ludzi, bo pogoda była ładna. Ci szczęśliwi byli w czyimś towarzystwie. Ci nieszczęśliwi szli samotnie. Ona jednak czuła się oderwana od nich wszystkich, jakby dopiero co wylądowała na tej planecie i nie wiedziała, jak ma rozumieć tę kulturę. Ale w jej wnętrzu kryło się jeszcze inne uczucie – dobrze znana pustka. Przeświadczenie, że to ona jest dziwna, a może nawet wcale nie istnieje. Nagle uderzyła ją chęć zobaczenia się z Davidem – pragnęła z nim porozmawiać, dotknąć go, poczuć, jak ją dotyka. Zatrzymała taksówkę.

Gdy wróciła do Alexandra, na schodach natknęła się na Louiego.

– Cześć, Zero, gdzie się wybierasz?

– Do pokoju.

– On się wymeldował.

Myślała, że się przesłyszała, więc powtórzyła za Louiem:

– Wymeldował?

– No tak.

– Louie, daj mi klucz, dobra?

– Jak chcesz tam wejść, musisz zapłacić.

– Wpuść mnie tylko na minutkę. Zapomniałam czegoś.

– Pięćdziesiąt dolców. – Wyciągnął dłoń.

Wyjęła z torebki pięć dziesiątek, zbyt wstrząśnięta, żeby przejmować się tym, że jest okradana. Louie rzucił jej klucz.

Popędziła na górę i otworzyła drzwi. Pokój był pusty. Sprawdziła w łazience, szafie, nawet pod łóżkiem. W szufladzie stolika nocnego i szufladach komody. Leżącą w koszu na śmieci kasetę, którą nagrał dla niej David, dostrzegła tylko dzięki temu, że przypadkiem opuściła wzrok. Wyjęła ją i usiadła na podłodze, przyciskając ją do serca. I mimo że heroina pomagała jej trzymać smutek w ryzach, poczuła, że po twarzy spływają jej łzy niczym krople lodowatego deszczu.

Gdy Zero wyszła z hotelu, dostrzegła opartego o latarnię Frankiego, który z wysiłkiem czytał książkę. Była pewna, że był to tomik poezji.

– Cześć, Mae. – Zero klapnęła ciężko na stołku przy samym końcu

kontuaru.

– Kathy, co się stało, kochanie? Był tu David. Kazał przekazać ci to.

Mae podała jej dużą jasnobrązową kopertę. Zero rozdarła ją i zajrzała do środka. Zawierała jedynie grube pliki banknotów. Wyglądały jak pieniądze ze skrytki bankowej. Kathy uniosła wzrok.

– Mówił coś?

– Tylko tyle, że go zostawiłaś. Dlaczego, Kathy?

Zero wyciągnęła ramiona na ladzie i przyłożyła policzek do laminatu.

– Pokłóciliśmy się. Powiedział, że Bobby zginął dwa lata temu, a ja się wściekłam i... Nie wiem, jak to się stało, Mae.

– Ale, kochanie, przecież sama pamiętasz ten wypadek. Wiesz, że Bobby nie żyje już od dwóch lat.

Słowa Mae napełniły ją złością, ale Kathy wiedziała, że kobieta mówi prawdę. Zdała sobie sprawę, iż wiedziała o tym już wcześniej. Dlaczego nie była w stanie pogodzić się z tym, co powiedział David?

– Rany, Mae, tym razem naprawdę dałam ciała.

– Moja droga, jeśli go kochasz, nie pozwól dumie stać ci na przeszkodzie.

– Powiedział, żebym go nie szukała.

– To z kolei były słowa jego dumy. – Ujęła dłonie Zero. – Wiesz, gdzie pojechał?

– Myślę, że opuścił Stany.

– Wrócił do Anglii?

– Nie. Jest gdzieś w Kanadzie. W tym Van-coś tam. Nie pamiętam.

– Vancouver – dobiegł je głos z przeciwnego końca kontuaru.

Zero zerknęła w tamtym kierunku.

– Tak. Chyba tam.

– Gdzie to jest, Al? – spytała Mae.

– Na zachodzie Kanady. To taka ichnia Kalifornia. – Al wrócił do popijania kawy.

– No widzisz, Kathy. Dam ci pieniądze. Kupisz sobie bilet i odzujesz Davida.

– Mam pieniądze.

– Proszę. – Mae sięgnęła pod ladę i wyciągnęła stamtąd czarny telefon. Postawiła go przed Zero, ta jednak patrzyła na niego bez ruchu.

– No, dalej! Kup sobie bilet.

– Nie wiem jak.

– Jezu, jesteś jak małe dziecko – skomentowała Mae, wyciągając książkę telefoniczną Manhattanu, ale w jej głosie było niewiele irytacji. – Znajdź jakieś biuro podróży i zadzwoń tam.

Znalazła odpowiednią stronę i położyła otwartą książkę przed Zero.

Dziewczyna nadal się wahała. W końcu powiedziała:

– Chyba nie będzie chciał do mnie wrócić.

Mae posłała jej groźne spojrzenie.

– Kathleen, przestań się nad sobą uzalać i bawić w gierki. Nie znajdziesz drugiego takiego jak David i jeśli pozwolisz mu odejść, popełnisz największy błąd w życiu.

– On nie jest taki, jak myślisz, Mae. To znaczy jest wyjątkowy, to prawda, ale nie wiesz o nim wszystkiego. Nie przypomina normalnych facetów.

– Chcesz przez to powiedzieć, że cię krzywdzi?

– Nie, nic z tych rzeczy. Jest dla mnie dobry.

– Nie jest chyba jakimś dziwakiem, no wiesz, w łóżku?

Zero parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

Mae położyła dłoń na biodrze i przez kilka sekund nic nie mówiła. W końcu odezwała się głosem matki, która wie, co dobre dla jej córki:

– Kathy, nawet jeśli on jest samym diabłem, nie ma to żadnego znaczenia. Ważne jest tylko, że się kochacie, bo to nie zdarza się co dzień. Możesz mi wierzyć. A teraz łap za ten cholerny telefon, zanim będzie za późno!

## CZEŚĆ DRUGA

*Któż ocali mnie przed upadkiem  
prosto w morze wstydu,  
jeśli nie bóg miłości uczący,  
jak odejść od zmysłów<sup>21</sup>?*

– Vallana, 900–1100 n.e.



# Rozdział 14

Następnego ranka Zero poleciała do Vancouver. Z uwagi na zmianę stref czasowych wylądowała o ósmej rano czasu pacyficznego. Nie lubiła podróżować i czuła się nieswojo. Zachodziła w głowę, jakim cudem udało jej się samotnie dotrzeć do Anglii, ale zaraz potem przypomniała sobie, że heroina pozwoliła jej przewyciężyć nie tylko lęk związany z lotem, ale też wiele innych traum. Na razie dała sobie spokój z ćpaniem, ale na wszelki wypadek w majtkach ukrytą miała działkę.

Do centrum miasta pojechała taksówką i zaskoczyło ją, jak rozwiniętą metropolią okazało się Vancouver. Z jakiegoś powodu wyobrażała sobie, że Kanada nawet w lecie pokryta jest grubą warstwą śniegu. Do tego ulic nie patrolowała wcale policja konna. Miasto było nowoczesne, pełne życia i wypełnione budynkami o różnej wysokości. Z jednej strony graniczyło z zatoką, a z drugiej z pasmem gór o ośnieżonych szczytach.

– Muszę wykonać parę telefonów. Zna pan jakieś miejsce, gdzie mogłabym to zrobić? – spytała taksówkarza, młodego mężczyznę o nastroszonych włosach, wytatuowanych bicepsach i wilgotnych oczach.

– Może w głównym biurze B.C. Tel<sup>22</sup>? – zasugerował.

– Dobra. Jedźmy tam.

Kierowca z radością wymienił dziesięć dolarów amerykańskich na dwanaście pięćdziesiąt w walucie kanadyjskiej i wręczył jej dwie garści monet. W siedzibie firmy telekomunikacyjnej weszła do pierwszej z brzegu budki, ale skradziono z niej książkę telefoniczną, więc udała się do kolejnej. Gdy w końcu znalazła książkę, otworzyła ją na sekcji dotyczącej hoteli i rozpoczęła poszukiwania od tych droższych. Poszcześciło jej się przy literze „L”.

– Tak, pan David Newby jest u nas zameldowany – poinformowała recepcjonistka w hotelu Lloyd.

– Dzięki – powiedziała Zero i zamiast poprosić o połączenie z jego pokojem, rozłączyła się.

Łapała kolejną taksówkę. Jazda do małego hoteliku położonego

przy Zatoce Angielskiej okazała się krótka.

– Nazywam się Beverly Newby – oświadczyła Zero lalusiowi za kontuarem. – Zatrzymał się u was mój facet David.

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem, jakby nie do końca jej wierzył, ale był zbyt dobrze wychowany, żeby coś na ten temat wspomnieć, a potem zajrzał do księgi gości.

– Pan Newby mieszka w pokoju 402. – Obrócił się do przegródek na klucze. – Powinien być u siebie.

– Dzięki – powiedziała Zero, po czym prawie w podskokach ruszyła ku windzie.

Jednak gdy dotarła do pokoju 402, drzwi okazały się zamknięte na klucz i przypomniała sobie, że David nie może ich otworzyć, skoro jest dzień. Zeszła po schodach do lobby – niezwykle brytyjskiego w charakterze pomieszczenia utrzymanego w odcieniach statecznego błękitu i pełnej powagi zieleni z dodatkiem odrobiny różu. Zdawała sobie sprawę, że jej czarny niczym noc strój musi wywoływać złowieszcze wrażenie w tak dostojnym wnętrzu.

– Chyba jednak wyszedł – powiedziała do recepcjonisty.

– W takim razie obawiam się, że musiał wziąć klucz ze sobą – odparł mężczyzna pełnym rezerwy tonem z pogardliwą miną.

– No dobra, ale ja muszę wejść do środka. Macie zapasowy?

– Obawiam się, że nie, pani Newby.

Zero widziała, że mężczyzna nie wierzy w jej tożsamość. Poczula przygnębienie. Nie było jeszcze nawet dziesiątej rano, a na Davida musiała czekać do ósmej albo i dziewiątej wieczorem.

– Macie tu jakąś kawiarnię?

Skupiony na księdze gości mężczyzna wskazał w roztargnieniu na drugi koniec lobby.

– Dzięki. Czarus z pana.

Od niechcenia ruszyła po dywanie o klasycznym deseni, mijając krzesła, na których spoczywali pomarszczeni goście hotelowi o srogich minach. Zero przyszło do głowy, że ruchy jej bioder mogą wywoływać tu emocje przekraczające dopuszczalne normy.

W czasie lotu nic nie jadła, ale teraz doszła do wniosku, że równie dobrze może coś przekąsić, skoro nie ma nic lepszego do roboty. Do jedenastej siedziała nad resztkami dwóch jajek sadzonych, trzech kaw, tostów i kanadyjskiego boczku, który jej, nawiasem mówiąc, nie posmakował, i kelnerka zaczynała już na nią patrzeć wilkiem za zbyt długie zajmowanie stolika.

Po raz pierwszy w życiu była czymś naprawdę zmartwiona. Jeszcze wczoraj życie w pojedynkę nie było dla niej problemem. Teraz jednak uderzyło ją, jak bardzo czuła się samotna. Nie miała ani rodziny, ani prawdziwych przyjaciół. Mogła liczyć tylko na Mae, która przecież nie będzie żyła wiecznie.

Zero dostrzegła kobietę z naręczem pościeli i zdała sobie sprawę, że w luksusowych miejscach takich jak to pracują pokojówki. Z ulgą przyjęła myśl, że zamiast siedzieć i się zamartwiać, może jednak coś zrobić.

Pojechała windą na trzecie piętro, ale nie było tam żadnej pokojówki. Pojechała więc na następne, a potem na kolejne, aż w końcu na szóstym natknęła się na dziewczynę taszczącą pościel w kierunku stojącego w korytarzu wózka.

– Ej, słuchaj, mój facet wyszedł i wziął ze sobą klucz, a mi strasznie chce się siku. Wpuścisz mnie do pokoju?

Dziewczyna wyglądająca na studentkę dorabiającą w hotelu w czasie wakacji zmierzyła Zero takim wzrokiem, jakby spodziewała się, że ktoś próbuje zrobić ją w konia.

– Jaki ma pani numer pokoju?

– Czterysta dwa.

Dziewczyna podążyła za nią do windy ze sceptycznym wyrazem twarzy.

Gdy zjechały dwa piętra niżej, pokojówka otworzyła pokój 402, a Zero wręczyła jej trzy dolary w dwudziestopięciocentówkach.

Po wejściu do środka zauważyła na komodzie znajome przedmioty: suszarkę do włosów, przyrządy do golenia, szczoteczkę do zębów oraz ubrania Davida. Ucieszyło ją to. Włączyła światło w łazience. Jego grzebyk leżał obok umywalki. Podniosła go i ucisnęła w dłoni. Była niezwykle podekscytowana i miała ochotę zwinąć się w kłębek u boku Davida, ale wiedziała, że nie wolno jej wpuścić światła do wnętrza szafy.

Spojrzała na zegarek – była dopiero jedenasta pięćdziesiąt. Nie pozostało jej nic do roboty oprócz snu. Zdała sobie sprawę, że właściwie nie zmrużyła oka od dwóch dni.

Pokryte kwiecistym motywem zasłony były już zaciągnięte. Zdjęła z łóżka narzutę, rozebrała się, schowała heroinę do torebki i w końcu się położyła. Pościel była przyjemnie chłodna w dotyku, a materac miękki. Myślała o Davidzie, o tym, jaki był przystojny, po czym pogrążyła się w snach o nim, jeszcze zanim zegar na wieży kościelnej

skończył wybijać północ.

– Co ty tu robisz?

Została gwałtownie wyciągnięta z łóżka i postawiona na nogi. Jedyne źródło światła znajdowało się w łazience, ale ona wcale nie musiała go widzieć, żeby zrozumieć, jak bardzo jest wściekły.

– Wróciłam.

– Tak, widzę. Zabroniłem ci mnie szukać. W jakim celu tu przyjechałaś?

Jego złość wytrąciła ją z równowagi. Jej myśli momentalnie zwróciły się ku heroinie ukrytej w torebce, ale odsunęła od siebie ten pomysł.

– Chcę z tobą być.

– Jeszcze zeszłej nocy nie miałaś na to ochoty.

Zero wyciągnęła rękę po swoje ubranie, bo jego surowe spojrzenie sprawiało, że czuła się nieprzyjemnie obnażona.

– Popełniłam błąd, ale przemyślałam sprawę. Chcę być tutaj.

David złapał ją za ramię i lekko potrząsnął.

– A może ja sobie tego nie życzę? Nie przyszło ci do głowy, że możesz nie być tu mile widziana?

Nic nie odpowiedziała, czując się odtrącona.

Gdy Kathleen skończyła się ubierać, David powiedział: „Chodźmy” i poprowadził ją do drzwi.

– Gdzie idziemy?

Zamiast odpowiedzieć, zaprowadził ją do lobby, gdzie minęli recepcję, a potem wyszli na zewnątrz i wsiedli do taksówki.

– Do Stanley Park, prosimy. Wejście od Georgia Street – poinstruował David kierowcę.

Jego ciało było napięte, stężałe i Zero była lekko wystraszona.

„Jest na mnie strasznie wkurzony – pomyślała. – Może jest już po ptakach”.

Gdy dojechali do parku, David zapłacił kierowcy, a potem pociągnął Kathy ścieżką biegnącą pomiędzy ogrodami oraz miejskim lasem złożonym ze świerków, dębów oraz drzew cyprysowych. Zero stwierdziła, że miejsce musiało dorównywać rozmiarem Central Parkowi. W końcu dotarli do zoo.

– Poczekaj tutaj – rozkazał David, zatrzymując się przed jedną z klatek. – I nigdzie nie odchodź! Zrozumiano?

Skinęła głową i patrzyła, jak David oddala się szybkim krokiem. Miał na sobie nieznane jej ubrania: dżinsy, czerwony T-shirt oraz

krótką kurtkę z ciemnobrązowej skóry bez podszewki. Podobał jej się sposób, w jaki chodził – jego długie kroki oraz ruchy bioder wywołane nieznanym napinaniem mięśni. Miał szerokie ramiona, które też ją kręciły. David skręcił za róg i zniknął z jej pola widzenia.

Na pierwszy rzut oka za płotem z siatki drucianej znajdowały się dwa duże, białe, warczące psy obchodzące się nawzajem dookoła. Jednak tabliczka umieszczona obok klatki informowała, że były to wilki polarne.

– Rany, w ogóle nie różnicie się od ludzi – stwierdziła Zero na głos.  
– Żreć, śpicie, dobieracie się w pary i walczyacie o to, na czym wam zależy.

Zastanawiała się, jakie rozmiary miała tak naprawdę złość Davida, i miała nadzieję, że niedługo mu przejdzie. Tylko co, jeśli tak się nie stanie? Co wtedy zrobi? Instykt podpowiadał jej, że wszystko się zmieniło – ona również. Cokolwiek się wydarzy, ich związek już nigdy nie będzie taki jak wcześniej. Ta myśl przeraziła ją do tego stopnia, że Zero pomyślała o zażyciu odrobiny heroiny pod nieobecność Davida. Niewielka ilość nie mogłaby jej zaszkodzić, a wystarczyłaby, żeby się zrelaksować. Postanowiła jednak tego nie robić. On by to dostrzegł. Przejrzałby ją na wylot i wściekł się jeszcze bardziej.

Samiec wilka zatopił nagle kły w puszystym karku samicy i wszedł na nią. Zero patrzyła jak zahipnotyzowana na kopulujące na jej oczach zwierzęta. Stosunek nie trwał długo i gdy dobiegł końca, pod samicą ugięły się łapy. Opadła na bok, a potem przetoczyła się na plecy, tarzając się i wyciągając ciało na ziemi niczym w ekstazie.

– Idziemy – powiedział David, pojawiwszy się niespodziewanie u jej boku.

Wydawał się mniej wychudzony, a jego cera nabrała koloru – Zero domyśliła się, że udało mu się znaleźć gdzieś krew.

Być może w końcu zaczęło przejaśniać jej się w głowie, bo nagle uderzyło ją, jak dziwaczne było picie krwi. Zastanawiała się, czy ofiary Davida dochodziły do siebie, czy także stawały się wampirami.

Przyłożyła palce do szyi – ślady po ugryzieniu już prawie zniknęły. Dotarło do niej, że w wyniku ukąszenia mogła w niej zajść zmiana, której rozmiarów nie była jeszcze świadoma.

Kathleen stała na chodniku przed wejściem do parku, podczas gdy David szukał taksówki.

– A teraz gdzie jedziemy?

– Ty na lotnisko. Wracasz do Nowego Jorku.

Zrobiła dwa kroki do tyłu.

– Nie! Chcę zostać tutaj. Z tobą.

– Tak się nie stanie. Ja cię tu nie chcę. – David obrócił się, ale zdążyła dostrzec w jego oczach coś innego niż złość.

– Jestem głodna – powiedziała.

– Na pokładach samolotów mają zwyczaj podawać posiłki, czyż nie?

– Proszę. Od dawna nie miałam nic w ustach.

– Zjesz na lotnisku.

– Davidzie, niedobrze mi z głodu. Po drugiej stronie ulicy jest jakiś lokal. Możemy tam najpierw zajrzeć? Proszę?

Zawahał się, ale chwilę później powiedział: „No to chodź” i poprowadził ją za ramię w kierunku kafejki.

Usadzono ich w rogu pod parasolem ogrodowym z logo firmy Cinzano, a Zero zamówiła dobrze wysmażonego hamburgera, frytki i colę. Po odejściu kelnerki obróciła się do Davida. Jego twarz miała surowy, zawzięty wyraz.

– Ładnie tutaj – stwierdziła radosnym głosem. – Obok hotelu jest plaża.

– Po co wróciłaś?

– Mówiłam ci: chcę z tobą być.

– A ja zabroniłem ci mnie szukać. Odeszłaś. To zabawa, w której lubują się śmiertelnicy, ale ja nie zamierzam brać w niej udziału. Koniec gry, jak ująłby to Frankie.

Kathy wessała dolną wargę do środka i spuściła wzrok.

– To był błąd. Wróciłam jakiś czas później, ale do tego czasu zdążyłeś się już wymeldować.

Chciała wypatrzeć w jego oczach oznaki miłości, ale była w nich tylko podejrzliwość.

– Davidzie, proszę, posłuchaj. Dałam ciała i zdaję sobie z tego sprawę. Gdy opowiedziałeś mi o Bobbym, nie wiem, kompletnie mi odwaliło. Wszystko, co mówiłeś, to prawda. Tylko wtedy nie potrafiłam jeszcze tego dostrzec. To nie ciebie okłamywałam, tylko samą siebie.

Nic nie odpowiedział, ale to jej nie zniechęciło.

– Potem o tym myślałam i Mae też potwierdziła tę wersję. Bobby zginął w wypadku. Przepraszam, że ci nie wierzyłam.

Zero poczuła, jak coś w jej wnętrzu się przesuwa, jakby podłoga pod jej stopami zmieniła się w lej, który zaczął wsysać ją do środka. Wypowiedziane przez nią słowa stały się częścią rzeczywistości. Nigdy

wcześniej nie czuła się równie bezbronna.

David przyglądał się Kathy z rezerwą, bojąc się zaufać jej po raz kolejny, ale też bojąc się tego nie zrobić.

– Chcę zostać. Kocham cię. Proszę, pozwól mi wrócić – powiedziała, a jej okrągłe niczym bliźniacze księżycy oczy były barwy Morza Egejskiego.

– Posłuchaj mnie uważnie, Kathleen, bo nie będę powtarzać. Byłem dla ciebie o wiele za dobry. Owinęłaś mnie sobie wokół palca, a ja na to pozwoliłem.

– Davidzie, wcale nie...

– Nie przerywaj! Słuchaj.

Zero zamknęła usta i wbiła w niego wzrok, ale David nie był pewny, czy ona w ogóle przyswaja to, co do niej mówi.

– Nigdy wcześniej nie byłeś z mężczyzną, który darzyłby cię miłością – powiedział. – Twój ojciec był zwykłym bydlakiem, a nie rodzicem, więc skąd miałabyś wiedzieć, co począć z czyjąś miłością? Jestem to w stanie zrozumieć. Albo jesteś szorstka niczym kierowca ciężarówki, albo bezradna jak wróbel z przetrąconym skrzydełkiem i chcesz, żebym się tobą opiekował. Jednak gdy tak właśnie robię, zaczynasz mną gardzić. Nie jestem twoim ojcem i nie potrafię zrekompensować ci jego czynów. Mogę być tylko twoim kochankiem i przyjacielem, ale wątpię, żeby ci to wystarczyło. Doświadczyłaś zbyt wielkiej krzywdy i bez ustanku balansujesz na krawędzi autodestrukcji.

Kathy wyglądała na niepokieszoną i wystraszoną zarazem. Jej dolna warga zadrżała.

– Potrzebujesz kogoś, kto zastąpi ojca – tego nie da się ominąć. Mogę wziąć na siebie tę rolę, ale nie chcę jej odgrywać bez końca. Wskażę ci właściwy kierunek, ale oczekuję, że w pewnym momencie przejmiesz na siebie odpowiedzialność za własne czyny. Nie wiesz, jak się o siebie troszczyć, jak ustanawiać sobie granice. Jeśli naprawdę twoim życzeniem jest pozostać ze mną, będziesz musiała respektować pewne zasady, bo w przeciwnym razie rozstaniemy się na dobre. Rozumiesz, co mam na myśli?

Skinęła głową, a jej oczy były tak wielkie, że David spodziewał się, że lada chwila wytrysną z nich łzy.

– Próbowалаś unicestwić nie tylko me ciało, ale też duszę. Niewiele mam powodów, żeby ci dalej ufać. – Zrobił pauzę, żeby jego słowa miały czas na dotarcie do niej. – Dobrze zatem, oto, czego oczekuję:

przede wszystkim przestań ubierać się jak ladacznica.

– Ale Davidzie...

– Milcz! Chcę, żebyś ubierała się jak osoba dorosła i przestała przesadzać z makijażem. Do tego koniec z narkotykami. Jakimkolwiek. Jeśli dostrzegę, że choćby zerkasz na narkotyki, pokażę ci plecy – że użyję kolokwializmu. Będziesz spożywać co najmniej dwa pełnowartościowe posiłki dziennie i nie chcę słuchać żadnych wymówek. I na koniec będę oczekiwał od ciebie prawdy. Koniec z kłamstwami czy pomijaniem istotnych szczegółów. Przykładowo, jeśli posiadasz równie ważką wiedzę co informacje na temat Wężowego Kapłana, których nie raczyłaś mi zawczasu zdradzić, oczekuję, że się nią ze mną podzielisz. Przestań mnie chronić, oszukiwać i manipulować mną. Nie będziesz podejmować żadnych samodzielnych decyzji – czy wyrażam się jasno?

Kathy wpatrywała się w niego bez słowa z lekko rozchyłonymi wargami i zszokowaną miną.

– Spytałem, czy wyrażam się jasno.

– Tak – odparła w końcu.

– Dobrze! A teraz udaj się, proszę, do damskiej toalety i zmyj z twarzy dziewięćdziesiąt dziewięć procent makijażu.

Nawet nie drgnęła.

– Davidzie, może jednak nie rozumiem do końca. Wygląda na to, że jeśli nałożę na usta za dużo szminki albo ubiorę się w sukienkę, która ci się nie spodoba, z miejsca mnie zostawisz.

– Stwierdzam tylko, że obecnym wyglądem ściągasz na siebie – a w rezultacie i na mnie – zbyt wiele spojrzeń, a co więcej, nie są to spojrzenia przychylnie. Rozejrzyj się tylko. Każda osoba w tej restauracji się na ciebie gapi. Sama się prosisz o brak akceptacji, chyba że interesuje cię aprobata ze strony alfonsów, mężczyzn gotowych płacić za seks czy dilerów narkotykowych.

Kathleen obróciła się nieznacznie. Nikt nie patrzył jej prosto w oczy, ale dostrzegła kilka spojrzeń rzucanych jej kątem oka. Gdy ponownie odwróciła się do Davida, sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Dobrze – powiedziała, wstając.

– Chwileczkę.

David odebrał jej torebkę i przez chwilę buszował w jej wnętrzu, z którego wyjął w końcu dwie koperty z heroiną. Wsunął je do kieszeni swojej kurtki.

– Jest tego więcej?



Pokręciła głową, a on oddał jej torebkę.

David patrzył, jak Kathleen przechodzi przez patio i znika za drzwiami oznaczonymi napisem „Femmes”. Pod jej nieobecność anulował zamówienie na hamburgera, zamiast którego poprosił o pieczonego łososa i sałatkę.

„Co ja robię najlepszego?” – pytał sam siebie.

Kathleen nie stała się nagle bardziej godna zaufania niż dwa wieczory temu. Była narkomanką, ludzkim wrakiem niezdolnym do stawienia czoła rzeczywistości. Co ktoś taki jak ona począłby z darem wiecznego życia?

„Dobrze wiesz, że ona znowu cię zostawi – przestrzegł sam siebie. – Po co z własnej woli dawać się ranić? Czyżby doświadczenia związane z Ariel mu nie wystarczyły?”

David widział, że wracającej do ich stolika Kathy nie umykają spojrzenia obserwujących ją ludzi, przez co sprawiała wrażenie skrępowanej. Włosy zaczesła gładko do tyłu, a z twarzy zmyła prawie cały makijaż, jakim zazwyczaj ją pokrywała. Blaknące sińce stały się wyraźnie widoczne. Odstaniający brzuch top oraz minispódniczka z czarnej skóry sprawiała wrażenie jej drugiej skóry i obnażały duże połacie tej pierwszej. Gdy szła przez patio, oczy wszystkich obecnych śledziły każdy ruch jej zmysłowo poruszającego się ciała – wszystkich z wyjątkiem Davida.

– Ej, co jest grane? – spytała, siadając.

– Jedz. To zdrowsze niż śmieci, które zamówiłaś. Od dziś chcę, żebyś lepiej się odżywiała.

Podniosła widelec i nóż i zabrała się do ryby. Zjadła niewielki kęs, po czym włożyła do ust trochę sałatki i zaczęła ją wolno przeżuwać. David obserwował w milczeniu, jak dziewczyna zjada prawie cały posiłek.

Po wyjściu z knajpki ruszyli Denman Street, gdzie David pokierował Kathy w kierunku sklepu specjalizującego się w importowanych z Meksyku bawełnianych ubraniach. Wybrał dla niej długą spódnicę w kolorze zielonkawatego melona, luźną bluzkę o barwie złamanej bieli oraz skórzane sandały z plecionki. Gdy wyszła z przebieralni, wyglądała jak obca osoba.

– A cóż to za hipiska! – zaśmiał się David, a chwilę potem prawie wybuchnął płaczem, myśląc: „Dlaczego ona tak bardzo musi przypominać mi Ariel?”

– Czemu mi się tak przyglądasz?

- Przypominasz mi osobę, którą znałem dawno temu.
- Dziewczynę?
- Tak.
- Jak miała na imię?
- Ariel.
- Kochałeś ją?
- Tak.
- A teraz? – spytała Kathleen z bezbronnym wyrazem twarzy.
- Już jej nie kocham.

Gdy wychodzili, sprzedawczyni zawołała za nimi, trzymając w dłoniach skórzane buty, spódniczkę oraz top należące do Kathleen.

- Weź je sobie – machnęła ręką Kathy.

Spacerowali po plaży otaczającej Zatokę Angielską. Miał miejsce odpływ i z początku stawiali stopy tuż przed jezorami niskich fal, które wysuwały się z oceanu, ale potem przenieśli się na suche połacie piasku. Księżyc – kapryśny kochanek nocy – odrobinę przewyższał rozmiarem połówkę okręgu. David miał wrażenie, że wypadł z łask niebieskiego amanta już niemalże cztery dekady temu. Tego wieczoru ledwo był w stanie dostrzec rysy jego przedwiecznego, niewzruszonego oblicza. Pomimo miejskiego blasku rozświetlającego centrum Vancouver plaża pogrążona była w mroku i na tle czarnego nieba widać było miriady gwiazd rozsypanych niczym kryształowe okruchy. Spacerowało tu niewiele osób i w końcu udało im się znaleźć odludny kawałek piasku.

- Spójrz! – zawołała Kathy.

Podniosła z ziemi maleńką spiralną muszelkę i zaczęła badać ją opuszkami palców, bo było zbyt ciemno, żeby mogła wyraźnie ją dostrzec. Wyciągnęła ją na dłoni w jego kierunku, a następnie z zachwytem przyłożyła ją do własnego ucha. Davidowi przypominała dziecko dopiero odkrywające świat.

„Niczym jedna z nas, patrząca na wszystko nowym wzrokiem po przemianie” – pomyślał.

Usiadł na wyrzuconym przez ocean pniu i patrzył, jak Kathy idzie w kierunku wody, lekko kołysząc biodrami. Delikatna bryza zgarniała jej długą spódnicę i kukurydzianej barwy włosy w lewo. Kathleen powoli uniosła ręce ponad głowę w błagalnym geście. Potem się obróciła. Gdy szła ku niemu, widział Afrodytę wychodzącą z fal.

Uklękła między jego nogami, położyła mu głowę na udzie tuż przy prawym biodrze i objęła ramionami w pasie. David przeczesał palcami

jej włosy. Czułe opuszki jego palców badały każde zagłębienie i kontur jej twarzy, śledziły linię kości znajdujących się pod giętką, porowatą skórą. Obezwładniał go jej zapach. Przyciągnął Kathy do siebie, żeby przyssać się do jej miękkich ust, wziąć w ramiona jej ciepłe ciało i kochać ją tak, jakby nigdy nie rozstali się ani na chwilę.

## Rozdział 15

Tak, Don, miło, że oddzwoniasz. – David gestem nakazał Zero siedzieć cicho. – Na wyspie Vancouver? W porządku.

Kathy patrzyła, jak David zapisuje coś w notatniku, którego strony opatrzone były nazwą ich hotelu, a potem wyrywa kartkę i chowa ją do kieszeni koszuli.

– W piątek o dziesiątej. Nie, Beverly nie będzie mogła do nas dołączyć. Zaraziła się czymś. Obawiam się, że nie. Raczej kiepsko się czuje. Bierze antybiotyki.

Zero zaczęła protestować, ale David rzucił jej surowe spojrzenie, które błyskawicznie ją uciszyło.

– Jasne. No, to do zobaczenia.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, spytała:

– Chcesz iść beze mnie?

Jego twarz stężała.

– Tak. I tym razem nie ustąpię. Masz się stąd nie ruszać, żebyś wiedział, gdzie jesteś i że nic ci nie jest. Nie będę na ten temat dyskutował.

– No dobra.

Kathy klapnęła na łóżko. Skoro tak to sobie wymyślił, nie zamierzała się sprzeczać. Była do tego stopnia szczęśliwa, że znowu są razem, iż wiele rzeczy, które wcześniej skłoniłyby ją do kłótni, przestało ją obchodzić.

David usiadł obok niej, a ona owinęła mu szyję ramionami i przyciągnęła go do siebie. Gdy zaczęli się całować, poczuła, jak David się rozluźnia. Pogłaskał ją po włosach i omiół jej twarz rozkochanym spojrzeniem swoich orzechowych oczu. Chwilę później jednak odwrócił wzrok.

– Znowu patrzysz na mnie w ten sam sposób. Jakbym przypominała ci tamtą dziewczynę.

– Wybacz. – Ujął jej podbródek w dłoń. – Może to przez twój strój. Albo brak makijażu. Momentami wyglądasz jak ona.

Odgarnął jej włosy z czoła.

– Na przykład teraz. Twój uśmiech, sposób, w jaki przechylasz

głowę.

– Jak się poznaliście? Jaka ona była?

– Powiedziała, że ma na imię Ariel. Ariel Moon, chociaż nie udało mi się ustalić, czy naprawdę tak się nazywała. Po raz pierwszy spotkałem ją, gdy mieszkałem na Manhattanie z André i Karlem. Miało to miejsce w roku 1955, na wiosnę; wieczór był chłodny, wilgotny, mżysty, a niebo zachmurzone. Dokładnie pamiętam pogodę, bo wybraliśmy się wtedy na jeden z pierwszych meczów baseballowych sezonu. Jankesi pokonali Washington Senators dziewiętnaście do jednego, a my staliśmy się częścią niewielkiego tłumku, który był świadkiem tej historycznej chwili. Tak przynajmniej zapewniał nas André, który jest wielkim fanem sportu. Po raz pierwszy i ostatni zabrał nas wtedy na mecz. Nasza trójka była sobie bliska – spędziliśmy wspólnie większą część każdej nocy. Po opuszczeniu stadionu Jankesów postanowiliśmy wrócić do domu metrem. Przeszliśmy jedną przecznicę i staliśmy właśnie przed przejściem dla pieszych, czekając na zmianę świateł, gdy podjechał do nas samochód. Karl zauważył ją pierwszy. Wydobywał się z niej niesamowity biały blask przypominający pulsujące płomieniste fale.

– Jak to? – spytała Kathleen.

David oparł się o wezglowie łóżka i otoczył jej barki ramieniem.

– Jest jedną z nas. Jest taka jak ja. Należy do naszego gatunku. – Zrobił pauzę. – W chwili śmierci dusza podobno opuszcza ciało. W wielu kulturach uważa się, że proces ten dokonuje się ciągu trzech lub czterech dni. Przedstawiciele mojego gatunku mają na ten temat własną teorię. Nasze dusze zaczęły opuszczać ciała, ale w wyniku reakcji chemicznej na poziomie komórkowym wywołanej infekcją przenoszoną za pośrednictwem krwi – oraz w następstwie zmian duchowych – powróciliśmy do życia. Trochę tak jak ludzie, którzy odzyskują świadomość po tym, jak uznano ich za martwych. Jednak w naszym przypadku dusza tylko częściowo znajduje się w ciele, co pozwala nam dostrzegać blask. Widzimy nawzajem swoje dusze. Do życia potrzebna nam krew, bo stanowi ona przecież jego czystą esencję.

Kathleen skinęła głową, ale David wiedział, że trudno jest jej zrozumieć, co on dokładnie ma na myśli. I nic dziwnego! Jej wyobrażenie na temat jego egzystencji oparte było na scenach widzianych w filmach, a podobieństwa okazywały się wystarczająco liczne, by przysłonić różnice.

– Ariel wpatrywała się w nas, a my w nią. Bez słowa otworzyła drzwi od strony pasażera i wsiedliśmy do środka – André i ja z tyłu, a Karl z przodu. Sytuacja była nietypowa, bo przedstawiciele naszego gatunku zazwyczaj się unikają.

– Czemu?

– To skomplikowane, Kathy. Ujmę to tak: podobnie jak niektóre gatunki zwierząt cechuje nas niemalże wrodzony brak zaufania. Samiec i samica spotykają się czasami, by odbyć kopulację, ale na tym kończą się ich relacje.

– Ale ty miałeś przyjaciół. Tych dwóch facetów.

– Tak. Karl, André i ja byliśmy wyjątkami. Zawsze zachodziliśmy w głowę, jakim cudem udawało nam się mieszkać razem. Mogło to mieć coś wspólnego z istotą, która stworzyła i Karla, i mnie. Wierzmy, że był to ten sam drapieżca. W obu przypadkach atak był zaskakująco brutalny niczym wypadek samochodowy. I nigdy więcej już nie widzieliśmy naszego stwórcy. Wydaje nam się, że był on również odpowiedzialny za transformację ciotki André. Jak sama widzisz, jest między nami pewna więź.

Kathleen kiwnęła głową, ale wyglądała na zdezorientowaną.

– W trakcie jazdy samochodem nikt z naszej czwórki nie odezwał się ani słowem. Siedziałem za Karlem, obserwując profil Ariel. Nigdy wcześniej nie widziałem równie cudownej istoty i nie mogłem oderwać od niej wzroku. Żaden z nas nie był w stanie. Podobnie jak ty była drobnej budowy ciała, jej blond włosy miały niezwykły szafranowy odcień, a jej oczy... Nie wiem nawet, jak je opisać. Ich błękit był tak blady, że momentami wydawały się całkowicie białe. Dawało to przerażający, nieziemski efekt przywodzący na myśl oczy psa husky.

Ariel wyglądała na jakieś dwadzieścia lat, ale uśmiezek nieopuszczający nawet na chwilę jej pełnych warg oraz emanująca z niej pewność siebie były dowodem przeżytych stuleci. Było w niej też coś psotnego, tak mi się przynajmniej z początku wydawało. Później zdałem sobie sprawę, że chodzi o czyste okrucieństwo. Ale nawet gdy dawała upust swej bezwzględności, błogi uśmiech nigdy nie znikał z jej twarzy, i z racji tego, jak zachwycające robiła wrażenie, nie potrafiłem reagować na jej zachowanie w sposób negatywny.

Zabrała nas motorówką na Fire Island, gdzie znajdował się jej dom. Miała duszę artystki – ubrana była w sandały i długą spódnicę, którą wiatr znad Atlantyku szarpał na wszystkie strony, a jej nagie ramiona otulała cygańska chusta. Na tamte czasy był to strój niecodzienny.

Nigdy wcześniej nie widziałem równie pięknej istoty. Nawiasem mówiąc, nie dane mi było poznać żadnych kobiet należących do naszego gatunku z wyjątkiem Ariel i ciotki André. Moi przyjaciele też ich nie spotkali. Jest coś niezwykle pociągającego w kontaktach z innymi wampirami, nawet pomimo cechującej nas nieufności. Śmiertelnicy nawet w połowie tak bardzo nas nie interesują. W ich przypadku chodzi tylko o krew i – o ile nie dojdzie do przemiany – każdy poważny związek skazany jest na zagładę.

– O nas też tak myślisz?

– Jeśli nie przejdiesz przemiany, umrzesz. Moje dotychczasowe życie minęło dla mnie równie szybko jak dla ciebie rok.

Kathleen sprawiała wrażenie, jakby nie miała ochoty myśleć teraz na ten temat.

– I co było dalej? – spytała.

– Pierwszym, co zauważyłem po wejściu do domu, były jej rzeźby. Każde pomieszczenie zagracone było jej pracami – posągami nagich męskich ciał spoczywających na piedestałach pośród galimatiasu mebli. Większa część domu, włącznie z sypialnią, stanowiła przestrzeń jej studia. Ariel zabrała się do rozpalania ognia w kominku, a my usiedliśmy, pozerając ją wzrokiem. Żaden z nas nie ważył się odwrócić oczu. Jej widok zapierał nam dech w piersi, a każdy jej ruch był tak pełen uroku i magii, że sama myśl, że moglibyśmy stracić ją z pola widzenia, sprawiała nam ból. Po roznieceniu ognia wstała i popatrzyła na każdego z nas z osobna. „Jestem Ariel” – powiedziała z akcentem, który kojarzył mi się z Irlandią, chociaż ona nigdy ani tego nie potwierdziła, ani temu nie zaprzeczyła, a potem dodała: „Pragnę was”.

Jej słowa nami wstrząsnęły. Popatrzyliśmy po sobie, jakbyśmy byli małymi chłopcami. W końcu André ośmielił się zadać pytanie, które każdemu z nas kołatało się w głowie: „Ale którego dokładnie?”.

Śmiech Ariel zabrzmiał niczym dźwięk okruchów kryształu pieśczośliwie przewracanych tchnieniem wiatru. „Wszystkich naraz – odparła – i to już”. Była o wiele bardziej wyzbyta zahamowań niż my trzech razem wzięci. Musiała zdawać sobie z tego sprawę, bo zaśmiała się raz jeszcze, po czym skinęła głową i powiedziała: „No dobrze. Ty pierwszy”. Wzięła André za rękę i poprowadziła go ku sypialni. Siedzieliśmy z Karlem przy kominku, nie będąc w stanie wykrztusić ani słowa. Wydawało nam się, że minęły godziny, od kiedy zamknęły się za nimi drzwi. Dobiegały nas śmiechy. Jęki. Okrzyki wydawane przez Ariel. Gdy wrócili, André usiadł, a ona ujęła dłoń Karla. Jej blask

przybrał na intensywności, a cera nabrała koloru. A te oczy! Była jeszcze bardziej urzekająca niż wcześniej.

Gdy zostaliśmy z André sami, zacząłem mu się bacznie przyglądać. Jego skóra była jeszcze bledsza niż zwykle, mimo że zazwyczaj jej barwa kontrastowała wyraźnie z czernią jego włosów. Miałem ochotę spytać, czy oddał jej krew, ale wtedy nie mogłem się na to zdobyć. Jakiś czas później zapewnił mnie, że tego nie zrobił. Dostrzegłem w nim jednak coś więcej niż tylko bladość. Wyglądał na wściekłego. Tyle że André często się złościł, zwłaszcza na śmiertelnicy.

W końcu Ariel i Karl wrócili. Karl również był blady, ale wyczuwałem, że to głównie efekt oszołomienia. Przeniósłem wzrok z niego na Ariel. Obserwowała mnie rozbawiona, a jej śliczne usta układały się w coś na kształt uśmiechu, chociaż gdy później przypomniła mi się jej mina, uznałem ją za wyraz kpiny. Tamtej nocy jednak byłem pod jej urokiem.

Wyciągnęła do mnie ręce, a ja umieściłem w nich swoje dłonie. Następnie zaprowadziła mnie do swojego łóżka. W powietrzu unosiły się opary cielesnych woni. „A więc ty jesteś poetą” – powiedziała. Najwyraźniej usłyszała to i owo na mój temat od pozostałej dwójki. Rozwiązała pasek szlafroka koralowej barwy, który miała na sobie, i pozwoliła jedwabistej tkaninie ześlizgnąć się po ciele. Jej skóra przypominała alabaster, a figura była tak idealna, że z trudem byłem w stanie oddychać. Jej klasyczne piękno paraliżowało mnie na kilka różnych sposobów. Gdybyś była obdarzona wzrokiem takim jak my, Kathy, zrozumiałabyś. Bez dwóch zdań jesteśmy pociągający dla śmiertelników, ale ich percepcja jest mocno ograniczona. My za to jesteśmy w stanie spojrzeć głębiej, dostrzec subtelne odcienie barw, delikatne ruchy krągłości, pulsowanie światła emanującego z naszych ciał. Ariel przypominała posąg antycznej bogini, który przebudził się do życia. Rozłożyła przede mną ramiona i powiedziała: „To ty pokochasz mnie najmocniej”. Objąłem ją, a ona mnie, po czym zatopiłem się w ekstazie, którą później trudem byłem w stanie odtworzyć z pamięci. Jej fragmenty ukazywały mi się w snach. Jej ciało wydawało się uległe, ale napięte mięśnie oplatających mnie kończyn wyciskały mi dech z piersi. Wiem tylko tyle, że balansowałem na granicy pomiędzy przyjemnością a cierpieniem, a ta okazała się bardzo cienka. I jeśli nie liczyć samej przemiany, to, co czułem w obecności Ariel, było najintensywniejszym doświadczeniem mojego życia.



Kathleen ujęła jego dłoń.

– A ze mną się tak nie czujesz? – spytała, sprawiając wrażenie urażonej niemożnością konkurowania z tak bajeczną fantazją.

– Z tobą jest inaczej, Kath. A będzie jeszcze inaczej, gdy poddasz się przemianie. Zdaję sobie sprawę, że opisałem Ariel niczym senne marzenie. I pod wieloma względami tym właśnie była. Tyle że ten sen okazał się w końcu koszmarem...

To był dziwny wieczór. Gdy tylko dołączyliśmy z Ariel do pozostałych, ona powiodła nas bez słowa z powrotem do łodzi. Po dopłynięciu do brzegu wsiedliśmy do jej samochodu, którym zawiozła nas do miasta. Następnie odjechała, a my staliśmy w deszczu przed naszym budynkiem, wpatrując się w siebie nawzajem w poszukiwaniu potwierdzenia, że to, co się stało, naprawdę miało miejsce.

Co dziwne, żaden z nas nic wtedy nie powiedział. Wyglądało na to, że chcieliśmy rozkoszować się wspomnieniem Ariel w zaciszu własnej pamięci, a dzielenie się nim z pozostałą dwójką zubożyłoby całe przeżycie.

Upłynęły dwa miesiące, zanim zobaczyliśmy Ariel po raz wtóry. Pewnej nocy Karl przyprowadził ją do domu. Tak jak poprzednio ubrana była w powłóczystą spódnicę i zsuwającą się z ramion bluzkę, jej długie, szafranowej barwy włosy płynęły za nią w powietrzu, a cienkie złote obręcze dyndające jej z uszu sprawiały, że przypominała Cyganekę. Podobnie jak za pierwszym razem przespała się z każdym z nas – a przynajmniej próbowała, bo André jej odmówił. „Podzielcie łupy między sobą” – oznajmił Karlowi i mnie, a Ariel parsknęła za nim śmiechem, gdy wzburzony wychodził za drzwi.

Tak jak za pierwszym razem doświadczenie okazało się tak cudowne, że niewiele potem pamiętałem. Czułem się, jakbym powrócił do łona matki, umierał albo stał się jednością z gwiazdami na nieboskłonie. Zatopiłem się w tamtych ulotnych chwilach, zapominając na krótki czas o bólu, który noszę w sobie każdej przeciw nocy. Cierpienie, które od zawsze dręczy mnie i nie pozwala zbliżyć się ani do śmiertelników, ani do istot nieśmiertelnych, chwilowo zniknęło.

Po tamtej nocy widywaliśmy się z Ariel często. Przychodziła do naszego mieszkania albo składaliśmy jej z Karlem wizyty w jej domu. André nie chciał do nas dołączyć. Stwierdził, że nie tylko nie lubi Ariel, ale też jej nie ufa. „Nie bądźcie zdziwieni, jeśli napuści was na siebie, *mes amis*” – przestrzegął nas. A Ariel do tego właśnie dążyła.

My jednak nie mieliśmy wrażenia, że ze sobą konkurujemy. Nasz układ miał charakter mocno niecodzienny.

Ale z czasem sytuacja uległa zmianie. Ariel zrobiła się rozczarowana Karlem, który wiele miesięcy później wyznał mi, że od początku miał wrażenie, iż niewiele ich łączy, ale coś w niej go „usidliło”. Stwierdził, że czuł się „niczym ryba złapana na haczyk, który zagnieżdżył się tak głęboko w jej ciele, iż uwolnienie się graniczy z cudem”. Miał wrażenie, że jeśli zacznie się szarpać, sam rozerwie się na strzępy. Gdy to powiedział, przebiegł mnie dreszcz, bo uświadomiłem sobie, że moje uczucia były identyczne.

Ale to Ariel oddała mu wolność. Wydawała się znudzona Karlem. Powiedziała mi, że zarówno on, jak i André śmiertelnie ją nużą. Pamiętam, jak ze śmiechem stwierdziła: „Ich mogę mieć na każde skinienie – są tacy bezbarwni. Ich cierpienie nawet w połowie nie jest tak głębokie jak twoje, drogi Davidzie”. Podobnie jak większość innych spraw znaczenie jej słów dotarło do mnie dopiero poniewczasie.

Pewnego dnia nawiązałem rozmowę z Karlem, bojąc się, że biedak pogrąży się w żalu. „Wprost przeciwnie – powiedział – spadł mi kamień z serca”. Wtedy mu nie wierzyłem i pojąłem, o czym mówi, gdy było już za późno.

Ariel skupiła całą swą uwagę na mnie. Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego to mnie postanowiła faworyzować. Pamiętam jednak, że nawet wtedy wypełniał mnie lęk. Coś w niej sprawiało, że miało się wrażenie spoglądania prosto w ślepie Meduzy. Zacząłem z nią spędzać każdy wieczór i wkrótce potem wprowadziłem się do jej domu na wyspie. Nie mogłem się jej oprzeć. Nie byłbym w stanie uczynić nic innego.

W moich oczach nasze wspólne życie było na zmianę to piekłem, to niebem. Polowanie w towarzystwie Ariel zawsze było bolesnym doświadczeniem. Sposób, w jaki wabiła do siebie śmiertelników, działał mi na nerwy. Im większe zaufanie udało jej się uprzednio w nich wzbudzić, tym większą przyjemność wyciągała z mordu. A zabijała zawsze – i to w sposób absolutnie bestialski. Nigdy nie widziałem, aby kogokolwiek oszczędziła, i to wytrącało mnie z równowagi. Nie była mnie jednak w stanie namówić do zabójstwa, a możesz mi wierzyć, że nieraz próbowała. Jej nieskrywane rozczarowanie było dla mnie źródłem ogromnego cierpienia. Nie była to jedyna dzieląca nas różnica, choć prawdopodobnie była ona

najbardziej dobitna i sprawiała, że bez ustanku miotałem się w poczuciu chaosu i zagubienia.

Jeśli nie liczyć momentów poświęconych szukaniu pożywienia, większość czasu spędzaliśmy w łóżku. Wspomnienie tamtego seksu jest niewyraźne, mgliste i wyobrażam sobie, że tak później pamięta operację uszpiony eterem pacjent. Gdy się kochaliśmy, Ariel nalegała na picie mojej krwi i zezwalałem jej na to. Nigdy jednak nie było mi dane skosztować jej krwi.

Jak mógłbym ci ją pokrótce opisać? Była niespokojnym duchem. Wychodzące spod jej rąk dzieła sztuki nigdy jej nie zadowalały. Nie mogłem jej zaspokoić: wydawała się chcieć czegoś ode mnie, ale nie potrafiłem ustalić, czego konkretnie. Wydaje mi się, że nieśmiertelność była dla niej męką, ale przyznanie się do tego byłoby w jej oczach oznaką słabości. W wyniku tego jednocześnie ją pociągałem i odpychałem – z tych samych powodów. Pamiętam, jak stała kiedyś przy oknie tuż przed świtem. Jej tolerancja na brzask wydawała się większa niż moja, André czy Karla, ale – z tego, co wiem – nie pozwalała jej na poruszanie się na zewnątrz. Leżałem ospały w ciemności zalegającej w drugim krańcu pokoju, czekając, aż zamknie okiennice i do mnie dołączy. Gdy tak stała skryta w cieniu, spoglądając przez okno na poprzedzający świt blask, usłyszałem, jak mówi cicho: „Dałabym wszystko, byle tylko być wolna”. Była to najwyraźniejsza oznaka gorczy, jaką u niej kiedykolwiek zaobserwowałem.

Gdy nie leżeliśmy w łóżku, patrzyłem, jak rzeźbi. Za każdym razem, gdy kończyliśmy się kochać, zrywała się, żeby rozpocząć prace nad przedstawiającym mnie naturalnych rozmiarów posągiem. Miała na koncie setki niedokończonych rzeźb, które zawsze rozbijała na kawałki w ataku furii rozsadzającej ją niczym lawa wylewająca się z wulkanu. Spytałem ją kiedyś, skąd bierze się ta obsesyjna potrzeba powielania mnie, skoro leżę tuż obok. „Najdroższy – odparła – chcę uchwycić to, jak wyglądasz, gdy jesteś bezbronny, bezsilny i należysz tylko do mnie”. Zamiast wywołać we mnie gniew lub lęk, jej słowa sprawiły, że przeszedł mnie dreszcz, który zmusił mnie, by kochać się z nią raz jeszcze. Stałem się więźniem pozbawionym woli ucieczki.

Każdej nocy energia wyciekała ze mnie bez mojej wiedzy. Karl i André próbowali przemówić mi do rozumu, ale mnie zdawało się, że są po prostu zazdrośni, i nie tylko ich nie słuchałem, ale wręcz zacząłem unikać. Przestałem pisać wiersze, czytać i chodzić do teatru.

Zadowalanie Ariel stało się dla mnie jedynym sensem życia. Gdy raczyła obdarzyć mnie jednym ze swych enigmatycznych uśmiechów, uznawałem egzystencję za wartą zachodu. Często jednak złościła się na mnie, a wtedy najłżejszy nawet grymas niezadowolenia na jej cudownym obliczu sprawiał, że jedynym wyjściem wydawała mi się moja własna zagłada. Gdy teraz o tym myślę, zdumiewa mnie, jak wiele energii poświęcałem na próby dogodzenia jej. A im bardziej się starałem, tym gorsze odnosiłem rezultaty. To jednak tylko sprawiało, że chciałem podwoić wysiłki. Ariel często katowała mnie opowieściami o swoich przeszłych kochankach, włącznie z André i Karlem. Wśród nich wymieniała tego, który był odpowiedzialny za jej przemianę. W porównaniu z nim niezmiennie wypadałem blado. Nie tylko bił mnie na głowę w ars amandi, ale był nieustraszony, genialny, bezwzględny i nie dręczyła go nadwrażliwa natura. Jako jej mentor musiał wpoić jej wszystko, czym się kierowała, włącznie z bezdusnością, choć być może nawet teraz próbuję ją po prostu usprawiedliwiać. Gdy spytałem, dlaczego się rozstali, Ariel obdarzyła mnie tylko zagadkowym uśmiechem. Dlaczego się na to wszystko zgadzałem? Pojęcia nie mam. Wiem tylko tyle, że wystarczyłoby, aby zażyczyła sobie czegoś, a ja byłem gotów to zrobić – no, może z wyjątkiem zabijania. Gdyby kazała mi położyć się w blasku słońca, bez wątpienia tak właśnie bym uczynił. Jej władza nade mną była tak absolutna, że po dziś dzień nie jestem jej w stanie zrozumieć.

Spędziliśmy razem sześć miesięcy. Nadeszła jesień, a zimna pogoda sprawiła, że Fire Island opustoszała. Pewnej nocy, gdy skończyliśmy się kochać, patrzyłem, jak Ariel formuje tors kolejnej rzeźby tworzonej na moje podobieństwo, i pamiętam przepelniające mnie uczucie skrajnego wyczerpania. Niemalże śmiertelnego zmęczenia. W mojej głowie pojawiła się nagle wizja sukuba – mitycznej istoty wysysającej energię z mężczyzn poprzez seks. Moje myśli najwyraźniej nie były dla Ariel sekretem, bo obróciła się nagle i spojrzała na mnie swymi tajemniczymi, nieziemskimi oczyma i oznajmiła: „Rzeźbię cię po raz ostatni, Davidzie. Mężczyźni naszego gatunku są jeszcze trudniejsi do zniesienia niż śmiertelnicy. Nawet ty, mój pupilku, mimo całej swojej słabości”.

Nie miałem pojęcia, co ma na myśli. Gdy jakiś czas później pojechała do miasta razem z posągiem, nalegała, abym zostałem w domu. O wschodzie słońca odchodziłem już od zmysłów z niepokoju, ale byłem unieruchomiony światłem dnia i nie mogłem nic począć, przez

co nawet nie zmrużyłem oka. Z nadejściem nocy udałem się do Karla i André, których nie widziałem od dwóch tygodni. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzyli, oraz ich zszokowanych min wywnioskowałem, że zarówno mój widok, jak i zachowanie muszą być mocno dziwaczne. Byłem jednak tak bardzo zdesperowany, że zignorowałem wymowę ich spojrzeń. Gdy oznajmili, że nie widzieli Ariel, oskarżyłem ich o kłamstwo, ukrywanie jej przede mną, zawiść oraz próby rozdzielenia nas. Wydaje mi się, że w trakcie tych kilku pierwszych tygodni bez niej popadłem w szaleństwo. Gdyby nie moi przyjaciele, wątpię, czy udałoby mi się przetrwać. Początkowo próbowali przemówić mi do rozumu, ale nie chciałem ich słuchać. Pomogli mi szukać Ariel i zajrzeliśmy wszędzie, gdzie się dało. Dopiero po upływie roku dotarło do mnie, że ona już nigdy nie wróci.

„Na tym polega jej gra – powiedział mi André. – Tak samo traktuje śmiertelników – rzuca na nich urok, żeby niespiesznie wysysać z nich życie i aż do śmierci utrzymywać w stanie bezradności. Wiedzą, że nie ma dla nich nadziei. Za to my jesteśmy zbyt silni, żeby była nas w stanie całkowicie pozbawić energii”. Naturalnie wpadłem w furję, słysząc te słowa. Jeszcze długo nie dawałem im wiary. Karl nie był równie stanowczy, ale zgadzał się z André.

Zdałem sobie w końcu sprawę, jak mocno mnie opętała. Zrozumiałem też, że chodziło o krew. Z naszej trójki tylko ja oddałem ją Ariel; byłem zbyt słaby, żeby się jej oprzeć. Zanim zacząłem to wszystko pojmować, miały miejsce pewne zmiany. Karl czuł się przeraźliwie samotny i postanowił wrócić do ojczystych Niemiec. André, u którego kobiety zawsze wywoływały gorycz, stał się jeszcze bardziej zgorzkniały. Dotrzymanie mu towarzystwa stało się nie lada wyzwaniem. Lubił igrzać ze śmiertelnikami, zwłaszcza z kobietami. Sprawiał, że się w nim zakochiwali, a potem porzucał ich lub zabijał. Myślę, że udało mu się przejrzeć Ariel nawskroś dlatego, że byli pod tym względem podobni.

Kathleen zadrżała.

– Ale ty nie potraktujesz mnie w taki sposób, co?

David zdał sobie sprawę z tak wielkiego zatracenia we wspomnieniach, że całkiem zapomniał o znajdującej się z nim w pokoju Kathy. Przyciągnął ją do siebie.

– Opowiadam o André. Nie doświadczam podobnych uczuć.

– Ale skoro ta cała Ariel cię zostawiła, może odstawisz mi taki sam numer. Żeby się na niej odegrać.

– Nie porzucę cię, Kathy. Chyba że sama mnie przepędzisz. I pomogę ci przejść przemianę, jeśli tylko zgodzisz się na każdy związek z nią krok.

Pocałował ją w koniuszek nosa, a ona przytuliła się do niego.

– Czyli to koniec historii?

– Prawie. Gdy Karl wyjechał do Niemiec, przez krótki czas mieszkaliśmy razem z André, który potem wrócił do Francji. Spędziłem w Stanach Zjednoczonych jeszcze pięć lat, a potem udałem się do Anglii, gdzie miałem dom. Wydawało mi się jednak, że stałem się inną osobą. Zawsze byłem nieszczęśliwy, ale teraz mój smutek graniczył z rozpaczą. Ariel odebrała mi nie tylko czas, który ze sobą spędziłem, ale też moją wolę życia. Egzystencja już wcześniej była dla mnie udręką, ale po jej odejściu wypełniła mnie pustka, z której nie potrafiłem się otrząsnąć. W końcu przestało mi zależeć na czymkolwiek, nawet na krwi. Opuszczałem dom, tylko gdy byłem absolutnie zmuszony się pożywić. Gdybyś do mnie wtedy nie przyjechała, myślę, że ciągle jeszcze leżałbym w sarkofagu, usilnie starając się umrzeć.

Kathleen wbiła w niego niewinne, szczerze oczy.

– Davidzie, chcę stać się taka jak ty. Uczyń mnie taką, żebyśmy już na zawsze mogli być razem. Proszę. Zrób to teraz.

David westchnął.

– Nie chcesz tego? – spytała Kathy niepewnym głosem, bojąc się odmowy.

– Tak, chcę. Tyle że nie jestem pewny, czy to dobry pomysł. Jeszcze nigdy nikogo nie przemieniłem, chociaż wiem, jak przebiega ten proces. Najczęściej przybiera on brutalną formę, ale istnieje też inny, bardziej humanitarny sposób. Trudniejszy i bardziej bolesny – przynajmniej dla mnie – ale słyszałem, że działa, więc wybiorę właśnie tę metodę. Przemiana następuje wtedy po kilku nocach. Najpierw ty pijesz moją krew, a potem ja twoją. Czasami jednak starania spełzają na niczym.

– Zadziała! – zawołała Kathleen, chwytając go za dłonie. – Proszę, zrób to. Możemy zacząć dziś wieczór. Mam dość życia w pojedynkę, a ty też jesteś samotny. Chcę, żebyśmy spędzili wieczność razem.

– Musimy coś najpierw przedyskutować. Coś związanego z tobą.

– Co? – Jej oczy stały się okrągłe niczym spodki i wypełnił je lęk. Davida zbiło to z tropu.

– Istotne jest, abyś w nowe życie weszła... czysta. Rozumiesz?

– Aha.

Zawahał się. Nie z altruizmu, tylko ze strachu. Przyszło mu do głowy, że gdy Kathy stawi czoło swoim demonom, może przestać go kochać.

– Czysta w sensie braku zbędnego balastu. Ten rodzaj egzystencji jest wystarczająco trudny sam w sobie. Problemy doczesne najlepiej jest zawczasu rozwiązać i zostawić za sobą.

Dziewczyna wyglądała na śmiertelnie wystraszoną i David westchnął.

– Chcę przez to powiedzieć, Kathy, że jeśli w twoim życiu istnieje coś bolesnego, czemu powinnaś stawić czoło, coś, co musisz przemyśleć, emocje, z którymi musisz sobie poradzić...

Sprawiała wrażenie tak bezbronnej, iż nie był w stanie mówić dalej. Postanowił, że dopiero w sobotnią noc skłoni ją do pogodzenia się z prawdą na temat ojca – chociaż wiedział, iż jeśli już teraz pozwoli jej skosztować swojej krwi, nie będzie dla niej odwrotu.

Automatycznie zaczął szukać usprawiedliwienia dla swojej decyzji: do tego czasu spotka się już przecież z Reesone'em, który wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. A gdy wydobędzie z niego wyjaśnienia, pomówi z Kathleen na temat jej ojca oraz syna. Chciał pomóc jej pozbyć się bólu; dać szansę, której sam nie otrzymał, na pozbycie się zawczasu doczesnych trosk i wkroczenie w zawieszoną między światami żywych i umarłych egzystencję z poczuciem wolności i czystości. Ale najbardziej na świecie chciał, aby z nim została. Pragnął jej tak bardzo, jak tylko mógł pragnąć śmiertelniczki, na której krwi mu nie zależało.

„Zresztą, co mam do stracenia? – stwierdził gorzko. – Jeśli przestanie mnie kochać, mogę zawsze wrócić do roli żywego trupa. W końcu jestem do niej stworzony”.

Wgryzł się we własny nadgarstek. Krew pociekła mu po przedramieniu dwoma karmazynowymi strumyczkami.

„Tchórz ze mnie – stwierdził. – Boję się czekać, boję się ją stracić”.

Ale na głos spytał tylko:

– Boisz się?

Wyglądała na zszokowaną, ale pokręciła głową.

Wysunął w jej kierunku swoją rozpaloną ranę, a ona ujęła jego rękę i bez wahania przycisnęła do niej usta. Gdy Kathy wysysała krew z jego żył, David skupił się na zaprawionych goryczą słowach Byrona, które pomogły mu uśmierzyć ból:

*„Kochałem cię wszak aż po życia kres,  
Gorąco – tak jak i ty mnie.  
Kształt twej przeszłości ustalony jest  
I nigdy już nie zmieni się.  
Miłości, którą śmierci moc zawładnie  
Starość nie zmrozi ani wróg nie skradnie,  
Ni fałsz się wyprze obłudny.  
Co gorsza jednak, nigdy już nie zoczysz  
Skazy ni zmiany, co serce mi toczy”<sup>23</sup>.*



# Rozdział 16

Następnego wieczoru David zjechał z wąskiej dwupasmowej szosy biegnącej jakieś dwadzieścia kilometrów na północ od Tofino, miasteczka rybackiego położonego na brzegu wyspy Vancouver od strony Pacyfiku. W ciągu kilku minut dotarł do dużego piętrowego domu z czerwonego cedru otoczonego gęstym lasem z rozłożystymi choinami i stumetrowej wysokości daglezbami. Przed budynkiem stał zaparkowany czarny lincoln.

David nie miał konkretnego planu, ale położenie odciętego od świata domu mogło okazać się pomocne. Nie chciał w nim spędzić więcej czasu, niż było konieczne, żeby dowiedzieć się, o co chodziło w tym całym spisku, a potem wrócić do Kathy. dzielnie się trzymała, od dwóch nocy nieustraszenie chłepcząc jego krew, i wiedział, że na pewno odczuwa już pierwsze zwiastuny zmiany. Miał zamiar wywieźć ją z miasta, może nad ocean, by mogła rozpocząć nowe życie w spokojnym otoczeniu. Pragnął, aby przyjemność płynąca z jej przemiany dorównała intensywnością zaskakującej brutalności jego własnej transformacji.

Zanim doszedł do drzwi, te otworzyły się same.

– Davidzie, dotarłeś! – zawołał Reesone przesłodzonym głosem. – Pozwól, że wezmę od ciebie kurtkę.

Za Reesone'em stało dwóch rosyjskich mężczyzn o wyglądzie kulturystów. Gdzieś w głowie Davida rozbrzmiał ostrzegawczy dzwonek, który nie powstrzymał go jednak przed wejściem do środka.

– Harry. Bill. – W głosie Reesone'a pobrzmiwało znudzenie. Powiesił kurtkę Davida na kołku, po czym go przedstawił: – To David Newby, dziennikarz z magazynu „Sławni i Bogaci”.

Ku uldze Davida, obaj mężczyźni skinęli głowami, a następnie ruszyli po schodach na górę. Nie stanowili dla niego zagrożenia – byli w końcu tylko śmiertelnikami i wiedział, że mógłby stawić czoło im i Reesone'owi jednocześnie – coś się tu jednak kroiło i chciał dowiedzieć się co.

Budynek odgrywał rolę domku myśliwskiego. Nad okazałych rozmiarów kominkiem górował łeb łosia opatrzony porożem. Większą

część ściany zajmowała szafka na sztucery wykonana z lakierowanego drewna orzechowego i szkła. Dla wyczulonych nozdrzy Davida miejsce cuchnęło zgnilizną i stęchłym zapachem krwi.

– Ciekawe, nieprawdaż? – spytał Reesone, zapalając czarnego papierosa i starając się nie patrzeć Davidowi prosto w oczy. – Poluje się tu na dziką zwierzynę, naprawdę duże okazy. Nieuchwytnie. Byłeś już kiedyś na polowaniu, Davidzie?

Oczy męczyzny widziane z boku wypełniało coś na kształt blasku i David zaczął się zastanawiać, czy był to efekt zażycia narkotyków. Nie był jednak w stanie wyczuć zapachów innych niż woń wody po goleniu i krwi.

Reesone przerwał mu dalsze rozmyślania, mówiąc:

– Pozwól, że cię oprowadzę, zanim zaczniemy. Może udałoby ci się oddać atmosferę tego miejsca w swoim artykule. Jeden pokój w szczególności z pewnością uznasz za niezwykły.

David postanowił zrobić dobrą minę do złej gry. Było ich tylko trzech, czuł to wyraźnie. Męczyło go jakieś niejasne przeczucie, ale nie rozumiał, z czym było związane. Potrzebował czasu na wybadanie sytuacji.

Zaczęli zwiedzanie od zatęchłej piwniczki na wino, potem przenieśli się do olbrzymiej kuchni zagraconej miedzianymi garnkami i trzema okazałymi rozmiarów piekarnikami, a następnie weszli do biblioteczki zastawionej wysokimi po sam sufit półkami pełnymi nieprzeczytanych zapewne książek, skórzanymi fotelami w kolorze zieleni leśnej, trofeamimysłiwskimi i łbami wypchanych zwierząt. Na parterze znajdowały się ponadto jeszcze trzy pokoje, a kolejne pięć mieściło się na piętrze, gdzie dołączyli do nich Harry i Bill. Gdy zbliżyli się do ostatniego pomieszczenia, Reesone gestem zaprosił Davida do środka, a ten przestąpił próg. Podłoga wykonana została z wypolerowanych desek, białe ściany były niezwykle wysokie, a w suficie zainstalowano olbrzymi świetlik w kształcie kopuły. Pokój sprawiał wrażenie szklarni, ale coś z nim było nie tak. Ściany były stanowczo zbyt wysokie, a podłoga zbyt lśniąca.

Gdy David obrócił się, żeby poprosić o wyjaśnienia, drzwi się zatrzasnęły. Rzucił się w ich kierunku, ale od wewnątrz nie posiadały klamki. Dobiegły go dźwięki zasuwanego rygla oraz metalowych sztab wsuwanych na miejsce. Naparł na drzwi, ale grubością dorównywały wejściu do bankowego skarbcza. Bez względu na to, jak mocno pchał, nie ustępowały. Jednak nawet przez nie słyszał śmiech Reesone'a.

– David Newby. Coś takiego! Od razu wiedziałem, kim jesteś – ty i twoja gorąca mała suczka. Śmierć Wężowego Kapłana nie doczekała się wzmianki w prasie, ale wieści szybko się roznoszą. Tak się składa, że niepotrzebnie go zabiłeś, bo mógł cię zaprowadzić prosto do mnie.

David uderzył pięścią w drzwi.

– Czego ode mnie chcesz?

– To nic osobistego – wyjaśnił Reesone niewinnym tonem. – Nawet cię nie znam, chociaż jestem przekonany, że jesteś fascynującą osobą. Człowiek, który większość życia spędza w trumnie i zakochuje się w psychopatycznej zdzirze. Kogo jak kogo, ale ciebie ciężko nie uznać za interesującego gościa. Czy ta twoja dupeczka jest tak dobra w łóżku, jak na to wygląda? Zresztą nieważne. Sam się o tym przekonam.

– Skoro nie chodzi o ciebie, to jaki masz w tym udział?

David próbował wsunąć koniuszki palców pomiędzy drzwi a framugę w nadziei, że uda mu się pociągnąć je do siebie. Szczelina była jednak zbyt wąska, a pod gipsem skrywał się metal.

– Powiedzmy po prostu, że wyświadczam komuś przysługę, którą jesteś właśnie ty. Jak już mówiłem, dla mnie to nic osobistego. Przez cały czas chodziło o odwdzięczenie się komuś, wiedziałeś o tym, prawda?

– Komu?

– Wybacz, ale nie mogę ci tego zdradzić.

David cofnął się, a następnie próbował staranować drzwi barkiem.

– To trzydziestocentymetrowa stal z dodatkiem ołowiu – poinformował Reesone. – Ściany też są wzmocnione stalą. Ostrzegano mnie, że jesteś niezwykle silny, chociaż ciężko to wywnioskować z twojej postury. W każdym razie zagwarantowano mi, że stąd nie wyjdiesz.

– Kto za tym stoi? I dlaczego?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Przez kilka godzin David próbował przebić się przez drzwi, a potem ściany. Ale nawet przy użyciu swej nadludzkiej siły był jedynie w stanie porobić dziury w gipsie. Sufit znajdował się dziesięć metrów nad nim, deski podłogi były grube, a gdy się z nimi uporał, odkrył pod spodem jeszcze grubszą warstwę stali. Wyglądało na to, że pomieszczenie zostało zaprojektowane specjalnie w celu uśmiercania przedstawicieli jego gatunku.

Gdy nie próbował siłą wyrwać się na wolność, robił sobie wyrzuty

za bycie naiwnym. To oczywiste, że Reesone wiedział o Wężowym Kapłanie i Dennisie.

„Celowo nie patrzył mi w oczy” – uświadomił sobie David.

Brakowało mu siły psychicznej do obrony przed tego typu oszustwem – i to nie od dziś. Tak właśnie usidliła go Ariel. Oraz istota, która wywołała jego przemianę. Dlatego właśnie zarówno jego śmiertelne, jak i nieśmiertelne życie było mu tak wstrętne.

„Jestem słaby emocjonalnie – beszał się. – Zawsze taki byłem. A teraz sprowadziłem nasiebie własną śmierć, i to najbardziej bolesną jej odmianę, jaką można sobie wyobrazić”.

Słońce będzie zabijać go powoli. Opowieści André nie pozostawiały złudzeń. W trakcie dnia będzie się smażył, a nocą cierpiał, nie będąc w stanie wyleczyć ran z powodu braku krwi. Jeśli będzie miał szczęście, nie potrwa to długo. Jeśli jednak mu go zabraknie...

Najgorszy w jego sytuacji był brak wiedzy na temat tożsamości osoby chcącej zadać mu ból. To wszystko nie miało sensu. Nieporadne wczesne próby unicestwienia go ręką Kathy pod kątem organizacji i jakości wykonania nie dorastały do pięt obecnemu etapowi spisku. Nie przychodził mu do głowy nikt, kto mógłby aż tak go nienawidzić.

Dobrze chociaż, że wymógł na Kathy pozostanie w hotelu. Nie był w stanie znieść myśli, że już nigdy miał nie zobaczyć jej błękitnych oczu, jedwabistych włosów, już nigdy nie wziąć jej w ramiona, słuchać jej głosu, kochać się z nią, czuć, jak jej śmiech ożywia jego duszę... Utracił resztki kontroli. Reesone mógł ją bez problemu odnaleźć i David wiedział, że tak właśnie zrobi. Będzie musiał ją zabić. David modlił się, żeby jej śmierć nastąpiła szybko i miała trwały charakter, oraz żeby Kathy nie cierpiała.

Gdy niebo zaczęło jaśnieć, a jego członki stały się ociężałe, David skulił się w kącie położonym najdalej od punktu, który w pierwszej kolejności miały zalać promienie wschodzącego słońca. Zdjął koszulę, po czym okrył nią głowę oraz górną część ciała. Nie miało to jednak znaczenia. Światło brzasku i tak przeniknie przez tkaninę i spali go na wiór. Zanim nadejdzie zachód słońca, jego ciało będzie stało w płomieniach.

Zero przemierzała pokój tam i z powrotem. Po raz kolejny spojrzała na zegarek. Była jedenasta rano – od wschodu słońca upłynęły już cztery godziny. David powinien był już dawno wrócić.

„Powinnam była z nim iść” – pomyślała.

Zżerał ją stres wywołany zamartwianiem się i własnym

niezdecydowaniem. Kilka godzin wcześniej, gdy załapała ją pierwsza fala paniki, zarysowała ołówkiem stronę w notatniku następującą po tej, na której David zapisał adres i wskazówki dojazdu do domu Reesone'a. Informacje te znajdowały się obecnie w jej kieszeni. Cztery czy pięć razy była gotowa wynająć samochód i pojechać tam, ale powstrzymywała ją wizja złości, jaką wywołałaby u Davida. Kazał jej zostać w hotelu i tak właśnie zrobi.

Wyszła na balkon. Deszcz zamienił się w mżawkę, zza której od czasu do czasu wyzierało słońce. Z jakiegoś powodu jego blask ją drażnił, więc wróciła do środka.

„Może już jedzie do domu” – przyszło jej na myśl.

Ale wraz z upływem kolejnych godzin i wznoszeniem się słońca nad horyzontem Zero zaczęło ogarniać coraz gorsze przeczucie.

Przewiesiła torebkę przez ramię. Zejdzie tylko na dół i sprawdzi, czy David nie dzwonił. Może nie mógł się połączyć. Siedząc w lobby, mogła przynajmniej obserwować drzwi wejściowe hotelu. Było to lepsze niż siedzenie w samotności i zamartwianie się na śmierć.

Nagle usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Serce podskoczyło jej w piersi i już miała popędzić do drzwi, gdy dobiegł ją dźwięk dwóch męskich głosów. Żaden z nich nie należał do Davida.

Po plecach przebiegł jej lodowaty dreszcz. Działając pod wpływem instynktu, wybiegła na mokry od deszczu balkon i szybko zamknęła za sobą szklane drzwi. Zakryła usta dłonią ze zdenerwowania, a kilka sekund później przycisnęła ją do warg jeszcze mocniej z innego powodu. Mężczyźni rozmawiali o niej:

– Nie ma jej tu.

– Musi być. Reesone powiedział, że będzie.

– Sprawdź w szafie.

Dobiegł ją dźwięk rozsuwania drzwi szafy.

– I co teraz?

– Ja tu poczekam, a ty mu powiesz.

– Sam mu powiedz! Wkurzy się. Chciał, żebyśmy zawieźli ją do domu przed zachodem słońca.

– A niech spieprza. Od kiedy niby płaci nam za dwa zlecenia?

Serce wściekle waliło Zero w piersi i dźwięk ten wydawał jej się tak głośny, że nie była pewna, czy rzeczywiście słyszy, jak zamykają się drzwi. Próbowwała uspokoić oddech. Była przemoczona, a światło słoneczne przyprawiało ją o mdłości. Balkon nie był bardzo duży, ale przesunęła się w kierunku jednego z jego końców na wypadek, gdyby

znajdujący się w pokoju mężczyzna jednak otworzył przeszklone drzwi. Mógłby jej nie dostrzec, o ile nie wyszedłby na zewnątrz. Zero słyszała, jak facet ponownie sprawdza łazienkę, odsuwa zasłonkę prysznicową, otwiera drzwi szafy, a nawet wydawało jej się, że zajrzał pod łóżko. I wtedy niespodziewanie rozsunał zasłony. Wstrzymała oddech. Szklane drzwi się rozsunały. Jeśli zrobi krok do przodu, od razu ją zobaczy.

Nagle usłyszała, jak otwierają się drzwi do pokoju i dobiegł ją głos drugiego mężczyzny:

– No chodź. Kazał nam wracać do limuzyny. Stwierdził, że odpadniemy ją na zewnątrz.

Zero ponownie usłyszała dźwięk zamykanych drzwi, ale i tak odczekała jeszcze kilka minut, by mieć pewność, że mężczyźni opuścili pokój. Szybkim krokiem podeszła do wyjścia i ostrożnie wysunęła się na korytarz. Do mieszczącej się pięć pięter niżej piwnicy zeszła po schodach. Znajdujące się tam pojedyncze drzwi były zamknięte na klucz, ale waliła w nie pięściami tak długo, aż w końcu otworzył je wątłej budowy Hindus. Mokre włosy i ubrania kleiły się jej do ciała, a mężczyzna spojrzał na nią ze zdziwieniem. Być może nie mówił po angielsku, bo wskazał tylko palcem w kierunku sufitu. Zero wcisnęła mu w dłoń banknot dziesięciodolarowy i zdyszana spytała:

– Jak mogę stąd wyjść na zewnątrz?

Mężczyzna ponownie wskazał do góry, więc pokręciła głową.

– Stąd. Chcę wyjść stąd. – Skinęła głową w kierunku pomieszczenia rozciągającego się za facetem.

Mężczyzna nie przestawał celować palcem w sufit, więc przecisnęła się po prostu obok niego. Przestrzeń wewnątrz wypełniona była hałasem i ciepłem wytwarzanym przez przemysłowe modele pralek i suszarek do ubrań. Przesuwała się wzdłuż rzędu urządzeń, z których emigrantki wyjmowały i do których wsadzały hotelową pościel, aż w końcu odnalazła opatrzone dźwignią drzwi z napisem: „Wyjście awaryjne – otwarcie uruchomi alarm”.

Naparła na dźwignię i wyrzwała na zewnątrz. Momentalnie rozległ się piskliwy dźwięk alarmu. Szybko pokonała cztery schodki dzielące ją od poziomu ulicy, a potem wystawiła głowę za róg budynku. Przed wejściem do hotelu stał lśniący czarny lincoln. Nie miała pojęcia, czy samochód należy do Reesone’a, ale na wszelki wypadek obiegnęła budynek dookoła, żeby go wyminąć.

W ciągu trzydziestu minut Zero wynajęła samochód i dowiedziała

się, jak dojechać do Tofino. Po półtorej godziny spędzonej na promie płynącym na drugą stronę cieśniny Georgia – i trzech kolejnych wypełnionych pełną napięcia jazdą w ulewnym deszczu z nerwami w strzępach i napierającą na nią z obu stron drogi naturą – Zero dotarła w końcu do wioski rybackiej. Skrzyła na północ w kierunku Clayoquot Sound, gdzie znajdował się domek myśliwski. Nie miała pojęcia, co w nim zastanie, ale miała przeczucie, że nie będzie to nic dobrego.

# Rozdział 17

David? – zawołała Zero ostrożnie.

Drzwi wejściowe były otwarte. Na haczyku w środku wisiała kurtka Davida. Przekonana, że on gdzieś tu jest, zaczęła starannie przeczesać cały dom, począwszy od piwnicy, która okazała się zwykłą dziurą w ziemi wielkości niewielkiej chłodni. Po wejściu na piętro sprawdziła wszystkie pokoje, wołając go po imieniu. Zajrzała nawet do szaf i za zasłonkę prysznic. Pograżony w ciszy dom przyprawiał ją o gęsią skórę; prawie spodziewała się, że wiszące na ścianach łby zwierząt w którymś momencie ożyją.

Ostatnie drzwi na piętrze zostały zasunięte sześcioma metalowymi sztabami. Napała na nie, ale nie była wystarczająco silna, żeby chociażby drgnęły. Przyłożyła ucho do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Nic.

Stwierdziła, że pewnie i tak go tu nie ma. Jednak gdy miała już odejść, dostrzegła na podłodze niedopałek czarnego papierosa. Reesone.

Ponownie zaczęła zмагаć się ze sztabami, ale poruszenie ich wykraczało poza jej możliwości. Pomyślała, że może są tu jakieś drzwi przeciwpożarowe, i wyszła na zewnątrz się rozejrzeć. Niczego takiego nie znalazła, ale dostrzegła za to, że okna zabarykadowanego pokoju zostały zamurowane i wzmocnione kratami kojarzącymi się z więzieniem. Wydało się jej to dziwne. Co więcej, dach wznoszący się nad помещeniem miał formę szklanego bąbla. Z jakiegoś powodu wypełniło to ją niepokojem.

„Gdybym weszła na dach, może udałoby mi się zobaczyć, co jest w środku” – pomyślała.

Wróciła na pierwsze piętro i na suficie jednego z pokoi odkryła zdejmowany panel. Zaczęła szukać drabiny i w końcu znalazła ją w szopie na narzędzia znajdującej się za domem.

Ulewny deszcz, który towarzyszył jej podczas jazdy samochodem, tutaj ledwo skropił ziemię. Wczesnopopołudniowe słońce zaczynało właśnie zsuwać się za czubki drzew. Ciepło jego promieni lekko szczypało jej skórę, a blask raził oczy. Zero czuła, że powinna się



spieszyć, chociaż nie wiedziała dokładnie dlaczego.

Drabina pozwoliła jej wdrapać się na strych, który był tak ciasny, że ledwo dało się po nim poruszać. Odkryła kolejne przejście prowadzące do góry i w końcu zaczęła poruszać się po pokrytym smołą dachu w kierunku szklanej kopuły.

Z początku prawie go przeoczyła. Jednak gdy coś w środku przykuło jej uwagę, przycisnęła dłonie do szkła i oparła się o nie całym ciałem, częściowo po to, żeby lepiej się przyjrzeć, lecz także z powodu zawrotów głowy, które ją nagle ogarnęły. To, co leżało w kącie pokoju, na pierwszy rzut oka przypominało stertę starych łachów. Chwilę później Zero rozpoznała te ubrania.

Zaczęła się trząść, ale momentalnie przywołała się do porządku.

„Weź się w garść – zbeształa sama siebie. – Musisz się tam dostać. Jest przykryty. Może nic mu nie jest”.

Szybko przepelzła przez strych i wróciła do szopy. Wzięła stamtąd łom, narzędzie do cięcia szkła i zwój liny, a przechodząc przez jeden z pokoi, zgarnęła jeszcze dwa koce.

Nacięcie, a potem rozbicie podwójnej grubej szyby i przywiązanie liny do komina zajęło jej trochę czasu. Gdy spuszczała się do wnętrza pokoju, słońce chowało się już za chmurami i zaczynało mżyć.

Podeszła do niego niepewnym krokiem, bojąc się tego, co może odkryć. W pokoju unosił się dziwny zapach; chwilę później dotarło do niej, że to woń palonego mięsa.

– David?

Nie poruszył się. Ostrożnie uniosła koszulę chroniącą mu głowę i zajrzała pod nią. Uderzył ją ostry odór zwęglonego ciała. Zachłysnęła się własnym oddechem, gdy jej oczom ukazała się szerniała skóra głowy. Pod wpływem impulsu wypuściła z dłoni koszulę i okryła go kocami. Wzięła Davida w ramiona, własnym ciałem osłaniając go przed ostatnimi promieniami słońca.

– Davidzie, proszę, nie umieraj! Tak bardzo cię kocham! – zaszlochała.

Wydawało jej się, że siedzą w tej pozycji od wielu godzin, podczas gdy pokój stopniowo pogrążał się w mroku, David nie okazywał jednak oznak życia. Nie czuła bicia serca, nie słyszała oddechu, nie dostrzegała ruchu. Mimo to nie miała zamiaru go opuszczać. Nie mogła.

W końcu w jej głowie zrodził się plan i wspięła się po linie. Miała zamiar wciągnąć Davida na dach przy użyciu samochodu, a potem

opuścić na ziemię.

Proces okazał się mozolny. Musiała znaleźć kolejną linę, przywiązać ją do tej, którą już miała, przytroczyć ją do samochodu, znowu spuścić się do wnętrza pokoju i obwiązać nią Davida, a potem wrócić na dach.

Mijały kolejne godziny, a jej kończyny trzęsły się z wyczerpania. Gdy zapadł mrok, rozpadało się nie na żarty. Znajdujące się w domu lampy oraz reflektory samochodu ledwo wystarczały, żeby cokolwiek wypatrzeć. Najgorsze były jednak zmagania z własnym strachem i cierpieniem. Ale się nie poddawała. Nie miała zamiaru porzucić Davida.

Gdy w końcu udało jej się opuścić ukochanego na ziemię w strugach lejącego deszczu, spojrzała na zegarek – była północ. Chwilę potem wlokła już bezwładne ciało po wysypanym żwirem podjeździe i układała we wnętrzu bagażnika. Usiadła za kierownicą wycieńczona i załamana.

Wbiła wzrok w las, którego gęsty mrok sprawiał wrażenie, jakby chciał ją wchłonąć. Krople deszczu tłukły o dach samochodu, grożąc inwazją.

– Łzy bogów – przypomniała sobie wyjaśnienie tego zjawiska zaoferowane jej w dzieciństwie przez Mae. – Jak to możliwe, że życie jednej osoby może zawierać w sobie aż tyle cierpienia?

Czuła, że znowu się rozsypuje, więc szybko przywołała się do porządku. To nie był najlepszy moment na tracenie głowy. Szybkim ruchem wrzuciła bieg i ruszyła po podjeździe. Pięć kilometrów od Tofino na szosie przed nią pojawił się inny samochód. Gdy ją minął, zerknęła w lusterko wsteczne. Czarny lincoln.

– Jezu Chryste, Davidzie! Co my zrobimy?

Wcisnęła gaz do dechy i samochód popędził z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Wkrótce dotarła do skrzyżowania z drogą prowadzącą na wschód i z ulgą przypomniała sobie, że szosa biegnąca w kierunku promu nie była zbyt kręta. Miała nadzieję, że nie było na niej kontroli radarowej.

Udało jej się złapać pierwszy odpływający tego dnia prom. Gdy dobijali do Vancouver, Zero dostrzegła kolejnego czarnego lincolna zaparkowanego na nabrzeżu. Próbowwała przekonać samą siebie, że po świecie jeździ wiele czarnych lincolnów, ale i tak wpadła w panikę i postanowiła nie wracać do miasta.

Zero wjechała na autostradę transkanadyjską i skierowała się na wschód. Nie wiedziała, gdzie jedzie – chciała po prostu zwiększyć

dystans pomiędzy sobą a Reesone'em.

W ciągu kolejnego dnia lawirowała po krętych drogach porośniętego bujną roślinnością dystryktu Fraser Valley, zmuszała auto do wspinaczki po szosach biegnących przez kanadyjską część Gór Skalistych, a potem przemknęła przez wzniesione z chromu i szkła centrum przemysłu naftowego o nazwie Calgary. Potem rzeźba terenu stała się o wiele bardziej płaska.

Dopiero w okolicach miasteczka Medicine Hat w prowincji Alberta zdała sobie sprawę, że nie da rady już dłużej prowadzić. Domowej roboty znak głosił: „Chatki do wynajęcia”, więc przejechała jeszcze sześć i pół kilometra dzielące ją od zjazdu z autostrady. Na końcu pylistej, pokrytej dziurami drogi, w pobliżu niewielkiego jeziora o krystalicznie czystej toni, odnalazła grupkę prymitywnych domków zbudowanych z polan rozrzuconych między kępami roślin zimozielonych. Zaparkowała przed tym, który nosił napis „Biuro”.

– Chcę wynająć jedną z tych chatek.

– Sama? – spytał powolny mężczyzna o piskliwym głosie, który już dawno powinien był przejść na emeryturę. Miał życzliwe oczy i zniszczoną przez pogodę cerę.

Zero chwilę się wahała.

– Tak.

– Na długo?

– Myślę, że na jedną noc.

– Jest tu pani tylko przejazdem, co?

– Aha.

Staruszek podał jej formularz do wypełnienia, w którym wpisała fałszywe nazwisko. Oddała mu go wraz z czterdziestoma amerykańskimi dolarami, mówiąc:

– Poproszę o chatkę na uboczu. Zapłacę dodatkowo.

– Nie trzeba, wszystkie kosztują tyle samo – odparł i wręczył jej klucz zaczepiony na przesadnych rozmiarów breloku. – Trzeba przejechać kawałek szosą, minąć łądzie i będzie pani na miejscu. Numer jest na drzwiach. Proszę się wymeldować do jedenastej rano. O szóstej otwieram restaurację, a jakieś osiem–dziewięć kilometrów stąd w Medicine Hat też coś pani przekażę.

Podziękowała mężczyźnie i ruszyła w kierunku chatki z numerem 22, z ulgą zauważając, że w okolicy nie ma żadnych innych domków. W środku zastała pojedynczy pokój pachnący stęchlizną z wnęką kuchenną oraz maleńką łazienką. Dwóm staromodnym rozkładanym

fotelom La-Z-Boy o zniszczonej tapicerce towarzystwa dotrzymywały obdrapany fornirowany stolik do kawy oraz komplet dwóch niskich szafek. Umeblowanie składało się dodatkowo ze stołu kuchennego o blacie pokrytym laminatem, dwóch krzeseł, z których rozdartego winylowego obicia wysypywał się wypełniacz, oraz brązowej kanapy z tweedu, która pewnie się rozkładała. Obok kominka utrzymanego w rustykalnym stylu schludnie ułożono cztery polana. Położyła torebkę na stole i przez chwilę stała, nic nie robiąc. Miała wrażenie, że jej ciało ciągle jeszcze jest w ruchu. Czuła się emocjonalnie spustoszona.

Zero przestawiła samochód tak, aby bagażnik skierowany był ku drzwiom wejściowym. Rozejrzała się. Wkoło panowała cisza, jeśli nie liczyć dźwięku maleńkich nóżek gdzieś na poziomie ziemi. Na niebie nad jej głową błyszczały rozrzucone gwiazdy i zanikający sierp księżyca.

Bardzo ostrożnie wydobyła ciało Davida z bagażnika i na wpół taszcząc, na wpół włokąc, udało jej się wnieść je do środka. Stała tam szafa o drzwiach grubości tektury, ale okazała się dla niego za mała. Zakryła więc okna pościelą i zamknęła drzwi do łazienki. Następnie rozłożyła kanapę i wciągnęła na nią Davida.

Była wycieńczona, a jednocześnie nie czuła zmęczenia; była pusta w środku, ale nie doskwierał jej głód. Z zewnątrz dobiegł ją dźwięk ostatnich tej nocy świerszczy, śpiew budzących się ptaków oraz rechot żaby. Poczowała się samotna. Zostawiła zapaloną lampkę w łazience, zgasiwszy przedtem resztę świateł, a potem przekreśliła klucz w drzwiach chatki.

Delikatnie zdjęła z Davida koce, a potem skrawki ubrania, które wtopiły się w zwęglone ciało.

Wypchany tysiącami dolarów i funtów pas na pieniądze z miękkiej skóry wrósł muw skórę na wysokości talii. Wsunęła pieniądze do torebki, po czym usiadła i wbiła wzrok w to, co zostało z Davida. Kształt jego twarzy się nie zmienił, ale rysy stały się nierozpoznawalne. Zwęglona skóra, pokryte pęcherzami powieki, popękane wargi, spalone włosy. Prawie wszystkie palce u jego dłoni i stóp zwinęły się do wewnątrz i stopiły razem, a całe ciało zastygło w pozycji embrionalnej, jakby w ostatnich chwilach życia przypomniało sobie, jak bezpiecznie czuło się w łonie matki i zapragnęło tam wrócić.

W panującym w chatce półmroku, w ciszy przenikającej chłodne preriowe powietrze, Zero zaczęła szlochać jak dziecko, krańcowo

załamana.

# Rozdział 18

Kolejne trzy dni Zero spędziła w chatce z ciałem Davida. Jeśli nie liczyć krótkich wypadów na zewnątrz w celu opłacenia kosztów jej wynajmu czy zakupu kawy, kanapek i butelki whisky, nie odstępowała go nawet na krok. Zdawała sobie sprawę, że on nie żyje, i gdy czasami odzyskiwała jasność umysłu, docierało do niej, jak dziwaczne – czy wręcz makabryczne – jest to, że go jeszcze nie pogrzebała. Nie była jednak w stanie go opuścić, zupełnie jakby do pozostania z nim zmuszała ją wola potężniejsza niż jej własna.

Mijał dzień za dniem, a ona ciągle nie mogła podjąć żadnej istotnej decyzji. Po części dlatego, że nie wiedziała, co powinna zrobić, a po części z powodu głębokiego smutku, z którego nie potrafiła się otrząsnąć. Uparcie utrzymywała wewnątrz chatki w mroku, nie umiejąc pogodzić się z sytuacją w podobny sposób, jak nie mogła uwierzyć w śmierć Bobby'ego. Mówiła do Davida, jakby ten ją słyszał, niemalże oczekując odpowiedzi. Jednak wraz z zacieraniem się granicy pomiędzy dniem a nocą zaczęła ją opuszczać nadzieja.

Rzeczywistość okazywała się zbyt bolesna nawet po znieczuleniu się alkoholem. Nadeszła czwarta noc spędzana w chatce, a ona siedziała na skraju łóżka i wpatrywała się w buzujący w kominku ogień, popijając whisky Canadian Club.

– Davidzie, opowiadałam ci kiedyś, skąd wzięło się moje przezwisko?

Pociągnęła kolejny łyk z butelki, żałując, że nie ma przy sobie heroiny. Ognisty trunek nie palił jej już w przełyku; w ogóle go już nie czuła.

– Gdy byłam mała, często grywaliśmy w klasy na szkolnym podwórku. Liczby rosły w tej grze od jeden do dziesięciu. Jakiś czas wcześniej uczyliśmy się dodawać i akurat była moja kolej, i ktoś zaczął podliczać punkty, które zdobyłam. „Masz dziesięć” – usłyszałam, ale dla żartu powiedziałam, że mam zero. Wszyscy zaczęli się ze mną sprzeczać, a Tony Alvarez powiedział: „Sama jesteś zero”, bo wiedział, że się wygłupiam. Ale potem każdy mówił już na mnie Zero.

Zaśmiała się i upiła kolejny łyk, a whisky zalała jej przód koszuli.

Wydała z siebie ciężkie westchnienie.

– Tak właśnie mówili: Zero. Nic. I mieli rację.

Nagle poczuła, że trzeźwieje.

– Wiesz co, Davidzie, myślę, że powinniśmy się stąd zbierać. Tak dłużej być nie może. Szkoda tylko, że nie wiem, co robić i gdzie jechać. Nie chcę wracać do Nowego Jorku. Sama nie wiem.

Obróciła się, żeby na niego spojrzeć. W dalszym ciągu znajdował się na łóżku, na którym usadziła go noc wcześniej z plecami opartymi o poduszkę. Wyglądał, jakby na nią patrzył. Nagle Zero wydało się, że dostrzega jakiś ruch.

– Davidzie, boję się! Tym razem chyba naprawdę zaczynam wariować. Wiem, że nie żyjesz, ale wydawało mi się, że przed chwilą się poruszyłeś. Sama sobie napędzam stracha.

Ale ocalały palec wskazujący jego prawej dłoni drgnął ponownie.

– O, Boże! – zawołała i przycisnęła dłonie do ust. – Jeśli żyjesz, porusz nim raz jeszcze, żebym wiedziała, że nie mam delirki ani nie sfiksowałam.

Palec poruszył się wolno, z oporem i dotarło do niej, że tym razem nic jej się nie przywidziało.

Weszła na łóżko i przysunęła się do niego ostrożnie, bojąc się, że jej nadzieja okaże się płonna.

– Jeszcze raz!

Gdy jej posłuchał, wybuchła płaczem, wzięła go w ramiona i przycisnęła jego osmaloną dłoń do swojego policzka, zalewając ją łzami.

Po odzyskaniu kontroli nad emocjami doszła do wniosku, że potrzebna im będzie jakaś metoda komunikacji.

– Słuchaj – powiedziała drżącym głosem, na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc. – Porusz palcem raz na „tak”, a dwa na „nie”, dobrze?

Odczekała chwilę, a on poruszył nim raz.

– Nie jesteś martwy, prawda? – spytała głównie po to, żeby przetestować wymyślony system, a palec drgnął dwa razy. Z jej oczu znowu polały się łzy.

– Davidzie, czego potrzebujesz? Co mogę dla ciebie zrobić? Wyzdrowiejesz?

Zorientowała się, że on nie jest w stanie udzielić odpowiedzi na tak zadane pytania i będzie musiała inaczej je sformułować.

– Potrzebujesz czegoś?

Pojedynczy ruch palca.

– Boli cię?

Znowu jeden ruch.

– Za jasno tu?

Pojedyncze drgnięcie.

Momentalnie zerwała się na nogi, żeby zgasić ogień, wyłączyć światło na ganku i przymknąć drzwi do łazienki, zostawiając jedynie niewielką szczelinę, aby mogła go nadal widzieć.

– Lepiej?

Pojedyncze uderzenie palca.

– Nie wiem, co mam robić! – Rozejrzała się dookoła bezradnym wzrokiem, ale chwilę później stwierdziła: – Dziecko ze mnie. Mae miała rację. Muszę w końcu dorosnąć.

Westchnęła.

– Davidzie, na pewno potrzebna ci krew, prawda?

Dał znak, że tak.

Zero skoczyła na równe nogi i podbiegła do wnęki kuchennej. Wzięła z ociekacza nożyk do obierania owoców. David wściekle zastukał dwa razy palcem, potem zrobił pauzę i powtórzył znak. Kathy go dostrzegła.

– Wiem, że nie chcesz pić mojej krwi, ale sytuacja jest wyjątkowa. Tylko dziś wieczór. Później załatwię ci jakąś inną krew. Davidzie, proszę, muszę coś dla ciebie zrobić.

Palec poruszył się raz.

Zero nacięła opuszkę kciuka, prawie się nie krzywiąc. Rozdzielona skóra rozsunała się na boki i pociekła krew. Umieściła kciuk pomiędzy zwęglonymi wargami Davida i przychyliła mu głowę do tyłu.

Nie dostrzegła żadnego ruchu ani oznak ssania. Nie była nawet w stanie stwierdzić, czy jej krew dostaje się do przełyku. Część czerwonego płynu spłynęła mu strużką po brodzie, ale Zero wiedziała, że ślina Davida ciągle musi zawierać wystarczającą ilość środka przeciwkrzepliwego, bo z rany nie przestawała sączyć się krew. Po jakimś czasie większość krwi leciała mu już prosto do gardła. Karmiła go nią przez resztę nocy, a otwierana wiele razy rana nabrała niezdrowej różowej barwy i była zaogniona.

Zero miała to gdzieś. Dla Davida zrobiłaby wszystko i jeśli do ocalenia mu życia konieczne byłoby podcięcie sobie żył, nie wahałaby się ani chwili.

Wyglądało jednak na to, że krew nie przynosi żadnych rezultatów. David dalej był w stanie poruszać tylko palcem i nie mógł mówić. Ani



jego spalone powieki, ani zwęglone wargi nawet nie drgnęły. Mimo to Zero mówiła do niego przez całą noc. Opowiedziała o tym, co się stało; o mężczyznach w pokoju hotelowym; o odnalezieniu go i wywiezieniu z domku myśliwskiego; o samochodzie, który minął ją w drodze powrotnej oraz o decyzji dotyczącej podróży na wschód, gdzie się obecnie znajdowali. Jej niekończące się zapewnienia o jej miłości do niego przetykane były potokami łez. Przytuliłaby go, gdyby nie to, że gdy wcześniej spytała, czy dotyk sprawia mu ból, zastukał palcem na „tak”.

O świcie upewniła się, że ani okna, ani drzwi nie wpuszczą do wnętrza chatki promieni słońca, a potem zwinęła się w kłębek na łóżku obok niego, a jego palec spoczął na grzbiecie jej dłoni.

– Davidzie, tak bardzo się bałam – powiedziała w ciemności. – Kocham cię nad życie. Ty też mnie kochasz, prawda?

Jego palec zdobył się na pojedyncze, bezsilne stuknięcie o jej skórę.

Przed nadejściem kolejnego wieczoru Zero opracowała dla nich system komunikacji. Przypominał zgadywanek słowną o nazwie wisielec, w którą często grywała kiedyś z Bobbym. Zaczynała od poprawnego umiejscowienia samogłosek, a potem odgadywała spółgłoski. David stukał palcem na „tak” lub „nie”. Ułożenie pojedynczego zdania okazało się żmudnym zadaniem. W pierwszej kolejności dowiedziała się, że Davidowi potrzebna jest duża ilość krwi – i że zwierzęca w zupełności wystarczy. Ponadto zależało mu na prawie kompletnym mroku, więc kupiła świece i zapalała je pojedynczo.

Zero nie miała pojęcia, jak znaleźć dla niego zwierzęta. Z początku próbowała łapać małe okazy pojawiające się w pobliżu chatki, ale nic z tego nie wychodziło. Drugiej nocy pojechała do Medicine Hat, gdzie odszukała lokalny oddział Straży dla Zwierząt. Liczyła na szczury lub świnki morskie, ale mieli tam tylko psy i koty, zmuszona więc była zaadoptować dwa stare koty. Nie czuła się z tym dobrze, ale życie Davida było ważniejsze. Tylko on się dla niej liczył.

Szlochając, poderżnęła im gardła, nie uniknąwszy przy tym dotkliwego podrapania. Przy pierwszym kocie upaprała się po uszy krwią. Gdy zabrała się do drugiego, technikę miała już mniej więcej opanowaną, więc większość kleistej, czerwonej cieczy spłynęła do miski. Przez całą noc karmiła nią Davida przy użyciu zakupionego specjalnie w tym celu zakraplacza. Tuż przed nadejściem świtu spytała:– Tyle wystarczy?

Dwa razy stuknął palcem.

Następnej nocy Zero udało się zwabić do samochodu cztery bezpieczne zwierzęta. Czwartego dnia znalazła rzeźnię, w której zakupiła kilka słoików krwi.

– Mama robi dużo kaszanki – wyjaśniła postawnemu mężczyźnie w białym fartuchu, który spojrział na nią krzywo, ale i tak wydawał się zachwycony możliwością pozbycia się nadwyżek juchy. Kupiła też dwa białe szczury w sklepie ze zwierzętami.

Zero nie mogła przywyknąć do zabijania. Jednak równie trudne, chociaż mniej odpychające, było pozbywanie się szczątków. Część zwierząt grzebała, wykopawszy uprzednio płytkie groby łyżką durszlakową. Resztę zostawiała w nierzucających się w oczy ostępach lasu – obok powalonego drzewa, pod stertą liści – oddając je tym samym w ręce matki natury.

Ósmej nocy spędzonej w chatce David mógł już poruszać wargami oraz powiekami, chociaż jego oczy w dalszym ciągu wyglądały na martwe i pozbawione głębi. Ciągle też nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Cały wieczór spędziła na rozszyfrowywaniu wiadomości, która brzmiała: „Jedź Montreal dobrze mnie przykryj zmień samochód Winnipeg Toronto”.

Nie miała pojęcia, gdzie położony jest Montreal czy Winnipeg Toronto. Niby od niechcienia zagadnęła o nie mężczyznę w recepcji.

– Ej, Will! Słyszałeś kiedyś o tych miejscach?

Podawała mu kartkę papieru, na której starannie napisała drukowanymi literami: „Montreal i Toronto Winnipeg”.

Staruszek wziął od niej papier, przeczytał tekst i parsknął śmiechem.

– Wy, Jankesi, jesteście niemożliwi. Jak coś nie leży w tych waszych Stanach, to znaczy, że pewnie nie istnieje. A my, Kanadole, nieraz ratowaliśmy wam tyłki w czasie drugiej wojny światowej. Musisz jechać na wschód autostradą transkanadyjską. Do Winnipeg dotrzesz za jakieś dwa, trzy dni – może wcześniej, jeśli nie będziesz się zatrzymywać. Potem będzie Toronto, chociaż nie mam pojęcia, po co ktokolwiek miałby się pchać do równie zatłoczonego, hałaśliwego miasta. Pół dnia później dojedziesz do krainy żabojadów.

– Ile to będzie dni w sumie?

– Z sześć, siedem – chyba że ktoś będzie cię zmieniał za kółkiem.

– Nie, nikt mi nie będzie pomagał. Przynajmniej na razie.

# CZĘŚĆ TRZECIA

*Z przeszłości mojej, sny bolesnej złemi,  
Wielką naukę zyskam dla przyszłości:  
Że to, com kochał najwięcej na ziemi,  
Godnym też było największych miłości<sup>24</sup>.*

– George Gordon Byron

# Rozdział 19

Kathleen prowadziła auto przez Saskatchewan i Manitobę – preriowe prowincje Kanady pokryte niekończącymi się polami pełnymi zbóż barwy miodu – o powierzchni tak płaskiej, że niebo wydawało się kopułą, ale David nie był w stanie podziwiać widoków, bo leżał pogrążony w bólu nie do zniesienia. Stosując się do jego wskazówek, przed wyjazdem z Medicine Hat Kathy rozłożyła na tylnym siedzeniu namiot.

Z własnej inicjatywy przykryła go jeszcze kocem termoizolacyjnym, który miał odbijać promienie słońca i nie gromadzić ciepła, dzięki czemu pod nim miało być chłodniej. Jej wysiłki spełzyły jednak na niczym, bo David i tak przeżywał męczarnie.

W trakcie dnia spał. Jednak nawet wtedy nie przestawał być świadomy obecności palącego bólu. Przypominało to koszmar albo wizytę w piekle.

Każdej nocy Kathy zatrzymywała się w motelu zaraz po tym, jak David na wpół świadomy budził się ze snu. Trawiący go bez ustanku głód kazał mu sądzić, że gdyby nie niezdolność do ruchu, dopuściłby się mordu w celu zdobycia większej ilości krwi. Zdawał sobie również sprawę, że Kathy dostarczała mu jej tyle, ile była w stanie – jednak to nie wystarczało. Krew potrzebna mu była do odzyskania zdrowia. Z drugiej strony to ona była źródłem wysysającego z niego siły bólu. Przez pierwsze dni szok wywołany brakiem krwi wprowadził jego ciało w stan zawieszenia. Dopiero gdy na nowo zaczął się nią żywić, poczuł, że wraca do życia, ale zaczął też cierpieć.

Był ślepy i mało co słyszał. Głos Kathy docierał do niego w formie echa, jakby musiał najpierw przebyć długi pusty tunel. Dźwięk jej głosu utrzymywał go przy zdrowych zmysłach, lecz jednocześnie wywołane nim wibracje działały mu na nerwy. Wszelkie bodźce sprawiały mu ból. Od czasu do czasu Kathleen zdarzało się o tym zapomnieć i dotykała go, co dawało efekt przypominający porażenie prądem.

I tak ledwo oddychał, ale gdy natężenie bólu wzrastało, cały aż zamierał w środku. Było to dziwaczne uczucie. Z jego ust nie

wydobywał się żaden dźwięk, a mimo to wyraźnie słyszał własny wrzask.

W Winnipeg przekazał Kathy wiadomość, aby wymieniła samochód. W firmie Avis wynajęła furgonetkę, do której załadowała Davida wraz z całym ekwipunkiem, a następnie oddała do tej pory używany samochód do wypożyczalni Hertz. David chciał mieć pewność, że ani Reesone, ani nikt inny nie będzie w stanie ich wytropić. Kazał Kathleen zakryć okna kocem termoizolacyjnym, bo dzięki temu było mu chłodniej, jednak nieustanny ruch samochodu sprawiał mu ból. Wszystko stało się dla niego źródłem cierpienia.

– Już prawie jesteśmy w Toronto – oznajmiła Kathy pewnej nocy. Dobiegł go szelest papieru, pewnie mapy. – Widzę wysokie budynki. Chyba będziemy mogli objechać miasto bez wjeżdżania do centrum.

Jej głos brzmiał teraz wyraźniej – musiała się odwrócić.

– Może być?

Dwa razy zastukał palcem.

– Chcesz wjechać do miasta?

Pojedyncze stuknięcie.

– A, tak – furgonetka. Pewnie chcesz, żebym ją wymieniła, co? Prawie zapomniałam.

Stuknął raz.

– Wybacz, Davidzie.

Zdawał sobie sprawę, że Kathy jest zdezorientowana i zestresowana, ale wyjaśnienie jej planu, jaki zrodził mu się w głowie, zabrałoby zbyt wiele czasu. Chciał jak najszybciej dostać się do Montrealu, żeby odszukać André i Karla. Właśnie tam mieszkali, a przynajmniej taką miał nadzieję.

List od André otrzymał tuż przed pojawieniem się Kathy w Manchesterze. André chciał, aby David ich odwiedził. Oznajmił, że sytuacja jego i Karla uległa zmianie i David powinien od razu wyruszyć w drogę. David zapamiętał adres, ponieważ dotyczył Kanady, ale też dlatego, że jego fotograficzna pamięć utrzymywała wszystko, co widział na piśmie. Musiał ich odnaleźć nie z powodu treści listu, ale dlatego, że będą wiedzieć, co robić. Możliwości Kathy, pomimo jej usilnych starań, były mocno ograniczone. Do odzyskania zdrowia potrzebny mu był konkretny rodzaj pomocy oraz informacje, które pozwolą mu zrozumieć, co właściwie ma miejsce. Owa wiedza znajdowała się na razie poza jego zasięgiem i nie wstydził się przyznać, że to go przeraża. Z wyjątkiem okresu, gdy znajdował się

pod kontrolą Ariel, nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek bał się równie mocno. A już z pewnością nie po przemianie.

– Chcesz, żebym wypożyczyła kolejną furgonetkę? – spytała Kathy. Stuknął palcem na „tak”.

– Pewnie jesteś też głodny?

Potwierdził.

– Słuchaj, mam pewien pomysł. Nie kupimy tu nigdzie krwi, zwłaszcza o tak późnej porze, ale w dużych miastach mają banki krwi. Może wybiorę się tam i będę udawać, że chcę oddać krew, a przy okazji trochę jej ukradnę, gdy będę czekała na swoją kolej.

Ogarnął go gniew. Stanowczo zastukał na „nie”.

– Boisz się, że mnie złapią?

Stuknął palcem na „tak”. Nie mógł poinformować jej o prawdziwym zagrożeniu. Jeśli jej krew zostałaaby przebadana, technicy laboratoryjni z miejsca zorientowaliby się, że z jej strukturą molekularną jest coś nie tak. Jej przemiana już się rozpoczęła. Komórki ciała przedstawicieli jego gatunku – włącznie z krwinkami – składały się nie tylko z ludzkich, zwierzęcych i roślinnych komponentów, ale też innych elementów, których żaden ludzki naukowiec nigdy wcześniej nie widział na oczy. Nawet najbardziej dociekliwym umysłem należącym do jego społeczności nie udało się do tej pory ustalić przyczyn stanu, którego objawy były nad wyraz widoczne: alergia na światło słoneczne, niezdolność do trawienia pokarmów stałych, słabość do krwi ssaków oraz długość życia podobna do tej, którą cieszą się słonie i wieloryby. Za starych, dobrych czasów pozwalał sobie spekulować wraz z André i Karlem. Słyszeli o wampirach żyjących i pięćset lat. Sami nie mieli pojęcia, jak długo będzie im dane żyć, ale żaden z nich nie zdradzał żadnych oznak starzenia. Uszkodzone tkanki odradzały się w zdumiewającym tempie. Byli silni i szybcy, a jakiś tajemniczy rodzaj intuicji pozwalał im wyczuwać podobne sobie istoty oraz hipnotyzować śmiertelników – przynajmniej tych, którzy nie mieli się zbyt na baczności. I chociaż do tej pory komórki w ciele Kathy doświadczyły nieznacznej na razie zmiany, dla wprawnego oka od razu stanie się jasne, że coś jest na rzeczy.

– Mam znowu pojechać do Straży dla Zwierząt? – spytała.

David stuknął na „tak”.

Godzinę później jechali już przez centrum Toronto. Na ulicach panował duży ruch, a powtarzające się ruszanie i hamowanie doprowadzało go na skraj wytrzymałości. Ryk klaksonów, mdlący odór

benzyny, strzępki hałaśliwej muzyki, ludzkie głosy oraz mnogość otaczających go ciał były nie do wytrzymania. Ogromna liczba bodźców i woń oceanu świeżej, pulsującej krwi sprawiły, że stracił w końcu kontrolę. Zanurzył się w odmęcie niepokohamowanej żądz. Tylko niezdolne do ruchu ciało powstrzymywało go od ruszenia w noc i rozdierania ciał w celu zaspokojenia obezwładniającego go pragnienia krwi.

Kathleen po raz kolejny wymieniła samochód, a potem udała się do schroniska. Dowiedziała się jednak, że nie jest uprawniona do opieki nad żadnym zwierzęciem z racji tego, że nie mieszka w Toronto. Zaczęła jeździć po bocznych uliczkach, ale bezpańskie psy i koty były tu jeszcze bardziej nieufne niż poza miastem, a może wyczuwały po prostu ukryty motyw jej działań. Żaden z nich nawet nie zbliżył się do jedzenia, które oferowała.

Wróciła do samochodu i wyznała:

– Nie wiem, co robić. Może po prostu znowu napij się mojej krwi? Do tego następnego miejsca – nie wiem, jak je się wymawia – dojedziemy jutro wieczorem.

David dwa razy zastukał palcem. Chwilę później zastukał trzykrotnie, co było znakiem, że chce przekazać jej wiadomość.

Kathy wyjęła papier i ołówek.

– Ile słów?

Poruszył palcem raz.

– Samogłosek?

Podwójny ruch palca.

– A? – Nie odpowiedział. – E...? I...? O...?

David stuknął raz.

– Pierwsza litera?

Dwa stuknięcia.

– Druga?

Jedno stuknięcie.

– Okej. Druga samogłoska. A...? E...? I...? O...?

David stuknął raz.

– Na pozycji pierwszej? Nie? W takim razie trzeciej?

Pojedyncze stuknięcie.

– Puste miejsce... O... O... Co to ma być za słowo?

Gdyby David był w tej chwili w stanie dać upust swym uczuciom, zaśmiałyby się gorzko z ironii swego losu. Oto on – absolwent Cambridge, erudyta, człowiek odczytany, miłośnik języka – tkwił

uwięziony w prawie doszczętnie zniszczonym ciele na łasce kobiety, której zasób słownictwa nie zapełniłby nawet pięciu stron *Słownika Oksfordzkiego*.

„Dobrze chociaż, że wie, co to samogłoska” – zauważył złośliwie.

Kathy musiała przejść przez cały alfabet, ale nawet gdy dotarła do „Z”, dalej nie wiedziała, co to może być za słowo. David czerpał ponurą satysfakcję z tego, że zmuszony jest do milczenia i nie może krzyczeć. Obiecał sobie w myśli, iż jeśli uda im się przetrwać, pierwszą rzeczą, jaką zrobi, będzie nauczanie tej dziewczyny angielskiego.

W końcu, zupełnie jakby w jej głowie nagle zapaliła się żarówka, Kathleen zawołała:

– Zoo! Chodzi o zoo, prawda?

David ze znużeniem stuknął palcem na „tak”.

Czterdzieści minut później zatrzymali się na ulicy prowadzącej na parking należący do ogrodu zoologicznego.

– Pewnie mają ochronę. Chcesz, żebym spróbowała się tam wślizgnąć?

Zastukał na „tak”, mając nadzieję, że Kathy nie zapomni zabrać ze sobą niezbędnego ekwipunku.

Zero pojechała długą i pustą podmiejską drogą, wzdłuż której ustawiono zielono-białe znaki wskazujące kierunek do Ogrodu Zoologicznego Miasta Toronto. Zatrzymała furgonetkę w ciemnym kącie parkingu i cicho z niej wysiadła. Teren zoo otoczony był wysokim ogrodzeniem z siatki zakończonej drutem kolczastym, ale mimo tych zabezpieczeń wcale nie miała zamiaru przechodzić przez bramki obrotowe przy wejściu.

Wydawało jej się, że pokonała kilka kilometrów, maszerując wzdłuż nieoświetlonego ogrodzenia – zoo okazało się olbrzymie. W końcu znalazła punkt, w którym siatka została wysunięta z ziemi, prawdopodobnie przez dzieci, i przecisnęła się pod nią, uświadamiając sobie, jak wielki ma fart. Zero niepewnym krokiem ruszyła przez pogrążone w ciemności zarośla i w końcu natrafiła na słabo oświetloną ścieżkę. Nie wyszła jednak spomiędzy drzew, tylko zaczęła iść równoległe do niej, bo nie czuła się bezpiecznie nawet w tak nikłym świetle.

Szła od jakiegoś czasu, ale w dalszym ciągu nie natknęła się na ani jedno zwierzę, postanowiła więc przejść na drugą stronę ścieżki, a potem pokonać leżącą za nią zieloną połąć trawy przyprószoną pierwszą porcją wielobarwnych jesiennych liści. Stwierdziła, że nigdy



wcześniej nie widziała zoo takiego jak to. Koncepcja otwartej przestrzeni pozwalającej na trzymanie zwierząt w środowisku zbliżonym do ich naturalnego otoczenia zaskoczyła ją, ale też wydała się dobrym pomysłem. Niestety wiązała się z nią konieczność dłuższego marszu.

Znalazła słabo oświetlony chodnik i zaczęła iść po samym jego skraju. Z obu stron otaczał ją las, w którym mogła się błyskawicznie zanurzyć, gdyby zaszła taka potrzeba. Po prawej widziała klatki z tygrysami, a kawałek dalej wpatrującego się w nią z ciekawością wielbłąda, którego oczy lśniły w sztucznym świetle upiorną czerwienią. Zero przeszła przez ścieżkę, żeby sprawdzić, czy drzwi do wnętrza pawilonu są otwarte, ale nie były. Musiała poszukać zwierząt znajdujących się na zewnątrz.

W końcu dotarła do ozdobionego rysunkiem znaku z napisem „Bizony”. W bladym świetle księżyca nie mogła odczytać zamieszczonej na nim informacji, więc nie była pewna, jakim rodzajem zwierzęcia jest bizon, ale z wyglądu przypominał włochatą krowę. Co więcej, był wystarczająco duży, aby nie ucierpieć od utraty odrobiny krwi. Ostrożnie wdrapała się na niewysoką barierkę, a potem po omacku zeszła do rowu, który powstrzymywał zwierzęta przed ucieczką. Z dala od ścieżki panował całkowity mrok i nie dało się niczego dostrzec.

Gdy z powrotem znalazła się na płaskim gruncie, przeszła przez pasmo ziemi obdarte z trawy przez ciągłe podgryzanie. Zaczynała się martwić, że nie uda jej się znaleźć tych bizonów – może wprowadzono je na noc do budynku.

– Chryste, ależ tu cuchnie! – zauważyła na głos.

Odpowiedź otrzymała z lewej strony: niskie, przypominające wydech sapnięcie i następujące po nim stąpanie kopyta.

Miała ze sobą dużą strzykawkę z igłą oraz kilka słoików na krew. Gdzieś w okolicach Winnipeg postanowiła, że jeśli nie będzie w stanie jej kupić, woli załatwić to tak, by zwierzęta nie musiały umierać. Którejś nocy wykradła niezbędne akcesoria z kliniki weterynaryjnej, ale dotychczas nie była zmuszona z nich korzystać. Proces miał okazać się powolny, ale jej to nie przeszkadzało. Poza tym igły nie były dla niej pierwszozną, a i w znajdowaniu żył miała pewną wprawę.

– Ojej! – zawołała, gdy natknęła się w ciemności na masywną ścianę z sierści i mięsa.

– Na pewno jesteś bizonem – stwierdziła, macając dłońmi boki

zwierzęcia. – Kawał chłopa z ciebie.

Nie była w stanie sięgnąć ponad garbem wieńczącym grzbiet bizona, a zwisające poniżej strąki kołtuniastego futra sięgały prawie do ziemi.

Zwierzę ponownie prychnęło, po czym ulżyło sobie, opryskując jej nogę strumieniem ciepłego moczu.

– Hej! – Zero odskoczyła do tyłu. – Nie mogłeś chwilę poczekać?

Wzdychając, otworzyła przewieszoną przez ramię torbę i wyjęła z niej sprzęt. Na jedną ze strzykawków była już nałożona igła. Ponownie przesunęła dłońmi po ciele zwierzęcia w kierunku, z którego dobiegło parsknięcie. W końcu dotarła do szyi, którą zaczęła badać dobrze wytrenowanymi opuszkami palców. Większa część skóry porośnięta była sierścią, a jej obnażone fragmenty były grube i szorstkie w dotyku.

– Nie ułatwiasz mi sprawy – powiedziała.

Gdy w końcu wyczuła pulsowanie, szybkim ruchem wsunęła czubek igły pod skórę. Zwierzę postąpiło do przodu.

– Spokojnie! – zawołała, a potem dodała: – Nie ruszaj się, bizonie. To nie potrwa długo, a cel jest szczytny. Odwdzięczę ci się, gdy będzie po wszystkim, okej?

Kwadrans później w jej torbie znajdowały się już dwa słoje pełne krwi bizona.

– Zostań tu – poprosiła Zero dawcę, na którym poniesiona ofiara nie wydawała się robić wrażenia. – Zaraz wracam.

Zeszła do rowu, a potem wdrapała się na barierkę. Las był gęsty. Na wielu drzewach ciągle rosły miękkie, świeże liście, których zerwała, ile się dało, i zaniosiła bizonowi.

– Proszę bardzo – powiedziała, ale zwierzę nie miało ochoty skosztować liści.

– Ej, ich zdobycie kosztowało mnie trochę wysiłku. Nie bądź taki. Zjedz trochę, co? David mawia, że trzeba jeść zieleninę, żeby nie chorować.

Bizon wydawał się rozpatrywać to stwierdzenie i najwyraźniej udało mu się podjąć decyzję. Poskubał kilka liści na próbę.

– Jest tu kto? – rozległ się stanowczy męski głos, w którym dało się dosłyszeć strach.

– Jasna cholera! – szepnęła Zero do ucha zwierzęcego kompana i upuściła resztę liści na ziemię. – Muszę spadać.

Zacząła się oddalać, ale obróciła się jeszcze na chwilę, żeby powiedzieć:

– Ej, dzięki!

Była już daleko, gdy promień latarki padł na pogryzającego stertę soczystych liści sześćsetkilogramowego bizona, który jako jedyny usłyszał pełne zdziwienia słowa pracownika ochrony:

– Co, do...?

## Rozdział 20

Zero wjechała do Montrealu w ulewnym deszczu tuż po zachodzie słońca. Wycieraczki stukotały o przednią szybę, rytmicznie odgarniając z niej wodę. Jazda nie była przyjemna. Bulwar Décarie, główną drogę prowadzącą do centrum miasta, wypełniały jadące zderzak w zderzak samochody – pozostałości po korkach z godzin szczytu.

– Ci ludzie nie potrafią prowadzić! – zawołała Zero do leżącego na tylnym siedzeniu Davida, po czym skręciła gwałtownie, żeby uniknąć zderzenia z datsunem, który zajechał jej drogę. Musiała mocno się skupiać, bo kierowcy w tym mieście zdawali się mieć gdzieś podział na pasy ruchu. Tak naprawdę na szosie, po której jechali, nie było nawet namalowanych białych linii. Trudności związane z przebywaniem w obcym miejscu potęgowało dodatkowo opisanie wszystkich znaków drogowych po francusku.

Większość wielobarwnych dwu-, trzy-lub czteropiętrowych budynków, które mijała, wyglądała dla niej ciekawie. Długie rzędy żelaznych stopni prowadziły na czarujące żeliwne balkony. Do tego opatrzone okiennicami okna i pochyłe dachy w stylu francuskich *chateau*. I wszędzie można było dostrzec krzyże. Jeden ustawili nawet na szczycie góry.

Zaczęła się zastanawiać, czy David boi się krzyży tak jak wampiry na filmach, ale chwilę później przypomniała sobie, że nie.

– Muszę zatankować – oznajmiła, wjeżdżając na stację benzynową PetroCan.

– Do pełna – poinstruowała pracownika obsługi.

Ubrany w żółty nieprzemakalny płaszcz z kapturem chłopak spytał:

– *Plomb ou sans plomb?*

Zero spojrzała na niego z otwartymi ustami.

W końcu chłopak powiedział:

– Ołowiowa czy bezołowiowa?

– Bezołowiowa. – Pokręciła głową, a potem zawołała przez okno: – Nie mogłeś od razu spytać po angielsku?

Nie otrzymała jednak odpowiedzi.

Gdy bak był napełniany, Zero odezwała się do Davida:

– Zaparkuję gdzieś i powiesz mi, gdzie chcesz jechać, okej?

Domyślała się, że David musi mieć jakiś plan, skoro chciał tu być.

Włączyła górne światelko, a potem uniosła koc termoizolacyjny i płachtę namiotu. Jego palec stuknął na „tak”. David w dalszym ciągu nie był w stanie mówić, ale mógł już ruszać rękoma, nogami i głową, a nawet otwierać i zamykać powieki i usta, co było obiecujące, mimo że jego oczy ciągle przypominały martwe ślepie zombi, a skóra była czarna. Wyglądał okropnie – niczym zwierzę upieczone na rożnie.

– Chcesz, żebym kupiła mapę? – spytała.

Dał jej znak, że chce.

– Tylko nie wiem, jak ją odczytam, bo wszyscy tu gadają w jakimś obcym języku.

Z lewej strony dobiegło ją kasznięcie. Obróciła się i zobaczyła stojącego obok samochodu pracownika stacji, z którego nosa ściekały krople deszczu. Chłopak patrzył na nią podejrzliwym wzrokiem.

– Lubię gadać do siebie – wyjaśniła, wręczając mu dwadzieścia dolarów kanadyjskich. – Przynajmniej nie muszę się ze sobą kłócić.

– W końcu jest pani ze Stanów – skomentował, odliczając dla niej resztę w przemoczonych kolorowych banknotach.

– Tak! Skąd wiedziałeś?

– Zgadłem – odparł chłopak i odszedł.

Zero zaparkowała obok stacji, skorzystała z łazienki, kupiła mapę, a następnie skonsultowała się z Davidem.

– Gdzie teraz?

Zastukał na jedno słowo, a ona odgadła kolejne litery, które ułożyły się w nazwę Redpath. Znalezienie miejsca na mapie chwilę jej zajęło, ale w końcu zakreśliła je na niej czerwonym długopisem.

– Koleś ze stacji powiedział, że jesteśmy tutaj. – Uniosła mapę, by mu pokazać, ale przypomniała sobie, że David nie widzi. – To niedaleko. Mam jechać prosto tam?

Stuknął na „tak”.

Zanim dotarli na Redpath Crescent, ulicę położoną po wschodniej stronie Mont Royale i wypełnioną dużymi, drogimi domami z szarego kamienia i cegieł, przestało padać.

– Mam tu zaparkować?

David potwierdził. Zero zatrzymała samochód, zaciągnęła hamulec ręczny, wyłączyła silnik i przeszła do tylnej części furgonetki. Włączyła górne światelko.

– I co teraz?

Zastukał czterokrotnie, co było znakiem, że chce coś zapisać. Zero wsunęła mu długopis między palce, a na podłodze przed nim rozłożyła notatnik.

David z bolesną powolnością nagryzmolił wiadomość:

*777. André i Karl. André opuścił NJ w 1960, Karl w 1958.*

– Nie wiem, co to znaczy. Mam iść pod numer 777 przy tej ulicy?

Zastukał raz.

– Czyli chcesz, żebym spytała o Karla i tego drugiego gościa – nie wiem, jak się wymawia jego imię. An... dera? Tak?

David zastukał dwa razy.

– Nigdy wcześniej nie spotkałam się z tym imieniem. Skąd mam wiedzieć, jak je się wymawia?

David raz jeszcze poprosił o papier i zapisał imię fonetycznie.

– A-dre? – przeczytała.

Zastukał raz.

– I Karl?

Pojedyncze stuknięcie.

– A ten fragment na temat opuszczania Nowego Jorku?

Dostrzegła drżenie jego dłoni i ogarnęła ją jeszcze większa frustracja. Zdawała sobie sprawę, że pisanie sprawia mu ból. Tak trudno było jej go zrozumieć. Nie miała też pojęcia, po co tu przyjechali, chociaż wiedziała, że ci dwaj mężczyźni byli przyjaciółmi Davida. Otrzymała kolejną notatkę:

*Spytaj André, kiedy wyjechał z NJ. Karla też. Jeśli odpowiedzą poprawnie, przyprowadź ich do mnie.*

Odczytała tekst na głos i pokiwała głową ze zrozumieniem.

– A jak odpowiedzą źle?

Napisał jedno słowo: „uciekaj”.

Wchodząc po schodach biegnących wzdłuż ściany dwupiętrowego budynku z numerem 777, Zero nie przestawała mamrotać: „A-dre, A-dre, 1960, Karl, 1958” w nadziei, że dzięki temuniczego nie zapomni.

Zapukała do drzwi z drewna orzechowego i czekała. Dziesięć sekund później otworzyła je atrakcyjna kobieta po trzydziestce. Miała oczy szafirowej barwy, ciemne, pofalowane włosy i bladą cerę.

– *Bon jour. Oui?* – spytała.

Zza pleców kobiety wynurzył się mężczyzna. Był przystojny, miał budowę ciała sportowca, szare oczy oraz czarne włosy poznaczone pasemkami siwizny. Spojrzał na Zero i krzyknął:

– *Mon Dieu!*

Obie kobiety spojrzały na niego równocześnie.

– Mówicie po angielsku? – odezwała się Zero. – Bo ja w ogóle nie czuję francuskiego.

Kobieta obróciła się ku niej.

– Tak, mówimy po angielsku – odparła.

– Super! Szukam dwóch facetów – jeden nazywa się Karl, a drugi...

– Za cholere nie mogła sobie przypomnieć. Zerknęła na trzymaną przez siebie kartkę papieru.

– A-dre – odczytała wolno, niezwykle z siebie dumna, a potem podniosła wzrok.

– Ja jestem André – odparł mężczyzna. – A kim pani jest?

– Mam się zobaczyć z tobą i Karlem. Też tu jest?

– Spytałem, kim pani jest!

Kobieta musnęła dłonią jego policzek. W odpowiedzi otoczył ramieniem jej talię i chyba się trochę rozluźnił. Kobieta po raz kolejny obróciła się do Zero.

– Proszę wejść – powiedziała.

Podążyła za nimi do salonu. Na jednej z dwóch kanap siedział mężczyzna w zbliżonym do niej wieku, o oczach i czuprynie głębokiej brązowej barwy, a obok niego drobna dziewczyna o mahoniowych włosach. Podobnie jak pozostała dwójka oni również ubrani byli w niezobowiązujące stroje. Mężczyzna momentalnie zerwał się na równe nogi, pobladł i rozdziawił usta w wyrazie zaskoczenia. Jego reakcja sprawiła, że rudowłosa kobieta także podniosła się z miejsca.

– *Wer ist das?* – spytała.

– *Ich sehe einen Geist*<sup>25</sup>! – odparł mężczyzna, nie spuszczając wzroku z Zero.

– Proszę usiąść. – Kobieta, która otworzyła drzwi, wskazała jej gestem kanapę.

Zero od razu dostrzegła w całej czwórce coś dziwnego. Ich skóra przypominała skórę Davida, a raczej to, jak kiedyś wyglądała: była blada i świetlista. W ich wzroku była pewna intensywność. Czuła się przy nich nieswojo. Miała wrażenie, że patrzy na figury woskowe, które ożyły.

Zero zajęła miejsce na stojącym nieopodal drzwi krześle, ale oni nie usiedli. Była zdenerwowana i robiła, co mogła, żeby wziąć się w garść. David na nią liczył. Na wszelki wypadek obmyśliła najszybszy sposób ucieczki. Postanowiła, że w razie potrzeby przewróci krzesło, by zablokować im drogę, gdy będzie biegła do drzwi. Miała nadzieję, że

dotarłaby do nich, zanim ktokolwiek zdałby sobie sprawę z tego, co się dzieje.

– Słuchajcie, muszę wam zadać parę pytań.

André zrobił krok w jej kierunku.

– Pani imię? – zażądał.

– Zero. Błagam, tylko dwa pytanko, a potem wszystko wam wyjaśnię.

– Co chce pani wiedzieć? – spytał Karl.

– To ty jesteś Karl, tak?

Mężczyzna skinął głową.

– Muszę wiedzieć, w którym roku wyjechałeś z Nowego Jorku.

Sprawił wrażenie zaskoczonego.

– Tylko tyle?

– Tak.

– Wyjechałem w 1958, jesienią.

– Pojawiłeś się tam od tego czasu?

– No, nie...

Zero obróciła się do André. Przerzął ją. Miała wrażenie, że hamuje się tylko ze względu na znajdujące się w pokoju kobiety.

– Kiedy wyjechałeś?

– Po co chce pani to wiedzieć?

– Powiedz jej po prostu – zasugerowała łagodnym tonem jego towarzysza. – Wydaje się nieszkodliwa.

André spojrział na kobietę. Zero widziała, jak gotująca się w nim złość zaczyna stygnąć.

„Babka działa jak zawór bezpieczeństwa na szybkowarze – przyszło jej do głowy. – Gdyby jej tu nie było, koleś by eksplodował”.

W końcu André wydusił z siebie odpowiedź:

– W roku 1960.

Zero zrobiła głośny wydech, a uldze, której doświadczyła, towarzyszyło uczucie wyczerpania.

– Kurczę, ale się cieszę, że to naprawdę wy!

– Chcę usłyszeć, o co chodzi. I to już! – krzyknął André.

– Jesteście przyjaciółmi Davida, prawda?

– Davida? Tak – odparł Karl. – Ale kim ty jesteś?

– Jego dziewczyną. Potrzebna mu pomoc. Dlatego tu przyszedłem.

– Jakiego rodzaju pomoc? – spytał Karl.

André wtrącił się jednak z własnym pytaniem:

– Gdzie on jest?



– Przed domem. W furgonetce. Musicie mu pomóc. Jest ranny. Bardzo.

André i Karl wymienili spojrzenia, po czym André ostrzegł Zero:

– Jeśli to jakiś podstęp, nie chciałbym być na twoim miejscu.

– To nie podstęp. – Zero wstała i nagle zalała ją fala niezmiernej radości. Czowała, że wszystko będzie dobrze, bo nie była już sama. – Chodźcie, pokażę wam.

Obie kobiety zostały w domu, a mężczyźni wyszli z Zero na ulicę. Gdy dotarli do furgonetki, otworzyła tylne drzwi. André wskoczył do środka, podczas gdy Karl został na zewnątrz, jakby stał na straży.

– Jasny gwint... – powiedział cicho André, po czym zawołał:

– Karl, podjedź pod same drzwi! Tyłem.

Zero usiadła na fotelu pasażera, a Karl pokierował furgonetką przez kilkadziesiąt metrów dzielące ich od domu. Kobiety czekały na progę.

– Carol, zaślij łóżko satynową pościelą. Szybko! – zawołał André nagłym tonem do tej z błękitnymi oczami.

Rudowłosa dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Jesteś spragniony miłości?

André obrócił się do niej.

– To nie najlepszy moment na żarty, Gerlinde. Potrzebny nam lód, i to dużo. Kup przynajmniej dwadzieścia opakowań.

– Robi się – odparła, po czym chwyciła kurtkę i pobiegła do garażu.

Zero odsunęła się na bok, a mężczyźni ostrożnie ułożyli Davida na kocu termoizolacyjnym i wnieśli go do środka. Skręcili w prawo, przeszli przez nowoczesną kuchnię, a potem zeszli ze schodów. Podążała za nimi, czując się ignorowana i niepotrzebna. Przenieśli Davida przez czystą, odnowioną piwnicę, której nie wypełniały żadne sprzęty, a potem przez drzwi do sypialni urządzonej w odcieniach czerni, srebra i szarości. Carol wygładzała właśnie srebrne satynowe prześcieradło na okazałych rozmiarów materacu.

– O mój Boże! – zawołała na widok Davida.

– Wyłącz światła – poinstruował André, a kobieta natychmiast zgasiła lampę na suficie oraz prostokątną lampkę do czytania wiszącą nad łóżkiem i zapadła ciemność przecinana jedynie wąskim paskiem blasku pochodzącego z głównej części piwnicy.

– Co mu się stało? – spytała Carol cichym głosem.

– Nie jestem pewien – powiedział André. – Wygląda na to, że został wystawiony na przedłużone działanie promieni słonecznych. Jest bardzo poparzony. Davidzie, możesz mówić?

- Jeszcze nie – odezwała się Zero.
- Kiedy do tego doszło? – spytał Karl.
- Jakiś tydzień temu. Może trochę wcześniej. W Vancouver.
- Przejechałaś cały ten dystans sama? – spytała Carol.
- Tak.

David został przeniesiony na łóżko.

– Musimy podłączyć go do kroplówki – oznajmił Karl. – Gerlinde mi pomoże, gdy wróci do domu.

– Może powinnam zadzwonić do Chloe – zaproponowała Carol. – Pewnie jest akurat u Jeanette. Obie mogą mieć jakieś sugestie. A najlepiej poradzi sobie z tą sytuacją Julien.

– Dobry pomysł – przytaknął André. – Zacznę rozmrażać osocze.

Zero nie potrafiła znaleźć sobie miejsca pośród panującego zamieszania. André wyszedł z pomieszczenia, a zaraz po nim Carol. Karl też ruszył do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze, żeby ją pouczyć:

- Nie dotykaj go, bo to sprawia mu ból.
- Wiem – powiedziała urażona.

„To dzięki mnie David żyje – pomyślała – a teraz przesuwam się mnie z kąta w kąt, jakby nie było tu miejsca”.

Gdy zostali sami, przysiadła na skraju wielkiego łóżka i wsunęła rękę pod dłoń Davida. Leżał całkowicie nieruchomo, tak jak wcześniej.

– Cieszysz się, że tu jesteś?

Stuknął palcem raz o wnętrze jej dłoni.

– Wyzdrowiejesz, prawda? Teraz, gdy zajmą się tobą przyjaciele?

Ponownie stuknął na „tak”, po czym opuszką palca nakreślił jakiś kształt na jej skórze.

– To serce?

Potwierdził.

– Też cię kocham – powiedziała.

Czuła się samotna i bardziej niż czegokolwiek pragnęła poczuć się bezpiecznie, wtulając się w jego ramiona.

# Rozdział 21

Zero spędziła kilka tygodni w domu pełnym wampirów – używanie tego słowa pomagało jej odnieść się do sytuacji, ale gdy dwa razy jej się wysnęło, byli na nią wściekli jak diabli.

Oprócz czwórki, którą poznała na samym początku, mieszkało tam również dziecko – chłopiec w wieku, w jakim byłby Bobby, gdyby żył, czyli jakichś dziesięciu lat. Mimo że z wyglądu w ogóle nie przypominał Bobby'ego, Zero zapałała do niego wielką, odwzajemnioną miłością.

Miał na imię Michel, w co z początku nie mogła uwierzyć, bo nigdy wcześniej nie słyszała, żeby ktoś nazwał tak chłopca. Gdy dowiedziała się, że to odpowiednik angielskiego „Michaela”, zaczęła po prostu wołać na niego Mikey, co mu się wyraźnie spodobało. Dziecko było bystre i ładne, obdarzone czarną czupryną oraz jasnoblękitnymi oczami. Jego matką była Carol, a ojcem André. Zero wiedziała z opowieści Davida, że André od dawna jest wampirem, więc z początku nie mogła zrozumieć, jakim cudem mógł być tatą Mikeya, ale bała się zapytać. W końcu doszła do wniosku, że Carol musiała urodzić go przed swoją przemianą, a André prawdopodobnie był jego ojczymem. Mimo że Mikey sypiał w ciągu dnia tak jak cała reszta, było w nim coś na wskroś ludzkiego. I wyjątkowego. Przypominał ich, a jednocześnie był inny.

Zero spędzała dużą część nocy w towarzystwie Mikeya, podczas gdy David samotnie dochodził do siebie w zupełnym mroku panującym w piwnicy. Nie pozwalali jej się z nim zobaczyć, tłumacząc, że potrzebny mu tylko spokój oraz pożywienie, a im silniejszy się stawał, tym więcej krwi musiał pochłaniać. Twierdzili, że Zero tylko zakłócałaby proces rekonwalescencji. Nie spierała się, bo nie miała wyboru, ale nie podobało jej się, jak ją traktują.

Za dnia zamykali ją w dużym pokoju na drugim piętrze, który wyglądał jak studio malarskie. Spali od zachodu do wschodu słońca, ale ona – mimo że przez kilka ostatnich lat stała się nocnym markiem – nie była w stanie przespać więcej niż kilku godzin, więc czas włókł się dla niej niemiłosiernie. Nocą jednak, gdy była z Mikeyem, w ogóle

się nie nudziła. Grali w gry, śpiewali piosenki i oglądali razem telewizję. Sama czuła się przy nim jak dziecko. Jednak za każdym razem, gdy Mikey nie mógł dotrzymać jej towarzystwa, pojawiał się przy niej ktoś z dorosłych. W nocy nie odstępowali jej na krok, nawet gdy szła do łazienki.

Kobiety nie były takie złe, a Karl stopniowo pozbywał się początkowej nieufności, ale André w dalszym ciągu sprawiał, że czuła się nieswojo.

Razem z Karlem co noc przeszukiwał ją na temat ubiegłych wydarzeń, za każdym razem zadając te same pytania. Zero przerażała okazywana przez André wrogość i czuła się o wiele lepiej, gdy była z nimi Carol.

– Opowiedz nam znowu o Reesonie – poprosił Karl.

Zero siedziała na zielonej dwuosobowej kanapie z jedną stopą wsuniętą pod siebie. Mikey układał puzzle z grafiką z Sandmana. Karl, Gerlinde, Carol oraz André siedzieli na dłuższej kanapie po drugiej stronie stolika do kawy w tej właśnie kolejności. Gerlinde szkicowała Zero węglem, a reszta wpatrywała się w nią w milczeniu, tkwiąc w pełnym napięcia bezruchu.

– Dowiedzieliśmy się o nim z gazet. To jakiś aktor czy ktoś taki. Wygląda na Włocha. To David z nim rozmawiał, ja nie za bardzo zwracałam na niego uwagę.

Było jej wstyd, że nie ma do zaoferowania większej liczby detali. Przede wszystkim była oszołomiona przepychem włoskiego konsulatu, a poza tym opanowała ją narkotyczna żądza, pod której działaniem sama już nie wiedziała, co się wokół niej dzieje. Czuła się ogłupiała i w niczym nie pomagała Davidowi.

– Opisz go raz jeszcze – zażądał André.

Spojrzała na niego. Wpatrywał się w nią nienawistnym wzrokiem, ale przecież nawet jej nie znał. Westchnęła.

– Jest niski. Włosy ma takie jak ty – powiedziała, wskazując na Karla. – To znaczy z koloru. Pali czarne papierosy. Pewnie można by znaleźć któryś z jego filmów w wypożyczalni kaset.

– Już to zrobiłem – oświadczył André, nie spuszczając z niej wzroku.

– To po co mnie pytasz, skoro sam wiesz, jak wygląda?

– Bo nie do końca wierzymy we wszystko, co nam opowiadasz.

Zero poruszyła się niespokojnie. Z wyjątkiem paru rzeczy powiedziała im prawdę. Jednym z tych wyjątków była śmierć Bobby'ego, a drugim to, że próbowała zabić Davida w Manchesterze.

Powiedziała, że spotkali się w tym właśnie mieście po nieudanym zamachu na życie Davida. Wrócili razem do Nowego Jorku, gdzie namierzyli Dennisa. Zero zdawała sobie sprawę, że nie powinna była kłamać, ale nie wiedziała, jak miałyby wyznaczyć prawdę, nie wychodząc przy tym na idiotkę. Bała się też, że przestaliby jej ufać, gdyby dowiedzieli się, iż to ona wszystko zaczęła. Wyglądało jednak na to, że i tak jej nie ufają.

- Przecież David czuje się już lepiej, tak?
- Powoli dochodzi do zdrowia – przytaknął Karl.
- To dlaczego go o to nie spytacie, skoro mi nie wierzycie?
- Taki właśnie mam zamiar. – André posłał jej chłodne spojrzenie.

Zero spojrzała na Mikeya. Chłopiec był istnym aniołkiem. Była w stanie uwierzyć, że jest dzieckiem Carol, ale z pewnością jego ojcem nie mógł być ten koleś – chociaż z drugiej strony André zachowywał się wobec niego, jak i w stosunku do pozostałej trójki, w porządku. Wyglądało na to, że nie znosił tylko Zero, która zachodziła w głowę, dlaczego tak się działo.

- Mogę dziś w nocy zobaczyć się z Davidem? Proszę.

Przez kilka sekund nikt się nie odezwał, a potem Karl podniósł się z miejsca.

– Idę na dół zmienić torebkę z osoczem. Spytaam, czy chce się z tobą zobaczyć. Doskwiera mu silny ból. Raczej nie ma ochoty na odwiedzinę.

Gdy wyszedł z pokoju, Mikey zaszczebiotał:

- Pomóż mi, Zero.

Momentalnie zsunęła się na podłogę i zaczęła asystować mu w umieszczaniu właściwych elementów w pozostałych w układance lukach. Przez kilka minut skupiała się wyłącznie na tym zadaniu, a potem Carol spytała:

- Co cię łączy z Davidem? Jesteście kochankami?

Zero podniosła wzrok i wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Tak, jesteśmy kochankami.

André wstał. Nie mogła uwierzyć w rozmiary buzującej w nim złości. Podeszedł do okna, szarpnięciem odepchnął zasłonę na bok i wyjrzał na zewnątrz.

- Rozważasz stanie się jedną z nas? – spytała Carol.

- Tak. Już nawet zaczęłam.

André gwałtownie odwrócił się od okna, żeby na nią spojrzeć. Zero spuściła oczy.

- Otwórz buzię, mała, musimy coś sprawdzić – powiedziała

Gerlinde, siadając na podłodze obok niej.

Zero rozdziawiła usta, a rudowłosa wampirzyca zajrzała w nie niczym weterynarz badający stan uzębienia konia.

– Rzeczywiście, dziewczyna jest na progu przemiany. Widzę zaczątki kłów.

André szybkim krokiem przemierzył pokój, potrząsając głową.

– To nie ma sensu. Po co David miałby robić coś takiego? Czyżby postradał rozum?

Zero skoczyła na równe nogi i oparła dłonie na biodrach, przyjmując postawę obronną.

– Bo mnie kocha. Tak ciężko ci to pojąć? Ja też go kocham, nawet jeśli wydaje się wam, że nie jestem go godna. Jest mądry i bogaty, a ja tępa i biedna, tak? Ludzi mogą łączyć inne rzeczy, więc możesz spieszczać, bo w dupie mam twoje opinie!

Wszyscy zamarli w bezruchu, nawet Michel, którego dłoń z fragmentem układanki znieruchomiła w powietrzu.

André skrzyżował ramiona na piersi. Groźnie opanowanym głosem oświadczył:

– Razem z Davidem zdecydujcie, czy jesteś go godna, czy nie. Wspominał ci o Ariel?

– Tej byłej dziewczynie? No, tak.

– W takim razie chciałbym wiedzieć...

– David chce się z tobą widzieć – przerwał mu Karl, który pojawił się w drzwiach.

Zero błyskawicznie opuściła pokój, zbiegła ze schodów w kuchni, a potem pędem pokonała całą przestrzeń piwnicy.

W sypialni było ciemno i zimno. Zadrżała. Miała wrażenie, że weszła do chłodni.

– David? – odezwała się ostrożnie.

Odpowiedział jej niski, ochrypły głos:

– Tutaj.

Ruszyła w jego kierunku i chwilę potem wpadła na krawędź łóżka. W jej stronę wyciągnęły się dłonie, które pomogły jej odzyskać równowagę. Pod wpływem impulsu zarzuciła mu ręce na szyję, a serce waliło jej w piersi jak młotem z podekscytowania. Opuszki jej palców otarły się o jego gołe plecy, gdzie wyczuła rozległe płyty suchej, łuszczącej się skóry.

– Nie! – zawołał, a ona aż podskoczyła. – Nie dotykaj mnie. Pozwól, że to ja będę cię dotykał.

Opuściła ramiona wzdłuż boków ciała. Dłonie Davida przesunęły się niepewnie od jej barków aż po czubki palców rąk, a potem udały się w drogę powrotną. Dotknął jej twarzy, szyi, piersi, a potem zaczął rozpinąć guziki bluzki.

– Potrzebuję cię, Kathy. Bardzo cię potrzebuję.

Jego słowa wywołały dreszcz, który przebiegł jej po całym ciele, i z trudem powstrzymała się przed dotknięciem Davida. Oboje oddychali ciężko.

Gdy ściągał z jej bioder spódnicę i majtki, jego palce stały się niecierpliwe. Kathy zsunęła buty ze stóp, po czym jego czułe dłonie, które wydawały się obecnie silniejsze, wciągnęły ją na łóżko.

– Połóż się na plecach – powiedział i pocałował ją w usta.

Jego wargi były chłodne i w połączeniu z zimnem panującym w pokoju wywołały w niej kolejny dreszcz.

David wisiał nad nią w ciemności, utrzymując dystans pomiędzy ich ciałami i pieścąc ją przy użyciu dłoni i ust.

– Tak trudno jest cię nie przytulać – powiedziała.

– Wiem.

Jego wargi przesunęły się ku jej prawemu sutkowi i na chwilę tam pozostały.

Następnie polizał jej brzuch i uda. Doznania, które stały się udziałem ciała Kathy, przypominały elektryzujące mrowienie. Nie trzeba było pobudzać jej zbyt długo.

David przesunął się na skraj łóżka. Uklęknął, zgiął jej nogi w kolanach i skierował pionowo do góry, po czym chwycił ją za łydki i przyciągnął ku sobie. Lekko uniósł dolną część jej ciała z prześcieradła i wsunął się w nią.

Przeszył ją spazm rozkosznego bólu i wydała z siebie okrzyk. Cierpienia, których doświadczyła w ciągu kilku ostatnich tygodni, oraz intensywność przepełniającego ją pożądaniastarły się ze sobą.

– Potrzebuję cię, Kathy – raz jeszcze powtórzył David, a w jego głosie wyraźnie pobrzmiwała desperacja.

Trzymał jej nogi z dala od siebie, żeby ograniczyć kontakt ich ciał. Wrażenie było bardzo dziwne – Kathy ani go nie widziała, ani mogła go dotknąć. Słyszała go jednak i czuła w sobie, a emocje, które wyczuwała z jego strony, lekko ją przerażały. David emanował agresją. Jego biodra poruszały się szybkimi sztosami. Uda Kathy stykały się ciasno, co zwiększało intensywność stymulacji. David musiał wyczuć jej lęk.

– To ciągle ja, Kathy! Proszę! Nie hamuj się. Tak bardzo cię potrzebuję.

Głęboko poruszyło ją to, jak bardzo jej pragnął, a strach przemienił się w kolejną falę pożądania. Ciało trawił żar. Chwyła się wezgłowia, by się przygotować. Pchnięcia wykonywane przez Davida były tak gwałtowne, że jedyne, co mogła zrobić, to oddać mu się bardziej. Tempo jej oddechu wzrosło, a z ust zaczęły wydobywać się niezbyt głośne okrzyki. W końcu poczuła, że się zapada zalewana przez ogniste fale rozkoszy.

Gdy było po wszystkim, David usiadł obok niej i zaczął ją całować i pieścić, podczas gdy Kathy leżała nieruchomo na łóżku. Pozwolił jej trzymać swoje dłonie, które stanowiły jedyny obszar jego ciała, którego dotyk nie przysparzał mu cierpień.

– Kocham cię – powiedziała cicho. – Kiedy sprawisz, że będę taka jak ty?

– Niedługo. Gdy odzyskam siły.

Przez jakiś czas milczeli w chłodnym mroku sypialni, aż Kathy stwierdziła nagle:

– Coś się w tobie zmieniło.

Wiedział, że to prawda. Jego liczne apetyty uległy zaostreniu. Już teraz pragnął jej po raz kolejny, a wzrastająca żądza krwi trąciła deprawacją. Gdyby pozwolił sobie ulec temu wpływowi, z miejsca rozprułyby arterię Kathy i obszedł się z dziewczyną brutalniej, niż sam został potraktowany, gdy to jemu kradziono krew.

David zdawał sobie również sprawę z pojawienia się nowego rodzaju głodu wywołanego cierpieniem i żywiącego się nienawiścią. Rozrastał się w jego wnętrzu niczym grzyb, niszcząc wszystko, co napotykał na swej drodze. Urastał do rangi obsesji. Po raz pierwszy w życiu ogarnęła go żądza odwetu.



## Rozdział 22

Ej, Zero, chcesz się bawić w gwiazdy rocka? – zawołał Michel, stając w drzwiach salonu.

David spojrzął na chłopca i powiedział:

– Ona ma na imię Kathleen. Kathy.

Michel wbiegł do pokoju i wcisnął się pomiędzy siedzących na kanapie André i Carol. Karl znajdował się na stojącym nieopodal krześle z wysokim oparciem. Gerlinde siedziała po turecku u jego stóp z jedną ręką opartą o kolano mężczyzny, czekając, aż wyschnie jej lakier na paznokciach.

– Mówiłaś, że masz na imię Zero. – Chłopiec spojrzął na Kathy z wyrzutem, a w oczach Davida jego twarz przypominała młodszą wersję oblicza André.

David uniósł ramię, w które wbita była igła. Połączona z nią rurka prowadziła do plastikowego woreczka pełnego zielonkawego osocza, które sączyło się nieustannie do wnętrza jego żyły. Ujął Kathleen pod brodę i przesunął jej twarz w swoją stronę.

– Nigdy więcej nie mów na siebie Zero. Rozumiesz?

Wpatrywała się w niego wielkimi, okrągłymi oczyma. Czuł krew gotującą się pod jej ciepłą skórą. Chciał zagłębić się w niej na wiele różnych sposobów.

– Ocaliłaś mi życie, Kathy. Wszyscy mnie ocaliliście. Bez waszej pomocy byłbym już martwy.

Przesunął wzrokiem po znajdujących się w salonie przyjaciółach, a potem ponownie spojrzął na Kathy.

– Zwłaszcza bez twojej. Białe ściany i szklany sufit pozwoliły promieniom słońca osiągnąć ogromną intensywność. Zostałbym unicestwiony szybciej niż w przypadku zwykłego wystawienia na działanie światła dziennego. Gdybym spędził w tamtym pomieszczeniu jeszcze trochę czasu, nigdy nie udałooby mi się dość do siebie.

– Maleńki, powinieneś się był zobaczyć, gdy cię tu wnosili – odezwała się Gerlinde. – Nie założyłabym się o parę nietoperzych skrzydeł, że do tej pory będziesz już chodzić o własnych siłach. Chociaż na twoim miejscu przez jakiś czas jeszcze nie brałabym

udziału w konkursach piękności.

David miał już okazję zobaczyć się w lustrze. Wyglądał, jakby ugotowano go żywcem. Większa część płatów zwęglonej skóry odpadła, a spod niej wynurzyła się świeża, wrażliwa na dotyk warstwa pokryta bliznami, które mogły nigdy już nie zniknąć. Pod okryciem w postaci lekkiej odzieży używanej mu przez Karla jego poranione ciało chłodziła i kołowała zaproponowana przez Chloe w trakcie rozmowy telefonicznej mieszanka naturalnych substancji leczniczych: nagietka lekarskiego i rumianku. Światła w salonie zostały przyciemnione, aby mógł po raz pierwszy wyjść z piwnicy.

David obserwował, jak Gerlinde wykonuje francuski manikiur prawej dłoni. Do tej pory zdążyła niezwykle starannie nałożyć dwie warstwy bezbarwnego lakieru na każdy z paznokci i obecnie ruchami wprawnego artysty malowała ich same końcówki na biało. Dziewczyna była dziarskim rudzielcem z błyszczącymi oczami czekoladowej barwy i nie wydawała się należeć do typu kobiet, które wybrałyby dla Karla. Całkowicie się od siebie różnili, a jednak umiał dostrzec łączącą ich chemię – intelekt Karla równoważony był przez jej poczucie humoru, a jego spokój przez jej blask i wdzięk.

Związek kobiety o imieniu Carol z André zdumiał go jeszcze bardziej. Wydawali się do siebie pasować. Twierdzili też, że dziecko było ich.

– Opowiedz mi o Michelu – poprosił.

Gdy André zaczął mówić, David zdał sobie sprawę, jak bardzo jego przyjaciel złagodniał. Jego czarne włosy – kiedyś ledwie przyprószone siwizną na skroniach – były teraz przetykane srebrnymi pasemkami robiącymi wrażenie świadectwa dojrzałości.

„Wszyscy się zmieniliśmy – stwierdził. – Oni zmiękli, a ja zrobiłem się twardy”.

– Dziesięć lat temu poznaliśmy się z Carol w Bordeaux – zaczął opowiadać André. – Byliśmy w swego rodzaju związku, ale nic z niego wyszło. Z mojej winy.

Carol pogłaskała go po policzku.

– Z naszej wspólnej winy – poprawiła.

Ramię André momentalnie otuliło jej barki.

– Nie, to ja zawiniłem – powiedział, pochylając się nad Michelelem, żeby pocałować ją w usta.

– Nie zwracaj na nich uwagi – westchnęła Gerlinde. – Ich miesiąc miodowy będzie się pewnie ciągnął jeszcze ze sto lat.

André na nowo skupił uwagę na Davidzie.

– Nie wiemy, jak to się stało, ale udało mi się zapłodnić Carol. Legendy głoszą, że dziecko zrodzone z takiego związku ma równe szanse na zostanie śmiertelnikiem i istotą nieśmiertelną. To kwestia wyboru. Michel wchodzi właśnie w wiek, gdy konieczne będzie podjęcie tej decyzji. W każdym razie chłopak jest wyjątkowy, obdarzony nadludzką mocą. Da się już dostrzec jej oznaki, a poza tym...

– Byłeś wtedy wampirem, a ona nie? – przerwała mu podekscytowana Kathy.

– Tak.

Obróciła się do Davida.

– Może i my moglibyśmy spróbować.

– To niezwykle rzadki przypadek, Kathy – odparł David.

– Wręcz niespotykany – dodał Karl. – Przed przyjściem Michela na świat o potomstwie zrodzonym w ten sposób krążyły wyłącznie legendy. Żaden członek naszej społeczności nie spotkał się nigdy z takim dzieckiem.

– Rozstaliśmy się – kontynuował André. – Przeze mnie.

Carol ujęła jego dłoń.

– Mojej ukochanej nie brakowało jednak determinacji. Bóg jeden wie, jak udało jej się odnaleźć nas w zeszłym roku, gdy sprowadziliśmy się tu z Karlem. Na szczęście udało mi się dokonać jej przemiany. Nie poradziłbym sobie bez pomocy – powiedział, kiwając głową w kierunku Karla i Gerlinde.

– Była tu też Chloe i Morianna, której jeszcze nie poznałeś – dodał Karl. – No i Julien. Obecnie ma żonę i dzieci, ale nie rodzone.

Davida zdumiała liczba zmian, które zaszły w ich społeczności. Wiele się wydarzyło od czasu, gdy zerwał z wszystkimi kontaktami i rzucił się w ramiona rozpaczki. Jego wyobrażenia o świecie wydawały się teraz równie nieelastyczne i zaburzone jak te, które wcześniej wytykał innym.

– Obaj jesteście szczęśliwi – stwierdził.

– Tak. – Karl przeczesał palcami ogniste rude włosy Gerlinde.

David przeniósł wzrok na André, Carol oraz Michela. André skinął głową.

– A ty? – spytał Karl.

– Z Kathy tak – powiedział David, a zaraz potem poczuł, jak przenika go lodowate żądło nienawiści.

Ton jego głosu stał się bezwzględny, a na twarzach swoich przyjaciół dostrzegł zszokowane miny, gdy oznajmił:

– Chcę dopaść Reesone’a. I tego, kto za nim stoi.

W pokoju zapadła cisza, którą przerwało dopiero pytanie Michela:

– Tato, dlaczego on tak wygląda?

– Poparzyło go słońce. Przecież wiesz, Michelu – wyjaśnił André.

– Ale w jaki sposób?

– Ktoś chciał zrobić mu krzywdę.

– Pewnie jakiś śmiertelnik.

– Tak.

Michel sprawiał wrażenie wystraszonego, więc David próbował go uspokoić.

– Nigdy by do tego nie doszło, gdybym bardziej uważał. Pozwoliłem sobie znaleźć się w niebezpiecznej sytuacji. Zdawałem sobie sprawę z ryzyka, ale nie zadbałem o stosowne środki ostrożności. Tak naprawdę mogę winić tylko siebie.

Michel nadal jednak wyglądał na wstrząśniętego.

– Boisz się, że ktoś mógłby i ciebie skrzywdzić? – spytała Carol.

Michel wzruszył ramionami i zbyt szybko pokręcił głową.

– Nigdy nie pozwolilibyśmy nikomu cię skrzywdzić – zapewniła go mama.

André dodał:

– Wszyscy będziemy cię ochraniać, Michelu. Uczyłem cię przecież, jak się bronić. Gdy dorośniesz, poznasz jeszcze wiele innych sposobów. Żaden śmiertelnik nigdy ci nie zagrozi. Nigdy.

Na twarzy chłopca odmalowała się ulga. Podskoczył radośnie.

– Pójdziemy do parku?

– Później – powiedział André. – Chcemy jeszcze porozmawiać z Davidem.

– Ale gra tam taki zespół! Proszę, pójdziemy?

– Mogę go tam zabrać – zaproponowała Kathy.

André i Carol wymienili spojrzenia. W końcu Carol spytała:

– Który to park, Michelu?

– Mont Royale.

– No dobrze, ale weź ze sobą telefon – powiedziała Carol do Kathy.

– Michel, nie napychaj się byle czym. Wiesz, że od zbyt dużych ilości pokarmów stałych dostajesz mdłości. Jeden batonik i jedna cola ci wystarczą, zgoda?

Chłopiec skinął głową.

– Jego organizm nie radzi sobie z tego typu jedzeniem – wyjaśniła, patrząc na Kathy.

Michel złapał Kathy za rękę i pociągnął ją w kierunku wyjścia.

– Dopilnuję, żeby nie jadł byle czego – zdążyła zapewnić Kathy, zanim zatrzasnęły się za nimi drzwi.

Gdy tylko Carol usiadła, Karl oznajmił:

– Mam pewną teorię. Wydaje mi się, że kieruje tym przedstawiciel naszego gatunku.

– Też mi się tak wydaje – zgodził się André.

– Tylko w jakim celu? – spytał David. – Do niedawna na moje życie nastawiali jedynie śmiertelnicy. Najpierw Kathy, a potem Dennis, Wężowy Kapłan, Reesone...

– Co masz na myśli, mówiąc „najpierw Kathy”? – zdziwił się Karl.

– Sądziłem, że opowiedziała wam całą historię, włącznie z tym, jak przyjechała do Manchesteru mnie zabić.

Obecne w pokoju osoby poruszyły się niespokojnie. W końcu odezwał się Karl:

– Powiedziała nam, że to Dennis próbował cię zabić w Manchesterze. Natknęła się tam na ciebie pewnej nocy, a potem pomogła odnaleźć go w Nowym Jorku.

David nie wiedział, co myśleć.

– Najlepiej będzie, jak sam wam wszystko opowiem – stwierdził i zaczął od samego początku.

W połowie historii Carol wstała.

– Zadzwoń do Michela.

André ujął ją za dłoń.

– Poczekaj, jest jeszcze wcześnie. Dopiero dziewięta trzydzieści. Daj im jeszcze pół godziny.

Carol wróciła na miejsce.

Pół godziny później opowieść Davida dobiegła końca.

– *Mon ami*, szkoda, że od razu nie poznaliśmy wszystkich szczegółów – powiedział André.

Carol podniosła się gwałtownie. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Chcę do nich zadzwonić. Michel wymógł pewnie na Kathy, żeby kupiła mu wszystko w zasięgu wzroku.

Wyszła do kuchni, by wykonać telefon, ale chwilę później wróciła do salonu, ściskając w dłoni czerwoną komórkę Michela.

– Jadę do parku – oznajmiła.

Gdy André odprowadzał Carol do drzwi, Gerlinde powiedziała do Davida:

– Boże! Przeszliście razem przez istne piekło.

– Kathy nie mówiła, że była uzależniona od heroiny – zauważył André po powrocie na kanapę. – Nie wspomniała również, że jej brat zginął w wypadku samochodowym.

David zaczynał się martwić. Wydawało mu się, że Kathy zdołała pogodzić się z prawdą, ale najwyraźniej znowu jej zaprzeczała. Czyżby wypierała się również tego, że sama próbowała go zabić? Sprawiała wrażenie zrównoważonej do tego stopnia, że miał zamiar odbyć z nią rozmowę o tym, iż Bobby był jej synem. David sądził, że jest już wystarczająco silna na konfrontację z rzeczywistością. A zależało mu, by doszło do niej przed przemianą.

– W każdym razie teoria wydaje się sensowna – zmienił temat Karl.

– Ta cała operacja została niezwykle starannie zaplanowana, nie mówiąc o zastosowaniu pomieszczenia stworzonego specjalnie do uśmiercania przedstawicieli naszego gatunku. Myślę, że tylko ktoś taki jak my byłby do tego zdolny.

– Tylko po co miałyby korzystać z pomocy śmiertelników? – spytał André.

– Bo nam zbyt trudno przychodzi zabijanie siebie nawzajem – odparł Karl.

– Każdy z nas byłby w stanie wepchnąć Davida do tamtego pomieszczenia – zauważyła Gerlinde. – Mam przez to na myśli konieczną do tego celu siłę, a nie chęci.

– Tak, ale David miałby się na baczności, gdyby wyczuł kogoś podobnego sobie. Śmiertelników nie postrzegamy jako zagrożenia, więc i nie zwracamy na nich uwagi.

Gerlinde skinęła głową.

– Plan był niechlujny – zauważył David. – Liścik, który nakazywał przybycie po zmroku...

– Dobry przykład – wtrącił Karl. – Każdy śmiertelnik zna opowieści o Drakuli. Wampiry zabija się za dnia. Osoba, która to napisała, zdawała sobie sprawę, że będziesz mógł się bronić.

– Ale dlaczego Kathy się na to zgodziła? – spytała Gerlinde.

– Bo była ćpunką tak bardzo żądną narkotyków i zdezorientowaną śmiercią brata, że nie myślała trzeźwo – wyjaśnił Karl. – Wybrali ją dlatego, że wiedzieli, iż uda ci się ją powstrzymać. I darujesz jej życie. Ten ktoś zna cię niezwykle dobrze.

– Wiedzieli, że jej nie zabijesz z jeszcze innego powodu – odezwał się André, a potem zrobił pauzę. – Kathy wygląda jak Ariel.

David poczuł się, jakby wymierzono mu policzek.

– Może trochę. Dostrzegam czasem pewne podobieństwo, niektóre gesty...

– *Mon ami*, mogłyby być bliźniaczkami.

David pokręcił głową.

– To prawda – potwierdził Karl. – Od razu dostrzeżliśmy to z André.

– Przecież jej włosy i oczy...

– Różnią się tylko odcieniem.

David przesunął dłonią po czubku głowy. Stare włosy zostały spalone, a nowe miały dopiero długość jakichś dwóch centymetrów.

– Być może sam już zapomniałem, jak wyglądała Ariel. – Rozejrzał się wokół bezradnym wzrokiem.

André wstał i usiadł obok niego.

– Osoba, która ją wysłała, wiedziała o twoim związku z Ariel.

– Przecież nie wiedział o nim nikt oprócz was. No i Chloe.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do salonu wpadła Carol z przerażoną miną.

– André! Porwali Michela!

– Co ty wygadujesz? – André zerwał się na równe nogi i chwycił ją za ramiona, badając wzrokiem jej twarz.

– Michel został uprowadzony. Wsiedli z Kathy do jakiegoś samochodu.

– Co się stało? – Gerlinde też wstała, tak jak oni wszyscy.

– Nie mogłam do was zadzwonić, bo rozładowała się bateria w telefonie Michela...

– Spokojnie – powiedział Karl. – Co się dokładnie wydarzyło?

Carol wyjaśniła drżącym głosem:

– Byli w parku. Widział ich jakiś staruszek. Nie chciał ze mną przyjechać, ale mam jego numer telefonu. – Trzęsącymi się dłońmi podała André kartkę papieru. – To Francuz z północy. Nie zna angielskiego, mówi z mocnym akcentem i o wiele za szybko, żebym była go w stanie zrozumieć.

André zaczął wykręcać numer, a reszta obecnych zgromadziła się wokół Carol. Rozmowa, którą odbył, była krótka. Gdy dołączył do grupy, na jego twarzy odmalowywały się strach oraz wściekłość.

– Powiedziała, że podjechała do nich długa furgonetka. Od strony pasażera wysiadła z niej jakaś kobieta. Zamieniła kilka słów z Kathy,

a potem cała trójka wsiadła do samochodu. Michel i Kathy nie stawiali oporu. Kierowca był mężczyzną. Staruszek nie widział go zbyt wyraźnie, bo okna były przyciemniane, ale zauważył, że wyrzucił przez okno niedopałek czarnego papierosa. Ta kobieta... – André obrócił się do Davida. – To była Ariel.



## Rozdział 23

Coś mnie tknęło! – zawołała Carol. – Gdybym nie pozwoliła mu iść z Kathy, nie doszłoby do tego.

André wziął ją w ramiona.

– Nie. Chciałaś zadzwonić do nich już wcześniej, ale cię powstrzymałem.

– Żadne z was nie jest winne. Powinienem być się domyślić, że będą nas śledzić. – David usiadł z ponurą miną.

Przepełniało go coś więcej niż zwykle wyrzuty sumienia. Dręczyły go potworne myśli. Kathy poszła z nimi z własnej woli, a wcześniej skłamała, opowiadając André, Karlowi i kobietom o tym, co się stało.

Dotarło do niego coś jeszcze. Gdy wyznała mu w Manchesterze, że przedstawiciele jego gatunku zawiązali spisek przeciw niemu, zbył jej opowieść jako bajkę wymyśloną naprędce w celu zdobycia narkotyków. Teraz zaczynał jednak podejrzewać, że Kathy od początku znała prawdę.

– Przestańcie sobie robić wyrzuty – powiedział Karl zniecierpliwionym głosem, przeczesując włosy dłonią. – Musimy rozpocząć poszukiwania.

– Oczywiście, masz rację – zgodził się André, który, nie wypuszczając Carol z objęć, odwrócił twarz do reszty obecnych. – Wrócimy do parku, żeby dowiedzieć się, czy ktoś jeszcze coś widział. Furgonetka była ciemnoniebieska. Staruszek opisywał jej długość jako nietypową, więc pewnie jest amerykańskiej marki, a po bokach i z tyłu ma przyciemniane, zaokrąglone okna. Przejedźcie się dookoła parku? Wiecie, czego szukać.

– Robi się – odparła Gerlinde. – Karl, weź volvo, a ja pojedę fiatem.

Gdy André się obrócił, David ledwo był w stanie znieść przepełnione bólem, oskarżycielskie spojrzenie swego przyjaciela.

– Poczekasz tu? Twój stan nie pozwala na bieganie po okolicy. Potrzebujemy też kogoś, kto będzie odbierał telefon.

David skinął głową. Zrobił krok w kierunku przyjaciela.

– André... Nie wiem nawet, co powiedzieć...

– Wcale cię nie obwiniam. To Ariel. I Kathy.

– Nie Kathy. Jestem przekonany, że zabrali ją ze sobą wbrew jej woli.

– Jest taka sama jak Ariel.

– Nie! Musi być jakieś inne wyjaśnienie.

– Okłamała nas – przypomniał Karl. – A potem bez oporu wsiadła do samochodu. Do tego są podobne jak dwie krople wody...

– Nie jest w to zamieszana. Jestem tego pewny.

– Już kiedyś zostałeś wykorzystany, *mon ami* – powiedział André, a potem, zanim David zdążył odpowiedzieć, dodał: – Lepiej już chodźmy.

David został sam przy telefonie. Karl zasugerował przed wyjściem, żeby zadzwonił do Austrii i opowiedział Chloe i Julienowi o tym, co się stało. Czekaając na połączenie, David zaczął rozmyślać.

Sytuacja była nad wyraz dziwaczna. Musiano zaplanować ją tak, aby możliwa była wymiana Kathy i Michela na niego. Tylko po co? Kathy przecież mogli porwać już wcześniej. Podobnie jak Michela. Co więcej, mogli doprowadzić do jego śmierci już w Vancouver, powstrzymując Kathy. Było dla niego oczywiste, że to nie o nią im chodzi. A może jednak? Przecież skłamała, a ponadto, jak wytykali mu Karl i André, z wyglądu bardzo przypominała Ariel, której udział w tej sprawie mógł wiązać się z perwersyjnymi motywami działania. Głowa go bolała na samą myśl.

W słuchawce odezwał się głos Juliana, którego poznał zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej. David zwięźle nakreślił mu swoją sytuację, a potem poinformował o uprowadzeniu.

– Zaiste, dziwaczna historia – przytaknął Julien, w którego angielskim pobrzmiwały ślady francuskiego akcentu.

– Może powinieneś tu przyjechać?

– Być może. Chloe z pewnością będzie chciała wrócić do Montrealu. Najlepiej będzie, jeśli reszta z nas pozostanie tu, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej. Ariel może być wszędzie. Opowiedz mi o niej, Davidzie. Spotkałem ją kiedyś, ale nasza relacja była przelotna i miała miejsce wiele wieków temu. Szybko zdała sobie sprawę, że nie obejmie nade mną kontroli, a mnie znużyły jej wysiłki mające na celu odwrócenie tej sytuacji.

David się skrzywił.

– Tak, preferuje mężczyzn, których może trzymać w garści. Jest bardzo skryta. Wydaje mi się, że to Irlandka. Jestem przekonany, iż pochodzi z Europy. Miałem też wrażenie, że jest dosyć stara.

– Nasze spotkanie miało miejsce pod koniec osiemnastego wieku w Wenecji. Jej aura już wtedy nosiła znamiona sędziwości, choć nie należała do *ancien régime* tak jak ja – przypominał sobie Julien z chichotem.

– Oznajmiła mi kiedyś, że woli Europę od Ameryki Północnej – powiedział David. – I gdyby nie jej niechęć do podróży samolotem, częściej by się tam pojawiała. Wspomniała też o kimś, z kim spotykała się przede mną.

David zaskoczyło ukłucie bólu i złości, jakie wywołało w nim wspomnienie Ariel dręczącej go opisem byłego kochanka.

– To jeden z nas. Nazywała go Anthonyem.

– Anthony? Włoch?

– Nie jestem pewny.

– Rzecz jasna, w naszym przypadku imiona niewiele zdradzają. Powiedz, Davidzie, czy w trakcie trwania waszego związku kiedykolwiek czerpałeś z niej krew? Czy potrafiłbyś ją wytropić?

David poczuł ukłucie wstydu.

– Nie. Za to ona czerpała ze mnie i jest w stanie mnie śledzić.

– Zatem przez cały czas wiedziała, gdzie się znajdujesz, o czym warto pamiętać. Być może nie miałeś jeszcze okazji tego odkryć, ale czerpanie krwi z przedstawicieli naszego gatunku różni się od picia krwi śmiertelników, w przypadku których więź jest o wiele bardziej bezpośrednia. Jeśli o nas chodzi, więzy krwi mają znaczenie poboczne. Ariel może cię wytropić, ale nie tak szybko i efektywnie, jak ty możesz namierzyć Kathy.

– Chcesz przez to powiedzieć, że jestem w stanie odnaleźć Kathy, nawet jeśli została uprowadzona wbrew swojej woli? Jak to możliwe? Zasięg, jaki udaje mi się osiągnąć, gdy próbuję wyczuć śmiertelników, pozostaje w relacji do ich myśli, uczuć i wspomnień wyssanych przeze mnie wraz z ich krwią.

– Proces jest identyczny – zew krwi. Gdy uda ci się uchwycić w sobie jej esencję, skup się po prostu na przyszłości zamiast na teraźniejszości czy przeszłości. Krew cię poprowadzi.

Po zakończeniu rozmowy David zanurzył się w sobie w poszukiwaniu śladów jaźni Kathy. Smak oraz zapach jej krwi przybrały formę sensorycznych hologramów. W pokoju ciągle unosiły się pozostałości jej obecności, więc dał się poprowadzić smakowo-zapachowym wrażeń poprzez czas – niczym w trójwymiarowym filmie. Przeniósł się za ich pośrednictwem do wnętrza jej skóry i miał

wrażenie, że staje się częścią jej ciała. Kathy znajdowała się w parku z Michele, wsiadała do furgonetki, która ruszyła, a jakiś czas później się zatrzymała. Następnie zaczęła iść, rozmawiać z kimś. Rozejrzała się. Czekala.

David odłączył kroplówkę z osoczem, po czym rozmroził w mikrofalówce litr krwi, który wypił duszkiem. Nałożył pas na pieniądze zawierający oprócz gotówki paszporty jego i Kathy. Zostawił liścik dla nieobecnych.

David zbiegł na główną ulicę tak szybko, jak pozwalały mu na to poranione, zwiotczałe mięśnie. Następnie pojechał taksówką na dworzec kolejowy.

Popędził przez Gare Centrale w kierunku peronu numer dwa, na który wjechać miał z zachodu pociąg jadący do Halifaxu. Biegając, omiatał wzrokiem pasażerów stojących na swoim i przeciwległym peronie, gdzie zatrzymać się miał pociąg do Toronto. Rozglądał się na wszystkie strony, ale nigdzie nie dostrzegł przedstawicieli swojego gatunku. Wyraźnie wyczuwał jednak obecność i ich, i Kathy, a intensywność tego wrażenia sprawiała, że powietrze trzeszczało od energii.

Nagle dostrzegł promień światła znikającego w poczekalni znajdującej się na peronie przed nim. Gdy dotarł na skraj swojego peronu, spojrzął na drugą stronę torów. Zza drzwi poczekalni wynurzyła się Ariel, mocno trzymając Michela za ramię. Chłopiec wyglądał na wystraszonego.

Jej widok po tak długim czasie wytrącił Davida z równowagi.

Uśmiechnęła się do niego przez dzielącą ich przestrzeń. Mówiła cichym, uwodzicielskim głosem, którego nie był w stanie usłyszeć żaden śmiertelnik.

– Wiedziałam, że się pojawisz. Czułam to. Jesteś niesamowity. Można na tobie polegać.

Za Ariel wyrósł Reesone, z którego teraz również emanował blask – musiała go zmienić. Reesone ciągnął za sobą Kathy.

– Davidzie! – zawołała.

Widok stojących obok siebie Kathy i Ariel był dla niego szokiem. Już wcześniej rozmyślał na temat ich podobieństwa, ale do tej pory nie docierało do niego, jak daleko było posunięte, i zaczął zachodzić w głowę, jakim cudem umykało mu coś, co było tak nachalnie oczywiste dla André i Karla. Zupełnie, jakby został poddany hipnozie.

Reesone otoczył szyję Kathy ramieniem.

– Jeszcze jedno słowo i złamię ci kark – zagroził.

Za nimi stało jeszcze sześciu nieznanych mu przedstawicieli jego gatunku, co razem dawało ośmiu przeciwników. Taka ich liczba przekraczała jego możliwości, nawet gdyby był u szczytu formy.

Świadoma jego frustracji Ariel parsknęła śmiechem.

– Jest nas o wiele więcej, Davidzie. Istna armia.

– Dlaczego? – W jego głosie pobrzmiwała bezsilność, która wywołała szeroki uśmiech na twarzy Reesone’a.

Ariel też obdarzyła aktora tajemniczym uśmiechem, a do Davida powiedziała:

– Co „dlaczego”, mój kochany? Zawsze trawiła cię tak wielka ciekawość.

– Dlaczego porwałaś Kathy i Michela?

– Jakiś czas temu twoja mała kochanica i ja skosztowałyśmy nawzajem swojej krwi. Namierzanie śmiertelników jest takie łatwe, a ty zawsze byłeś pod moim urokiem, nieprawdaż, moja słodka?

Ariel pogłaskała włosy Kathy, która odsunęła głowę i zawołała:

– Davidzie, nie słuchaj jej! Naprawdę cię kocham!

– Jakie to urocze! – zaśmiała się Ariel. – A do tego romantyczne. Wydaje jej się, że jesteś jej Romeem, a ona twoją Julią. Historia tragiczna, aczkolwiek niepozbawiona piękna.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział David, próbując grać na zwłokę, żeby mieć czas obmyślić strategię działania.

Z odległej części torów dobiegł go gwizd. Chwilę później, jak gdyby w odpowiedzi, rozległ się kolejny, tym razem dochodzący z przeciwnej strony. Niedługo na perony miały wjechać dwa pociągi.

– Wysłałam to nadobne dziewczę z misją oczarowania cię, drogi chłopcze. Spójrz na nią tylko. Jakim cudem mogłoby się jej to nie udać? Gdy doszły nas słuchy na temat dziecka – pogłaskała Michela po głowie i on także odsunął głowę – wiedzieliśmy, że musimy je zdobyć. Chłopiec jest absolutnie wyjątkowy. Ich dom w Bordeaux stał pusty. Po André nie było ani śladu. Wiesz sam, jak skrupulatni potrafimy być, gdy postanawiamy zniknąć. Jedyнным sposobem na odnalezienie dziecka było wytropienie André, a to z kolei mogliśmy osiągnąć tylko dzięki tobie. Nie mogłam cię tak po prostu spytać o jego adres, bobyś go ostrzegł, a on i tak z natury jest niezwykle podejrzliwy. Rozważałam użycie siły, ale w pewnych kwestiach potrafisz być niewiarygodnie uparty, która to cecha doprowadza mnie do szału. Zresztą, Davidzie, zdajesz sobie przecież sprawę, jak dobrze pasujesz

do roli męczennika! Nigdy nie zdecydowałbyś się na porzucenie swej przytulnej krypty, gdybyś nie miał ku temu dobrego powodu. A ona okazała się świetnym katalizatorem zachodzącej w tobie zmiany, nieprawdaż? Jesteśmy odległymi krewnymi, dzielą nas zaledwie wieki. A jej krew jest nie tylko gęstsza, ale też smaczniejsza!

Ariel parsknęła śmiechem.

– Podobno wyglądamy podobnie. Zgodzisz się?

Pociągi zbliżały się coraz bardziej i David krzyknął w myśli:

„Skup się! W jaki sposób mógłbym się do nich dostać?”.

Miał ochotę rzucić się po prostu przez tory, ale nawet jeśli udałooby mu się uniknąć zgniecenia przez potężne lokomotywy, zostałoby rozerwany na strzępy przez ośmiu ochroniarzy Ariel, a Kathy i Michel utraciliby szansę na odzyskanie wolności.

– Zadałaś sobie tyle trudu tylko po to, żeby porwać Michela? – spytał z niedowierzaniem.

– Oczywiście. Nie miałam w planie unicestwienia cię. Cóż by to była za strata. Jesteś na to stanowczo zbyt atrakcyjny, a przynajmniej byłeś.

Jej uśmiech trącił teraz kokieterią.

– I tak wysłałabym ją do domku myśliwskiego, ale sama wykazała się inicjatywą. Niestety, atrium było koniecznością. To jeden z pomysłów Donalda.

Obróciła się nieznacznie, a Reesone sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego.

– Jeden z nielicznych, który zadziałał – dodała chwilę później tonem głosu kojarzącym się z drutem kolczastym, a Reesone’owi momentalnie zrzędał mina.

– Taki z ciebie odludek, Davidzie, że musieliśmy użyć siły, abyś doprowadził nas do swych przyjaciół. Nie masz nawet pojęcia, jak wyjątkowy jest ten chłopiec. To genetyczna hybryda, która zmieni przyszłość naszej rasy. Zamierzam użyć go do założenia hodowli nowej formy życia – jedynej w swoim rodzaju mieszanki istot śmiertelnych i nieśmiertelnych. Pomyśl tylko o możliwościach, jakie to otworzy – ulegli przedstawiciele nowo powstałej rasy będą w stanie bez najmniejszych problemów poruszać się w świetle słonecznym. Krew przestanie im być niezbędna do życia, a i tak pozostaną nieśmiertelni. To nic innego jak szczytowe osiągnięcie w klonowaniu.

– To wszystko nie ma sensu.

Rykowi lokomotyw prawie udało się zagłuszyć głos Ariel.

– To bardzo proste. Tyle że ty, Davidzie, nigdy nie potrafiłeś

dostrzec rzeczyoczywistych. Nowa rasa będzie krucha. Bezbronna. Potrzebny jej będzie przewodnik, a nikt nie nadaje się do tego zadania lepiej ode mnie. Pożywię się krwią chłopca i w końcu ja też ulegnę zmianie.

Hałas i dezorientacja sprawiały, że rozgrywająca się scena przytłaczała go i nie pozwalała myśleć logicznie. David wiedział jednak, że nie może dać za wygraną.

– Jesteś szalona! – zawołał.

Zaśmiała się.

– Nie szalona, tylko genialna. Gdy dostąpię przemiany, będę w stanie cieszyć się światłem dziennym tak jak najprostsze nawet formy życia, a i tak nie utracę nieśmiertelności. Będzie należeć do mnie zarówno świat światła, jak i mroku! Stanę się wolna!

W spojrzeniu Ariel czaiło się szaleństwo, ale jej głos ponownie stał się uwodzicielski.

– Powinieneś się zastanowić nad dołączeniem do mnie, Davidzie.

Po jej stronie torów na stację zaczął wtaczać się pociąg, wprawiając beton pod wrażliwymi stopami Davida w drzenie. Nagle Michel ugryzł Ariel w nadgarstek. Zachłysnęła się powietrzem, a jej wargi rozwarły się wściekle, obnażając ostre kły. Odruchowo odepchnęła chłopca od siebie, a ten wskoczył na tory, o włos unikając śmiertelnego zderzenia z jadącym na zachód pociągiem. Michel znalazł się tuż przed pociągiem zmierzającym na wschód. Rozległ się gwizd.

– Michel, szybko! – zawołał do niego David.

Wyciągnął rękę i chwycił chłopca, a następnie wyciągnął go na peron tuż sprzed czoła lokomotywy pociągu do Halifaksu.

David i Michel puścili się biegiem po zatłoczonym peronie, a potem wybiegli z dworca i wsiedli do taksówki. Przez tylne okno samochodu David patrzył, jak trzech mężczyzn z obstawy Ariel wsiada do ciemnej furgonetki.

– Zapłacę podwójnie, jeśli zgubi pan śledzącą nas furgonetkę – powiedział David do kierowcy, z trudem łapiąc oddech. – Tę niebieską.

Taksówkarz spojrział na twarz Davida z mieszaniną litości i odrazy, a następnie przyjrzał się widocznej we wstecznym lusterku furgonetce.

– To nie policja? – spytał po angielsku z mocnym francuskim akcentem.

David położył dłoń na kolanie Michela, dając mu znak, aby siedział cicho.

– Chodzi o opiekę nad dzieckiem. Matka chłopca chce, żeby z nią

mieszkał, a ja nie.

– *Entendu*<sup>26</sup>! – Kierowca skinął głową i wcisnął gaz do dechy. Dwanaście przecznic dalej furgonetka zniknęła im z zasięgu wzroku.

– Proszę się tu zatrzymać!

Gdy kierowca obrócił się po pieniądze, David spojrzał mu prosto w oczy.

– Ma pan ołówek i kartkę papieru?

Mężczyzna podał mu wspomniane przedmioty, będąc wyraźnie pod wpływem hipnozy. David jeszcze przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem napisał na kartce dwa zdania: *Ty masz Kathy, a ja Michela. Przemyśl to.*

Złożył liścik, napisał na nim imię Ariel, a potem podał go kierowcy wraz z banknotem studolarowym.

– Niech pan jedzie na lotnisko położone jak najdalej od miasta. Jeśli ktoś będzie o nas pytać, proszę powiedzieć, że tam nas pan wysadził i kazałem przekazać tę wiadomość osobie zadającej pytanie. Gdy będzie po wszystkim, nie będzie pan niczego pamiętał.

Gdy tylko znaleźli się na chodniku, kierowca odjechał.

– Czemu tak powiedziałaś? – spytał Michel.

– Ariel z pewnością potrafi wytropić mnie za pośrednictwem krwi, ale zajmie jej to trochę czasu. Wkrótce zorientują się, że wcale nie pojechaliśmy na lotnisko, ale może da się ocalić kierowcę. Jej ochroniarze dopiero niedawno rozpoczęli ten rodzaj życia, więc mogą nie być w stanie dostrzec nic poza sugestiami, które umieściłem w jego podświadomości; chociaż z drugiej strony i tak mogą postanowić go zabić. Liścik ma powstrzymać Ariel przed skrzywdzeniem Kathy. Chodźmy.

Poprowadził Michela do znajdującej się po drugiej stronie ulicy wypożyczalni samochodów.

– Jak najszybciej dojadę do stanu Nowy Jork? – spytał po podpisaniu formularzy najmu i wręczeniu sporej zaliczki mężczyźnie za kontuarem.

– Wydawało mi się, że miał pan zamiar udać się do Chicago – odparł pracownik wypożyczalni, podnosząc wzrok.

– Tak. Pytam z ciekawości. Nie zdawałem sobie sprawy, że stan Nowy Jork leży aż tak blisko. – David od niechcienia zerknął na wiszącą na ścianie mapę.

– No cóż, można przejechać przez Quay Richelieu, udać się na wchód albo pojechać na południe w kierunku Lacolle i dostać się do



Champlain w stanie Nowy Jork. Są też przejścia graniczne w Hemmingford i na rzece Trout... Ostatecznie zawsze można się prześlizgnąć – zaśmiał się mężczyzna.

David spojrział na niego z uwagą.

– To możliwe?

– Amerykanom wydaje się, że nie, ale takie rzeczy się zdarzają. Pomiedzy przejściami granicznymi biegnie wiele małych dróg. Oczywiście Amerykanie postawili wzdłuż nich ogrodzenie, a gliniarze patrolują te miejsca z powodu nielegalnych imigrantów, którzy przyjeżdżają do Kanady, a potem próbują dostać się do Stanów. I przemytników narkotyków. Nie mówiąc już o terrorystach.

David uśmiechnął się szeroko.

– Niesamowite, jak zdeterminowani są niektórzy ludzie.

– To prawda. – Mężczyzna odpowiedział uśmiechem i podał mu kluczyki i dokumenty.

– W takim razie myślę, że najpierw pojedziemy do stanu Nowy Jork, a potem udamy się na zachód do Chicago – oznajmił David.

– Na pana miejscu pojechałbym do Toronto, potem do Windsoru, a następnie przekroczyłbym granicę w Detroit. Benzyna jest tańsza w Stanach, ale u nas jest dozwolona wyższa prędkość. To pozwoli zaoszczędzić trochę czasu.

– Fantastycznie. Pewnie tak właśnie zrobimy – odparł David, wychodząc z Michelem z wypożyczalni. Wsiedli do samochodu i David przejechał kilka przecznic, po czym zatrzymał się przy automacie telefonicznym.

Głos André odezwał się w słuchawce, gdy tylko Michel wstukał na klawiaturze numer jego telefonu komórkowego. Ojciec chłopca miał głos człowieka oszalałego ze zmartwienia.

David wszedł mu w słowo:

– André, posłuchaj. Jesteście wszyscy razem?

– Tak. Jesteśmy w domu. Dlaczego stąd wyszedłeś? Dowiedziałeś się czegoś na temat Michela?...

– Słuchaj uważnie. Nie ma czasu. Natychmiast wyprowadź wszystkich z domu. Jesteście w niebezpieczeństwie. Zapisz sobie ten numer. – Podyktował mu numer automatu telefonicznego. – Zadzwoń do mnie za trzy minuty, gdy oddalicie się od domu o chociażby przecznicę.

David odłożył słuchawkę i rozejrzał się dookoła.

– Miej oczy szeroko otwarte, Michelu. Potrafisz rozpoznawać

przedstawicieli naszego gatunku?

– Tak – powiedział chłopiec i zaczął przeczesywać wzrokiem cztery otaczające ich ulice.

Trzy minuty później zadzwonił telefon i David błyskawicznie porwał słuchawkę z widełek.

– Davidzie, co się dzieje? Gdzie jesteś?

– Jest ze mną Michel.

Po drugiej stronie połączenia rozległo się donośne westchnienie ulgi.

– Daj go do telefonu.

– Dobrze, ale streszczajcie się.

– Tato? Tak. Nic mi nie jest. Tak. Jesteśmy na...

David zakrył mikrofon słuchawki dłonią.

Chłopiec podniósł wzrok, a jego oczy na nowo wypełnił lęk, potem jednak powiedział:

– Obu nam nic nie jest. Cześć, mamó.

Gdy Michel rozmawiał z rodzicami, David zajął się obmyśleniem planu. Następnie wziął słuchawkę od chłopca.

– André?

– Chwileczkę. – Carol przekazała słuchawkę ukochanemu, który spytał:

– Gdzie jesteście, Davidzie? Przyjedziemy prosto po was.

– Nie jest wystarczająco bezpiecznie.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Ariel mnie tropi, a nie mogę zostawić Michela samego, by na was czekał. Ariel ma towarzystwo. Jest z nią przynajmniej ośmiu ochroniarzy, a sugerowała, że jest ich dużo więcej. Nadal mają Kathy. Myślę, iż w każdym momencie mogą pojawić się u was w domu.

– Poczekaj chwilę...

Gdy André znowu się odezwał, był wyraźnie zszokowany.

– Gerlinde wróciła do domu, by zabrać pieniądze z sejfu. Z ukrycia widziała pięciu mężczyzn. Podpalili dom.

Zapadła cisza. W końcu David powiedział:

– André, jesteście w niebezpieczeństwie. Wszyscy jesteśmy. Myślę, że powinniście wyjechać z kraju – polecieć dwójkami do Juliana, obierając określoną drogę.

– Zgoda. Spotkamy się, żeby odebrać Michela...

– Zamierzam się przemieszczać, dopóki nie znajdę bezpiecznego miejsca, w którym mógłbym go ukryć, i dopiero wtedy go wam przekażę. Jak już wspomniałem, nawet w tej chwili jestem

namierzany...

– Umówmy się zatem od razu na przekazanie Michela...

– André, im właśnie o niego chodzi. Od samego początku gra toczyła się właśnie o Michela, a ja zostałem wykorzystany jako łącznik z tobą.

Obaj mężczyźni zamilkli na chwilę, a potem David powiedział:

– Zaufaj mi.

– To rozumie się samo przez się, *mon ami*. To Ariel nigdy nie ufałem.

– Musimy już jechać. André, odezwę się, gdy będziemy w bezpiecznym miejscu.

Po odłożeniu słuchawki David kazał Michelowi wsiąść do wynajętego samochodu. Gdy odbijał od krawężnika, poczuł w powietrzu wyładowania elektryczne, a chłopiec krzyknął:

– To ta furgonetka!

## Rozdział 24

Opony zapiszczały na asfalcie, gdy ich samochód skręcał za róg. David ruszył wąską boczną uliczką, zignorował znak stop, po czym skręcił raz jeszcze. Po furgonetce nie było ani śladu.

– Może nas nie zauważyli – powiedział do Michela. – Ale i tak wkrótce wpadną na nasz trop.

– Gdzie jedziemy?

Chłopiec był wystraszony, więc David wyciągnął dłoń i zmierzwił mu czuprynę. Bardzo przypominał André. Ogarnęło go niespodziewane – zwłaszcza zważywszy na okoliczności – uczucie szczęścia.

– Michelu, czy przed moim pojawieniem się u was twój tato opowiadał ci o mnie?

– Pewnie. I to dużo. Mogę włączyć radio?

– Śmiało.

Gdy Michel zaczął kręcić gałką, David powiedział:

– Rozumiesz zatem, że jesteście bardzo dobrymi przyjaciółmi. Nigdy nie skrzywdziłbym ani André, ani ciebie.

– Wiem – odparł Michel, nie patrząc na niego, zaabsorbowany dostrajaniem radia do jakiejś stacji rockowej.

– Czy Ariel pobrała twoją krew?

Chłopiec pokręcił głową.

– Będziesz musiał mi zaufać.

Michel nie odpowiedział, wyjrzał tylko przez okno, a potem nagle spytał:

– Czy Ariel chciała mnie poparzyć tak jak ciebie?

David wjechał na autostradę ciągnącą się w kierunku południowym. Zerknął na zegarek i prędkościomierz. Za jakąś godzinę powinni dotrzeć na granicę.

– Obawiam się, że miała w planie coś innego. Ale nie pozwolę ciebie skrzywdzić i zabiorę w bezpieczne miejsce. A potem pojedę po Kathy.

– W jaki sposób chcesz ją odzyskać?

David też się nad tym zastanawiał.

– Jestem w stanie ją wytropić – powiedział.

Odnalezienie jej nie było jednak największym problemem. Trudność

polegała na tym, że przeciwników było tak wielu. Mogli ją zabić, by powstrzymać go przed namierzeniem ich. Chyba że Kathy od początku była we wszystko zamieszana. Zdławił tę myśl, gdy tylko pojawiła mu się w głowie. Mógł się założyć, że Ariel utrzyma ją przy życiu, wierząc, że może wymienić Kathy na Michela.

Jechali przez południowy Quebec usiany farmami i małymi miścinami. Wzniesione z drewna lub szarego kamienia budynki utrzymane były w uroczym francuskim stylu kojarzącym się z prowincją. Z drzew klonowych w szybkim tempie sypały się czerwone, pomarańczowe oraz żółte liście.

David był w stanie rejestrować orgię ich barw przy użyciu wzroku pozwalającego na widzenie w ciemności, był jednak zbyt zajęty, aby rozkoszować się tym spektaklem. Doskwierał mu fizyczny ból i wkrótce miała mu być potrzebna dawka świeżej krwi. I to duża.

Minęli Saint-Jean-sur-Richelieu – ostatnie większych rozmiarów miasto na trasie. Potem były już tylko niewielkie miejscowości takie jak Saint-Blaise czy Saint-Paul-de-Ille-aux-Noix, a następnie skierowali się na zachód w kierunku Hemmingford.

David spytał w pewnym momencie:

– Co właściwie wydarzyło się w parku?

– Ariel podeszła do Kathy i powiedziała, że jesteś ranny i powinniśmy z nią jechać. Potem dodała, że mój tato został poszkodowany. Mówiła, że w domu wybuchł pożar i powinniśmy tam szybko wracać, bo możesz nie przeżyć.

– Czy Kathy знаła się z Ariel?

– Nie wiem.

Teoretycznie Ariel mogła łąć na temat picia krwi Kathy, ale David obawiał się, że mówiła prawdę. Prawdopodobnie zrobiła to, korzystając z nieświadomości dziewczyny. Przynajmniej miał nadzieję, że udział Kathleen miał miejsce wbrew jej woli.

– Co się potem stało?

– Gdy wsiedliśmy do furgonetki, Kathy zaczęła coś mówić. Chyba znała kierowcę. W samochodzie byli też inni faceci – jeden z nich ją uderzył i upadła, ale nic jej się nie stało. Potem się już nie odzywała, dopóki cię nie zobaczyliśmy.

Michel był porządnie wystraszony i kulił się przy drzwiach od strony pasażera.

– Przysuń się tu, dobrze? – poprosił David, a gdy chłopiec zbliżył się do niego, objął ramieniem jego drobne barki. – Niedługo będziemy już

w Stanach Zjednoczonych.

– Jedziemy do Chicago?

– Nie. Chciałem tylko, żeby człowiek z wypożyczalni tak właśnie myślał i przekazał tę wiadomość dalej. Ariel i tak nas namierzy, ale może trochę jej to utrudnimy.

Po Hemmingford znowu skręcili na południe i tym razem ruszyli nieutwardzoną drogą. W ciągu pół godziny dotarli do krzaczastych terenów, gdzie David zbadał kilka ścieżek prowadzących na południe. Większość z nich kończyła się ślepyimi zaułkami. W końcu jednak udało mu się znaleźć drogę, którą przecinało ogrodzenie z siatki zakończone drutem kolczastym i otoczone gęstymi zaroślami.

– Dlaczego się tak skradamy? – spytał Michel.

– Bo nie mamy dla ciebie dowodu tożsamości, a moja twarz jest pokiereszowana, co wywołałoby u śmiertelników podejrzliwość. Poza tym domyślam się, że Ariel będzie monitorować lotniska w Montrealu oraz główne przejścia graniczne.

David zakupił wcześniej szczypce do cięcia drutu oraz sporych rozmiarów nóż do mięsa, które to przedmioty wydały mu się przydatne. Najpierw wyrabiał część krzaków, a potem poprzecinał wystarczającą liczbę złączy ogrodzenia, żeby mógł odsunąć siatkę na bok i przejechać samochodem na drugą stronę. Chwilę po wjeździe na stronę amerykańską zatrzymał ich jasnozielony jeep z symbolem Straży Granicznej Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych wymalowanym na drzwiach. Tak jak spodziewał się David, prawdziwą ochronę nad bezpieczeństwem granicy sprawowały czujniki radarów.

Z samochodu wysiadło dwóch strażników w ciemnozielonych mundurach. Jeden miał na głowie pasującą do uniformu zieloną czapkę z daszkiem, a drugi kapelusz kanadyjskiej policji konnej. Światło reflektora punktowego zalało całą scenę jaskrawym blaskiem.

– Ręce do góry – powiedział chłodno niższy mężczyzna w kapeluszu, wyciągnąwszy broń.

– Rób, jak mówi – polecił David Michelowi, który wzniósł dłonie ponad głowę.

Wyższy, mocno zbudowany strażnik w czapce z daszkiem otworzył tylne drzwi jeepa, z których wyskoczył owczarek niemiecki. Mężczyzna przypiął smycz do obroży psa i poprowadził go w kierunku ich samochodu. Po otwarciu drzwi od strony kierowcy pies wskoczył do środka i zaczął obwąchiwać przednie siedzenia.

Niższy, szczuplejszy mężczyzna wyjął z przegródki na pasie kajdanki.

– Co macie nam do powiedzenia? Próbowaliście przemycić siebie i dzieciaka czy coś jeszcze?

David spojrział mu prosto w oczy ze skupieniem.

– Jeśli schowa pan broń, z pewnością będę w stanie przedstawić satysfakcjonujące wyjaśnienie.

Wpatrzony w oczy Davida mężczyzna opuścił rewolwer.

– Wygląda na to, że nie chodziło o narkotyki – powiedział wyższy strażnik, zatrzasnąwszy bagażnik samochodu Davida. Razem z psem zwrócił się ku swojemu partnerowi.

– Bill, co z tobą?

– Panie strażniku, poproszę o chwilę uwagi – powiedział David spokojnym głosem.

Pies zaczął warczeć, a funkcjonariusz przyjął pozycję strzelecką i wymierzył w Davida broń.

Chwilę później i mężczyzna, i pies rozluźnili się jednak – strażnik schował pistolet do kabury, a owczarek wyciągnął się na ziemi. David poinstruował strażnika o imieniu Bill, aby doniósł przez radio, że ogrodzenie zostało zaatakowane przez jakieś duże zwierzę, które musiał wyczuć skaner. Teren został zabezpieczony i wsparcie nie było potrzebne.

Przed odjazdem David pobrał krew od obu mężczyzn oraz psa. Skupienie, którego wymagało kontrolowanie ich umysłów, pochłonęło sporo energii. Potrzebował o wiele więcej krwi, ale nie było teraz na to czasu.

Gdy odjeżdżali, strażnicy słuchali muzyki w jeepie, a owczarek drzemał w tylnej części samochodu. Za kwadrans mężczyźni mieli odzyskać świadomość i odjechać, a żaden z nich nie będzie pamiętał o tym, co miało miejsce wcześniej.

Po powrocie na trasę David spojrział na niebo, chociaż właściwie nie było to konieczne. Wraz ze zbliżaniem się brzasku zaczynał czuć żar bijący od ognistej kuli równie wyraźnie jak bicie własnego serca. Wyglądało na to, że staje się coraz bardziej wrażliwy na działanie promieni słonecznych.

– Musimy natychmiast znaleźć miejsce, gdzie moglibyśmy pójść spać. Jeśli zobaczysz gdzieś motel albo znak go reklamujący, daj znać.

W końcu natknęli się na Troskliwe Sosny, niewielki motelik położony tuż przy autostradzie. David wynajął pokój na dwie noce,

dzięki czemu mogli przespać cały dzień i poprosić, aby sprzątanie odbyło się dopiero, gdy już się wymeldują. Dostali środkowy z siedmiu pokoi mieszczących się w różowo-zielonym budynku z desek, który przypominał Davidowi staromodny barak wojskowy. Wnętrze pomieszczenia pomalowano różnymi odcieniami zieleni i żółci, co dało nieciekawny efekt. Zadaniem widoczków w ramach z drewna sękatej sosny było ukrywanie pęknięć w ścianach. Szafa okazała się za mała nawet dla Michela.

David zaciągnął zasłony i zakrył okno kocem. Powiesił tabliczkę „Nie przeszkadzać” po zewnętrznej stronie drzwi, zaryglował je i zbudował barykadę wokół podwójnego łóżka przy użyciu materaca oraz komody i stolika nocnego przewróconych na bok. Drugi koc rozpiął nad powstałą w ten sposób przestrzeń. Razem z Michелеm wsunęli się pod łóżko.

– Nie znajdą nas tu, prawda? – spytał chłopiec, gdy już się umościli.

– Powinniśmy być bezpieczni – odpowiedział David.

Jednak w rzeczywistości wcale nie był tego taki pewien. Tak naprawdę nie miał wątpliwości tylko co do jednego: pragnął odnaleźć Kathy. Oraz – z całkiem innych powodów – Ariel.



## Rozdział 25

Kolejnej nocy, tuż po zachodzie słońca, David posilił się krwią pary w średnim wieku, która prowadziła motel. Ich niemłode już żyły pełne były nieczystości i śladów zwiastujących nadchodzące choroby, ale i tak pobrałby od nich jeszcze większą ilość, gdyby nie lęk, że mógłby ich tym uśmiercić. Litry życiodajnego płynu wyspany łącznie z mężczyzny i kobiety miał pozwolić mu utrzymać się przy życiu przez jakiś czas. Do pełnej rekonwalescencji niezbędna była nieustanna transfuzja. Do tego skręcało go od głodu nierozzerwalnie związanego z żądzą zemsty. David podejrzewał, że do wschodu słońca pożywi się przynajmniej raz jeszcze.

Po przejechaniu jakichś osiemdziesięciu kilometrów zjechali z autostrady do restauracji Denny's. Michel dosłownie rzucił się na krwisty stek i jajecznicę, a David wykonał telefon na koszt rozmówcy do Austrii, żeby pomówić z Julienem.

– Masz jakieś wieści od André? – spytał.

– Tak. Cała czwórka już tutaj zmierza. Mają pojawić się niedługo. Przywieziesz do nas Michela?

– Nie od razu, na razie to zbyt niebezpiecznie. Wydaje mi się, że siedzą nam na ogonie, i nie mogę ryzykować wsadzenia Michela na pokład samolotu lecącego do Europy. Ariel na pewno wzięła taką możliwość pod uwagę.

– Zgadza się. Czy istnieje jednak miejsce, w którym chłopiec byłby bezpieczny?

– Mam taką nadzieję. Zamierzam polecieć z nim do różnych miast, żeby utrudnić Ariel złapanie tropu, skoro tylko ona jest w stanie mnie namierzyć. Nie znosi latać, więc będzie zmuszona bez przerwy komunikować się ze swoimi ludźmi, żeby instruować ich, gdzie mają jechać. Taki rodzaj opóźnienia powinien wystarczyć. Zostawię Michela pod opieką zaufanej osoby. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Rozumiem. A gdy Michel będzie już bezpieczny? Nie możesz przecież uciekać przed nimi bez końca.

– Wtedy odzyskam Kathy.

Julien zrobił pauzę.

– Davidzie, nie poradzisz sobie z nimi w pojedynkę. Mogą ją zabić tylko po to, żeby powstrzymać cię przed śledzeniem ich za jej pośrednictwem.

– Raczej tego nie zrobią. Na każdym kroku zostawiam Ariel wiadomości dotyczące wymiany Michela na Kathy. Dopóki Michel nie opuści kraju, dopóty będzie im się wydawać, że jest pod moją opieką i zamiana ma szansę dojść do skutku. To powinno pomóc utrzymać Kathy przy życiu.

„Przynajmniej taką mam nadzieję” – pomyślał David, zastanawiając się, czy jest w stanie oszukać osobę równie przebiegłą co Ariel.

– Davidzie, musisz zdać sobie sprawę, że Kathy mogła pomagać Ariel od samego początku. Niewątpliwie jest przez nią kontrolowana.

– Przyszło mi to do głowy – odparł David, nie wając się przyznać, jak duża liczba wątpliwości tłoczyła się po kątach jego świadomości, do spółki z wiedzą na temat związku pomiędzy obiema kobietami. – Ale wątpię w to.

– Razem z tobą jest nas ośmioro – powiedział Julien.

David zawahał się przez chwilę. Propozycja była czystą formalnością – Julien wiedział równie dobrze jak on sam, że raczej nie byli w stanie mu pomóc.

– Od razu rzuciłaby im się w oczy grupa tej wielkości, a ja nie jestem nawet pewien, ilu ich jest. W pojedynkę jestem w stanie poruszać się szybciej. Myślę, że na razie tak będzie najlepiej.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

– Muszę zrobić to sam.

– Tak, rozumiem. – Julien zrobił pauzę. – Ale gdyby coś ci się stało...

Urwane zdanie sugerowało to, co oczywiste.

– Osoba, u której zostawię Michela, zostanie poinstruowana, żeby zadzwonić do was po upływie tygodnia i powiedzieć, gdzie jest chłopiec. Jeśli do tego czasu nie uda mi się znaleźć Kathy, będzie to oznaczać, że pewnie jej już nie znajdę albo że jedno z nas nie żyje.

Zapadła cisza.

– No dobrze – odezwał się w końcu Julien. – Poinformuję resztę. Zadzwoni, gdy tylko będziesz mógł. Davidzie, pamiętaj tylko, żeby wystrzegać się uporu i głupoty – cech, które przemiana tylko wzmaga. Pomożemy ci w takim stopniu, w jakim będzie to możliwe, zważywszy na nasze położenie. Wystarczy, że poprosisz.

– Dziękuję. – David poczuł wzbierające w piersi ciśnienie.

Zastanawiał się, dlaczego przez te wszystkie lata – jeśli nie liczyć znajomości z André i Karlem – czuł się tak bardzo samotny. Stało się dla niego jasne, że miał okazję nawiązać większą liczbę kontaktów niż ta, na którą sobie pozwolił. Szkoda tylko, że okoliczności, w których dokonał tego odkrycia, były równie bolesne.

Pojechali na zachód do Syracuse.

– Będą myśleć, że udaliśmy się do Chicago – wyjaśnił David Michelowi.

Zwrócili samochód i pojechali taksówką na lotnisko. David kupił dla nich bilety do Nowego Jorku. Ich samolot wystartował niecałą godzinę później, a po dwóch byli już na lotnisku Kennedy’ego. David szybko omiół wzrokiem tłum śmiertelnych podróżnych, ale nie dostrzegł wśród nich żadnych paranormalnych źródeł światła.

Zadzwoił z automatu na lotnisku.

– Pyszności u Mae – zgłosił się znajomy głos.

– Mae, tu David.

– Davidzie, co u ciebie słychać? Jest z tobą Kathy?

Poczuł ukłucie bólu.

– Nie w tej chwili, ale tak, jesteśmy razem. Mae, chcę poprosić panią o przysługę.

– No to proś.

– Zna pani chłopaka imieniem Frankie, który wystaje pod hotelem Alexander?

– Aha. – Głos kobiety stał się niższy i David wyobraził sobie grymas dezaprobaty rysujący się na jej wiekowej twarzy. – Co z nim?

– Muszę się z nim natychmiast skontaktować. Nie będę przesadzał, jeśli powiem, że to sprawa życia i śmierci. Może go pani poprosić, żeby oddzwonił pod ten właśnie numer?

– Chyba tak. Ale wiesz, ten chłopak jest średnio godny zaufania. Bierze narkotyki, nie pracuje...

– Mae, proszę. Musi do mnie zadzwonić tak szybko, jak to tylko możliwe. Telefonuję z automatu, przy którym będę stał przez kolejne pół godziny. Proszę nie mówić nikomu oprócz Frankiego o tym, że dzwoniłem.

– Ani mru-mru.

David i Michel stanęli w kącie, częściowo skryci za jakąś reklamą. Do telefonu cały czas ktoś podchodził, więc David zmuszony był ustawić się w kolejce. Gdy nadeszła jego kolej, podniósł słuchawkę, po czym dyskretnie przycisnął widełki i zaczął mówić w próżnię. Po

upływie jakiejś minuty zza pleców zaczęło go dobiegać gderanie ze strony oczekujących. Posłał kolejno nieśmiały uśmiech.

– Jasna cholera! – syknął stojący za nim mężczyzna.

Telefon zadzwonił i David zdjął palec z widełek.

– Sie ma, Dave, stary! Z tej strony Frankie, jak tam sprawa?

– Frankie, dziękuję za telefon. Potrzebna mi pomoc. Duża.

– Przysługa jak pieczony rak – tylko konieser doceni jej smak, tak?

– Coś w tym stylu. Czy zgodziłbyś się natychmiast pojechać taksówką na lotnisko Kennedy’ego? Spotkam się z tobą przed wejściem do hali odlotów w pobliżu stanowiska linii TWA i zapłacę kierowcy. Przyjeżdż sam i nie mów nikomu, gdzie się wybierasz ani że ze mną rozmawiałeś, jasne? Nikomu!

– Od tej tajemniczości jeszcze nie bolą mnie kości. Do zobaczenia niedługo, amigo!

Po rozłączeniu się David obrócił się w sam raz, żeby dostrzec płomienny blask przesuwanego się przez halę. Wyczuli się nawzajem. Obaj się obrócili. David nie miał pojęcia, czy był to członek grupy Ariel, czy jakiś zbłąkany przedstawiciel jego gatunku podróżujący gdzieś samolotem. Wciągnął Michela za siebie, żeby go ukryć, chociaż nieśmiertelnemu obserwatorowi sprawiłoby to niewielką różnicę. Wkrótce źródło światła przeszło przez kontrolę bezpieczeństwa, a David odetchnął z ulgą.

Zerknął na zegarek, spodziewając się, że Frankie dotrze na miejsce nie wcześniej niż o jedenastej. O 10:45 poprowadził Michela w kierunku wejścia. Wręczył mu plik banknotów i kazał mu stanąć plecami do ściany pomiędzy dwoma automatami do gazet, tak żeby można go było dostrzec jedynie z przodu.

– Posłuchaj uważnie, Michelu. Musisz zapamiętać numer Julienu.

– Znam go przecież.

– Wiesz, jak zamówić rozmowę międzynarodową?

– Tak.

– Dobrze zatem, jedno zmartwienie mniej. Michelu, stanę teraz na chodniku i będę czekał na Frankiego. Ma jakieś osiemnaście lat, jest ciemnoskóry, wysoki, a na głowie nosi zawiązaną czerwono-niebieską chustkę. Jest śmiertelnikiem. Jeśli cokolwiek mi się stanie, wsiądź z nim do taksówki i każ zawieźć się do Mae tak szybko, jak to tylko możliwe. Gdy tam dotrzecie, od razu zatelefonuj do Julienu, na jego koszt. Dowiesz się od niego, co zrobić dalej.

– A co się z tobą stanie? – Michel wyglądał na wystraszonego.

– Mam nadzieję, że nic, ale istnieje pewne ryzyko. Jeśli coś faktycznie pójdzie nie tak, jak powinno, nie zbliżaj się. Gdy będzie bezpiecznie, wsiądź z Frankiem do taksówki i powiedz mu, gdzie jechać. Bez wahania. Rozumiesz?

Chłopiec skinął głową.

– Dlaczego nie lecę do rodziców?

– Samotna podróż samolotem byłaby dla ciebie zbyt niebezpieczna, a ja nie mógłbym ci towarzyszyć, bo tylko zwiększałbym ryzyko – Ariel bez przerwy śledzi każdy mój ruch. Poza tym na chwilę obecną nie mogę mieć pewności, czy lotniska nie są obserwowane. Ona nie potrafi namierzyć ciebie, więc dopóki trzymamy się od siebie z daleka, będziesz w miarę bezpieczny.

Nie zdradził Michelowi tego, że stanowił dla niego zabezpieczenie. Gdyby posłał go do Wiednia, nawet jeśli udałoby mu się dotrzeć tam bezpiecznie – a szanse na to nie były zbyt wysokie – ludzie Ariel prawdopodobnie donieśliby jej o tym. Gdy tylko dowiedziałyby się, że Michel się jej wymknął, Kathy zostałaby zamordowana.

David niespokojnie przemierzał chodnik w tę i w tę, rozglądając się na wszystkie strony. O dwunastej czterdzieści tuż obok niego zatrzymała się żółta taksówka, z której wyskoczył Frankie. Kierowca krzyknął za nim przez okno:

– Gdzie się wybierasz, do jasnej anielki? Najpierw zapłać za jazdę, a potem biegnij sobie, gdzie dusza zapragnie.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział do niego David. – Zaraz panu zapłacę.

Taksjarski pokręcił głową i wyciągnął papierosa z paczki.

– Ej, stary, kiepsko wyglądasz. – Frankie przejechał dłonią po krótkich włosach Davida i przesunął wzrokiem po świeżej warstwie delikatnej skóry na jego twarzy.

David złapał go za ramię.

– Frankie, co tak długo? Mówiłem przecież, że potrzebuję pomocy!

– Miałem sprawy do załatwienia. Spokojnie. Jak pewnie widzą twoje oczy, jestem zwarty i gotowy do świadczenia pomocy. Nic nie jest ponad moje siły, więc na czym stoimy?

David wyprowadził go z zasięgu słuchu taksówkarza.

– Muszę ukryć gdzieś pewnego chłopca na jakiś tydzień, może krócej.

– Ta? – Frankie wyszczerzył zęby w uśmiechu. – A to czemu?

– Nie mogę ci powiedzieć, bo nie chcę cię narażać. Ścigają go pewni

ludzie. Potężni ludzie. O wiele potężniejsi od Wężowego Kapłana i dwa razy bardziej niebezpieczni.

Frankie wsunął do ust kawałek gumy do żucia i ponownie się uśmiechnął.

– Aż się trzęsę ze strachu. Tylko tyle?

– Chłopiec musi być trzymany w bezpiecznym miejscu. Nikt oprócz ciebie nie może wiedzieć, gdzie się znajduje. Musi tam panować kompletny mrok – światło słoneczne jest absolutnie wykluczone. Nie wolno mu wychodzić na zewnątrz, a do środka możesz wchodzić wyłącznie ty. Potrzebna mu będzie łazienka. Dawaj mu dwa posiłki dziennie. Duże steki, niesmażone, bardzo krwiste. Nie usuwaj z nich krwi, podawaj mu je po prostu z dużą ilością świeżej wody.

Frankie uniósł brew.

– Jaja sobie robisz, tak?

– Mówię bardzo poważnie. Podejmiesz się tego? Starłem się zaaranżować to tak, żeby zbytnio cię nie narażać, ale nie mogę niczego zagwarantować. Dlatego właśnie nie pojawiłem się w mieście. Są w stanie mnie namierzyć.

– A tutaj cię nie namierzą?

– Tak, ale ciebie nie znają. Gdybym pojechał do Alexandra, od razu by się tam zjawili.

David zdawał sobie sprawę, że bez szczegółowych wyjaśnień jego słowa musiały brzmieć bezsensownie w uszach Frankiego, który spytał:

– Bracie, czy ty przypadkiem nie pogrążasz się w paranoi?

– Zaufaj mi – poprosił.

Frankie sprawiał wrażenie nie do końca przekonanego, ale i tak bez wahania odparł:

– Spoko, Dave. Dla ciebie wszystko. Gdzie ten dzieciak?

– Zaraz go przyprowadzę. Najpierw weź ode mnie to – powiedział David, podając mu ponad pięć tysięcy dolarów.

Frankie przerzucił plik banknotów.

– Ej, ziomuś, sporo tu tej floty.

– Będą ci potrzebne pieniądze na taksówkę, jedzenie i wynajem pokoju. Kup telefon komórkowy na kartę, z którego można będzie dzwonić do Europy, z tak dużą liczbą minut, jak tylko się da, a potem daj go chłopcu. Chciałbym też, abyś załatwił mu podrobiony paszport – jeśli to możliwe, jeszcze dzisiaj. Paszport także mu przekaż. Resztę pieniędzy przechowuj przynajmniej przez tydzień. Jeśli nie wrócę, dokładnie za tydzień Michel ma zadzwonić do Austrii. Zna numer. I

jeszcze jedno: chcę, żebyś obiecał, że jeśli pojawi się jakiegokolwiek zagrożenie – jeśli zauważysz, że nieopodal kręci się ktoś podejrzany – natychmiast wyjedziesz z miasta. Zostaw Michelowi tygodniowy zapas jedzenia i wody oraz paszport, upewnij się, że jego telefon działa, a potem uciekaj. Możesz mi to obiecać?

– Mówisz poważnie.

– Śmiertelnie poważnie. Liczę na ciebie, Frankie.

Chłopak przeniósł ciężar ciała na drugą nogę i westchnął, po czym szybko uderzył otwartą dłońią o dłoń Davida.

– Nie ma sprawy – powiedział.

David rozejrzył się dookoła. Wyglądało na to, że jest bezpiecznie. Dał znak Michelowi, który wybiegł spomiędzy automatów z gazetami.

– Wsiądź do taksówki i pochyl głowę – poinstruował chłopca. – Pamiętaj, żeby od razu zadzwonić do Julienu – Frankie jeszcze dziś zdobędzie dla ciebie telefon. Na wszelki wypadek podyktuj mu też numer Julienu. Wszystko jasne?

Chłopiec skinął głową. Frankie zajął miejsce obok niego, a David zamknął drzwi samochodu.

– Uważajcie na siebie – powiedział do nich obu.

– Ty też, ziom! – zawołał Frankie przez okno odjeżdżającej taksówki.

Gdy odjechali, David kupił dwa bilety – dla osoby dorosłej oraz dziecka – na nocny lot do Los Angeles. Po wizycie w tym mieście miał zamiar zacząć unikać dużych metropolii, gdyż to je w pierwszej kolejności musieli sprawdzać ludzie Ariel. Co jakiś czas chciał jednak zmieniać strategię działania. Ona nie mogła mieć aż tak wielu popleczników. Z drugiej strony, jeśli wybierała ich w sposób tak niewybredny jak Reesone'a...

Tuż przed wejściem na pokład samolotu David kupił zestaw papeterii. Napisał krótki liścik, wsunął go do koperty, na której napisał „Ariel Moon”. Jego treść przedstawiała się następująco:

*Lepiej, żeby Kathy nic się nie stało, bo w przeciwnym wypadku nigdy już nie zobaczysz Michela.*

Zostawił kopertę w punkcie informacyjnym wraz ze wskazówkami, aby prośbę o jej odbiór nadawano przez całą noc. W końcu któryś z ludzi Ariel przekaże jej wiadomość.

Tuż przed odlotem przeszedł się po pokładzie, upewniając się, że nigdzie nie widać lśniących świateł. Zajął miejsce na fotelu i odetchnął z ulgą. Jednak spokój ducha wkrótce go opuścił. Zaczęły go męczyć

wątpliwości i troski. Jak długo był w stanie wymykać się Ariel? Co, jeśli Frankiemu nie uda się wyjść z tego cało? Albo Michel zostanie odnaleziony? Najbardziej jednak doskwierało mu pytanie, które brzmiało: czy to możliwe, że Kathy świadomie uczestniczyła w tym podłym spisku od samego początku?

Samolot mknął po pogrążonym w ciszy nocnym niebie na wysokości dziewięciu kilometrów nad poziomem morza, a David przymknął oczy i pogrążył się w samotności, w głowie słysząc słowa lorda Byrona:

*„Ptak się ten wsunął przez szczelinę muru  
I siadł nad brzegiem tej strasznej głębiny,  
Miał on skrzydełka ślicznego lazuru,  
A mniej był trwożny od leśnej ptaszyny,  
Tysiąc on uczuć w swym pieniu wylewał  
I jak się zdało, wszystkie dla mnie śpiewał;  
Nigdy nie widział ptaszyny podobnej,  
Nigdy nie ujrzę tak wdzięcznej, nadobnej,  
Zdała się smucić po jakiejś utracie,  
Przecież spokojniej niżli ja po bracie.  
Przyszła mnie kochać, kiedy już nie było  
Żadnego serca, co by dla mnie biło.  
Śpiew jej tak mile do uszu się wciskał,  
Zem przez nią myśli i czucie odzyskał”<sup>27</sup>.*



## Rozdział 26

Co za drań! – wrzasnęła Ariel.

W nieziemsko bladych oczach wampirzycy Zero dostrzegła białe iskierki. Pełne wargi kobiety rozsunęły się w gniewnym grymasie, ukazując lśniące, wilgotne kły przypominające lodowe stalaktyty. Ariel z furią odrzuciła swoje szafranowe włosy za ramiona. Reesone oraz dwaj pozostali obecni w pomieszczeniu mężczyźni nie odezwali się ani słowem. Zero kuliła się w kącie na podłodze w nadziei, że nikt nie zwróci na nią uwagi.

Ariel podarła liścik na strzępy. Ten był już drugi, a zostawiony został dla niej na lotnisku Kennedy'ego. Po jej zmysłowej twarzy przemknął tajemniczy uśmieszek, który napełnił Zero jeszcze większym lękiem.

– Jest sprytniejszy, niż się spodziewałam – trzeba mu to przyznać. Ale nie tak cwany, jak mu się wydaje.

Ariel parsknęła pozbawionym radości śmiechem.

– David doskonale rozumie, jak bardzo lubię brać udział w grach, szczególnie takich, które mam zamiar wygrać.

Wampirzyca spuściła wzrok, a Zero próbowała powstrzymać ciało od drżenia.

– Nie zabiję jej. Na razie.

Obróciła się i podeszła do okna. Sięgająca łydek skórzana spódnica uwodzicielsko opinała jej biodra. Zero zerknęła na mężczyzn. Ich oczy wlepione były w ciało Ariel.

– Powinniśmy ją po prostu zabić – odezwał się Reesone. – I tak się z nim nie dogadamy.

Aktor machnął ręką w powietrzu tak szybkim ruchem, że Zero prawie go przeoczyła. Schwycił białego motyla, który od jakiegoś czasu próbował wydostać się z pokoju, podczas gdy cykl jego życia powoli dobiegał końca. Reesone mocno zacisnął dłoń, a potem pstryknięciem palca wskazującego pozbył się zwłok stworzonka.

Zero niemalże ulżyło, że propozycja uśmiercenia jej wyszła od Reesone'a, bo od dwóch nocy zauważała, że Ariel wetuje wszystkie jego sugestie. Wampirzyca zwróciła się teraz ku niemu.

– Zdumiewasz mnie, Donaldzie. – Głos Ariel był lekki, zwiewny, zupełnie jakby miała zamiar obdarzyć go komplementem, więc Reesone zdobył się na uśmiech samozadowolenia. – Przede wszystkim nie ma tu żadnych „nas”, tylko ja i to, co postanowię. Podobno cechuje cię spryt i umiejętność wcielania się w złożone role, a jednak podsuwane przez ciebie rozwiązania wydają się... Jak by to ująć? – Ariel machnęła dłonią w powietrzu. – Rozczarowująco prostackie?

Dwaj pozostali mężczyźni parsknęli śmiechem, a na twarzy Reesone’a pojawiła się mina chłopca, którego zbesztano na oczach kolegów. Ariel podeszła do kąta, w którym Zero przycupnęła niczym schwytała w pułapkę zwierzę. Nawet jej nie związali – i tak nie udałooby się jej uciec. Ariel wbiła w nią wzrok, a jej dziwaczne blade oczy zaczęły wirować do wewnątrz niczym pozbawione koloru tornada. Zero spojrzała w drugą stronę, póki jeszcze była w stanie, z myślą:

„Teraz już wiem, jak udało jej się usidlić Davida”. Jednocześnie przyszło jej do głowy coś straszniejszego: „Może to ona sprawiła, że się w nim zakochałam”.

Ariel uśmiechnęła się w sposób, który sugerował, że zna i tę, i każdą inną myśl, która pojawia się w umyśle Zero.

– Naturalnie przebywanie w towarzystwie kobiety częściowo dorównującej mi urodą, choć z pewnością niestanowiącej konkurencji dla mojej osobowości czy intelektu, nie jest dla mnie sytuacją idealną mimo łączących nas więzów. Jednak, Donaldzie – zwróciła się do niego – David nie jest nawet w połowie tak naiwny, jak ci się zdaje. Przeżył już ponad sto lat, a to oznacza, że jest silny. Ma w sobie wolę przetrwania.

– Jest głupi. Przypomnij sobie, jak łatwo przyszło nam schwytać go w pułapkę. A jeszcze wtedy byłem śmiertelnikiem.

Głos Reesone’a lekko zadrżał, co nie umknęło uwadze Zero. Odnosiła wrażenie, że przemiana mężczyzny nie była do końca dobrowolna – lub związane z nią były jakieś komplikacje – i okazała się ona dla niego szokującą niespodzianką.

– Tak, Donaldzie, byłeś śmiertelnikiem – zaśmiała się Ariel. – A David okazał się głupcem. Bez wątpienia ciągle nim jest. Podejrzewam, że pomysł z wymianą to jedynie bief z jego strony, chociaż nie mogę mieć co do tego pewności. Przepenia mnie jednak ciekawość. Jest w stanie ją namierzyć, ale prawdopodobnie będzie chciał z nią pomówić lub choć zobaczyć, by upewnić się, że nic jej nie jest. Nic ci

nie jest, prawda, moja droga?

Ariel znowu na nią spojrzała, a Zero nie mogła powstrzymać się przed syknięciem:

– Pieprz się!

Reesone przebiegł przez pokój i mocno uderzył Zero w twarz. W głowie zawirowało jej od ciosu.

Ariel odrzuciła głowę do tyłu i wybuchła śmiechem.

– Jakiś ty rycerski, Donaldzie. Stoisz na straży mojej czci.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł niski, wyglądający na około czterdzieści lat mężczyzna o czarnych, zaczesanych gładko do tyłu włosach. Jego pobrużdżona, zniszczona cera sprawiała wrażenie, jakby większość życia spędził na morzu. Grubo ciosane męskie rysy kontrastowały z dziwacznie bladą, przypominającą papier ryżowy skórą. Bijąca od niego energia była nie tylko niezwykle potężna, ale też pełna majestatu. Jego obecność zdominowała całe pomieszczenie. Obserwując go, Zero doznała wrażenia *déjà vu* i zaczęła się zastanawiać, gdzie mogła go już wcześniej widzieć.

Mężczyzna skinął na Ariel subtelnym gestem, a ta do niego podeszła. Zero zaskoczyło pełne podziwu spojrzenie, którym obdarzyła go zmysłowa wampirzyca. Zupełnie jakby od początku uczestniczył w rozmowie, Ariel spytała:

– Co sądzisz, Tony?

Tony zmierzył trzech pozostałych mężczyzn zde gustowanym wzrokiem. Ariel zachichotała, a on sam powiedział:

– Dziewczyna na razie pozostanie przy życiu. Do tej pory twój poboczny plan sprawdza się, jak należy, moja ukochana. David został sam z chłopcem, bo reszta wyjechała do Wiednia. Wy trzej! Zabierzcie tę tutaj do domu na zachodnim wybrzeżu. Chyba że uznacie, iż nawet razem nie jesteście w stanie dać rady Davidowi?

Jego szydery uśmiech zmroził Zero krew w żyłach.

Ariel znowu parsknęła śmiechem. Podeszła do jednego z mężczyzn i poklepała go po policzku. Zareagował niczym pies, którego pani okazała w końcu odrobinę uwagi.

– Myśle, że sobie poradzą – stwierdziła.

Zero była przygnębiona, ale nie traciła nadziei. Na razie jej nie zabiją. Davidowi już wcześniej udało się ją odnaleźć, więc zrobi to jeszcze raz. Przynajmniej nie ustawał w poszukiwaniach, nie przestał wierzyć, że ona go kocha. Martwiła się tylko, że ludzie Ariel mogą go dopaść.

– A co z tobą? – spytał Reesone Ariel głosem, w którym wyraźnie pobrzmiwała tęsknota.

Ariel ruszyła w jego kierunku niespiesznym krokiem, a ponętne krągłości jej ciała falowały zmysłowo. Reesone sprawiał wrażenie urzeczonego. Wampirzyca położyła mu dłoń na karku i przyciągnęła do siebie, jakby z zamiarem obdarzenia go pocałunkiem. Zamiast tego jednak zniemacka przycisnęła wargi do jego gardła. Na jego twarzy odmalował się wyraz pełnej bólu ekstazy. Gdy Reesone chciał ją objąć, momentalnie się od niego odsunęła. Aktor wyglądał na zdruzgotanego, a z szyi ciekła mu krew.

– Wylecicie stąd jeszcze dziś wieczór – oznajmiła Ariel, odwracając się do niego plecami.

Oblizwała wargi językiem poruszającym się szybko niczym język węża, a potem wtuliła się w ramiona Tony’ego.

Tony pocałował ją, żarłocznie zlizując lepka krew z jej ust. Następnie odsunął ją od siebie na odległość wyciągniętych ramion i spojrzał jej prosto w oczy, jednocześnie zwracając się do mężczyzn:

– Naturalnie możecie ją przelecieć i upuścić trochę krwi. Macie moje zezwolenie. Ale ma przeżyć, rozumiemy się?

Jego wzrok na chwilę odkleił się od Ariel i przeniósł na każdego z mężczyzn z osobna. Sprawiali wrażenie zastraszonych i Zero wydawało się, że widzi, jak coś w nich pęka. Jeden po drugim skinęli głowami. Widoczne w ich oczach przerażenie zastąpiła pokora, natomiast w skierowanym ku niej spojrzeniu Tony’ego Zero wyraźnie dostrzegała pragnienie przemocy.

Jego oczy przypominające kotliny pełne pogrążonej w mroku ziemi wysysały z niej wolę walki. Czuła się osaczona, zdławiona, wciągana coraz głębiej do błotnistej mogiły.

– Tak jest. Zaopiekujcie się nią na wszelkie możliwe sposoby – powiedział Tony.

W uszach Zero jego śmiech był rechotem demona, któremu udało się właśnie rzucić potężne, niemożliwe do zneutralizowania zaklęcie. Czuła się jak ofiara perwersji losu, którą pozbawiono właśnie szans na przyszłość.

Jeden z mężczyzn brutalnie postawił ją na nogi. Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, zanim została wywleczona z pokoju, była Ariel zatapiająca się w objęciach potężnych ramion Tony’ego, który unieruchomił jej nadgarstki za plecami, a następnie zatopił kły w jej szyi. Wyraz twarzy Ariel wyrażał przepelnioną bólem i ekstazą

tęsknotę podobną do tej, którą wcześniej udało się jej wzbudzić w Reesonie.

David zostawiał wiadomości na każdym lotnisku, na którym lądował przez kolejne trzy noce: w Saint Louis, Savannah, Milwaukee, Phoenix, Wilmington, Green Bay, Lexington i kilku innych miejscach.

Zdarzało mu się dojrzeć przedstawicieli swojego gatunku, ale dzięki podjętym przez siebie środkom ostrożności udało mu się umknąć ich uwadze. W sumie naliczył osiem wzbudzających podejrzenie twarzy. Na tle tłumów złożonych z nieciekawych śmiertelników przypominali świetliki widziane na wsi w bezksiężycową noc. To, że Ariel rozmieściła niedawno zwerbowane osoby w strategicznych lokacjach, zmusiło Davida do zakupu dodatkowych biletów na loty do przypadkowych miejsc. Dwa razy wsiadł do pociągu – raz z Minneapolis do Boulder, a drugi z Portland do Seattle – żeby utrudnić odnalezienie go.

Zadzwoił do punktów informacyjnych na kilku lotniskach, żeby upewnić się, że Ariel otrzymała jego wiadomości. Treść jego liścików uległa zmianie. Nadszedł czas, aby umówić się na spotkanie.

Po wylądowaniu w El Paso zadzwonił do punktu informacyjnego na lotnisku w Seattle.

– Nazywam się David Hardwick. Czy są dla mnie jakieś wiadomości?

– Chwileczkę – odparła młoda kobieta, a chwilę później odezwała się ponownie:

– Tak, panie Hardwick. Jest do pana jedna wiadomość.

– Proszę mi ją odczytać.

Dobiegł go dźwięk rozrywanego papieru, a potem dziewczyna przeczytała zakłopotanym głosem:

„Rendez-vous? Ciągle niezły z Ciebie romantyk.

Jutro o północy na dworcu Gare Centrale.

Zdajesz sobie sprawę, że spodziewam się dziecka, prawda?

A Ty, mój miły? Jak tak dalej pójdzie, nie będziesz mógł oczekiwać absolutnie niczego”.

Po zakończeniu rozmowy David wykonał kolejny telefon, tym razem do Wiednia. Słuchawkę podniósł André.

– Czy Michelowi nic nie jest? – spytał przyjaciel.

– Nie. W dalszym ciągu mnie śledzą. Nie zorientowali się, że nie ma go ze mną. Niedługo wyślę go do was.

Dobiegło go pełne ulgi westchnienie.

– A jak ty się czujesz? – spytał André.  
– Jestem wykończony – przyznał David. – Pożywiam się kilka razy każdej nocy, ale to ledwo wystarcza.

– Ciągle jeszcze dochodzisz do siebie.

– Chyba tak. André, poproś Julienu do telefonu, ale wszyscy stańcie w pobliżu. Potrzebne mi informacje i sugestie.

Gdy Julien przejął słuchawkę, David wyjawiał mu swój plan.

– Namierzyłem Kathy. Od dwóch nocy znajduje się w domu na wyspie Vancouver. Zamierzam tam po nią pojechać.

– Będzie pilnie strzeżona, chyba że jest jedną z nich – stwierdził Julien.

– Wiem. Dlatego mam nadzieję, że jesteś mi w stanie zaofiarować potrzebne informacje. Gdy byłem z Ariel, sprawiała wrażenie zdolnej do opierania się działaniu promieni słonecznych, przynajmniej gdy chodziło o wywoływany przez nie letarg. Jak myślisz, jaką ilość światła jest w stanie znieść?

– Jestem w stanie co prawda nie spać po wschodzie słońca, ale nie funkcjonuję wtedy zbyt sprawnie i naturalnie możliwe jest to tylko w obrębie zamkniętych pomieszczeń. Za dnia moje siły stają się mocno nadwątlone i nie mogę się pożywiać.

– Czy potrafi śledzić mnie za dnia?

– Ja tego nie potrafię. A skoro jestem od niej starszy, zakładam, że Ariel również nie posiada tej umiejętności.

– Dobrze. Umówiłem się z nią na jutro wieczór w Montrealu, aby omówić warunki wymiany. Wiem, że tam będzie. Jeśli uda mi się odbyć podróż za dnia, dotrę na wyspę Vancouver przed zachodem słońca. Z nadejściem nocy Ariel zorientuje się w moim położeniu, ale nie będzie w stanie od razu tam wrócić ani nikogo przysłać. Ta zwłoka może okazać się wystarczająca. Przetnę linie telefoniczne.

– Davidzie, plan brzmi wyśmienicie, ale ciekawi mnie, w jaki sposób chcesz przemieszczać się za dnia.

– Właśnie po to dzwonię. Czy którekolwiek z was słyszało o przedstawicielach naszego gatunku, którzy podróżowaliby w świetle słonecznym?

Julien na minutę odsunął słuchawkę od ust. Czekał, David nerwowo zerkał na sterylny korytarz. Telefon znajdował się w ślepym zaułku, co wywołało w nim poczucie osaczenia. Był kłębką nerwów.

– Nikt z nas o czymś podobnym nie słyszał – powiedział Julien po powrocie. – Z czasem, tak jak ja, być może wyrobisz sobie odporność

na wpływ wywierany przez dzienne godziny. Ale żeby poruszać się w świetle słonecznym...

Zrobił pauzę.

– Nie wiem, czy to możliwe. Od dawna wierzę, że to światło ultrafioletowe do spółki z grawitacją, której siła oddziaływania wzrasta za dnia, pozbawiają nas energii i wywołują zmęczenie. Jedyńy sposób, jaki przychodzi mi do głowy, to bycie przetransportowanym na miejsce, a to zabrałoby trochę czasu. Zresztą twoja obecność mogłaby zostać odkryta podczas przekraczania granicy.

– No właśnie – przytaknął David, po czym obaj zamilkli.

W końcu ciszę przerwał Julien:

– Davidzie, być może istnieje pewien sposób, chociaż dla kogoś w twoim stanie wiąże się on z pewnym ryzykiem. Chloe kiedyś eksperymentowała. Chciałaby z tobą pomówić.

W słuchawce rozległ się głos ciotki André. David ciągle pamiętał tę ciepłą, acz stanowczą kobietę wyglądającą na sześćdziesięciolatkę o białych włosach i przeszywającym na wskroś spojrzeniu oczu o barwie lapis-lazuli. W jej łagodnym kobiecym głosie dało się wychwycić nutkę francuskiego akcentu. Podobnie jak cała reszta kobiet należących do jego gatunku była niesłychanie fascynująca.

– Davidzie, bardzo się o ciebie martwiłam. Wszystko w porządku?

– Tak, Chloe. Dziękuję za troskę. – David westchnął, po raz kolejny zdając sobie sprawę, jak bardzo brakowało mu kontaktu z sobie podobnymi istotami. – Chloe, czy Julien wyjaśnił ci, czego potrzebuję?

– Tak, zrozumiałam – odparła. – Udało mi się stworzyć naturalne lekarstwo na doskwierającą nam alergię. Przypomina środki przeciwsłoneczne, jakie stosują śmiertelnicy, z dodatkiem cynku i tlenu, tyle że substancja ta dostrojona jest do chemii naszych ciał. Do tej pory nie testował jej nikt oprócz mnie. A i ja próbowałam tylko zaraz po wschodzie słońca albo tuż przed zachodem.

David zapisał szybko wymienione przez Chloe składniki i metodę ich łączenia.

– Grubą warstwę otrzymanej w ten sposób mieszanki należy nałożyć na skórę – kontynuowała Chloe. – Konieczne jest pokrycie całej jej powierzchni grubą warstwą, co oznacza, że będziesz musiał sporządzić wystarczająco dużą ilość, żeby móc nakładać miksturę w regularnych odstępach czasowych. Mieszankę trzeba będzie przechowywać w chłodnym miejscu, aby nie dopuścić do reakcji składników. Dzięki temu, że substancja jest naturalna, twoja skóra będzie w stanie

oddychać, a aloes dodatkowo ją schłodzi i pomoże zagoić się już istniejącym poparzeniem. Zalecam użycie lekkiej odzieży w bladych kolorach. Żadnego poliestru, bo przez ten materiał nie będzie przenikać powietrze. Poza tym będzie ci w nim równie gorąco jak w plastikowym worku na śmieci. Użyj tkanin z naturalnych włókien – albo z dużym ich dodatkiem – chociaż z drugiej strony istnieje ryzyko, że będą one przepuszczać zbyt wiele światła. Davidzie, konieczne będzie przeprowadzenie testów w pełnym świetle słonecznym, o ile uda ci się nie zasnąć. Nawet gdy byliśmy śmiertelnikami, każdy z nas miał inny rodzaj skóry cechujący się różną odpornością na promienie UV. A twoja skóra doznała poważnych obrażeń. Pomyśl tylko, co się stanie, gdy ten sposób nie zadziała.

Teraz z kolei w słuchawce odezwał się Karl, który powiedział:

– Nie jestem pewien, czy ci to pomoże, ale czytałem kiedyś o tkaninie stworzonej w ramach eksperymentów dotyczących lotów kosmicznych. Zaprojektowano ją na potrzeby podróży na zimne planety, ale jej działanie oparte jest na izolacji zarówno od ciepła, jak i chłodu – tak jak to ma miejsce w termosie. Nieraz myślałem, że skoro za dnia temperatura naszych ciał spada, to gdybyśmy tylko mieli ubrania zrobione z tej tkaniny oraz gogle chroniące nam oczy przed światłem ultrafioletowym i promieniowaniem podczerwonym... Rzecz jasna, nie mam pojęcia, czy ten pomysł sprawdziłby się w praktyce. Nie wiem też, jak mógłbyś osłonić szyję oraz twarz. Co więcej, dziwacznie byś się prezentował, nosząc strój z folii na swoim zwykłym ubraniu. Momencik.

Słuchawka trafiła w ręce Carol.

– Davidzie, mógłbyś nabyć lateks w płynie w sklepie z akcesoriami dla aktorów i zrobić z niego maskę na twarz i szyję. Gdybyś posmarował się uprzednio kremem Chloe, a lateks pokrył warstwą makijażu, być może zbyt nie wyróżniał. Warto spróbować.

– Dziękuję, Carol. Daj mi jeszcze raz Karla.

– Największym problemem byłby rozmiar owego stroju, chociaż z tego, co rozumiem, sam materiał jest grubości płątka złota – powiedział Karl.

– Gdzie można go dostać?

Karl westchnął.

– Właśnie o to chodzi, że nie wiem, gdzie oprócz NASA można by znaleźć ultracienką wersję tego materiału. Zlokalizowanie go zajęłoby ci trochę czasu, a pewnie i tak musiałbyś go stamtąd wykraść, bo



produkt przechodzi dopiero fazę testów. Szkoda, bo wypuścili go już na rynek w grubszej, mniej odpornej na działanie temperatury wersji, która szeleści przy każdym ruchu.

– Jak się nazywa?

– Sprzedają go pod nazwą koców termoizolacyjnych. Można je znaleźć w sklepach z artykułami turystycznymi, a nawet w sklepach ze starzyzną. Właściwie są dostępne wszędzie. Miałeś go nawet w swojej furgonetce.

David prawie parsknął śmiechem. No tak! Kathy użyła tego koca, aby ochronić go przed słońcem. Kathy i jej instynkt samozachowawczy. Zrozumiał, że nie mogła być częścią wymierzonego w niego spisku. Poczł nagle, jak wypełnia go miłość do niej. Łamiącym się od emocji głosem powiedział:

– To może zadziałać. Zamierzam spróbować.

– A jak nie zadziała?

– Wymyślę coś innego.

– Jesteś pewny, Davidzie? Kładziesz na szali własne życie. Jeśli za dnia jakiś śmiertelnik zabierze cię do szpitala... – Karl zrobił pauzę, a potem dodał:

– Oszukała cię przecież. Skłamała. Po co więc...?

– Zamierzam ją odzyskać! – powiedział stanowczo David i dobiegło go westchnienie Karla. – I jeszcze jedno: naliczyłem kolejną ósemkę, to razem daje szesnaście osób włącznie z Ariel. Bez wątpienia może ich być jeszcze więcej.

– Naprawdę stworzyła sobie armię!

– Myślę, że dobrze będzie, jeśli nawiążecie kontakt z resztą naszych pobratymców. Coś mi mówi, że bez względu na to, co wydarzy się na wyspie Vancouver, przyda się wam dodatkowe wsparcie. Mam przeczucie, że zanosi się na wojnę.

## Rozdział 27

David zatrzymał się w El Paso, żeby się przygotować. Do tej pory Ariel musiała zdać sobie sprawę, że nie jest w stanie odgadywać jego kolejnych ruchów – jej ludzie za każdym razem pojawiali się na miejscu za późno. W jej stylu była raczej próba samodzielnego pojmania go w Montrealu. Pierwszą część wieczoru spędził, pożywiając się i zbierając potrzebny mu ekwipunek. Bez problemu udało mu się nabyć koce termoizolacyjne oraz znaleźć szwaczkę, która uszyła z nich skarpety, rękawice oraz toporny strój złożony ze spodni i bluzy, których nogawki i rękawy zakończone były elastikiem. David nabył również dwa garnitury o kilka rozmiarów za duże. Szczęście mu sprzyjało – sklep z artykułami dla aktorów też był otwarty.

Co do mikstury pomysłu Chloe, to niektóre jej składniki takie jak olej kokosowy, masło kakaowe czy olej sezamowy łatwo było znaleźć. David kupił także trzydzieści dużych okazów aloesu i przed wymieszeniem składników rozciął twarde liście roślin i wygrzebał z ich wnętrza przypominający śluz żel. Aby zdobyć resztę komponentów, musiał udać się do meksykańskiej części miasta, gdzie nabył olej jojoba, korzeń osha oraz inne ingrediencje o dziwnych nazwach, których nigdy wcześniej nie słyszał. Gdy miał już wszystko, co potrzebne, wynajął pokój w hotelu i sporządził mieszankę w blenderze, zgodnie ze wskazówkami Chloe stopniowo dodając składniki oraz kilka kropli olejku rumiankowego, który miał złagodzić intensywny zapach. Po przełożeniu kremu do słoików schował je do torby termoizolacyjnej, którą miał zamiar wnieść na pokład samolotu.

Godzinę przed wschodem słońca pokrył się od stóp do głów chłodną i kojącą zielonkawą substancją. Następnie nałożył maskę, którą wcześniej skonstruował. Miała ona kształt jego własnej pozbawionej zmarszczek twarzy i szyi. Pokrył lateks naturalnie się prezentującym makijażem, po czym uzupełnił przebranie blond peruką, sztucznymi brwiami oraz wąsami i brodą, żeby efekt końcowy nie wyglądał zbyt sztucznie. Wąsy pełniły dodatkowo funkcję ochronną dla nosa i ust.

Pomimo rad Chloe garnitury, które kupił, zrobione były z wełny i poliestru. Nałożył jeden z nich, a do tego wysokie skórzane buty,

rękawiczki z winylu, kapelusz oraz specjalne okulary przeciwsłoneczne z panelami bocznymi w kolorze matowej czerwieni. Może i jego skóra nie będzie mogła oddychać, ale bał się, że tkanina o luźnym ściegu nie ochroniłaby go przed słońcem. Nie wiedział, czy poliestr się sprawdzi, i miał nadzieję, że nie popełnia fatalnego w skutkach błędu – głowę wypełniły mu wizje własnej śmierci przez uduszenie.

Wziął do ręki torbę termoizolacyjną oraz reklamówkę zawierającą drugi garnitur, a następnie obrócił się, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu w lustrze. Cóż za dziwaczny widok! Stał przed nim ekscentrycznie wyglądający pękaty mężczyzna o nienaturalnie gładkiej, lśniącej skórze, który ewidentnie starał się coś ukryć. Nic więcej nie mógł jednak zrobić – zresztą nie było już na to czasu – udał się więc na lotnisko, żeby zdążyć na odlatujący o ósmej rano samolot do Seattle. Modlił się w duchu, żeby pojawienie się słońca nie skończyło się dla niego wiciem się w agonii w jakimś miejscu publicznym.

Aby dostać się do hali odlotów, David musiał przejść przez wykrywacz metalu. Zamknął nakremowane powieki i zdjął okulary. Postawił torbę oraz reklamówkę na pasie, który zabrał je do maszyny prześwietlającej bagaż ręczny.

Na szczęście nie włączył się alarm, chociaż z drugiej strony wyjęcie z torby połyskliwego stroju i pokazanie go strażnikom nie stanowiłoby problemu. Gdy tylko David dostał się do hali odlotów, pobiegł do łazienki i ukrył się w jednej z kabin. Pokrył skórę dodatkową ilością żelu, nałożył chłodzące skarpety i rękawice oraz lśniący srebrny strój, a na to biały garnitur z poliestru.

Czekał w bezpiecznym miejscu, ale coraz wyraźniej dawało mu się we znaki działanie słońca. Od snu powstrzymywał się jedynie siłą woli i w normalnych warunkach dawno już by się poddał.

Gdy przebrzmiał ostatni z komunikatów informujących o konieczności udania się na pokład, wyszedł do poczekalni. Stał jak wryty. Przez pokryte filtrem soczewki okularów widział, jak wokół niego pulsuje światło pełne gorącej białej energii. Od ponad stu lat nie widział światła dziennego, jeśli nie liczyć tamtego pokoju na wyspie Vancouver. Zdążył już zapomnieć, jak nachalna jest jego moc w porównaniu z subtelnym blaskiem księżyca. Nie był w stanie utrzymać otwartych oczu nawet z ciemnymi okularami na nosie. Przerazał go ten żar oraz ciśnienie, któremu poddane było jego ciało. Nie było to światło, które nosił w pamięci, i wcale nie przypadło mu

do gustu, chociaż doświadczał też zachwyty wywołanego czymś, co już prawie zapomniał. Mimo wszystko jednak fascynacja przyćmiona została obezwładniającym uczuciem dyskomfortu i lęku.

Miał wrażenie, że śni mu się spreparowany przez kogoś sen. A raczej koszmar. Pomimo wszelkich podjętych przez siebie środków ostrożności promienie ognistego światła przeniknęły przez poliester i metaliczne włókna, po czym zanurzyły się kremie i zaczęły tańczyć po jego nadwrażliwej skórze, wywołując pieczenie. David wycofał się do łazienki i na raty zaczął zdejmować z siebie różne części garderoby, żeby posmarować się kolejną warstwą mieszanki, zmagając się jednocześnie z przemożnym pragnieniem pogrążenia się w śpiączce i wydania się z siebie pełnego bólu okrzyku.

Doskwierało mu mrowienie skóry i ledwo był w stanie zapanować nad lękiem przed uduszeniem, ale ogarniająca go senność stanowiła równie poważny problem. Miał wrażenie, że na jego barkach spoczywa dodatkowy ciężar o masie pół tony, a do tego jego ciało zapada się, jakby podłoga przemieniła się w lotne piaski wciągające go w czeluść ziemi, która z każdą minutą twardniała wokół niego niczym cement. Wiele wysiłku kosztowało go, by nie zasnąć i zachować trzeźwość myśli, nie mówiąc już o poruszaniu się.

Ze spojrzeń, które rzucali mu ludzie, oraz tego, że omijali go szerokim łukiem, wywnioskował, że musi przypominać zwłoki gwiazdy rocka poruszające się z gracją zombi. Mimo wszystko jednak udało mu się wejść na pokład samolotu, gdzie spędził tyle czasu, ile się dało, w łazience. Rozpiął garnitur, żeby wpuścić do środka powietrze. Rozbił żarówkę, by w pomieszczeniu zapadła całkowita ciemność.

Gdy wylądował w Seattle, słońce wisiało wysoko na niebie. Nie ośmielił się stawić mu czoła i zamiast tego powlókł się w najszybszym tempie, na jakie pozwalało mu jego ociężałe ciało, do męskiej toalety, żeby nałożyć na skórę kolejną warstwę żelu. O pierwszej poleciał do Vancouver, gdzie wynajął helikopter, który zabrał go do Tofino. Pilotowi polecił poczekać tam na siebie dobę.

Na tle doświadczeń tego dnia lot helikopterem zajmował najniższą pozycję w jego osobistym rankingu. W przelotnych momentach, gdy jego myśli były w stanie przedrzeć się przez dźgnięcia bólu, David mógł jedynie dziękować zyczliwym mu bóstwom, które zesłały chmury zasnuwające niebo.

W Tofino wynajął samochód z przyciemnianymi szybami, którym pokonał krótki dystans dzielący Pacyfik i leżące na północ od niego

Clayoquot Sound, średnio zdając sobie sprawę z tego, co robi. David doszedł do wniosku, że tak właśnie musi się czuć ktoś sparaliżowany a do tego pogrążony w śpiączce.

Tuż po wpół do trzeciej minął nieutwardzoną drogę prowadzącą do domku myśliwskiego i zjechał na inną znajdującą się jakiś kilometr dalej. Następnie ruszył szybkim krokiem przez gęsty przybrzeżny las deszczowy, gdzie ostre gałęzie cyprysu oraz przypominające igły liściososen w krótkim czasie rozszarpały garnitur na strzępy. Krzewy golterii i pokrzywy szarpały mu stopy, nie ustając w wysiłkach zmierzających do pozbawienia go równowagi, ale w końcu domek myśliwski pojawił się w zasięgu wzroku.

Na ganku siedzieli ci sami mężczyźni, którzy towarzyszyli Reesone'owi, gdy ten zamykał Davida w pokoju pułapce. Na podjeździe stały zaparkowane dwa samochody. Jego zmysły były jakieś dziesięć razy słabsze niż w nocy, więc nie był pewny, czy w pobliżu znajdują się jeszcze jacyś śmiertelnicy. Wiedział, że przedstawiciele jego gatunku śpią. Wydawało mu się, że w środku wyczuwa obecność Kathy.

Był także świadomy faktu, że jego siła i prędkość znacznie się zmniejszyły. Każdy z tych śmiertelników okazałby się obecnie potężniejszy od niego, miał jednak pewien pomysł.

Zaczął ciskać kamyczkami w krzak położony na skraju polany kilka metrów od niego. Najwyraźniej dźwięk okazał się dosyć irytujący, bo jeden z mężczyzn wstał, żeby go zbadać. Był uzbrojony, ale nie wyjął pistoletu z kabury, co ucieszyło Davida, który w obecnym stanie nie mógłby funkcjonować, gdyby został postrzelony. Skrył się za szerokim na trzy metry pnem daglezji. Gdy strażnik znalazł się w jego zasięgu, David uderzył go dużym kamieniem w tył czaszki i mężczyzna osunął się na ziemię. Zdając sobie sprawę, że porusza się w sposób zbyt sztywny, aby dało się go nie zauważyć, poczekał na drugiego z mężczyzn, który z pistoletem w dłoni przyszedł szukać kolegi. Jego także David pozbawił przytomności. Znalazł w garażu linę, którą związał i zakneblował obu strażników. Musiał utrzymać ich przy życiu, bo ci, którzy znajdowali się w środku, nawet jeśli byli nowicjuszami w świecie nocy, potrafili wyczuć, czy śmiertelnicy oddychają, czy nie. Jednak David nie zabił ich z jeszcze innego powodu: po zachodzie słońca znowu będzie mógł się pożywiać, a wtedy potrzebna mu będzie ich krew. A czas stanie się wtedy niezmiernie cenny.

Po przecięciu linii telefonicznej David ukrył się w opuszczonej

chatce z polan położonej niedaleko miejsca, w którym zaparkował. Udało mu się przespać kilka godzin w nie do końca pograżonym w mroku wnętrzu. O zachodzie słońca czuł się prawie odświeżony, a jego skóra wyglądała o wiele lepiej, niemniej jednak skręcało go z głodu. Zanim mógł zrobić cokolwiek innego, potrzebna mu była krew.

Do domku myśliwskiego zbliżył się krokiem szybkim, acz ostrożnym, przystając tylko na chwilę, żeby się napić. Pierwszy ze śmiertelników tylko podsycił jego apetyt. Drugi połowicznie go zaspokoił.

Krew odświeżyła mu zmysły. W budynku znajdowali się trzej przedstawiciele jego gatunku oraz Kathy. Biły od niej fale przerażenia – czuł jej strach w powietrzu niczym odór pleśni na ubraniach przechowywanych w wilgoci.

Wcześniej w szopie na narzędzia znalazł siekiere, którą niósł teraz w rękę, poruszając się szybko, bo wiedział, że prawdopodobnie już został wyczuły. Okrążył dom i wszedł do środka przez tylne drzwi. Znajdowali się tuż nad nim, ich energia była wyraźnie odczuwalna. Daleko im było do słabości. Miał nadzieję, że uda mu się ich zaskoczyć.

Bezszelestnie zaczął wspinać się po schodach, pokonując po trzy stopnie naraz. Wiedział już, gdzie trzymają Kathy.

Do tej pory musieli już przecież uświadomić sobie jego obecność! Wyczuwał ich na końcu korytarza w przeszklonym pokoju, co sprawiło, że się zawahał. Zawładnął nim lęk – nie przed walką, ale przed tamtym pomieszczeniem i nieopisaną męką, której w nim doświadczył.

Dobiegł go jednak jęk Kathy, który pomógł mu odegnać ogarniającą go panikę. Widok, który ukazał się jego oczom, gdy zajrzał przez drzwi, wprowadził go w osłupienie i całkowicie wyjaśnił to, że nikt go nie zaatakował. Nie wyczuli go, bo byli zajęci.

Ustawiona na czworakach Kathy skomlała niczym zwierzę, a jej drobne ciało pokryte było sińcami oraz śladami po ugryzieniach, a z niektórych z nich sączyła się krew.

Jeden z mężczyzn kopulował z nią analnie, a inny wkładał jej członek do ust. Reesone leżał pod nią z penisem w jej pochwie i kłami zatopionymi w jej piersi. Poruszała się niczym robot – gdy cofała ciało ku Reesone'owi, znajdujący się za nią mężczyzna wykonywał pchnięcie biodrami i przesuwiał językiem po ranie na jej plecach. Gdy

ruszała się do przodu, członek stojącego przed nią mężczyzny wsuwał się jej do ust, a on sam przejeżdżał językiem po krwi wyciekającej z rany, z której chwilę przedtem korzystał jego kolega.

David przez chwilę stał zahipnotyzowany ohydny, niezgrabnym rytmem, ale moment później coś w jego głowie trzasnęło niczym zamknięte z całej siły stalowe drzwi. Scena przed jego oczami wypełniła się odcieniami czerwieni i miał wrażenie, że jego ciałem steruje ktoś inny. Wydawało mu się, że porusza się w zwolnionym tempie. Z jego trzewi wyrwał się ryk wojownika opętanego szałem bojowym. Zamachnął się siekierą i głowa mężczyzny stojącego za Kathy poszybowała łukiem na drugi koniec pokoju. Jego kompan został poddany dekapitacji, zanim był w stanie zareagować. Reesone był jednak szybszy i w kilka chwil zdołał wydostać się spod Kathy i chwycić ją za gardło.

– Jeden ruch i będzie po niej – powiedział, przechylając jej głowę pod bolesnym kątem.

Twarz Kathy wykrzywiła się z cierpienia i strachu. Wyglądała, jakby postradała rozum i nie była w stanie zarejestrować obecności Davida. Z brody Reesone'a ściekała jej krew i widok ten rozszedził Davida.

– Odłóż siekierę, a potem się cofnij – rozkazał Reesone.

Gdy David posłuchał, Reesone się uśmiechnął.

– Ariel pomyliła się co do ciebie. Jesteś zwykłym durniem. – Zaczął przesuwać się w kierunku drzwi, wlokąc Kathy ze sobą, a po drodze podniósł siekierę.

„Nie!” – krzyknął w myśli David.

Zalało go przerażenie przypominające rzekę, która wyrwała się z okowów pękającej tamy. Powróciły bolesne wspomnienia. Nie miał wątpliwości, że tym razem umrze w tym pokoju. Strach kazał mu postąpić do przodu.

– Jeszcze jeden krok i dziewczyna umrze.

– Boisz się walki, Reesone? Tylko w ten sposób potrafisz walczyć? Pasywnie?

Reesone zatrzymał się, a na jego wargach pojawił się uśmiech.

– Wybacz. Nie dam się nabrać na tak starą sztuczkę. – Ponownie zaczął się cofać.

– Ariel miała takich jak ty na pęczki – drwił z niego David. – Pozbawionych jaj chłopaczków o ptasich mózdkach gotowych zatańczyć, jak im zagra.

– Gadaj zdrów, frajerze – odszczeknął się Reesone, ale David

widział, że przynęta chwyciła.

– To ona zabroniła ci ze mną walczyć? Powiedziała, że sama się mną zajmie?

Reesone milczał.

– Ona ci nie ufa, Don. Wie, że sobie ze mną nie poradzisz. Jesteś słaby, a ona to widzi. I najwyraźniej ma rację.

Reesone w dalszym ciągu się nie odzywał i David przyzywał go do siebie ruchem palców, mówiąc:

– Walcz ze mną. Jeśli tego nie zrobisz, to znaczy, że nie jesteś wart Ariel. Cała nasza trójka zdaje sobie z tego sprawę.

Reesone odepchnął Kathy na bok. Upadła na podłogę z głuchym dźwiękiem. Reesone upuścił siekiere i przyjął pozycję zawodowego boksera, zaciskając dłonie w pięści niczym aktor grający rolę zabijaki, a David skomentował to śmiechem.

– Nie jesteś już śmiertelnikiem. Szanse nie będą równe.

– Ale będzie to walka na śmierć i życie! – zawołał Reesone dramatycznym tonem.

Paznokcie u rąk Davida zmieniły się w mordercze szpony. Jego mięśnie napięły się, a wargi odstąpiły ostre kły gotowe do rozdarcia ofiary na strzępy. Wraz z gęstnieniem krwawej mgiełki wypełniającej mu pole widzenia wypełniała go coraz większa siła. Reesone wydawał się wystraszony tą transformacją, ale mógł przyglądać się jej tylko przez chwilę, bo David rzucił mu się do gardła. Oderwał pokaźny kawałek mięsa, uważając przy tym, aby nie przerwać rdzenia kręgowego ani nie przeciąć przełyku.

Jego ofiara wrzasnęła, a potem zaczęła się cofać. David rzucił się na niego raz jeszcze, ale Reesone oprzytomniał i chwycił za siekiere. Zamachnął się nią i trafił Davida w bark oraz twarz, z której siekiera zerwała skórę i mięśnie, obnażając kość żuchwy.

Reesone nie miał jednak czasu na podziwianie swego dzieła. David wgryzł mu się w pierś, wyszarpnął z brzucha kęs delikatnego mięsa i jednocześnie wykręcił mu ramię, doprowadzając do zwichnięcia stawu barkowego. Siekiera stuknęła o podłogę, a Reesone zawył z bólu – David nic jednak nie słyszał. Jego nadnercza pracowały ponad normę, wypełniając go potężnymi dawkami energii, która pozwalała mu raz za razem ponawiać ataki w prawie bezmyślnej żądzy zemsty.

Przez cały czas jednak uważał, by nie uśmiercić aktora. Pan Reesone miał mu się jeszcze przydać.

Gdy David wyładował cały swój gniew, cofnął się o krok, dysząc



ciężko. Leżące przed nim ciało było poszarpane i zlane krwią, David nie czuł jednak najlżejszych nawet wyrzutów sumienia i był wystarczająco przytomny, żeby uświadomić sobie, jak bardzo było to nie w jego stylu. Miał to jednak gdzieś. Reesone ledwo oddychał, ale jeszcze żył. Jeśli zostawiłby go w tym stanie, jego rany wygoiłyby się przez noc. Dla Davida istotne było, że mężczyzna ciągle go słyszy.

Uniósł siekiere, po czym odrąbał ręce aktora w łokciach oraz nogi w kolanach. Z pulsujących arterii trysnęła krew, a z głębi gardła Reesone'a wydobył się pomruk.

– Nie mam na tym polu doświadczenia – wyjaśnił zasapany David – ale chodzą pogłoski, że nasze kończyny – a przy odpowiedniej ilości czasu nawet odcięta głowa czy przerwany rdzeń kręgowy – są w stanie zrosnąć się z ciałem. Tobie jednak nie dane będzie doznać tego luksusu.

Rozrzucił zakrwawione członki Reesone'a oraz głowy dwóch pozostałych mężczyzn po kątach pomieszczenia, aby stworzyć między nimi dystans uniemożliwiający regenerację. Następnie obszedł dom w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby przydać się Kathy.

Ubrał ją w znalezione przez siebie męskie spodnie, buty do biegania oraz kurtkę myśliwską, a następnie wziął ją na ręce. Jej ciało było rozpalone, wargi pozbawione koloru, a oczy zamknięte – wydawała się nieświadoma jego obecności. Jej gorączka była niebezpiecznie wysoka.

Wychodząc z pokoju, David obejrzał się i powiedział:

– Możesz mi wierzyć lub nie, Reesone, ale prawie jest mi ciebie żal.  
Cisza.

– Wmówiłeś sobie, że Ariel na tobie zależy. Prawdopodobnie spodziewasz się, że przyjdzie ci teraz na ratunek, ale tak się nie stanie. Jeśli nawet się tu pojawi, to tylko po to, żeby chwilę później zostawić cię na pastwę losu niczym mysz schwytaną w pułapkę. Ariel gardzi słabością równie mocno, jak się w niej lubuje.

David zaśmiał się gorzko.

– Masz szczęście, że dopiero wkroczyłeś w to życie. Wyzioniesz ducha w ciągu doby. Mnie zajęłoby to o wiele dłużej. Z drugiej strony cierpienie jest w stanie rozciągać czas w nieskończoność. Sam najlepiej o tym wiem.

Pozbawiony kończyn korpus leżący na podłodze ponownie nie zdobył się na żaden komentarz, zadrżał tylko lekko.

David wyniósł Kathy z pokoju, a następnie zasunął sześć ciężkich sztab na drzwiach, mimo że Reesone nie byłby w stanie do nich

dopełznąć.

Gdy znaleźli się na dworze, David zatrzymał się na chwilę, żeby wysać juchę z ciałek upolowanych wcześniej królika i wiewiórki. Był bardzo osłabiony i potrzebował ich krwi.

Z Tofino polecieeli helikopterem na lotnisko w Vancouver. Kathy przez cały lot sprawiała wrażenie otumanionej. Była rozpalona, a jej krwawiącą skórę pokrywały sińce. David umył ją przed lotem, ale nie był w stanie skłonić jej do powiedzenia ani słowa. Bezpośrednie loty do Nowego Jorku odchodziły dopiero rano, ale on nie był skory czekać aż tak długo.

Zarezerwował dla nich miejsca na pokładzie nocnego lotu do Seattle. Kathy odżyła na tyle, żeby o własnych siłach wejść do samolotu, co David przyjął z ulgą. Użyli jej paszportu, który ciągle przechowywał, oraz jego własnego. Odrobina sugestii oraz wyjaśnienie stanu Kathy chorobą pozwoliły im w iście cudowny sposób przejść przez odprawę celną bez żadnego zgrzytu. W Seattle okazało się, że nie są dostępne żadne prywatne loty, więc i tak musieli czekać do rana.

Do tej pory Ariel na pewno kazała już komuś zajrzeć do domu. Do wschodu słońca będzie wiedziała, gdzie są. Tylko ona mogłaby się tu potencjalnie pojawić za dnia, David nie sądził jednak, żeby była do tego zdolna.

Bez względu na ryzyko postanowił spędzić tę noc oraz część następnego dnia w pokoju hotelowym położonym nieopodal lotniska. Oboje z Kathy musieli porządnie wypocząć.

Przez większą część nocy próbował dodzwonić się pod numer, który dostał od Frankiego. Telefon odbierała zrzędliva kobieta, która mówiła coś po hiszpańsku, a potem odkładała słuchawkę. David zaczynał się martwić. Co, jeśli Frankie się naćpał? Albo był śledzony w drodze z lotniska? Albo porzucił gdzieś Michela? A jeśli Michel został odnaleziony?

W końcu o dziewiątej rano czasu nowojorskiego telefon odebrał sam Frankie.

– Wszystko w porządku? – spytał David.

– Może być, tylko od pogody chce się wyć. Pieprzony deszcz leje jak głupi. – Znajomy głos zabrzmiał w jego uszach wyjątkowo rozsądnie i po raz pierwszy od tygodnia David poczuł, że odzyskuje kontakt z rzeczywistością.

– Frankie, mam nadzieję, że zdobyłeś paszport. Liczyłem na ciebie.

– Pewnie, że tak! Nie pękaj, brat. Bałeś się, że wystawię cię do

wiatru, ziomus? Nie ty pierwszy.

David zawstydzil się, że w ogóle przeszło mu to przez myśl.

– Zadzwoń do linii lotniczych i zarezerwuj trzy bilety do Wiednia z lotniska Kennedy’ego. Zapłacę za nie przy odbiorze.

– Dokąd?

– Do Wiednia. W Austrii. Na nazwiska Davida Hardwicka, Kathleen Stevens i tego z paszportu Michela. Przylecimy z Kathy około ósmej wieczorem twojego czasu, więc pasuje nam dowolny lot, powiedzmy, po dziesiątej. Spotkajmy się na lotnisku w tym samym miejscu co ostatnio, a ty ukryj Michela tak, jak ja to wcześniej zrobiłem. Bądź ostrożny, Frankie.

– Zawsze jestem.

Tuż przed wschodem słońca David ułożył Kathy na łóżku. Sam był w kiepskim stanie, ale jej oberwało się o wiele gorzej. Przez całą noc na zmianę traciła i odzyskiwała świadomość.

– Kathy? – Otarł jej twarz namoczonym w chłodnej wodzie ręcznikiem. Otworzyła oczy, których błękit był teraz pozbawiony głębi i przygaszony, po czym zamknęła powieki i ponownie je rozwarła.

– Davidzie!... – szepnęła. – Wiedziałam, że mnie znajdziesz.

Była niezwykle blada i osłabiona.

– Pili twoją krew – powiedział, głaszcząc ją po włosach, które obecnie były tłuste i splątane w jeden wielki kołtun.

Kathy skinęła głową.

– A czy ty piłaś ich?

– Tak. Reesone’a. I tamtych dwóch facetów. I Ariel. Zmusili mnie. – Jej głos stopniowo cichł i w końcu zamilkł.

David zdawał sobie sprawę, że nie tylko tortury, którym została poddana, ale też wielokrotna wymiana krwi odcisnęły piętno na jej organizmie.

Ale skoro obaj mężczyźni nie żyli, a żywot Reesone’a też dobiegał kresu, już tylko David i Ariel walczyli o wpływ na Kathy. Gdyby dziewczyna teraz umarła, przeszłaby przemianę, w wyniku której stałaby się zależna od nich obojga.

Tuż przed ósmą wieczorem wylądowali na lotnisku Kennedy’ego. Pierwszym, co dostrzegł David, były trzy ruchome świetliste kształty, których twarze udało mu się rozpoznać. Widział je przedtem na dworcu w towarzystwie Ariel.

## Rozdział 28

David zastał Frankiego w umówionym miejscu przed terminalem i odciągnął go na bok.

– Widzisz tamtych trzech? Musimy ich unikać jak ognia! – David wskazał na trzy postacie widoczne za szybą w środku.

Frankie wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wyważył drzwiczki jednego z automatów z gazetami, a następnie wyszarpnął ze środka tekturową reklamę.

– Poczekaście tu – powiedział.

David patrzył, jak chłopak podchodzi do atrakcyjnej kobiety siedzącej za biurkiem w punkcie informacyjnym. Po kilku sekundach rozmowy kobieta wybuchła śmiechem i podała Frankiemu długopis i dwa kawałki taśmy samoprzylepnej. Chłopak napisał coś na tekturze, po czym zniknął mu z pola widzenia.

Po powrocie Frankie poprowadził Davida, Kathy i Michela do męskiej ubikacji położonej niedaleko wejścia. Do drzwi przyklejona była tabliczka z napisem: „Nieczynne”.

– Wy się tu rozgośćcie, a ja wam powiem, gdy znikną tamci goście – powiedział Frankie.

David wyczuwał obecność trzech mężczyzn, tak jak bez wątplenia i oni wyczuwali jego. Wiedzieli, że znajduje się gdzieś na terenie terminalu, ale nie znali jego dokładnego położenia, bo ich zdolności nie osiągnęły jeszcze wystarczająco wysokiego poziomu. Zanim wylądowali na pokładzie samolotu z Seattle, zdążyło już zajść słońce, więc podejrzewał, że ludzie Ariel musieli sypiać gdzieś w okolicach lotniska. Miał nadzieję, że mężczyźni nie mieli okazji się jeszcze pożywić, gdyż świeża krew wyostrzyłaby ich percepcję. Gdyby tylko udało mu się utrzymać ich na dystans aż do odlotu samolotu do Wiednia...

Jakieś dwadzieścia minut później Frankie wsadził głowę do łazienki.

– Zniknęli, ziomek. Ot tak! – Pstryknął palcami.

David sprawdził to sam. Nie był w stanie ich dostrzec w żadnym punkcie terminalu, ale w dalszym ciągu wyczuwał ich obecność.

– Muszę zostawić tu Kathy i Michela, żeby pójść kupić bilety.

Popilnujesz drzwi?

Frankie skinął głową.

– Michel, będzie mi potrzebny twój paszport. David ruszył przez gęsty tłum w kierunku stanowiska sprzedaży biletów. Zapłacił za nie pośpiesznie, po czym wrócił do łazienki. Gdy wchodził do środka, zauważył blask trójki znikających za rogiem mężczyzn. Frankie też ich dostrzegł.

– Spoko, stary. Stamtąd nie mieli szans dojrzeć twojej twarzy.

– Martwię się, że dostrzegli coś innego niż moją twarz.

– No, właśnie widzę – powiedział Frankie, przesuwając wzrokiem po jego dziwacznych okularach i plastikowych rysach.

David zerknął na zegarek i jednocześnie rozległ się komunikat informujący, że rozpoczęło się wpuszczanie pasażerów na pokład samolotu do Wiednia.

– No dalej, asie – powiedział Frankie. – Zaprowadzę was na miejsce. Ich jest tylko trzech. Samych psów jest tu o wiele więcej.

David się wahał.

– Nie mogę ryzykować – stwierdził. – Nie jestem w stanie ci tego teraz w pełni wyjaśnić, ale oni widzą mnie przez tę maskę nawet z odległego krańca terminalu – podobnie jak ja widzę ich. Razem dorównują siłą tuzinowi mężczyzn. Musisz mi wierzyć na słowo.

Frankie przez kilka sekund patrzył na niego w milczeniu.

– Dziwak z ciebie, ziomek, ale chyba wiem, co jest grane.

David nic nie odpowiedział.

– Tak, stary. Dotarło do mnie. Jesteś chudy jak patyk, a jednak dobrze się bijesz. Nigdy nie spotkałem cię za dnia, tylko w nocy. No i ten dzieciak zajadający się surowym mięsem. W końcu zrozumiałem. Tak wielki wysiłek to był, że mój mózg prawie obrócił się w pył.

David wbił w chłopaka wzrok.

– Jesteś kosmitą, zgadza się? Mars, Pluton i tak dalej. Wypadłeś z objęć nieba pewnej nieszczęsnej nocy.

Uwięziona pod maską twarz Davida próbowała ułożyć się w uśmiech, ale lateks całkowicie udaremnił te starania.

– A ci goście też pochodzą z kosmosu. Jakaś inna rasa?

– To długa historia, Frankie. Kiedyś ci ją opowiem, jeśli ciągle będziesz nią zainteresowany.

– Zamieniam się w słuch. – Chłopak uśmiechnął się szeroko i przesunął się o kilka kroków, żeby przyjrzeć się mijającej go dziewczynie w mini.

– Frankie, przyszło mi do głowy coś, co mogłoby pomóc, o ile zgodziłbyś się wziąć w tym udział.

– Do rzeczy.

– Pozwolisz mi się zahipnotyzować? Nie zajmie to długo i nie stanie ci się żadna krzywda.

Frankie przez chwilę przyglądał mu się ze sceptyczną miną, a potem po jego twarzy rozlał się uśmiech.

– Ta, mózgu pranie – tyle że jestem szalony, kochanie, a to w mojej czaszce na zawsze już zostanie.

W zaciszu łazienki David wprowadził Frankiego w stan relaksacji, podał mu stosowne informacje, a następnie pożywił się niewielką ilością jego krwi. Frankie da sobie radę bez niej, a David mógł dzięki temu go namierzać. David wyszedł z Michelelem z budynku, żeby trójka mężczyzn zarejestrowała zmianę w poziomie energii, i obaj zaczęli obserwować wewnątrz terminalu przez szybę.

Frankie skierował się ku stanowisku odprawy, do którego zmierzał też jeden z trzech mężczyzn. Gdy dotarł do biurka, głośno powiedział:

– Cześć, kotku, mam tu parę biletów dla mnie nic niewartych. Chciałbym je wymienić na kilka dolców marnych.

Frankie zwrócił na siebie uwagę kilku osób, włącznie ze znajdującym się nieopodal świetlistym kształtem.

– Przykro mi – powiedziała kobieta, mierząc go wzrokiem. – Będzie pan musiał zadzwonić do naszego biura. Tutaj nie zwracamy pieniędzy.

– Posłuchaj! – Frankie przechylił się nad kontuarem i spojrzał jej prosto w oczy, lekko ścisząc głos, aby wykorzystać cały swój urok.

Ciągle jednak było go dobrze słychać.

– Jakiś koleś dał mi te trzy bilety i powiedział, że sam nie może z nich skorzystać.

Spuścił wzrok i przeczytał:

– David Hardwick. No, w każdym razie powiedział, że mogę je sobie wymienić na hajs. Odłożę tę gotówkę na urodzinową potańcówkę, czaisz?

Światło podeszło bliżej i dało znak pozostałym dwóm źródłom blasku. David wstrzymał oddech.

– Proszę posłuchać, przykro mi, ale... – Kobiecie nie udało się dokończyć zdania.

– Od kogo masz te bilety? – Mężczyzna stojący najbliżej Frankiego złapał go za ramię i obrócił chłopakiem wokół jego własnej osi.

– Co ci do tego, kolego? Nie wyglądasz na glinę ani nikogo takiego.  
– Spytałem, od kogo masz bilety, szczeniaku. – Mężczyzna ścisnął ramię Frankiego tak mocno, że chłopak wrzasnął.

Gdy podeszli do nich dwaj pozostali, jeden z nich przejął dowodzenie. Odepchnął agresywnego kolegę na bok, bo przez niego zwrócili na siebie uwagę tłumy.

– Powiedz nam tylko, gdzie możemy znaleźć człowieka, który dał ci bilety. Nic ci nie zrobimy.

– Nie? Dobrze wiedzieć. Jakiś gość wcisnął mi je w rękę i powiedział, żebym je sobie wymienił na kasę.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie mam pojęcia, stary. Widziałem, jak wsiadał z babką i dzieciakiem do taksówki. Przed tamtym wejściem. Słyszałem, jak kazał kierowcy jechać do Newark.

Mężczyzna zadający pytania, który wyglądał na najbardziej z nich wygłodniałego, spojrział Frankiemu w oczy. Twarz chłopaka rozluźniła się i pojawiła się na niej rozmarzona mina. Gdyby chcieli zabrać go ze sobą, David byłby zmuszony interweniować.

– Mówi prawdę – poinformował mężczyznę kompanów.

– Idziemy.

– Może jeden z nas powinien tu zostać, na wypadek gdyby to był podstęp.

– Żaden podstęp. Zobaczył nas i prysnął. Nie wyczuwam jego obecności w budynku. Dogonimy ich, zanim dotrą do Jersey.

Zostawili Frankiego stojącego z pełnym spokojem uśmiechem na twarzy. David patrzył, jak kierują się do wyjścia znajdującego się dokładnie naprzeciwko tego, przy którym się znajdował. Gdy wyszli, wrócił z Michelelem do wnętrza terminalu. Posłał chłopca do łazienki, a sam podszedł do Frankiego i przywrócił mu świadomość.

– Ziomku, musisz to upchnąć w butelce albo prochach. Zrobimy majątek.

Wrócili do męskiej toalety, gdzie zastali wystraszonego Michela. Kathy leżała bezwładnie na podłodze i David ochlapał jej twarz zimną wodą, żeby była chociaż w stanie wejść do samolotu. Dobiegło go ostatnie wezwanie do zajmowania miejsc na pokładzie.

– Frankie, nigdy nie pojmiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczny. Ocaliłeś nas wszystkich przed niezwykle ponurym losem.

Pochwalony uśmiechnął się szeroko niczym żołnierz odznaczony orderem za bohaterstwo, w którym to uśmiechu niewielka ilość

skromności mieszała się z dużą dawką dumy.

– Tak, ziomek, chyba masz rację. Ale jest już po sprawie. Będziesz się odzywał?

– Zdecydowanie tak. Wrócę, gdy będzie po wszystkim – powiedział David.

Miał ochotę objąć chłopaka, ale bał się, że ten gest może zostać opacznie odebrany. Zamiast tego ścisnął mu ramię.

– Złap taksówkę i zniknij stąd tak szybko, jak się da. Przez jakiś czas nie pojawiaj się też na lotnisku, dobrze? A jeśli jeszcze kiedyś zobaczysz któregoś z tych mężczyzn, uciekaj. Schowaj się w tłumie.

– Super, uwielbiam tłumy.

– Jeszcze jedno. Michel podał ci numer telefonu w Austrii. – David podał Frankiemu komórkę, której używał wcześniej Michel. – Zadzwoń tam, poproś do telefonu Juliana i powiedz, że przylecimy na miejsce tuż przed wschodem słońca jego czasu. Zostały ci jakieś pieniądze?

– Mnóstwo.

– Dobrze. Myślę, że to wyśmienity moment na wakacje. I gdybyś kiedykolwiek potrzebował mojej pomocy, Frankie, możesz się ze mną skontaktować pod tym właśnie numerem, rozumiesz?

– Zapisane na dysku twardym – potwierdził chłopak, stukając się w czubek głowy kłykciami.

– Uważam cię za przyjaciela – powiedział David.

Frankie skinął głową i odparł:

– Ja ciebie też, stary.

David wprowadził Kathy i Michela do samolotu. Na pokładzie nie było żadnych przedstawicieli jego gatunku. Gdy zgasła lampka nakazująca zapięcie pasów bezpieczeństwa, udał się do łazienki, gdzie z ulgą zdjął z siebie wszystkie elementy kostiumu. Był głodny, a właściwie skręcało go z głodu, i z trudem znosił zapach otaczających go ciał oraz krwi. Nie było jednak innego wyjścia – musiał przeczekać lot.

Gdy przechodzili przez odprawę paszportową w Wiedniu, dostrzegł pięć świetlistych kształtów czekających na nich za barierkami. Twarze tych osób nie były przyjazne. Obserwowali go ukradkiem, czekając. W ciągu kilku sekund jednak pojawiło się więcej świetlistych postaci: André, Karl, Julien, Gerlinde, Carol, Chloe oraz kilka innych nieznanym mu osób. Piątka, którą dojrzał na początku, zdała sobie sprawę, że druga grupa przewyższa ją liczebnie, i postanowiła się wycofać. Gdy David, Kathy i Michel przeszli przez bramki, zostali



szczelnie otoczeni.

– Na szczęście trafnie przewidziałem konieczność wezwania posiłków – powiedział Julien.

Carol i André dopadli Michela i zaczęli go ściskać i całować. Gerlinde, Chloe oraz wysoka, elegancka kobieta o siwych włosach i oczach koloru Morza Karaibskiego zajęły się Kathy. David wsparł się o Karla i nagle poczuł, że jest skrajnie wyczerpany; przypomniał sobie o odniesionych przez siebie ranach – starych i nowych, ugryzieniach, skaleczeniach, rozdarciach oraz obrażeniach dotyczących sfery emocjonalnej.

Julien powiedział:

– Czeka na nas prywatny samolot. Na pokładzie znajduje się dla was pożywienie.

Zerknął na Kathy, pod którą ugięły się nogi, ale silne dłonie otaczających ją kobiet nie pozwoliły jej upaść. Julien milczał i David próbował odgadnąć jego myśli. Gdy Julien obrócił się do niego, spojrzenie jego czarnych, świdrujących oczu okazało się tak kojące, że David poczuł się poparty w swych wyborach aż po brzegi świadomości.

André i Karl ujęli go każdy za jedno ramię, a Julien powiedział:

– Chodźmy, przyjacielu. Nie mamy wiele czasu, a wam potrzebny jest odpoczynek.

# CZĘŚĆ CZWARTA

*Wszystko idzie, wszystko powraca;  
wiecznie toczy się koło bytu.  
Krzywy jest szlak wieczności<sup>28</sup>.*

– Nietzsche

## Rozdział 28

Kathy umiera – powiedziała Chloe. – Humanitarnym gestem byłoby przyjąć ją do naszego grona.

David spojrział na ciotkę André – siwowłosą kobietę o pełnych siły i życzliwości błękitnych oczach. Wiedział, że jej intencje są jak najlepsze.

– Ale jest związana zarówno ze mną, jak i z Ariel.

– Więź z osobą, która jako ostatnia piła jej krew, powinna być najsilniejsza – powiedział Karl.

– Chcę się upewnić, że równowaga uległa przesunięciu i to ja wywieram teraz na nią potężniejszy wpływ.

– Możesz nie zdążyć, *mon ami* – zauważył André łagodnym tonem.

David rozejrzał się po pokoju. Były ich tu prawie dwa tuziny, jeśli wliczyć syna André, dwójkę dzieci Julienu oraz chłopca na pierwszy rzut oka w wieku Michela, ale tak naprawdę żyjącego pewnie od co najmniej stulecia. Towarzyszyła mu para Hindusów.

Kathy leżała na brzuchu na stojącym w kącie wiktoriańskim szezlongu. Żona Julienu Jeanette – wysoka, olśniewająco piękna kobieta o mleczozielonych oczach, którą po raz pierwszy zobaczył na oczyma na lotnisku – chłodziła głowę Kathy zwilżonymi ręcznikami.

Michel był niezwykle wyjątkiem. Cała reszta, włącznie z dziećmi, została przemieniona z ludzi w to, czym teraz byli. David wiedział, że wiele z obecnych w pomieszczeniu osób zostało poddanych transformacji wbrew swej woli. Chciał uniknąć postawienia Kathy przed faktem dokonanym.

Leżała bez ruchu. Gorączka nie zelżała, a nawet zaczynała się podnosić. Od momentu, gdy przybyli do Wiednia, coraz rzadziej zdarzały jej się przebłyski świadomości.

David przecesał dłonią włosy. Wiedział, że wszyscy mu współczują, ale to wcale nie pomagało.

– Niech cię diabli, Ariel! – zawołał, ale było za późno na gorycz.

Podszedł w róg pokoju i bacznie przyjrzał się Kathy. Jej skóra miała niezdrową barwę, a wargi były wysuszone i białe jak kreda. Jej czoło powinny pokrywać krople potu, ale wcale tak nie było. Wziął do ręki

jedną z jej rozgrzanych, bezwładnych dłoni. Płuca Kathy z trudem zasysały powietrze.

– Czy na dworze jest jakieś bezpieczne miejsce? – spytał cicho.

Julien położył mu dłoń na ramieniu.

– Za domem rośnie las. Nikt nie zakłóci tam waszego spokoju.

David wziął Kathy na ręce i wyniósł ją na zewnątrz. Teren był nierówny. Zaprojektowany przez Hiszpanów średniowieczny zamek połączony ze zboczem góry istniał na długo przed tym, jak wojujące ludzkie hordy zaczęły walczyć o te ziemie tylko po to, by porzucić je, gdy stało się jasne, jak bardzo są niegościnnie. Przeciskał się pomiędzy zgniłozielonymi zaroślami, krzewami i drzewami ogołoconymi z liści przed zbliżającą się szybko zimą, wspinając się coraz wyżej, aż dotarł na skalisty płaskowyż dla odmiany nieporośnięty gęstymi zaroślami. Usiadł pod bezchmurnym nocnym niebem, oparł się o szarą skałę i ułożył sobie Kathy między nogami. Jednym z kolan podpierał jej plecy.

Jej twarz była wymęczona, postarzała. Zakłuło go w sercu. Tak wiele wycierpiała, a on nie był w stanie zmienić jej przeznaczenia. Wcześniej miał w planie uprzyjemnienie jej przemiany. Chciał najpierw poruszyć temat jej ojca oraz Bobby'ego, żeby mogła raz na zawsze zamknąć ten rozdział życia. Pragnął, aby doświadczyła blasku gwiazd i szumu oceanu, abyw tym zwrotnym momencie swojego żywota czuła się otoczona jego miłością. Teraz jednak nie mógł dać jej żadnej z tych rzeczy.

– Kathy? Słyszysz mnie?

Drgnęła, ale jej oczy się nie otworzyły.

– Od teraz już zawsze będziemy razem – powiedział David, odgarniając dłonią suche włosy z jej czoła. Jediną odpowiedzią, jaką otrzymał, było lekkie westchnienie, a i ono tak naprawdę mogło być tylko podmuchem wiatru. Noc była chłodna, więc przyciągnął Kathy bliżej do siebie, po czym rozchylił kołnierz myśliwskiej kurtki, którą miała na sobie, żeby odsłonić pulsujący niemrawo punkt na jej szyi.

Pomimo miłości, jaką darzył Kathy, oraz pragnienia, by jej przemiana dokonała się w sposób łagodny, ciało Davida zareagowało na jej tętno. Żarłoczne zwierzę, z którym nieustannie prowadził wewnętrzną walkę, zmusiło cywilizowany aspekt jego osobowości do odwrotu.

Usta Davida odnalazły arterię, ale opanowało go przerażenie – nie był w stanie znieść myśli o tym, że mógłby przeprowadzić ją na drugą

stronę w sposób równie gwałtowny. Przesunął więc wargi ku zwykłej zyle. Przeklął ją powoli, by wywołać jak najmniej bólu. Krople karmazynowego płynu zwilżyły mu usta. Jak za przyciśnięciem guzika poczuł się ożywiony, pełen energii. Oraz wygłodniały.

Jej wyglądające spomiędzy półprzymkniętych powiek oczy pełne były podsyconych gorączką bólu i strachu.

– Ariel – wymamrotała.

David prawie zagotował się ze złości. Momentalnie przycisnął dwa palce do rany po ugryzieniu, a Kathy wydała z siebie jęk.

– To ja. David. Nie lękaj się, maleństwo.

Widok jej cierpienia sprawił, że sam jęknął. Krople jej gorącej krwi ożywiały go równie szybko, jak ją osłabiały. David spojrzał na wymizerowaną twarz Kathy, a potem pocałował jej blade, wysuszone wargi. Jak mógł się na to zdobyć? Przysiągł przecież sam sobie, że jej przemiana będzie miała miejsce tylko za jej świadomą zgodą. Bez względu na to, jak bardzo usprawiedliwiał jego czyn jej obecny stan zdrowia, w głębi serca wiedział, że wyssanie z niej życia, gdy leży nieprzytomna, zakrawało na gwałt, a nie oznakę miłości.

Jej powieki znowu opadły i musiał przysunąć ucho do jej warg, żeby usłyszeć, jak szepcze:

– *Jak ciebie kocham...*

– *Kocham głęboko, daleko, jak zbiec potrafi dusza...*<sup>29</sup> – bez wahania zaczął deklamować David.

Srebrny blask księżycy obrócił hebanowe niebo w skałę, potem księżyc przysłonił dym, a David ciągle zmagał się z żyjącymi w jego wnętrzu demonami.

Mocno przycisnął do siebie Kathy, kołysał ją w ramionach, całował jej rozpalone wargi, pozwalając, by zabarwione krwią łzy, które zbierały mu się w oczach, obmywały jej bladą twarz. Jeśli jej przeznaczeniem było umrzeć, to tak właśnie miało być. Bez względu na to, czy David dopełni rytuału, Kathy i tak przejdzie transformację. Nie dało się stwierdzić, czy dziewczyna okaże się w równym stopniu przywiązana do niego co do Ariel, czy jedno z nich będzie w tym związku dominować. Nie miał nad tym kontroli. Tak naprawdę niewiele leżało już w jego gestii. Mógł jednak dokonać wyboru, który pomoże mu uratować ostatnie okrucy człowieczeństwa, które ciągle jeszcze desperacko wczepiały mu się w duszę. Dotrzyma danej i jej, i sobie obietnicy. W przeciwnym bowiem razie okazałoby się, że jest czymś o wiele gorszym od śmiertelnika, gorszym nawet od zwykłego

mikroba. Najmniejsze nawet cząsteczki, z których składał się ten wszechświat, ulegały wpływowi wywieranemu przez inne cząsteczki i – bez względu na to, co miał okazję widzieć czy doświadczyć od chwili, gdy przemienił się w tę niezwykłą istotę, którą był – nie chciał wierzyć, że on i jemu podobni zdołali odizolować się od złożonych związków przyczynowo-skutkowych kierujących życiem na tej planecie.

Krew dawno już zdążyła zaschnąć mu na palcach. Rany po ugryzieniu łatwo byłoby ponownie otworzyć, ale on tego nie zrobi.

Gdy odzyskał głos, przycisnął Kathy do piersi i złożył jej przysięgę składającą się ze słów, które dawno temu Elizabeth Barrett Browning wygłosiła mężowi:

*„A gdy zechce Bóg,  
Będę cię jeszcze bardziej kochać po śmierci”<sup>30</sup>.*

## Rozdział 30

Czy ja już nie żyję? – spytała Kathy.

Gerlinde parsknęła śmiechem.

– Nie do końca, mała, ale niewiele ci brakowało.

Kathy czuła niewyobrażalną słabość. Obrócenie głowy wymagało od niej heroicznego wręcz wysiłku.

– Jak długo...?

Siedząca po drugiej stronie łóżka Carol pochyliła się i otarła jej twarz wilgotnym ręcznikiem.

– Byłaś nieprzytomna przez cały tydzień od przyjazdu. Nie byliśmy pewni, czy gorączka w ogóle ci opadnie. Jesteś spragniona?

– Tak.

Kobiety pomogły jej unieść głowę, żeby mogła upić łyk wody, która okazała się najlepszym napojem, jaki kiedykolwiek miała okazję skosztować. Jednak ruch okazał się dla niej wycieńczający, zupełnie jakby ze wszystkich mięśni w jej ciele ktoś wysał energię, czego rezultatem był ich kompletny zanik.

– Gdzie jest David?

– Tutaj.

Przeniosła wzrok w kąt pokoju, skąd dobiegł ją jego głos, i poczuła ulgę.

Stojąca obok Davida siwowłosa kobieta przyznała:

– Słusznie posłuchałeś głosu serca.

Podszedł do łóżka, a Kathy ogarnęła wdzięczność. Żyła. Była bezpieczna. I towarzyszył jej David. Jego pyszne, jędrne usta przycisnęły się do jej warg. Utulił ją w ramionach, jakby już nigdy mieli się nie rozstać.

Mijał dzień za dniem i Kathy stopniowo odzyskiwała siły. Gdy David uznał, że dostatecznie wyzdrowiała, zabrał ją na spotkanie z resztą towarzystwa w olbrzymim pomieszczeniu, które musiało pełnić kiedyś w zamku funkcję sali bankietowej. Drewniane półki zastawione były zabytkowymi przedmiotami. Z ozdobionego kurdybanem sklepionego sufitu zwisały proporce. Dwie ściany pokrywały bogato zdobione gobeliny przedstawiające historię Hefajstosa. Davidowi wydawało się,

że jedna ze zbroi może pochodzić jeszcze z czasów wypraw krzyżowych. W samym środku stał pięciometrowy, ciemny, masywny stół z egzotycznego drewna, którego grube, okrągłe nogi pokryto płaskorzeźbami z motywem winorośli. Jego pokryty bliznami blat musiał na przestrzeni wieków stać się świadkiem niezliczonych biesiad. W tym pomieszczeniu miało się poczucie, że czas się cofnął.

Kathy była pod wielkim wrażeniem. Rozglądała się z niedowierzaniem, raz za razem przesuując palcami po polerowanym drewnie oraz haftach petit point zdobiących siedzenie jej krzesła. Jej naiwność w dalszym ciągu wprawiała Davida w głęboki zachwyty.

– Chciałbym wam wszystkim podziękować za okazaną pomoc – powiedział David do obecnych.

– My też ci dziękujemy – odparł André. – Ariel jest nieustępliwa. Zależało jej na Michelu i w końcu by go znalazła. Teraz, gdy wiemy, o co jej chodzi, jesteśmy w stanie go chronić.

André pochylił się nad synem, który grał na podłodze w szachy z nastoletnią dziewczynką, i zmierzwił mu włosy.

– Chciałbym zostawić tu Kathy, bo z wami będzie bezpieczna – oznajmił David.

Kathy poderwała głowę i spojrzała na niego.

– Zamierzam dopaść Ariel – powiedział.

– Nie! – Kathy zerwała się na równe nogi. – Ona cię zabije. Nie chcę cię stracić.

Przyciągnął Kathy do siebie i pocałował we włosy, po czym spojrzał ponad jej głowę na pozostałych.

– Znam Ariel tak dobrze, jak to tylko możliwe. Nie podda się. Dalej będzie próbowała uprowadzić Michela. Jest w stanie namierzyć zarówno mnie, jak i Kathy. Zrobi to choćby z żądy zemsty.

Spojrzał na Kathy.

– A ty jesteś z nią związana równie mocno jak ze mną.

Potrząsnęła głową.

– To nieprawda, Davidzie. Kocham tylko ciebie...

– Wiem, jakimi mnie darzysz uczuciami – przerwał jej. – Ale Ariel ma na ciebie równie silny wpływ co ja. Takie są konsekwencje wymiany krwi. Jest w stanie manipulować nami obojgiem i tak już zresztą robiła. Nie mogę tak żyć, Kathy. I uprzedzając twoje pytanie: nie poddam cię przemianie, dopóki nie uwolnisz się od Ariel.

Jej oczy wypełniły się przerażeniem. Zanim zdążyła zaprotestować,



David powiedział:

– Gdyby coś mi się stało, dom w Manchesterze stanie się twój. W środku są pieniądze. Znajdziesz je. André? Karlu? – Spojrzał na przyjaciół. – Chcę mieć pewność, że zaopiekujecie się nią.

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

Kathy odsunęła się od niego gwałtownie.

– Nie! Nie możesz tego zrobić. To szaleństwo. Ona ma mnóstwo pomocników i robi wszystko, żeby cię zabić. Chcę, abyś został. Jeśli mnie kochasz, nigdzie nie pojedziesz.

– Właśnie ze względu na głębię moich uczuć do ciebie muszę to zrobić.

– Ale jak ją znajdziesz? Nie wiesz nawet, gdzie jest.

David wahał się przez chwilę. Tej części planu nie obmyślił jeszcze do końca.

– Może ty możesz ją odszukać, dzięki temu, że wymieniliście się krwią.

Wcale go nie zaskoczyło, gdy Julien powiedział:

– Kathleen nie będzie w stanie jej śledzić, dopóki nie przejdzie przemiany, a nawet wtedy na jej mocach trudno będzie polegać.

David wiedział, że to prawda. Ponadto miał wrażenie, że Julien domyśla się, iż Kathy nie nadawałaby się do tego zadania nie tylko z powodu statusu nowicjuszek.

– W takim razie poszukiwania rozpocznę od Montrealu.

– Tam jej nie ma – rozległ się dziecięcy głosik. – Już wyjechała.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się na Michela.

– A ty skąd to wiesz? – spytał André.

– Bo jak ją ugryzłem, połknąłem trochę jej krwi i po prostu wiem.

– On jest w stanie ją namierzyć! – zawołał zdumiony David. – Michelu, pomożesz mi? Powiesz mi, gdzie jest Ariel, jeśli pokażemy ci, jak ją wytropić? Możesz też pobrać trochę mojej krwi, żebyś mógł i mnie śledzić.

– Pewnie – powiedział chłopiec, po czym wyszczerzył zęby w uśmiechu i krzyknął: „Szach!” do swojej przeciwniczki.

David spojrzął na André, który z kolei popatrzył na Carol. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, porozumiewając się bez słów.

– No dobrze – powiedział André, a zaraz potem dodał:

– Mogę ci towarzyszyć, przynajmniej przez jakiś czas, jeśli masz ochotę.

– Ja też – powiedział Karl.

– I ja! – zawołała Kathy.

– Nie – odparł David, wiedząc, ile kosztowała André i Karla propozycja pomocy. – Bardzo wam dziękuję, ale ta sprawa dotyczy tylko Ariel i mnie. Teraz już widzę, że tak było zawsze.

– Davidzie, martwię się o ciebie – powiedziała Chloe.

– Ja również – dodała Morianna, wysoka, pełna majestatu kobieta o euroazjatyckich rysach, którą David dopiero co poznał. Białe niczym kwarc włosy wchodzące pasmem w kształcie litery V na jej wysokie czoło przecinała na pół szeroka czarna smuga.

Jej orientalnej urody oczy o barwie fioletu były niezwykle stare, a głos przenikliwy.

– Doceniam waszą troskę – powiedział obu kobietom. – Moje ciało już wydobrzało. Jestem w stanie sam zadbać o siebie.

– Nie martwimy się o twoje ciało – powiedziała Morianna. Postąpiła w jego kierunku. Jej monarsza aura kazała mu zamilknąć. – Tylko o duszę.

David pokręcił głową z dezorientacji.

– I wypełniającą ją nienawiść – dodała Chloe.

– Wydaje się wam, że nie mam prawa nią gardzić? Po tym wszystkim, co zrobiła Kathy i mnie. I po tym, co próbowała zrobić z Michелеm i całą resztą?

Poczuł wzbierający w nim gniew.

Morianna przytknęła palec wskazujący do ust, a potem spokojnym tonem powiedziała:

– Nie mnie ani nikomu innemu to osądzać. Martwię się tylko, że nienawiść może cię zaślepić. Morderstwo na innym przedstawicielu naszego gatunku to sprawa poważna.

– Myślicie, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Na wyspie Vancouver dokonałem trzech zabójstw. Czy oczekujesz zatem, że resztę życia spędzę w strachu?

– Zaufaj jej, *mon ami* – odezwał się André, a David spojrzał na przyjaciela. – *Faites-la attention! Elle est la sorcière*<sup>31</sup>.

– Davidzie – kontynuowała Morianna – twój duch jest niezłomny, a serce czyste, co do tego nie ma wątpliwości. Jednak załagł się w nich robak, którego larwę musiałeś własnoręcznie wykarmić.

Coś w jej słowach albo w tonie, jakim zostały wypowiedziane, dało mu do myślenia.

– Zwykle zabójstwo to nic takiego. Wszyscy dobrze to rozumiemy – mówiła dalej Morianna. – Jednak unicestwienie przedstawicielki

własnego gatunku, do tego tak sędziwej, może pociągnąć za sobą istną reakcję łańcuchową.

David głośno wypuścił powietrze z płuc, czując wypełniającą go frustrację i złość, ale Morianna w dalszym ciągu przyglądała mu się badawczo z enigmatyczną miną. Był w stanie czytać w twarzach większości swoich pobratymców, ale oblicza członków starszyny przypominały niemożliwy do przeniknięcia myślą granit.

Morianna wyciągnęła z kieszeni dwa mosiężne dyski o średnicy jakichś pięciu centymetrów zawieszzone na złotym łańcuszku.

– Pozwolisz? – spytała.

David nie miał pojęcia, co kobieta ma na myśli, ale zdał sobie sprawę, że kiwa głową.

Przyzwała go do siebie ruchem dłoni. Wypuścił Kathy z objęć i zrobił krok w kierunku dziwnej kobiety. Morianna dotknęła opuszką palca jego powiek, które zamknęły się automatycznie, jakby David zapadł nagle w sen. Przepłynął między nimi prąd przedwiecznej energii, fantasmagoryczna fala. David zrobił wydech, wyczerpany.

W sali zapadła cisza, pośród której mijała minuta za minutą. Nagle tuż przy jego piersi rozległ się dźwięk dzwonu, jednak nie przypominał niczego, co David miał okazję słyszeć kiedykolwiek wcześniej. Pogłos przeszywał mu serce, a następnie wypływał na zewnątrz wypełniał pokój. Fale dźwięku wydawały się rozciągać w nieskończoność i David uświadomił sobie, że się uśmiecha, a potem wybuchnął śmiechem, gdyż wibracje wywoływały w nim niepohamowaną radość.

Po otwarciu oczu dostrzegł, że Morianna w dalszym ciągu przed nim stoi. W dłoniach trzymała łańcuszki połączone z mosiężnymi okręgami, które chwilę wcześniej musiała zetknąć ze sobą. Jej oczy lśniły, gdy powiedziała:

– Zawsze jest lepiej zabijać z miłością w sercu, zwłaszcza gdy chodzi o Meduzę, której oczy przemieniają w kamień śmiałka, który spojrzy w nie z nienawiścią. Są one bowiem odbiciem tego, co kryje się w jego duszy. Cios zadany bez wahania jest najbardziej miłosierny. Wyszczerbione ostrze zadaje najwięcej bólu. Ręką pewną i szczerą tnie się z precyzją, a to jest istotne nie tylko dla zwycięzcy, ale też pokonanego.

David dostrzegł, że siedzący w rogu Azjata, którego przedstawiono mu jako Winga, kiwa głową. Mężczyzna był niski, prawie całkiem łysy, no i stary.

Reszta zgromadzonych zebrała się wokół Davida, żeby udzielić mu

wskazówek i rad.

– Musisz pamiętać, że rzeczywistość twoja i jej mocno się różni – powiedziała Chloe. – Do ciebie przemawia język poezji, metafory oraz inne rodzaje pokarmu dla duszy.

– A Ariel? – spytał.

– Także korzysta z przenośni – odparł Julien. – Tyle że toksycznych. Miej się na baczności i nie daj się zwieść jej czarującym słówkom.

– Nie patrz jej w oczy – poradziła Kaellie, kobieta pochodząca ze wschodnich Indii. – Tak najszybciej można dać się usidlić.

Gdy opadł poziom początkowej ekscytacji, David zaczął rozmawiać w rogu sali z żoną Julienu. Z bliska Jeanette robiła jeszcze bardziej eleganckie wrażenie, a jej zaczesane na bok śnieżnobiałe włosy odślaniały wpatrzone w niego duże, dociekliwe oczy o barwie awenturyonu, w których mógł dostrzec pełne serdeczności iskierki. Kobieta emanowała zmysłowością charakterystyczną dla przedstawicielek ich gatunku i David musiał mocno się starać, żeby nie dać się oczarować jej pięknem. Na szyi nosiła maleńki medalion na srebrnym łańcuszku, a w środku znajdował się różowy kamień, w którym wyryto jakiś symbol.

W trakcie rozmowy Jeanette wyjęła kamień, po czym włożyła go do torebki z purpurowego aksamitu ściąganej u góry sznureczkiem. Potrząsnęła nią i zawartość zagrzechotała. Następnie kobieta odezwała się do Davida:

– Wybierz trzy różne, pojedynczo. Pozwól im odszukać twoją dłoń.

David sięgnął do wnętrza torebki, gdzie wymacał chłodne w dotyku gliniane prostokąty. Wybrał jeden z nich. Szorstki kawałek miał z jednej strony wyryty jakiś znak. Jeanette poinstruowała go gestem, żeby położył płytkę symbolem do dołu na niewielkim kawałku przetykanej złotem tkaniny, którą rozłożyła na skraju stołu. David wybrał jeszcze dwa prostokąty, które zgodnie z instrukcjami ułożył w rzędzie na lewo od tego pierwszego.

– Co to takiego? – spytał.

– Noszą nazwę runów, co oznacza tajemnicę. Szamani używali ich do przewidywania przyszłości na długo przed spisaniem Nowego Testamentu. Po raz ostatni korzystali z nich na dużą skalę wikingowie zamieszkujący średniowieczną Islandię.

Jeanette obróciła pierwszy prostokąt od prawej. W chropowatej różowej glinie wyryty był jakiś symbol. Davidowi najbardziej przypominał on grecką literę „S”, ale nie do końca. Nigdy wcześniej

nie widział czegoś takiego.

– Ten glif to Pertho. Jest on bezpośrednio związany z twoją sytuacją.

– Co oznacza?

– Mówi o inicjacji oraz podporządkowywaniu się losowi, który wymyka się naszym zdolnościom manipulacji. To Feniks, mistyczny ptak, który po pochłonięciu go przez płomień odradza się z popiołów. Orzeł, który wlatuje ponad niemający końca cykl przyływów i odpływów czasoprzestrzeni, żeby osiągnąć coś nadzwyczajnego.

David czuł się oszołomiony i Jeanette musiała to zauważyć.

– Skrypt runiczny pochodzi z czasów starożytnych. Każdy glif ma własną nazwę oraz związany z nim dźwięk. Nigdy nie stosowano ich jako oficjalnego czy choćby potocznego języka, był to raczej rodzaj środka ekspresji poetyckiej.

David zaczął rozumieć.

Jeanette odwróciła kolejną runę. Prostokąć przedstawiał linię prostą.

– To Isa, stojące przed tobą wyzwanie, to, co może cię powstrzymać. Mówi o marazmie, prokrastynacji oraz unikaniu głębszych stanów emocjonalnych, za czym idzie utrata kontaktu z naturalnym przepływem energii. To przenikliwy wiatr wiejący znad połaci lodu, którym skute są stare, pozbawione sensu nawyki. Sekret polega na pogodzeniu się z przeszłością.

Obróciła trzecią runę, na której widniała wskazująca do dołu strzałka. David dostrzegł grymas, który pojawił się na obliczu Jeanette.

– O co chodzi? O rezultat końcowy?

Skinęła głową.

– Tiewaz symbolizuje wojownika.

– To musi być dobry znak.

– Zazwyczaj tak. Ale tym razem jest odwrócony. Strzałka powinna wskazywać do góry.

Oboje bez słowa wbili wzrok w trzy dziwne symbole.

W końcu Jeanette powiedziała:

– Wojownik to słońce, męska energia. Wyrażanie woli poprzez bezpośrednie działania. Pozbywanie się tego, co zbędne lub martwe.

– A gdy znak jest odwrócony? – spytał David, czując, jak opada go lęk.

– Symbolizuje wtedy niebezpieczeństwo. Wysłanie energii. Brak

zaufania lub pewności siebie.

David się zawahał.

– A więc przepowiednia zwiastuje moją porażkę?

– Niekoniecznie. Pokazuje, że musisz przyjrzeć się motywom, które tobą kierują. Temu, w jaki sposób postrzegasz rolę swej misji oraz sposób, w jaki chcesz ją wypełnić. Podświadomie możesz chcieć wyrzucić dominację lub wymierzyć karę, a nie takie jest twoje zadanie. Wskazówki znajdziesz we własnym sercu.

Jeanette sięgnęła do kieszonki sukni, po czym położyła mu coś na dłoni. Była to przezroczysta kryształowa czaszka wielkości naparstka, której najdrobniejsze detale zostały idealnie oddane.

– Zabierz ją ze sobą – powiedziała. – Pomoże ci sięgnąć do podstaw bytu i poprowadzi cię ku najskrytszym pragnieniom i najcenniejszym wewnętrznym zasobom.

Przez całą tę długą noc Kathy siedziała w okazałych rozmiarów fotelu, obserwując i słuchając z miną na zmianę oszołomioną i skrzywdzoną. Przed wschodem słońca David oddał Michelowi odrobinę swej krwi, po czym razem z Julienem i André zaczęli szkolić chłopca w sztuce tropienia. Gdy zadanie zostało wykonane, David poprowadził Kathy do niewielkiego pokoju wypełnionego wiekowymi meblami z kości słoniowej.

Przyciągnął ją do siebie. Dotyk jej skóry przesuwającej się po jego skórze sprawił, że przez jego ciało przebiegł ładunek elektryczny.

Zaczęli bawić się niczym lwięta. Kąsali się nawzajem, delikatnie drapali ze śmiechem, aż w końcu upadli na szerokie łóżko i zaczęli siłować, a David przyparł ją do materaca i skrepował jej ruchy.

Kathy wygięła plecy w łuk, gdy David pocałował ją w zagłębienie szyi, wiedząc, jak czuły jest ów punkt na erotyczną stymulację. Ich spółkowanie stało się brutalne – pełne pasji i zaciętości niczym kopulacja dzikich zwierząt. Gdy w nią wszedł, jej wnętrze okazało się rozpalone, co z kolei sprawiło, że i jego pochłonął jej ogień. Każde pchnięcie bioder zdawało się odnosić skutek podobny do tarcia zapalną o draskę – obie powierzchnie stawały w płomieniach, z których strzelały żółte iskry. Kathy chwyciła się jego pleców i zatopiła paznokcie w skórze, a David podparł się ramieniem i przyciągnął ją do siebie, drugą ręką otoczywszy jej talię. Jego ruchy sprawiały, że z jej wnętrza zaczęła wydostawać się energia. Nagle iskry zapłonęły intensywniej i rozpoczęły reakcję przypominającą wybuch połączonych lasek dynamitu. Kathy wydała z siebie okrzyk zrodzony

w głębi jej duszy, a w uszach Davida stał się on świadectwem ich mistycznego połączenia wysłanym w otchłań kosmosu.

Gdy opadli na łóżko spoceni i wyczerpani, Kathy powiedziała łagodnym, acz stanowczym głosem:

– Lecę z tobą.

David pokręcił głową.

– Właśnie, że tak! Za każdym razem, gdy się rozdzielamy, dzieje się coś strasznego. Gdy jesteśmy razem, jest o wiele lepiej.

– To zbyt niebezpieczne.

– Przecież jestem już silniejsza.

– Ale nawet w połowie nie tak silna jak Ariel.

– W takim razie dla ciebie to również niebezpieczne.

Przyciągnął ją do siebie olśniony jej urodą. Włosy Kathy lśniły niczym starożytne złote ozdoby, a w oczach odbijał się błękit, który spotkać można było tylko w pasmach tęczy. Zaciągnął się słodką różaną wonią użytego przez nią wcześniej mydła i przebijającym spod niej piżmem zmieszanych soków ich ciał oraz ostrym zapachem strachu i troski. Jej krew wydzielala słono-słodką woń zawartych w niej minerałów.

David poczuł, że odzyskuje energię.

– Pomówimy na ten temat jutro wieczorem, dobrze?

Przez kilka chwil patrzyła mu w oczy, a potem kiwnęła głową.

Widział, że Kathy jest zmęczona i niedługo porwie ją sen, ale stara się jak może dotrzymać mu towarzystwa. Gdy ponownie otworzył przed nią duszę, udało jej się odepchnąć od siebie zmartwienia.

Zasypiając, Kathy szepnęła jeszcze:

– Obiecujesz, że jutro o tym pogadamy?

– Tak. Obiecuję.

# Rozdział 31

David? – Kathy poczuła wypełniającą pokój pustkę. Rozejrzała się i dostrzegła liścik.

*Kathy, moje Ty serce i duszo, mój nieśmiertelny śnie!*

*Ukochana!*

*Musisz uwierzyć, że tylko Ty nadajesz sens mojemu istnieniu. Ruszyłem w pościg za Ariel, bo tak zrobić musiałem. Moja miłość do Ciebie nie pozostawia mi innego wyboru. Nigdy nie zapomnij, że w moich oczach symbolizujesz tajemnice wszechświata, który dorównuje rozmiarem moim uczuciom do Ciebie.*

*Tak jak mówiłem, zostawiam Ci dom i pieniądze. André, Karl i inni będą Ci służyć pomocą. Jeśli sam nie będę w stanie, chciałbym, abyś to Ty wspomogła Frankiego. Nie chcę przez to sugerować, że na pewno nie wrócę, ale nic nie jest pewne; natura jest niewzruszona na pragnienia zarówno śmiertelników, jak i istot nieśmiertelnych.*

*Kathy, słodka Kathy, niewinne dziecko, pełna pasji kobieto, istoto zrodzona z lazurowego ognia niczym błękitny diament o nieskończonej liczbie faset. Twoje życie było do tej pory wypełnione cierpieniem. Nie udało mi się ochronić Cię przed nim, a na tym mi właśnie najbardziej zależy. Wydaje mi się jednak, że będę w stanie pozostawić Ci w spuściźnie dar wolności. Jeśli miałbym przestać istnieć, zadbam też, aby podobny los spotkał Ariel. Uwolnisz się spod jej wpływu. Nie będzie już w stanie śledzić Cię i krzywdzić. Będiesz bezpieczna. Takiego losu dla Ciebie pragnę i być może uda mi się go Tobie zaoferować.*

*Z wyrazami miłości,*

*David*

Wybuchła płaczem i wybiegła z pokoju. Popędziła długim korytarzem, zbiegła z ciągnących się przez trzy kondygnacje marmurowych schodów i z rozmachem otworzyła drzwi do sali bankietowej. Gdy wparowała do środka, głowy wszystkich obecnych zwróciły się w jej kierunku.

– Gdzie jest David?! – wrzasnęła przez łzy, cała się trzęsąc.



Gerlinde zdjęła z siebie kurtkę i okryła nią nagie ciało Kathy.

– Tylko spokojnie, maleńka.

– Gdzie on jest?

– Wyjechał dwie godziny temu – odparła rudowłosa kobieta.

Kathy potrząsnęła głową.

– Nie! Obiecał, że o tym pogadamy! On nie kłamie. Gdzie pojechał?

Nikt jej nie odpowiedział.

– Mówcie!

– Prosił, żeby ci tego nie zdradzić – odezwał się André. – Bał się, że za nim podążysz.

– Taki właśnie mam zamiar. Samemu mu się nie uda. Ona go wykołuje.

Karl powiedział:

– Kathy, w twoich żyłach płynie krew Ariel i vice versa. Jej wpływ na ciebie jest równie mocny co oddziaływanie ze strony Davida. Dzięki temu była w stanie zmusić cię do robienia rzeczy, których w przeciwnym razie pewnie byś nie zrobiła. Jeśli za nim pojedziesz, będziesz mu tylko przeszkadzać. Nie dlatego, że taka jest twoja wola, tylko z uwagi na jej władzę nad tobą.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. Nie mogłabym go zranić.

– Próbowałaś go zabić – przypomniał André. – I skłamałaś.

Kathy zaczęła płakać.

– To przez herę. A skłamałam, bo chciałam, żebyście mi zaufali. Błagam, pozwólcie mi za nim jechać. Jeśli David umrze, nie będę mogła dalej żyć.

Gerlinde i Carol wzięły ją w objęcia. Ktoś podał jej szklanekę wody mineralnej, którą wypila, ale w żaden sposób jej to nie pocieszyło. Obróciła się do Gerlinde i próbowała wyczytać coś z jej oczu.

– Gdyby chodziło o Karla, pojechałabyś za nim?

Gerlinde zastanawiała się tylko przez chwilę. Beztroskiemu tonowi jej głosu nie udało się ukryć emocji widocznych w jej oczach, których spojrzenie zaczęło przypominać mocno ubitą ziemię.

– Nie powstrzymałoby mnie nawet stado wilkołaków.

Kathy obróciła się do Carol.

– A gdyby chodziło o André?

– Tak. Oczywiście, że bym pojechała.

Kathy przeszła przez pokój i stanęła przed żoną Julienu, Jeanette.

– A gdyby chodziło o Julienu?

Jeanette bez zastanowienia skinęła głową.

Kathy podeszła do Keallie, która siedziała obok Gertiga. Spojrzenie ciemnych oczu Hinduski przypominających urzekające migdały schwytało wzrok Kathy na dłużej, niż miała na to ochotę.

– Nic by mnie nie powstrzymało – odparła kobieta.

Stawiła już czoło osobom, które wydawały się jej najbardziej do niej podobne – albo przynajmniej mniej okrzepłe w swoim nienaturalnym stanie. Teraz obróciła się do pozostałych.

– Proszę, pozwólcie mi pojechać. Muszę mu pomóc.

Na kilka sekund zapadła cisza, a potem Gerlinde powiedziała:

– Myślę, że powinniśmy ją puścić. W jaki sposób miałyby to pogorszyć sytuację?

– Zgadza się – dorzuciła od siebie Carol.

Kaellie milczała, podobnie jak Jeanette.

– To niedorzeczne. – André skrzyżował ramiona na piersi. – Musimy uszanować wolę Davida.

– A co z wolą Kathy? – spytała Carol.

– Będzie mu tylko zawadzać. I pewnie przysłuży się Ariel.

– Część z nas mogłaby jej towarzyszyć, by upewnić się, że do tego nie dojdzie – zasugerowała Gerlinde.

– Nie słyszałaś chyba, co powiedział André – zaczął sprzeczać się Karl. – Davidowi niepotrzebna jest pomoc. Chce w pojedynkę ubić tego smoka.

– Popadł w obsesję! Nie uda mu się nawet zbliżyć do Ariel. Ona otacza się zbyt dużą liczbą ochroniarzy.

– Davidowi nie brakuje siły.

– Karl, byłbyś w stanie odeprzeć atak tuzina krwiopijców, nawet gdyby dopiero wyrzynały im się kły? – spytała Gerlinde. – No dalej, przyznaj, że potrzebne mu wsparcie.

André powtórzył:

– Sam poradzi sobie najlepiej. Dla Davida to kwestia honoru oraz starożytnego kodeksu etycznego, którego nikt z nas nie ośmieli się podważyć. Nie moglibyśmy mu pomóc, nawet gdybyśmy chcieli, i sami dobrze o tym wiecie.

– Co to za kodeks? – spytała Kathy.

– Istnieją pewne reguły, którym musimy się podporządkowywać – zaczęła wyjaśniać Carol. – Są one zapisane w naszych genach. Nie wolno nam wtrącać się w sprawy naszych pobratymców.

Kathy skrzyżowała ręce na piersi.

– Jasne! Wy nie możecie pomóc Davidowi, ale Ariel udało się

znaleźć pomagierów.

– Ariel łamie wszystkie obowiązujące zasady – stwierdził André.

– Chrzanić zasady. Skoro ona może je złamać, to wy też!

Gerlinde pokręciła głową.

– Mała, nie wiesz jeszcze wszystkiego. Jej dzieci pomagają jej tylko dlatego, że bardzo łatwo jest je kontrolować na tym etapie ich nowego życia. Odżywianie przychodzi im jeszcze z trudem, więc muszą polegać na matce niczym noworodki. Albo się podporządkują, albo czeka je śmierć głodowa. Nie wiem, jak ci to dobrze wyjaśnić, ale chęć współpracy nie leży w naszej naturze.

– Ale przecież jesteś w stanie dogadać się z Karlem. A ty z André – dodała Kathy, patrząc na Carol i unikając wzroku jej partnera.

Mężczyźni wchodzący w skład grupy wydawali jej się o wiele groźniejsi. Łatwiej przychodziło jej rozmawiać z kobietami, bo miała wrażenie, że są one w stanie kontrolować swoje żądze. Mimo wszystko jednak Kathy miała świadomość tego, że jest obiektem owych żądz – była przecież jedyną osobą w sali, w której żyłach płynęła ciepła krew.

– Nie bez trudności – stwierdziła Carol. – Częściowo umożliwiła to zżyłość, jaka powstaje pomiędzy osobą poddawaną przemianie oraz istotą dokonującą transformacji. André i ja wymieniliśmy się krwią, a taka ofiara pomaga zbudować więź. Ten efekt jednak nie zawsze ma miejsce.

– Mamy skłonność do skupiania się na samych sobie – włączyła się do wyjaśnień Gerlinde. – Jesteśmy myśliwymi, konkurentami do tego samego posiłku. Nie należy nas porównywać do psów, kotów czy nawet wilków. Być może przypominamy trochę pająki. W naszych komórkach zapisane jest pragnienie izolacji i żeby osiągnąć cokolwiek więcej, musimy bardzo się starać.

Kathy pokręciła głową.

– Nie chce mi się w to wierzyć. Myślę, że po prostu strach was obleciał i najzwyczajniej w świecie boicie się Ariel.

– To nieprawda – powiedział André groźnym tonem.

Gdy Kathy przeniosła na niego wzrok, dostrzegła, że jego twarz uległa zmianie. Zniknęło z niej urzekające piękno, które biło od wampirów. Teraz przypominał raczej dzikie, potencjalnie wściekłe zwierzę. Jego czarne włosy poznaczone pasmami siwizny napuszyły się, zjeżyły, a spojrzenie przybrało na intensywności. Twarz André stała się bardziej pociągła, a skóra pobladła o odcień, co czyniło ją niemalże przezroczystą. Pomiędzy rozsuniętymi wargami ukazały się

pokażne kły. Serce zamarło Kathy w piersi.

– Posłuchaj. – Gerlinde złapała ją za ramiona lodowatymi palcami, zmuszając do odwrócenia wzroku od przerażającego widoku. – Żadne z nas nie boi się starcia jeden na jednego z Ariel.

– Chcielibyśmy mu pomóc – dodał Karl – ale prawda wygląda tak, że nawet gdyby udało nam się dotrzeć na miejsce, mogłoby okazać się, że jesteśmy niezdolni do działania.

Ciągle wyczerpana od wielodniowej gorączki Kathy opadła na ten sam fotel, na którym ocknęła się, cudem wyrwawszy się ze szponów śmierci, w nocy, gdy przedstawiono jej wszystkie obecne w pokoju istoty. W taki właśnie sposób o nich teraz myślała. Mieli więcej wspólnego z Ariel niż z nią. Nie było w nich nic ludzkiego. Nie była ich w stanie zrozumieć. Nagle do Kathy dotarło, że o mały włos nie została jedną z nich. Po nodze przebiegł jej dreszcz przerażenia. Gdy umrze, stanie się taka jak oni. Nie było co do tego wątpliwości. Po raz pierwszy zaczęła poważnie się zastanawiać nad naturą istot, z którymi miał związać ją los.

Rozgorzały dyskusje dotyczące Davida i Ariel, ale Kathy tylko się im przysłuchiwała. Czuła się odsunięta na bok, odizolowana, wystraszona – bała się i o siebie, i o Davida. Nie była taka jak oni – przynajmniej jeszcze nie – ale jakaś część niej uległa wystarczającej przemianie, żeby nie pozwolić jej darzyć otaczających ją istot wyłącznie pogardą. Zupełnie jakby była w stanie zrozumieć, przez co przechodzą.

– Twierdzą tylko, że jeśli ktoś z nas ma ochotę pomóc Davidowi, nie wpłynie to znacząco na całą grupę – stwierdziła Carol.

André zacisnął wargi. Wyglądał na wściekłego.

– Nie wydaje ci się dziwne, że tylko ty i Gerlinde myślicie w ten sposób? Z oczywistych względów.

– Dla mnie wcale nie jest to oczywiste.

André potrząsnął głowę.

– Pomijając Jeanette, obie zostałyście poddane przemianie stosunkowo niedawno. Ciągle łączą was mocne więzy z ludzką moralnością.

Carol spojrzała na Jeanette.

– Czujesz to co ja?

– Waham się – odparła Jeanette.

Z innego kąta pokoju Kathy dobiegł kolejny argument:

– Ariel jest wyjątkowa – stwierdził Karl.

– Dlaczego? – spytała Gerlinde. – Bo jest stara?

– Jest potężna – wyjaśniła Chloe.

– To pewnie dlatego, że jest kobietą – wtrąciła Kaellie. – Mało kto zadziera z samicami większości gatunków.

Gerlinde jęknęła.

– Nie wierzę własnym uszom. Czyżby była jakimś mitycznym stworem? Wskrzeszoną z martwych Elżbietą Batory? – Zrobiła pauzę. – Dla śmiertelników wszyscy jesteśmy istotami nadprzyrodzonymi, więc nie wiem, o czym tu rozmawiamy.

W pokoju rozpętała się wrzawa. Kathy nie wiedziała, w jaki sposób zapanować nad sytuacją. Tracili cenny czas.

– Mylisz się, André! – włączyła się do dyskusji rozwścieczona Kaellie. – Znane są przypadki, gdy przedstawiciele naszego gatunku zbierali się w grupy dla obrony. Walczyliśmy ramię w ramię, gdy budowano piramidę Cheopsa, kiedy to śmiertelnicy zakłócali nasz spokój i próbowali nas zniszczyć, odkopując nasze kryjówki, wystawiając nas na działanie promieni słonecznych oraz wbijając kołki...

– Tak, ja też słyszałem legendy, tyle że ich akcja rozgrywa się tysiące lat temu! – wszedł jej w słowo André. – Gdybyśmy byli zmuszeni wspólnie walczyć ze śmiertelnikami, nie miałbym nic przeciwko. Miałoby to sens i z pewnością nie sprawiło nam większych trudności. Ale starcie z naszymi pobratymcami? Co mogłoby nas do tego skłonić? Nie zapominaj, że znacznie przewyższają śmiertelników siłą. Wszyscy dobrze zdajemy sobie z tego sprawę. Mogą też mieć nad nami przewagę liczebną.

– Z pewnością będą mieli przewagę liczebną nad Davidem. Co jest kolejnym powodem, żeby mu pomóc – powiedziała Gerlinde. – Banda Ariel składa się z żółtodziobów, dzięki czemu od startu mamy nad nimi przewagę. Jadę.

– Zatem zmuszasz mnie, abym ci towarzyszył – powiedział Karl, nie kryjąc frustracji. – Na samą myśl o tym, że mogliby cię zaatakować... Oboje prawdopodobnie odniesiemy rany, a może i gorzej!

– Sytuacja zaczyna się wymykać spod kontroli – przerwał André. – David chce się tym zająć sam i odmawiam udziału w czymkolwiek, co naruszy jego wolę.

– Jadę – oznajmiła Carol.

André zamilkł. Wszyscy obecni zdali sobie z tego sprawę i także przestali rozmawiać. André i Carol wymienili spojrzenia. Kathy czuła, jak powstaje między nimi ogromne napięcie grożące erupcją

wulkanicznej wręcz mocy, i miała wrażenie, że nie przysłuży się to w żaden sposób forsowanej przez nią sprawie.

– Wszyscy zapominacie o jeszcze jednym – odezwała się, przerywając ciszę. – Nie chodzi tylko o Davida i Ariel. Ona chce przecież dopaść Mikeya i zawładnąć światem. I może jej się udać. Jeśli wydaje się wam, że za jej rządów będziecie mogli wieść spokojne życie, to chyba śnicie.

André westchnął. Był w dalszym ciągu skrajnie zdenerwowany, ale poziom buzujących w nim emocji zaczął stopniowo opadać.

– Myślę, że konieczne będzie głosowanie. Zamierzamy sprzeciwić się odwiecznej tradycji – zwrócił się do Kaellie – a przynajmniej tradycji, którą się dotychczas kierowaliśmy. Nie mówiąc o instynktach, których nie da się z góry zaprogramować. Dzieci, włącznie z dziećmi Juliana, są wyłączone z głosowania. Niech podniosą ręce osoby, które są za udzieleniem Davidowi pomocy.

Carol i Gerlinde uniosły dłonie.

– Kto jest przeciw?

André i Karl unieśli ręce.

– Wstrzymuję się od głosu – oznajmiła Kaellie, a wraz z nią reszta grupy. Tylko Julien, Morianna i Wing odmówili udziału w głosowaniu.

André z frustracją wyrzucił ręce w powietrze.

– Naprawdę nie wiem już, co powiedzieć. Julien, Morianna, Wing – jesteście z nas wszystkich najstarsi. Żadne z was nie odezwało się ani słowem. Nie głosowaliście. Nie chcieliście nawet wstrzymać się od głosu.

Wstał wysoki i wysmukły Julien. Kathy przypominał potężnego, srogiego ojca – patriarchę, którego sama obecność wymuszała respekt i uwagę. Mężczyzna powiódł wzrokiem po sali. Jego oczy miały najciemniejszy odcień czerni, jaki Kathy kiedykolwiek widziała. Przypominały jej ślepiec owada albo jakiejś pozaziemskiej istoty. Na jego twarzy można było dostrzec napięcie, a kąciki jego ust skierowane były ku dołowi, jakby egzystencja była dla niego wyjątkowo męcząca i stanowczo zbyt długa. Miał w sobie jednak coś, co rekompensowało gorycz; coś, czego Kathy nie potrafiła zidentyfikować. Wiedziała tylko tyle, że w jego rękach leżało życie Davida, a co za tym idzie, i jej własne. Owa świadomość kazała jej zapomnieć o wstydzie i podbiec do Juliana, porzucając zasady fair play.

– Proszę! Błagam! Kocham Davida do bólu. Jeśli kiedykolwiek kochałeś kogoś równie mocno, zrozumiesz. On zaryzykowałby dla

ciebie życie, gdyby był na twoim miejscu, jestem tego pewna. A tu chodzi o coś więcej. O wszystko. Proszę, przemyśl to.

W czarnych jak węgiel oczach Julienu przez chwilę zaskoczenie mieszało się z rozbawieniem, ale moment później nie dało się już z nich niczego wyczytać. Mężczyzna poklepał ją po głowie, jakby była małą dziewczynką albo szczeniakiem, i Kathy aż zakołysała się od przenikającej ją energii.

Julien najpierw spojrział w oczy Moriannie, która skinęła głową, a potem Wingowi, który wykonał lekki ukłon, wyrażając tym samym zgodę, aby wypowiadał się w jego imieniu.

– Doskonale rozumiem wyobcowanie, którego doświadczyło każde z was – zaczął mówić Julien. – Cierpienie i lęk wywołany oderwaniem od poprzedniego życia, furję i zawiść powstrzymującą przed kontaktami z sobie podobnymi istotami, z którymi jednocześnie jest się nierozzerwalnie związanym. Wszyscy zdajecie sobie sprawę, że do niedawna unikałem wchodzenia w jakiegokolwiek sojusze, a gdy już do tego doszło, ów gest nie był wymierzony ani w żadnego śmiertelnika, ani w przedstawiciela naszego gatunku.

Rozejrzał się po sali.

– Wszyscy przeszliśmy przemianę poprzez śmierć, czego żaden śmiertelnik nie jest w stanie pojąć. W najlepszym razie możemy akceptować swój stan i starać się postrzegać go jako dar, a nie przekleństwo. Początkowa śmierć była jedynie początkiem. Od momentu, gdy miała miejsce, każde z was doświadczyło wielu pomniejszych śmierci. Sam doświadczyłem tak wiele w trakcie mej pięćsetletniej egzystencji. Dostrzegam zmiany, które zachodzą w naszym rodzaju. Wielu z nas łączy się w pary, co starszym członkom społeczności nie mieści się w głowie.

Kathy dostrzegła, że Morianna lekko kiwa głową, ale nie była w stanie wyczytać żadnych emocji z jej ametystowych oczu.

– W porównaniu z naszą trójką jesteście niezwykle młodzi i nie dostrzegacie znaczenia zmian, które widzą nasze stare oczy. Jesteście w stanie znieść nawzajem swoją obecność, a nawet mieszkać pod jednym dachem. To, co dla was jest trudne, dla tych, którzy przeżyli już kilka wieków, urasta do rangi niemożności. A jednak my też radzimy sobie całkiem nieźle. Z trudem jestem w stanie w to uwierzyć, ale ja sam również się zmieniam.

Obrócił się do żony i wyciągnął dłoń, którą ona ujęła. Prawie dorównywała mu wzrostem, więc nie był w stanie pocałować ją

w czubek głowy, ale zamiast tego cmoknął ją w szyję i objął ramieniem w talii. Kathy zaczęła się zastanawiać, jak mógł wyglądać ich związek, jak zachowywali się, gdy byli sam na sam, dzieląc razem najintymniejsze z chwil. Nic nie przychodziło jej do głowy.

– Jesteście nieśmiertelni i ciężko byłoby określić was jako słabych. Na poziomie fizycznym nie odczuwacie strachu i, rzecz jasna, w ogóle nie powinniście zaprzętać sobie głowy takimi emocjami. Podobnie jednak jak siła, która w kontekście walki nie zawsze musi odnosić się do spraw cielesnych, tak i lęk może przybierać niezliczoną liczbę kształtów. Pozbawienie życia przedstawiciela naszego gatunku wiąże się z przecięciem pewnej elementarnej więzi. Obawiacie się tego na poziomie komórkowym i duchowym.

– Jednak, tak jak w przypadku śmiertelników, nasza ewolucja przyspiesza tempa i wierzę, że stoi za tym wyższa konieczność. Zjawisko globalnej wioski, o którym bez przerwy rozmawiają teraz śmiertelnicy, musi się tyczyć również nas. Stoimy przed koniecznością rozwoju – albo się jej poddamy, albo wyginieemy. Gdybym sam się nie zmienił, nie miałbym w sercu nadziei, że wspólnie jesteśmy zdolni do pokonania pierwotnych lęków przenikających istotę naszego bytu.

Zamilkł na chwilę i spojrzał na Kathy.

– Ja też uważam, że Davidowi potrzebna jest pomoc. Jego mocne i słabe strony równie dobrze można by odnieść do każdej z obecnych tu osób. Nie mógł poprosić o pomoc po części z uwagi na kodeks honorowy, co wszyscy rozumiemy, ale głównie dlatego, że wiedział, iż możemy nie być w stanie odpowiedzieć na jego apel. Ale ty w całym swym człowieczeństwie słusznie przypomniałaś nam o czymś istotnym: Ariel niełatwo będzie powstrzymać. Jeśli pokona Davida – a bez naszej pomocy nie przychodzi mi do głowy żadna inna możliwość – będzie próbowała nas wyeliminować jedno po drugim i jeśli nie dziś, to jutro staniemy się ofiarami jej zemsty. Może nawet za sto lat. Nasze szeregi będą raz za razem nadwątlane. Jest stara. Doskonale rozumiem jej sposób myślenia. Pamiętam barbarzyńskie czasy, które ją zrodziły. Nie da się jej odwieść od powziętych zamiarów, a walczyć będzie na śmierć i życie.

Julien popatrzył na Kathy.

– Nie jestem w stanie stwierdzić, czy twoje serce mocniej związane jest z Davidem, czy Ariel, ale jeśli miałabyś wystąpić przeciwko niemu, lepiej by było, żeby dowiedział się o tym od razu. Uwalniam cię.

Popatrzył po obecnych.



– Ze względów bezpieczeństwa nikt nie powinien zostać sam w zamku. Ci z was, którzy zdecydują się na wyjazd, mogą nie obawiać się hańby. Wraz z resztą musimy stworzyć armię, skoro szykujemy się do bitwy.

André westchnął i przecesał dłonią włosy. Przez kilka sekund w milczeniu przyglądał się Julienowi, a jego spojrzenie było niemalże błagalne. W końcu odwrócił się do żony, która wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją i podniósł do ust, ale nie wyglądał na zadowolonego.

– Mam nadzieję, że postępujemy właściwie – powiedział.

– Wszyscy ją żywimy – odparł Julien.

Cała grupa poleciała prywatnym samolotem do Londynu, gdzie załapali się na nocny lot concorde'em do Nowego Jorku. Michel przy użyciu globusa śledził ruchy Ariel jak i Davida. Gdy dobili do brzegu Fire Island na pokładzie wynajętej łodzi, była już czwarta rano. Z racji tego, że sezon dawno już dobiegł końca, wyspa była prawie całkiem opustoszała. W powietrzu dało się wyczuć napięcie, które wydawało się napierać na skórę. Gerlinde wyjaśniła Kathy, że ta może być w stanie wyłapywać wibracje pochodzące od przedstawicieli jej gatunku, gdyż niewiele dzieliło ją od przemiany.

Trzymając się z dala od ścieżek, grupa zaczęła w milczeniu przesuwając się między wydmami oraz pałkami rosnącymi w przybrzeżnych bajorach pełnych stojącej wody ku wschodnim połaciom wyspy porośniętym ostrokrzewem, sasafrasem, dębem, czerwonym klonem oraz sosną. Kathy wydawało się, że otaczające ich stworzenia czują dokładnie to samo co ona. Szopy i ryjówki czmychały między drzewa, gorączkowo poszukując schronienia, a fruujące ponad jej głową nietoperze raz za razem przysłaniały blask księżyca. Mimo przepełniającego ją niepokoju Kathy nie mogła powstrzymać się od podziwu dla piękna, które ją otaczało. Odkryła, że jeśli chce, jest w stanie dostrzec nawet mikroskopijne żyjątka tłoczące się w powietrzu. Jednak gdy opuszczali leśną gęstwinę, cała jej uwaga skupiła się w jednym punkcie.

Położona niedaleko wody polana przed nimi lśniła niczym wesołe miasteczko – tak wiele bowiem fosforyzujących postaci siedziało przy dużym ognisku.

– Ach – Julien westchnął cicho, co zabrzmiało niczym widmowy wiatr szeleszczący w trzcinach. – Cóż za szkoda, że nasza grupa nie jest liczniejsza.

## Rozdział 32

David wynajął łódź i na Fire Island dotarł zaraz po północy. Gęstość oraz zapach powietrza, jak również unosząca się tu energia i pełna napięcia transformacja jonów ujemnych poinformowały go, że ma towarzystwo. Wiedział, że Ariel cały czas śledzi jego ruchy, więc ukrywanie się pozbawione było sensu. Miał w planie zbliżyć się do niej na wystarczającą odległość i zrealizować swój cel.

Jeszcze zanim dotarł do domu, wyszło mu naprzeciw pięciu mężczyzn. Rozbawiło go, że Ariel uznała, iż jest do tego stopnia niebezpieczny, aby było konieczne wysłanie przeciw niemu aż tak licznej grupy. Wyglądali na wystraszonych – musieli znaleźć wcześniej szczątki Reesone'a.

Nie dotykając Davida, poprowadzili go pomiędzy drzewami dalej na wschód, a następnie na północ. Za wodą widać było Long Island.

Ariel czekała na polanie. Rześka jesienna bryza rozwiewała jej luźne ubrania. Stała z dłońmi wspartymi o biodra na tle nabrzmiałego oceanu. Po jej prawej stronie znajdowała się ostatnia podobizna Davida wyrzeźbiona przez nią dziesiątki lat temu – jedyny ukończony przez nią posąg. Ariel uśmiechnęła się do niego, a on zatrzymał się metr przed nią. Pięciu mężczyzn trzymało się od niego na zdrowy dystans.

– Davidzie! – zawołała słodkim głosem, a potem zmieniła ton, niczym matka udzielająca reprimendy dziecku, i dodała: – Głupiec z ciebie. Mogłeś siedzieć sobie bezpiecznie w Austrii z kochanką, którą ode mnie otrzymałeś, i posuwać ją do nieprzytomności – co nie zajęłoby ci dużo czasu. A zamiast tego pojawiaasz się tutaj. Nigdy nie zdołam cię zrozumieć.

– Nie zauważyłem, żebyś kiedykolwiek próbowała. – David wyczuł, że do mężczyzn za jego plecami dołączają kolejni.

Ariel uśmiechnęła się półgębkiem i opuściła dłoń na udo, a następnie zrobiła kilka zmysłowych kroków w jego kierunku, kołyszając biodrami w jedną, a biustem w drugą stronę. Wyciągnęła dłoń, żeby pogłaskać go po pokrytym bliznami policzku, ale się odsunął.

– Przybyłem cię zgładzić, Ariel.

Parsknęła śmiechem.

– Wy, poeci, macie w sobie tyle dramatyzmu! To oczywiste, że twoim pragnieniem jest mnie zniszczyć. Jednak noc jest ciągle młoda, a przynajmniej jeszcze nie jest stara. Zostało jeszcze mnóstwo czasu na ustalenie, kto kogo zgładzi. Usiądź. Zrelaksuj się.

Ariel opadła na piasek i usiadła po turecku. Kraby rozbiegły się na wszystkie strony.

W okamgnieniu został otoczony. Rzucił mężczyznom przelotne spojrzenie. Było ich zbyt wielu, więc musiał poczekać na stosowny moment; miał wrażenie, że otrzyma tylko jedną szansę. Usiadł, a oni odrobinę się odsunęli.

– Co z Reesone'em? – spytał.

Uśmiechnęła się.

– Wiele nas łączy, Davidzie. Nie jesteśmy typowymi drapieżnikami. Nie interesuje nas słaba zwierzyna, wyłącznie silne osobniki. Wyzwanie.

– Znalazłaś go, prawda? I zostawiłaś na pastwę losu.

Wzruszyła ramionami.

– Zawsze byłeś przesadnie wrażliwy. Przetrwają tylko najsilniejsi, w tym czy jakimkolwiek innym świecie. Okazałeś się silniejszy od Donalda, więc zasłużyłeś na przetrwanie. A on nie.

– Stworzyłaś sobie zgrabną filozofię. Nie ograniczają jej kwestie takie jak lojalność, życzliwość, współczucie czy emocje. Twój świat musi być bardzo nieskomplikowany, skoro opiera się na wykorzystywaniu zarówno śmiertelników, jak i istot nieśmiertelnych do spełniania twoich zachcianek. Nigdy nie doskwiera ci samotność?

Ariel pociągnęła wystającą ze spódnicy nitkę i pochyliła się lekko do przodu, żeby Davidowi ukazały się jej gładkie, pełne piersi.

Spojrzała na niego przez blade rzęsy oczami jaśniejszymi od światła, pozbawionymi koloru niczym kwarc.

– Tak, czasami czuję się samotna. – Westchnęła delikatnie, po czym uwodzicielskim ruchem przechyliła głowę na bok, a Davida zdumiało podobieństwo wijących się jej na ramieniu lśniących włosów szafranowej barwy do włosów Kathy.

– Tęsknię za tobą – oznajmiła głosem brzmiącym niczym dzwonki wietrzne.

Przyszła kolej, aby to David parsknął śmiechem.

– Jak możesz tęsknić za czymś, co nigdy nie należało do ciebie?

Poderwała się ze złością, a chwilę później obdarzyła go niespodziewanym uśmiechem.

– Pamiętasz to? – Wskazała gipsową statuetkę.

David spojrział uważnie na swoją podobiznę i ze zdziwieniem zauważył, że brakowało jej genitaliów. Czyżby zawsze tak wyglądała? Czy wszystkie przedstawiające go posągi, które wyszły spod jej ręki, pozbawione były męskości?

– W wielu prymitywnych kulturach wierzy się, że fotografie mogą skraść człowiekowi duszę. Starożytni Grecy sądzili, że w posągach uwieczniona jest esencja bytu modela. Co o tym myślisz?

– Czy ty zawsze taka byłaś, Ariel? Czy byłem ślepy?

– Nie ślepy, tylko zaślepiony miłością, Davidzie. Pamiętasz jeszcze naszą miłość? Ja nadal cię kocham.

Pokręcił głową.

– Słowo „miłość” w twoich ustach równa się „władza”.

– Władza i miłość są ze sobą nierozzerwalnie związane. Rozejrzyj się tylko. Każdy ze stojących tu mężczyzn jest nie tylko wobec mnie lojalny, ale też we mnie zadurzony – podobnie jak twoja kochanka. Nie przywozłeś jej przypadkiem ze sobą, co? Bałeś się, że miłuje mnie bardziej niż ciebie? Mogę dać ci o wiele więcej, niż ona kiedykolwiek byłaby w stanie. Poza tym wiem, że nie przestałeś mnie pragnąć. Jesteśmy jak wilki polarne, nasza więź jest wieczna. Tak naprawdę dlatego właśnie tu jesteś, nieprawdaż?

Ogarnęła go wściekłość. Wilki polarne? Sytuacja przypominała raczej pożeranie samca czarnej wdowy przez samicę tego gatunku! On w każdym razie miał już dosyć bycia zjadanym żywcem przez Ariel. Nie miał też ochoty brać udziału w jej gierkach.

W bucie miał ukryty srebrny sztylet podarowany mu przez Julię. Zamierzał wyciągnąć go i błyskawicznie skoczyć jej za plecy.

Jednak nie zdążył się nawet podnieść, gdyż Ariel, jakby czytając mu w myślach, zawołała:

– Brać go!

Walka była krótka, a David dotkliwie zdawał sobie sprawę z przewagi liczebnej przeciwników. Mimo że byli nowicjuszami, chwilę później leżał rozłożony na plecach i przygwożdżony przez nich do ziemi.

Jeszcze chwilę wcześniej wpatrywał się w bezchmurne niebo usiane gwiazdami, a teraz zawisła nad nim twarz Ariel. Uśmiechała się niemożliwym do rozszyfrowania uśmiechem.

– Przytrzymajcie mu głowę – rozkazała. – Otwórzcie mu usta. Zatkajcie nos.

Znowu zaczął się szarpać, ale Ariel w ciągu kilku sekund przegryzła skórę własnego nadgarstka. Do jego ust zaczęła ściekać jej chłodna krew. Dławiąc się, próbował ją wypluć, jednak miał do wyboru albo ją przełknąć, albo się udusić. Zresztą – jak zwykle – krew stanowiła nagrodę samą w sobie.

– Gotowe – powiedziała kilka chwil później, głaszcząc go po twarzy niczym matka karmiąca dziecko. – Zawsze tego pragnąłeś, zgadza się, mój pupilku?

Z jej twarzy biło szaleństwo i David zachodził w głowę, jakim cudem nigdy wcześniej tego nie zauważył.

– Ostatni krok. Teraz cała nasza trójka jest ze sobą związana. Do jej przyjazdu zostało jednak jeszcze trochę czasu.

Jej? Miał nadzieję, że nie chodziło o Kathy. Rozmyślając nad tym, skupił się i wyczuł, że opuściła Austrię.

Ariel niespiesznie, zmysłowo rozebrała najpierw siebie, a potem jego. David zamknął oczy, ale to nie powstrzymało jej przed dotykaniem go. Jej dotyk stanowił odległe wspomnienie, które z każdą chwilą stawało się coraz świeższe. Ciało Davida zareagowało wbrew jego woli, co wywołało w nim odrazę do samego siebie.

Zaczęła pracować nad nim ustami, a gdy stwardniał, usiadła na nim, po czym napinając i rozluźniając mięśnie, sprawiła, że Davidowi zabrakło tchu w piersi.

– Kochasz mnie, Davidzie, tylko mnie – powtarzała niczym mantrę, a jej głos stał się dźwiękiem strumienia opływającego górskie głązy w drodze ku morzu.

Był przerażony i zastanawiał się, jakim potworem się stała.

Wydawała się siłą wyciągać płyn z jego ciała, zmuszając go do okrzyku. W ułamku sekundy przypadającej na moment jego największej bezradności, gdy jego nienawiść do Ariel zapłonęła żywym ogniem, popełnił nieodwracalny w skutkach błąd.

Spojrzał jej prosto w oczy.

Został wyrwany z siebie przez śnieżne tornado, a następnie wessany w otchłań lodowatego, pozbawionego barw morza pełnego zamrożonych zwłok.

– Davidzie! – krzyknęła Kathy.

Ruszyła w jego kierunku, ale Julien chwycił ją za ramię.

– Poczekaj – powiedział, a potem rzucił w kierunku pozostałych

członków grupy głosem dowódcy oddziału wydającego rozkazy podległym mu żołnierzom: – Wing, Morianna, André, Karl, Gertig, Kaellie – zajmijcie się tymi najsilniejszymi. Zablokujcie po dwóch każde. Gdy zajmą pozycje, zablokujcie całą resztę.

Szesnastu mężczyzn z grupy Ariel utworzyło okrąg, a sześć wyznaczonych przez Julienu osób znalazło się w jego wnętrzu i ustawiło się na godzinie drugiej, czwartej, szóstej, ósmej, dziesiątej i dwunastej. Następnie Gerlinde, Carol, Jeanette oraz Chloe także weszły do środka kręgu i stanęły naprzeciwko czterech pozostałych mężczyzn. Mimo że ludzie Ariel mieli nad nimi przewagę liczebną, Kathy bez trudu dostrzegła, że obrona przez Julienu strategia nieznacznie wyrównywała szanse.

– Trzymaj się blisko mnie i przyprowadź dzieci – poinstruował Julien swoją córkę.

Wyglądająca na wystraszoną dziewczynka oraz syn Julienu wzięli dwóch chłopców za ręce i powiedli ich do wnętrza kręgu, gdzie stanęli za Julienem.

Kathy podążyła za nimi.

Ariel stała w samym środku z rękami skrzyżowanymi na piersi równie nieruchoma co znajdująca się obok niej statua. David siedział nagi na ziemi z głową pochyloną w wyrazie posłuszeństwa.

Pomiędzy nimi buzowało ognisko – czarny dym wił się w kierunku nocnego nieba niczym mroczna zjawia. Kathy wbiła wzrok w Davida. Wydawał się kompletnie pozbawiony energii. Wyglądał, jakby się skurczył – niczym balon, z którego spuszczone powietrze.

– Davidzie! – raz jeszcze zawołała Kathy i tym razem Julien nie próbował jej powstrzymać.

Opadła na kolana tuż przed nim i chwyciła go za ramiona. Miał bladą twarz, pozbawione wyrazu oczy i chyba jej nie rozpoznawał.

– Co mu zrobiłaś? – spytała, ale Ariel tylko się zaśmiała.

– Niczego, co nie sprawiłoby mu dogłębnej przyjemności, możesz mi wierzyć.

Wampirzyca wpatrywała się w Julienu, jakby czytała mu w myślach.

– Czyżbyśmy mieli już do czynienia z dwoma rodzajami więzi – dobrą i złą? Ciekawe, która okaże się silniejsza. Kto uzyska władzę, a kto ją utraci?

– To ty postanowiłaś walczyć o władzę – odparł Julien. – Naszym celem jest trzymanie się reguł i odmawiamy udziału w grze toczącej się na twoich zasadach.

Ariel parsknęła śmiechem.

– Przecież właśnie bierzecie w niej udział!

Zawirowała wokół własnej osi z wyciągniętymi rękoma niczym dziewczyna chwająca się nową sukienką. Chwilę później zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na Davida i Kathy.

– Jakie to żałosne.

– A ty jesteś zwykłą suką! – Kathy rzuciła się na Ariel, ale wampirzyca była od niej o wiele szybsza i sprytniejsza.

Kathy zamarła w bezruchu o krok od Ariel, jakby zderzyła się z niewidzialną ścianą. Uciszył ją ostry głos, który rozległ się w jej głowie, a potem upadła bezwładnie na ziemię. Uderzyła głową o skałę, prawie tracąc przy tym przytomność.

Ariel odwróciła się do Julienu.

– Tylko on i ja. Jedno z nas zwycięży, a drugie poniesie klęskę. Jedna więź się umocni, a druga osłabnie. – Spojrzała na siedzącego z resztą dzieci Michela. – Zwycięzca bierze wszystko. Chyba że martwisz się o szanse swojego wojownika?

André i Carol równocześnie spojrzeli na Julienu z wystraszonymi minami. Julien prawie niezauważalnie skinął głową i odwrócili się z powrotem.

Julien przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Davida. Kathy bała się tego, co powie. David wyglądał okropnie. Sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział nawet, co się wokół niego dzieje. Gdy czołgała się w jego kierunku, dobiegły ją słowa Julienu:

– Jak sobie życzysz.

Raz jeszcze rozległ się śmiech Ariel, który zabrzmiał jak dźwięk tłukącego się szkła.

Kathy ujęła twarz Davida w dłonie i próbowała dostrzec coś w jego oczach, ale znajdował się zbyt daleko, żeby mogła do niego dotrzeć. Powiodła wzrokiem po lśniących figurach, których blask składał się z bieli oraz splecionych wstążek barw podstawowych. Postacie stały bez ruchu niczym kolumny starożytnej świątyni. Pomiedzy nimi siedział Michel w towarzystwie drugiego chłopca oraz dwójki starszych dzieci, a pieczę nad nimi sprawował sam Julien. Obecnie w samym środku kręgu znajdowali się: Ariel, Kathy, David i pozbawiony organów płciowych posąg.

Nagle pomiędzy drzewami rozbłysło potężne światło. Kathy patrzyła, jak jego źródło wchodzi pewnym siebie krokiem do wnętrza kręgu i staje naprzeciwko Julienu. Był to mężczyzna o imieniu Tony,

który towarzyszył Ariel w Montrealu. Jego blask był równie silny i ostry co Julienu, ale Kathy wiedziała, że oprócz wielkiej siły i sędziwego wieku cechuje go też bezwzględność.

Równowaga sił uległa zmianie i Kathy zaczęła ogarniać rozpacz. Obecność Tony'ego sprawiła, że straciła nadzieję na ich zwycięstwo.

– Davidzie! – zawołała Ariel słodkim głosem, a on automatycznie uniósł głowę niczym pies reagujący na dźwięk głosu swej pani. – Masz już broń. Pokaż ją nam.

David wyjął spod siebie mechanicznym ruchem krótki, wąski sztylet. Metalowe ostrze zaśniło w blasku płomieni. Wyciągnął broń w obu dłoniach niczym składaną Ariel ofiarę.

Wampirzyca stanęła za nim, tak że Kathy znajdowała się teraz przed nimi obojgiem.

– Już możesz mu powiedzieć – odezwała się Ariel.

„Co powiedzieć?” – zaczęła zastanawiać się Kathy.

Oczy Ariel przemieniły się w wirujące białe dyski, które wydawały się przekazywać jej jakąś istotną wiadomość, i nagle Kathy zdała sobie sprawę, że zaczyna chichotać jak wariatka.

– A, tak, próbowałam cię zabić, Davidzie, pamiętasz? Świetnie się bez ciebie bawiłam, pieprzyłam się z kim popadnie i ćpałam wyrąbistą herę. Ale nie jesteś w stanie w to uwierzyć, bo wydaje ci się, że wszystko wiesz najlepiej. Wiedziałeś, że pieprzyłam się z własnym starym? I seks z nim był lepszy niż z tobą? A Bobby był moim synem?

Wzdrygnęła się. Przeraziły ją słowa wychodzące z jej własnych ust. Po co to wszystko powiedziała? Kości wibrowały jej jeszcze od zawartej w nich bezlitosnej prawdy. Skoro Ariel potrafiła kontrolować jej słowa, może miała też władzę nad jej myślami? Kathy wiedziała jednak, że to niemożliwe, bo nie byłaby w stanie zastanawiać się nad sposobem, w jaki Ariel kontroluje Davida. Doszła do wniosku, że Ariel musiała coś robić.

„Należymy do tej samej rodziny, więc może będę umiała ją rozpracować – pomyślała. – Może...”. Ale nie dała rady dokończyć myśli.

David wpatrywał się w nią ze zranionym wyrazem twarzy, a ona próbowała otworzyć usta, żeby powiedzieć:

„To jakieś szaleństwo. To ona każe mi mówić te rzeczy”.

Ale słowa, które się z nich wydobyły, brzmiały:

– Okłamywałam cię, Davidzie. Od samego początku. Nigdy cię nie kochałam. Kocham tylko Ariel. Nienawidzę cię i chcę, żebyś umarł.



Wyglądał na zdruzgotanego. Próbowwała wzrokiem błagać jego orzechowe oczy o zrozumienie, o odróżnienie prawdy od fałszu. Jednocześnie jednak poczuła, że jej ręka sięga po sztylet. Dłoń Davida mocniej zacisnęła się na rękojeści. I wtedy nocne powietrze przeszły dźwięk przypominający tęskne wołanie nura, który sprawił, że włoski na karku stanęły Kathy na baczność.

– Daaa-viiidzieeee. Zaabiiiij jąąą!

Kathy z przerażeniem patrzyła, jak David unosi sztylet. Jego twarz stała się maską zastygłą w wyrazie dezorientacji i bezsilnej furii.

Zanim Kathy się poruszyła, złapał ją za włosy, a Ariel unieruchomiła jej ręce za plecami.

Jej powabna, biała szyja była całkowicie obnażona. David zawiesił lśniące, magiczne ostrze na wysokości zagłębienia, któremu oddawał kiedyś cześć przy użyciu ust – jak podpowiadało mu niejasne wspomnienie. Teraz jednak pragnął tylko unicestwić najdrobniejszy jego ślad. Z wyjątkiem kryjącej się pod nim krwi.

– Zabij ją! – zawył wiatr.

W jego głowie rozległ się inny krzyk, ale jego ciało przestało się go słuchać.

„Jestem zdezorientowany – stwierdził w myśli. – Coś mi się pomyliło. Powinienem poczekać, aż będę pewny, co mam zrobić”.

Mimo wszystko czubek ostrza nie przestawał przesuwac się w kierunku zaróżowionej skóry. David dostrzegac pulsowanie arterii. Doleciał go odstręczający odór lęku, ale jego umysł przytłoczony był czymś gęstym, przypominającym lotne piaski, przez które jego wola próbowała się bez powodzenia przebić. Docierał do niego jedynie dźwięk wydawanych mu przez żywioły rozkazów, którym nie był w stanie się oprzeć.

Znajdująca się przed nim twarz pogrążona była w cierpieniu. Dostrzegac je, wyczuwał, ale nie potrafił odnieść się do niego na poziomie emocjonalnym. Za pierwszym obliczem znajdowało się kolejne i uderzyło go szokujące wręcz podobieństwo twarzy należących do bliźniaczych bogiń – pożeranej i pożerającej – których nie dało się od siebie odróżnić. Czuł, jak wzbiera w nim histeria, a walka z nią pochłaniała wszystkie jego siły. Twarz znajdującą się dalej od niego należała do zwycięzcy, promieniowała potęgą i butą. A ta druga?

„Tak – pomyślał – spróbuję je porównać”.

Jednak gdy owa myśl przedarła się do jego świadomości,

rozproszyły go hipnotyzujące barwy. Jedna z nich miała niebieskie oczy, lecz był to błękit letniego nieba czy też bezdennego oceanu, w którym tonął. Druga para oczu była biała, bezbarwna niczym chmury lub sny. Albo zamieć śnieżna, której jedynym celem było pogrzebanie go w zimnej, milczącej mogile. Ich oczy nic dla niego nie znaczyły, chociaż wiedział, że powinien pamiętać, do kogo należy dany kolor. Ale...

Dobiegł go jakiś dźwięk i rozejrzał się po okręgu. Jego wzrok powędrował ku Michelowi, który spojrzał na niego ufnie, ale nie bez strachu. Byli tu wszyscy jego przyjaciele. Przybyli mu na ratunek, ale jak niby mieliby mu pomóc? Liczyli na niego, a jeśli zawiedzie, każdy z nich poniesie konsekwencje jego porażki. Wszystko się zmieni. Nie miał pojęcia, czego właściwie się od niego oczekuje.

David zatrzymał spojrzenie na twarzy Julienu. Rysy twarzy jego wiekowego przyjaciela były pełne napięcia. Wtedy David dostrzegł męczyzną stojącego naprzeciwko Julienu, wyczuł jego złowrogą energię. Rozpoznał demona, który zmusił go do poddania się przemianie; który wykorzystał go w ciemnej uliczce i porzucił na pastwę losu. David zadrżał, wspominając swoją bezradność oraz brutalność, którą wypełnione było to doświadczenie.

„To nie może dziać się naprawdę – stwierdził. – Są tu wszyscy? Muszę chyba śnić”.

– Kazałam ci ją zabić!

Natychmiast skierował uwagę z powrotem ku obu kobietom. Głos – bo rozumiał już, że był to czyjś głos – znowu nim zawładnął. W przerażeniu patrzył, jak jego ręka przesuwana się naprzód, a ostrze napiera na skórę. Po białym alabastrze pociekła strużka czerwonego ognia, a on miał ochotę krzyczeć. Zamiast tego jednak zaczął przyglądać się zafascynowany, jak karmazyn wchłaniany jest przez tkaninę porwanej sukienki. Jego nozdrza wypełniły się wonią miedzi i miodu, co z kolei wyzwoliło w nim żądzę. Nie przyszło mu do głowy, żeby się pohamować.

Złapał dziewczynę za gardło i przyciągnął do siebie. Jej rana rozstąpiła się pod naciskiem jego warg. Zaczął wysysać płynny ogień, a substancja przeciwkrzepliwa zawarta w jego ślinie sprawiała, że krew płynęła bez końca. Przetykał łapczywie to, co mu się całkowicie należało.

Dziewczyna była ciepła, roztrzęsiona, a jej słony smak tylko podsycił jego żarłoczność. Przyciągnął ją do siebie, żeby móc jeszcze

szybciej wysysać z niej życiodajny płyn. Jednak wkrótce jej puls osłabł, a strumień stał się nieznośnie niemrawy. Tylko arteria mogła zapewnić potok krwi o pożądanej przez niego intensywności.

Niechętnie odsunął się od dziewczyny, żeby zmienić ułożenie jej ciała. Jego wzrok przykuł jakiś ruch. Jej wargi były rozwarte, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Widział to już wcześniej – tylko gdzie? Działo się jednak coś więcej. Z błękitnych basenów jej oczu polały się gorące łzy. Na powierzchnię jego świadomości wypłynęło stare wspomnienie. Ten bezdźwięczny płacz poruszył go kiedyś do głębi. O jego ramię rozbiła się kropla, a potem druga, wypalając skórę i parząc leżące pod nią mięśnie. Miał wrażenie, że wilgoć wnika mu w kości. Kruchość jej cierpienia przeraziła go i częściowo obaliła grubą barierę dzielącą drapieżnika od ofiary.

– Utnij jej głowę albo sama to zrobię!

Głos zazgrzytał mu w uszach. Drażnił go niczym skrzeczenie sępa, lament bezsilności. Zapragnął go uciszyć. Ostrze zamieniło jedno gardło na drugie. David patrzył, jak sztylet przenosi się ku szyi drugiej kobiety, jakby wymknął mu się spod kontroli. Na jej twarzy odmalował się szok. Jej dłonie zacisnęły mu się na nadgarstku, próbując powstrzymać go przed przebicciem jej przełyku i przecięciem rdzenia kręgowego.

Stojącą przed nim kobietę odepchnął na bok, a tę drugą złapał od tyłu za włosy. Rozległ się jęk, który wydawał się pochodzić z trzewi samej ziemi. Ogarnął go strach, który przeniknął go aż do szpiku kości. Lęk przed izolacją, oderwaniem, zniszczeniem swojej żywicielki.

Blade oczy otworzyły się szeroko, a ich gałki przypominały bryłki krystalicznie czystego lodu.

– Nie możesz tego zrobić, Davidzie. Kochasz mnie. Tylko mnie. – Puściła jego rękę, żeby pogłaskać go po twarzy. – Zginąłbyś beze mnie.

Zawahał się. Nie umiał zignorować obietnicy bliskości, którą składały opuszki jej palców.

Najwyraźniej Ariel doskonale zdawała sobie sprawę z wyniszczającego wpływu, który na niego wywierała, bo parsknęła śmiechem.

– Brakuje ci jaj, mój kochany. Zawsze tak było.

David poczuł, że znowu traci kontrolę. Robił, co mógł, żeby uczepić się kruchej rzeczywistości ulegającej szybkiej dezintegracji.

Nagle ciszę nocy wypełnił jakiś łoskot. Coś uderzyło o skałę oraz ubity piasek. Rozległ się krzyk, którego słowa odbiły się echem we

wnętrzu Davida:

– Właśnie, że nie!

Spojrzał w prawo, gdzie ujrzał, jak stojąca w zakrwawionych ubraniach Kathy wali kawałkiem skały o posąg. Jej skóra była przeraźliwie biała; dziewczyna była o krok od śmierci, a jednak jakimś cudem udało jej się strącić głowę statuy, a teraz próbowała rozbić ją na pół. David czuł, że z każdym uderzeniem jego wolę przechodzą dziwne wibracje.

Ariel rzuciła się na Kathy, która obróciła się gwałtownie, a jej blada twarz wykrzywiła się ze strachu. Ariel zatopiła kły głęboko w jej ciele, a potem zaczęła mocno ssać. David widział, że klatkę piersiową Kathy ogarniają konwulsje – osłabione serce nie miało już siły pompować krwi.

Pozbawione życia i barw oczy Ariel wirowały bez końca. W końcu zrozumiał, a świadomość ta dała mu jasność umysłu potrzebną do działania.

David skoczył w momencie, gdy Ariel jedną dłonią przytrzymywała głowę Kathy, a drugą jej ramię, szykując się do oderwania tej pierwszej od reszty ciała. Na twarzy dziewczyny widział własne przerażenie oraz litość i miłość do niej, które w tej chwili przepełniły go na nowo. Miłość wystarczająco silną, żeby ich wszystkich wyzwolić.

Pociągnął głowę Ariel do tyłu i przesunął ostrzem po jej gardle, przecinając tchawicę. Zaczęła się miotać, szarpać, dławić powietrzem niczym ptak schwytyany przez wir wodny. Jej spojrzenie stało się dzikie. I wtedy w kąciku jej oka pojawiła się pojedyncza różowa łąza, która powstrzymała go przed dokończeniem dzieła. David patrzył jak urzeczony na kropelkę wilgoci ściekającą po pięknym policzku Ariel i skrycie modlił się, aby Mojry dały się namówić na modyfikację tej ścieżki jego losu. Kropla spadła na jego skórę nieopodal miejsca, w którym wcześniej wylądowały łyzy Kathy. Jednak w przeciwieństwie do niej Ariel wydała z siebie kroplę płynnego lodu mrozącego go do szpiku kości.

Szybkim i zdecydowanym ruchem David dokończył cięcie, które pozbawiło ją głowy.

Powietrze przeszył krzyk, który przyprawił go o ciarki na plecach – tym bardziej że wydobył się z jego własnych ust. Dźwięk ów był świadectwem bezpowrotnej amputacji części jego serca.

# Rozdział 33

Chwile, które potem nastąpiły, pełne były zamętu. Część popleczników Ariel czmychnęła. Na polanie pozostało sześciu mężczyzn, na twarzach których malowało się jednocześnie poczucie klęski i ulga.

David wziął ociężałe ciało Kathy na ręce. Nie umiał powstrzymać szlochowi wywołanego utratą Ariel. André i Karl doskoczyli do niego pierwsi.

– Dokończ sprawę, *mon ami*. Musisz to zrobić teraz!

David pochylił się nad gardłem Kathy. W jej ranie wyczuł smak Ariel, co sprawiło, że załkał.

– Zrób to albo ją utracisz – powiedział Karl.

David wiedział, że to prawda. Gdyby to Ariel miała być ostatnią osobą, która piła krew Kathy, na jego więzi z dziewczyną pojawiłaby się nieusuwalna skaza. Przekłuł zasychającą już ranę i wessał resztkę krwi, która pozostała w jej ciele. Czuł, jak wycieka z niej życie, a potem zatrzymuje się, jakby napotkało opór.

Przytulił jej bezwładne ciało i zaczął je kołysać. Tylko świadomość tego, że Kathy w końcu się ocknie, pozwoliła mu się nie załamać.

Tymczasem rozgorzał spór. Wing i Morianna dołączyli do Juliana, a następnie stanęli przed mężczyzną, który dokonał przemiany Davida, Karla, Chloe, a pewnie i wielu innych. Może nawet miał na koncie Ariel.

– Co on mówi? – spytała Carol André.

– Nie jestem pewny. Łacina, którą się posługuje, jest archaiczna. Pochodzi ze średniowiecza, a może i z wcześniejszego okresu. Julien go zna. Mówi na niego Antoine.

– To Tony jest Anthonym albo Antoine'em, którego Julien już kiedyś spotkał! – zdał sobie sprawę David.

Spojrzał na Karla i Chloe – ich zszokowane miny stanowiły wierne odbicia jego własnego wyrazu twarzy.

– Mówi, że Ariel zasługiwała na śmierć – udało się przetłumaczyć Chloe. – Bo była słaba. A teraz nas znieważa. Nazywa nas bękartami, potulnymi barankami, chodzącymi deformacjami. Twierdzi, że

popęłnił błąd, pozwalając nam na dostąpienie zaszczytu przemiany. Mówi, że powinien nas być od razu unicestwić, bo żadne z nas nie jest warte tego daru.

– Musiał kochać Ariel – skomentował David.

Wpatrywał się w istotę odpowiedzialną za egzystencję, która była jego udziałem. Tamtej nocy, gdy David został napadnięty, napastnik wydawał mu się potężny, dziki, niepokonany. Teraz jednak jego stwórcą robił wrażenie starego, znużonego, szalonego. Spoczywał na nim ciężar samotności nieporównywalnie większej od tej, której skosztował dotychczas David.

– Chce zabrać jej ciało – tłumaczyła dalej Chloe.

– Czyżby uważał nas za głupców? – spytał David, po czym delikatnie położył Kathy na ziemi i chwycił za sztylet.

Energicznymi ruchami zaczął rozczłonkować zwłoki Ariel. Karl i André wrzucili do ognia jej członki, a potem korpus. Powietrze wypełnił ohydny smród palonego mięsa, ale przyjaciele kontynuowali pracę, dopóki każdego fragmentu ciała Ariel nie objęły płomienie.

Antoine, któremu drogę zagrażała trójka istot prawie dorównujących mu wiekiem i siłą, nie mógł nic na to poradzić. Zdawał pogrążyć się w bezradnej wściekłości. Nagle skupił całą swą uwagę na grupce uwijającej się przy ognisku. Jego twarz wykrzywiła się jak pysk rozsierzonego gargulca. Jego krzyk przeciął powietrze niczym huk grzmotu. Potem zniknął, jakby tak naprawdę nigdy nie istniał, i zlał się w jedno z drżącymi cieniami.

Momentalnie dało się odczuć zmianę w powietrzu, które pozbyło się nieznośnej ciężkości.

– Co on krzyknął? – spytał David.

– Starą łacińską klątwę. – Dłonie Chloe drżały. – Jej treść to: strzeżcie się własnych cieni. On groził nam wszystkim. Powiedział, że to jeszcze nie koniec.

Julien, Morianna oraz Wing dołączyli do reszty grupy i nagle zapadła cisza.

– To ważny moment – oznajmiła Morianna cichym głosem. – Śmierć jednej z nas z pewnością została zarejestrowana przez całą społeczność.

David był jednocześnie pogrążony w żalu oraz czuł, że odzyskał wolność, jakby z jego barków zdjęto olbrzymi ciężar, a z serca wyłuskano morderczego czerwia. Gdy ogień przemieniał zwłoki Ariel w proch, wydawało mu się, że słyszy, jak duch je opuszcza,

wzdychając, a jego własna dusza wraca na ziemię i na powrót zajmuje miejsce wewnątrz ciała. Przytulił Kathy, czując, że ich bliskość wykracza daleko poza to, co fizyczne.

Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie Ariel, nigdy nie poznałby Kathy. Nie odświeżyłby również kontaktów z przyjaciółmi. Chodziło jednak o coś więcej. Czuł, że w jego wnętrzu mrok i światło zaczynają się ze sobą łączyć. Zrozumiał nagle, że oboje z Kathy byli coś winni Ariel. Wraz z nadejściem pełnego tajemnic przedświt, kiedy to wszelkie żywe stworzenia oddają głos swym prymitywnym instynktom i korzą się przed budzącymi trwogę i podziw siłami tego, co nieznanne, pozwolił, by przemówił przez niego wielki Byron:

*„I jej nie było – a jam z nią nie zginął!  
Żyłem, lecz ból mi oddychać nie dawał,  
Waż pierś mą ścisnął, serce me obwinął,  
Myśli me kąsał i zemstą napawał”<sup>32</sup>.*  
*„Kochałem, ojczy – o, nie – ubóstwiałem –  
Lecz to są słowa, słowo często kłamie –  
Ja miłość moją czynem pokazałem:  
Przypatrz się rdzawej na tym mieczu plamie.  
To jest krew dawna, dotąd się nie starła,  
Przelana dla tej, co dla mnie umarła”<sup>33</sup>.*  
*„Zaiste, miłość jest świętym pożarem,  
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych,  
Aniołów dobrem, Wszchemocnego darem,  
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych”<sup>34</sup>.*

# Rozdział 34

## Epilog

O Boże! – krzyknęła Kathy, po czym zgięła się wpół i po raz kolejny zwróciła. Gerlinde podtrzymywała ją z jednej strony, a Carol z drugiej.

– Myślałam, że wampiry nie chorują – wydusiła z siebie zasapana.

Gerlinde się zaśmiała.

– O tym aspekcie rzadko wspominają w filmach.

David wsadził głowę do łazienki.

– Co z nią?

– Całkiem nieźle – powiedziała Carol. – Już prawie koniec.

Kathy spojrzała na niego przez łyzy, które zebrały się jej w oczach. Był dla niej lśniącym, rozmazanym kształtem. Próbowwała się uśmiechnąć, ale nie do końca jej to wyszło.

– Daję radę – stęknęła.

Carol podała jej szklanekę z wodą, żeby mogła wypłukać usta, a Gerlinde odkręciła wodę pod prysznicem i zaczęła kręcić gałkami, dopóki nie była zadowolona z jej temperatury.

– Wskakuj, mała. Poczujesz się jak w niebie.

Kathy weszła pod ciepły strumień i zaciągnęła za sobą zasłonkę. Jej wzmocnionym zmysłom wydawało się, że woda ryczy z siłą wodospadu, dźgając pory jej skóry milionami maleńkich, tępo zakończonych igieł. Zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu i pozwoliła wodzie ściekać po każdym pasemku włosów, czując, jak cząsteczki wilgoci chłodzą i odświeżają jej ciało. Do nozdrzy Kathy dotarł zapach metalu i ziemi, zupełnie jakby mogła widzieć przez opuszczone powieki.

Dwie godziny wcześniej obudził ją David i rozpoczęła nowe życie. Czowała się zdezorientowana, zagubiona, wystraszona. Wkrótce potem pojawił się ból tak silny, że wydawało jej się, iż umiera raz jeszcze. Zarówno David, jak i inni zapewnili ją, że cierpienie niedługo dobiegnie końca, ale była w stanie w to uwierzyć dopiero wtedy, gdy ustały wymioty. Teraz dochodziła już do siebie. Doświadczenie okazało się o wiele gorsze niż kiepskie prochy.



W każdym razie nie czuła się martwa – wręcz przeciwnie. Główne zmiany objawiały się na razie w postaci wyostrzonych zmysłów oraz wydłużonych siekaczy, które nie były dla niej jakimś istotnym kłopotem.

Po wyjściu spod pryszniczki kobiety pomogły jej ubrać się w jedną z sukienek Gerlinde – czarną kreację w stylu new wave z asymetrycznie rozmieszczonymi czerwonymi, żółtymi i niebieskimi maziochami, które nie układały się w żaden konkretny wzór. Podano jej srebrny kielich, we wnętrzu którego lśniła rubinowa ciecz. Kathy podniosła wzrok.

– To chyba nie krew, co?

– Grupa zero plus – oznajmiła rudowłosa kobieta, a Kathy miała nadzieję, że to żart.

– Ze zwierzęcia? – spytała niepewnie.

– Nie martw się, mała. Tę przekąskę przywiozłam z domu. Mamy laboratorium farmaceutyczne, które skupuje krew od banków krwi pod pozorem użycia jej do badań. Raz na jakiś czas trafia się niezła okazja, gdy któryś bank chce pozbyć się zapasów skażonych wirusem HIV albo żółtaczki.

Kathy wbiła wzrok w kielich.

– Chcesz powiedzieć, że w środku są zarazki, a ja mam to wypić?

Skrzywiła się, żeby podkreślić swoje obrzydzenie, lecz jednocześnie do jej nozdrzy dotarł bogaty w minerały aromat. Poczowała skurcz żołądka, ale tym razem z głodu.

– Jesteśmy odporni na infekcje bakteryjne i wirusowe – wyjaśniła Carol.

Do upicia łyżka gęstej, lekko słonej zawartości kielicha skłoniła Kathy nie tyle uzyskana informacja, ile trudne do kontrolowania pragnienie. Zaskoczyło ją bogactwo smaku. Do tej pory mięso, które jadła, musiało być prawie że przypalone, by była w stanie je tknąć. Teraz pożądała czystej krwi.

Karmazynowej barwy posiłek spłynął jej gładko po języku, a następnie do gardła, zaspokajając potrzebę, z której istnienia nie zdawała sobie wcześniej sprawy. Po zaspokojeniu głodu poziom jej energii gwałtownie się podniósł.

Oprócz Carol, Gerlinde i stojącego za drzwiami Davida była w stanie dostrzec André, Karla i Julię znajdujących się w pokoju obok – istoty, które wcześniej określiłaby mianem wampirów. Każde z nich lśniło żywym blaskiem, który jednocześnie wydawał się eteryczny

i namacalny, nadając im indywidualne kolory i kształty. Ich oczy pełne były życia niczym autonomiczne stworzenia pogrążone w tańcu. Każdy ich gest wprawiał ją w zachwyt – przypominali jej balet, który widziała kiedyś w telewizji, tylko lepsi: wysmakowany, zapierający dech w piersi, pełen gracji. Magiczny.

David obrócił się, żeby powiedzieć coś do Chloe, której biel włosów prawie oślepiła Kathy. Obserwowanie ich zapierało jej dech w piersi. Wszystko, co kochała w Davidzie, nagle się przed nią zmaterializowało. Był najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek miała okazję oglądać, dzikim rumakiem zamieszkującym magiczną krainę, aniołem lśniąącym złotym blaskiem. Gdy się obrócił i ruszył z gracją w kierunku łazienki, rzuciła mu się w ramiona, zanim zdążył wyciągnąć ku niej ręce, a chwilę później poczuła, jak jego jędrne, ale w jakiś sposób zwiewne wargi przyciskają się do jej ust, prawie się z nimi stapiając. Gdy jego silne ramiona otoczyły je pełnym ciepła i miłości gestem, westchnęła raz, a potem raz jeszcze.

– Witaj – powiedział z uśmiechem tak radosnym i promiennym, że odebrał jej mowę.

David poprowadził ją do niewielkiego pokoju. Znajdowali się w domu należącym wcześniej do Ariel. Kathy nie była pewna, skąd to wie. Gdy się skupiła, dostrzegła, że wszystko tutaj wyglądało dokładnie tak jak w opowieściach Davida. Wystrój nie zmienił się od dziesiątków lat. A teraz, gdy Ariel nie żyła, miało tak pozostać już na zawsze.

– Ciągle czujesz ją w sobie, prawda? – spytał David.

– Tylko trochę.

– Chodź do mnie. – Rozłożył ramiona.

Leżeli razem na łóżku, na którym kiedyś David i Ariel spali, kochali się i obserwowali przez uchylone okiennice, jak nocne niebo ustępuje miejsca nadchodzącemu świtowi. Kathy zacisnęła oczy, chroniąc je przed szarym światłem. Jej ciało było ociężałe, wyczerpane, a skóra nieprzyjemnie ciepła i wrażliwa na dotyk. Zastanawiała się, jak długo zajmie jej przywyknienie do tych odczuć.

– Do tego nie da się przyzwyczać – powiedział David, jakby czytając jej w myślach. – Z czasem robi się jednak łatwiej.

– Potrafisz czytać w moich myślach?

– Czuję to co ty.

Położyła mu głowę na barku przerażona śmiertelną sennością, która zaczynała wnikać w pory jej skóry i ścigać ją w kierunku ziemi.

Zrozumiała, że od dziś każdego ranka będzie umierać na nowo. Ale nie będzie sama. On będzie jej towarzyszył. Każdej nocy, gdy tylko zajdzie słońce.

– Tak – potwierdził. – Będziemy razem.

Ale nie będzie z nimi Ariel.

Kathy westchnęła i pomyślała o Bobbym. Skoro była w stanie pogodzić się z jego śmiercią, tak samo mogło być z Ariel – ale nie będzie to łatwe. Nienawidziła jej równie mocno, jak kochała Davida, ale to sprawiało, że oboje stali się jej częścią, zupełnie jakby zamieszkali w jej wnętrzu. Emocji zadających głębokie rany nie powinno się ignorować, a poza tym nie musiała się już bać bólu.

Przytuliła się do Davida i pozwoliła tej konkretnej małej śmierci wziąć ją w swe chłodne, mroczne objęcia.

---

<sup>1</sup> W. Shakespeare, *Sen nocy letniej*, tłum. S. Barańczak, Znak, Kraków 2000, s. 101.

<sup>2</sup> G.G. Byron, *Don Juan*, tłum. E. Porębowicz, Czytelnik, Warszawa 1959, s. 23.

<sup>3</sup> G.G. Byron, *Cieniom Henryka Kirke White'a*, tłum. K.J. Jeziński, „Prawda. Tygodnik Polityczny, Społeczny i Literacki”, Warszawa 21 stycznia 1888, rok VIII, s. 35.

<sup>4</sup> G.G. Byron, *Wędrowki Czajld Harolda* [w:] tenże, *Wybór dzieł*, tłum. J. Kasprówicz, A. Mickiewicz, A.E. Odyńiec i in., tom I, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 482.

<sup>5</sup> G.G. Byron, *Don Juan*, dz. cyt., s. 164.

<sup>6</sup> *La Corps* – franc. „Ciało” (przyp. tłum.).

<sup>7</sup> *Der Verstand* – niem. „Umysł” (przyp. tłum.).

<sup>8</sup> G.G. Byron, *Wędrowki Czajld Harolda*, dz. cyt., s. 541.

<sup>9</sup> Tamże, s. 555.

<sup>10</sup> *Mile High Club* – termin kolokwialny odnoszący się do osób, które miały okazję uprawiać seks na pokładzie samolotu (przyp. tłum.).

<sup>11</sup> G.G. Byron, *Wędrowki Czajld Harolda*, dz. cyt., s. 568.

<sup>12</sup> T.S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka* [w:] tenże, *Szepty nieśmiertelności*, tłum. K. Boczkowski, Wydawnictwo Baran i Suszczyński, Kraków 2001, s. 83.

<sup>13</sup> T.S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, dz. cyt., s. 87.

<sup>14</sup> T.S. Eliot, *Wydrażeni ludzie, Szepty nieśmiertelności*, tłum. K. Boczkowski, Kraków 2001, s. 121.

<sup>15</sup> G.G. Byron, *Sketch from Private Life*, tłum. M. Sieduszewski, w: *Poems on his Domestic Circumstances*, wyd. XVII, Londyn 1816, s. 13.

<sup>16</sup> G.G. Byron, *Idzie w piękności* [w:] tenże, *Wybór dzieł*, tłum. J. Kasprówicz, A. Mickiewicz, A.E. Odyńiec i in., tom I, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 88.

<sup>17</sup> Sado-maso (przyp. tłum.).

<sup>18</sup> G.G. Byron, *Stance do rzeki Po* [w:] tenże, *Wybór dzieł*, tłum. J. Kasprówicz, A. Mickiewicz, A.E. Odyńiec i in., Czytelnik, tom I, Warszawa 1986, s. 130.

<sup>19</sup> G.G. Byron, *Beppo* [w:] tenże, *Wybór dzieł*, tłum. J. Kasprówicz, A. Mickiewicz, A.E. Odyńiec i in., tom I, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 324.

<sup>20</sup> G.G. Byron, *W tym dniu ukończyłem trzydziesty szósty rok życia* [w:] tenże, *Wybór dzieł*, tłum. J. Kasprówicz, A. Mickiewicz, A.E. Odyńiec i in., Czytelnik, tom I, Warszawa 1986, s. 136.

<sup>21</sup> Vallana, *When he had taken off my clothes*, tłum. M. Sieduszewski, w: *Love Poems*, Knopf Doubleday Publishing Group, 2005.

<sup>22</sup> Kanadyjska firma telefoniczna (przyp. tłum.).

<sup>23</sup> G.G. Byron, *And thou art dead, as young and fair*, tłum. M. Sieduszewski, w: *Lord Byron: Complete Poetical Works*, tom 3, Oxford University Press, Oxford 1981, s. 4.

<sup>24</sup> G.G. Byron, *Strofy do Augusty* [w:] tenże, *Wybór dzieł*, tłum. J. Kasprówicz, A. Mickiewicz, A.E. Odyńiec i in., tom I, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 111.

<sup>25</sup> *Widzę ducha!* (przyp. tłum.).

[26](#) Zgoda! (franc., przyp. tłum.).

[27](#) G.G. Byron, *Więzień Czyllonu* [w:] tenże, *Wybór dzieł*, tłum. J. Kasrowicz, A. Mickiewicz, A.E. Odyniec i in., tom I, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 311.

[28](#) F. Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, tłum. W. Berent, Wydawnictwo Zysk i Ska, Poznań 2000, s. 197.

[29](#) E. Browning, *Jak ciebie kocham? Poezje wybrane*, tłum. L. Marjańska, PIW, Warszawa 1976, s. 142.

[30](#) Tamże. W oryginale: „Będę cię jeszcze bardziej kochała po śmierci” (przyp. tłum.).

[31](#) Tylko ostrożnie! To czarownica (przyp. tłum.).

[32](#) G.G. Byron, *Giaur* [w:] tenże, *Wybór dzieł*, tłum. J. Kasrowicz, A. Mickiewicz, A.E. Odyniec i in., tom I, Czytelnik, Warszawa 1986, s. 186.

[33](#) Tamże, s. 181–182.

[34](#) Tamże, s. 184.